

Hymn Smutku

Koryta Michael



calibre 0.9.43

Hymn Smutku

Lincoln Perry [2]

Michael Koryta

Wydawnictwo Amber (2007)

CZEŚĆ I

KRWAWIĄCA PAMIĘĆ

Rozdział 1

Wycie syren policyjnych nie zaprzętnęło mojej uwagi. Było wprowadzie głośnie i dobiegało z bliska, ale to zachodnia część Cleveland, i mimo że na świecie jest wiele gorszych miejsc, tutaj dźwięk policyjnej syreny nie rozprasza człowieka.

– Gotowy, West Tech? – zapytała Amy Ambrose, rzucając z linii rzutów wolnych. Trafiła, zabręczały tylko łańcuszki. Siatka na obręczy była zrobiona z łańcuszków, a nie ze sznurków i chociaż przy próbie odbicia można było otrzeć o nie rękę, ich dźwięk dawał cholerną satysfakcję, kiedy piłka wpadała w obręcz. Brzęk sukcesu, jak wygrana na automacie do gry.

– Pewnie, że jestem gotowy – odpowiedziałem, próbując wyrównać, ale piłka uderzyła w obręcz. Zła wróżba. Amy wyzywała mnie na pojedynek przez cały tydzień.

Byłem zrozpaczony, kiedy zobaczyłem, że potrafi rzucać. W ostatnich latach spędzonych w college'u West Tech, zanim zamknięto stary budynek, grałem w koszykówkę, ale minęło już kilka miesięcy, odkąd ostatni raz rzucałem piłką do kosza. Amy od paru lat była fanką koszykówki, szczególnie odkąd LeBron James przybył do Cleveland.

Przeczuwałem, że stanę się ostatnią ofiarą jej nowego hobby.

– Mam nadzieję, że kiedy naprawdę jesteś w potrzebie, masz lepsze wyczucie – skomentowała Amy mój nieudany rzut.

– W szkole średniej grałem zawsze w środku pola – odparowałem. – Wiesz, rozgrywający.

– Więc nie umiesz rzucać. – Znowu trafiła do kosza, tym razem z linii rzutów za trzy punkty. – Musisz próbować z tego miejsca.

Chybiłem. Amy się uśmiechnęła.

– Pała, ogierze. Zdaje się, że to nie potrwa długo. – Już miała rzucić, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy. Ostra, okropna wariacja na temat V symfonii Beet-hovena. Spudłowała o dobrych parę metrów i odwróciła się do mnie ze ściągniętymi brwiami. – Nie liczy się. Telefon mnie rozproszył.

– Liczy się – odparłem. – A na dodatek powinnaś dostać punkty karne za dzwonek w komórce.

Nie odebrała telefonu. Rzuciłem z tej samej linii co ona i trafiłem. Amy spudłowała i mieliśmy

remis. Jej telefon znów zadzwonił. Kilkoro dzieciaków, wałęsających się po drugiej stronie podwórka, odwróciło głowy. Graliśmy w szkole podstawowej niedaleko mojego domu.

– Nie przegram z tobą Lincoln – powiedziała Amy, patrząc jak gram. Nadal nie odbierała telefonu, który leżał na ziemi za koszem. W końcu komórka umilkła. Amy koncentrowała się przez dłuższą chwilę, po czym rzuciła. Celnie, zmuszając mnie do kolejnej próby.

Graliśmy na przemian przez kilka minut, aż Amy zdobyła przewagę. Oboje zaczęliśmy się już pocić, biegając po boisku. Duchota sierpniowego dnia nie ustępowała równie szybko jak zachodzące słońce. Amy, w szortach i T-shircie, z kręconymi włosami zawiązanymi w kucyk, wyglądała jak nastolatka. Dwóch chłopaków, pewnie szes-nastoletnich, którzy przejeżdżali obok na deskorolkach, rzuciło jej długie, aprobujące spojrzenia.

– Twoja kolej. – Amy w końcu chybiła. – Postaraj się, dobrze?

Zrobiłem zwód w lewo, wróciłem na prawo, obróciłem się na pięcie i rzuciłem z wyskoku. Piłka uderzyła w tablicę i poleciała w bok – zagranie Michaela Jordana, wynik Lincolna Perry’ego.

– Przykro było na to patrzeć – zadrwiła Amy.

– Tym rzutem wygrałem w szkole siedem meczów, mądralo.

– Naprawdę?

– Nie.

Jej telefon znów zaczął dzwonić. Jęknąłem.

– Asie, odbierz albo wyłącz to cholerstwo.

– Okej. – Rzuciła do mnie piłkę i poszła, żeby podnieść komórkę. Kiedy rozmawiała, wykonałem kilka długich rzutów zza linii. Częściej pudłowałem, niż trafiałem.

Amy wyłączyła telefon i wróciła na boisko. Stała z rękami na biodrach, patrząc niewidzącym wzrokiem.

– Co jest grane? – zapytałem, kozłując.

– Mój wydawca. Zaczyna się duża sprawa. Chciał wiedzieć, czy mam jakieś dobre źródło w straży pożarnej.

– A konkretnie?

– Sprawa dotyczy twojej starej dzielnicy – powiedziała. – Może pojechałbyś tam ze mną i zebrał trochę materiału? Nie skontaktowałbyś mnie z jakimiś ludźmi, z któ-

rymi można by pogadać?

Uśmiechnąłem się.

– Asie, jesteś zbyt drobnomieszczańska, żeby się włóczyć po tamtych okolicach.

– Zamknij się. – Amy lubiła myśleć o sobie jako o twardzielu, który zna życie ulicy, i nie znosiła, kiedy napomknąłem o jej dzieciństwie spędzonym w Parmie, przedmieściu klasy średniej. Ja byłem pełną gębą mieszkańcem zachodniej dzielnicy.

– Rozumiem, że wydarzyło się coś szczególnego? – Znów skoczyłem, rzuciłem i trafiłem.

– Morderstwo.

– To rzeczywiście pasuje do mojej starej dzielnicy. – Złapałem piłkę i dryblując, podbiegłem do linii w stronę Amy.

– Jakiś facet podłożył ogień w domu przy Train Avenue. W środku była kobieta.

Ale dureń dał się sfilmować. Chyba chodzi o kamerę ochrony ze sklepu z alkoholem po drugiej stronie ulicy. Kiedy gliny przyjechały, żeby go aresztować, dołożył im i uciekł. To się stało niedawno.

– Pamiętasz syreny, które słyszeliśmy? – zapytałem.

– Tak. To mogło być to. Podpalacz, mieszka przy Clark Avenue. Ty chyba dorastałeś w tej okolicy.

– Zgadza się. – Znów rzuciłem. – Jak on się nazywa?

– Ed Gradduk.

Piłka mocno uderzyła o obręcz i, odbiwszy się parę razy, wróciła do mnie. Pozwoliłem, żeby przeleciała obok, nawet nie wyciągnąłem ręki. Potoczyła się na koniec boiska, ale ja nie spuszczałem wzroku z Amy. Przyglądała mi się z uniesionymi brwiami.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest. Twoja piłka. Słuchaj, przykro mi, ale muszę iść. Uznaj to za walkower, jeśli chcesz. Rewanż będzie innym razem.

Podniosła piłkę i spytała:

– Lincoln, o co chodzi? Znasz tego faceta?

Grzbietem dłoni otarłem pot z czoła i odwróciłem wzrok od pomarańczowego zachodu słońca w stronę cieni, na wschód od nas. W stronę Clark Avenue.

– Znałem go. I przykro mi, Asie, ale muszę iść.

– Dokąd?

– Muszę się przejść, Amy.

Chciała zaprotestować, zadać więcej pytań, ale się powstrzymała. Kiedy odchodziłem, stała sama, wciąż w tym samym miejscu, na boisku do koszykówki. Wyszedłem za budynek szkolny, na ulicę, wsiałem do swojej ciężarówki i zapaliłem silnik.

Klimatyzacja wionęła na mnie ciepłym powietrzem. Wyłączyłem ją i opuściłem szyby.

W ciężarówce było duszno i parno, ale strumyczek potu, który spływał mi po plecach, był zimny jak woda z jeziora.

Jest początek lata. Mamy po dwanaście lat, ja i Edward Nathaniel Graddock, mój najlepszy przyjaciel. Spędzamy ten wieczór tak, jak spędzaliśmy dotąd wszystkie letnie wieczory: gramy w piłkę na wąskim podwórku przed domem Eda; wszystkie podwórka na Clark Avenue są takie, więc gramy na podjeździe. Kiedy robi się późno, a dom i drzewa całkiem zasłaniają gasnące słońce, przenosimy się na podwórko od frontu, żeby grać dalej. Tutaj, w świetle latarni, moglibyśmy grać całą noc, gdybyśmy tylko chcieli. Piłkę trudno zobaczyć, dopóki nie podtoczy się pod nogi, ale uznaliśmy, że to dobry element ćwiczeń, bo wymaga szybszego refleksu. Zanim pójdziemy do szkoły średniej, w całej okolicy nie będziemy mieć równych sobie, a potem otworzy się przed nami droga do pierwszej ligi. Tamtego lata szkoła średnia wydawała nam się równie realna jak pierwsza liga; wyśniony świat z prawem jazdy, samochodami i dziewczynami, które mają piersi.

– Pete Rose jest nic niewartym gnojkiem – mówi Ed, ciskając we mnie piłką z zamachu. – Nic mnie nie obchodzi, ile ma trafień.

– Jasne, kurde – odpowiadam, odrzucając. Obaj jesteśmy fanami Cleveland Indians, na dobre i na złe. A jeśli jesteś fanem Cleveland Indians, nienawidzisz Pete’a Rose’a. Nienawidzisz, bo jest gwiazdą drużyny z Cincinnati, o parę godzin na południe od nas, ale jeszcze bardziej go nienawidzisz, bo ponad dziesięć lat temu, podczas rozgrywek ligowych, wpadł w pełnym biegu na Raya Fosse’a i Ray nigdy nie doszedł

do siebie po tym zderzeniu. Trzydzieści lat po ostatnim mistrzostwie zdobytym przez drużynę zawodnik taki jak Ray Fosse to nadzieja kibiców Indiansów. Teraz stał się kolejną niespełnioną nadzieją, ale czerpiemy satysfakcję ze zwalania winy za to niepowodzenie na Pete’a Rose’a.

– Tato powiedział, że chciałby zobaczyć, jak Pete Rose przyjeżdża do Cleveland i idzie do jakiegoś baru – mówi Ed. – Skopaliby mu tyłek tak szybko, że to nawet nie byłoby śmieszne. Ale to byłoby śmieszne, wiesz? Śmieszne, jak diabli.

Ed mówił tak jak jego stary, co tłumaczyło nadmiar wulgaryzmów. Mój tato do-

łożyłby mi, gdyby usłyszał, że tak przeklinam, ale w towarzystwie Eda jest bezpiecznie.

Nawet fajnie. Jesteśmy dwoma twardzielami.

– Jasne, kurde – powtarzam, taki zwrot twardych facetów. – Chciałbym przy tym być, żeby to zobaczyć.

– Pete nigdy nie przyjedzie do miasta – twierdzi stanowczo Ed. – Brakuje mu jaj.

Ed mieszka przy Clark Avenue, a mój domek jest przy Frontier Avenue, na po-

łudnie, tuż obok Clark. Podczas wspólnych wypraw zapuszczamy się na wschód, aż do Fulton Road, a naszym ulubionym miejscem jest cmentarz St. Mary przy Trzydziestej Ósmej Zachodniej. Czasem, wieczorem, biegniemy przez cmentarz i opowiadamy sobie historie o duchach, które zaczynają się łzawo, ale kończą się tak, że wracamy pę-

dem do domu. Matka Eda zawsze jest w domu; moja matka umarła, kiedy miałem trzy lata. Mieszkam tylko z ojcem. Na stoliku obok łóżka stoi jej fotografia w ramkach.

Kiedy Ed po raz pierwszy ją zobaczył, zmarszczył brwi i zapytał, dlaczego trzymam zdjęcie matki w swoim pokoju. Powiedziałem mu, czerwieniąc się ze wstydu zmieszanego ze złością, że umarła – ze wstydu, bo przyłapano mnie, że mam to zdjęcie na wierzchu, a ze złością, bo Ed zachował się bezczelnie. Popatrzył na zdjęcie ze zrozumieniem. Palcem dotknął lekko ramki i powiedział:

– Była naprawdę śliczna. – Od tej chwili Ed Graddock został moim najlepszym przyjacielem.

Tato był już teraz w domu, prawdopodobnie spał w fotelu, przy nastawionym na mecz Indiansów telewizorze lub radiu. Nie mamy kablówki, więc często korzystamy z radia. Pozwolił mi pójść do Eda, bo jego matka jest w domu. Ojciec Eda siedzi prawdopodobnie w Kryjówce, gra w karty i pije piwo. Może przyjść w każdej chwili, będzie rzucać z nami piłkę, opowiadać dowcipy albo w ogóle nie wróci na noc. Ed udaje, że go to nie obchodzi, kiedy tato nie pojawia się, zanim pójdziemy spać, ale dopóki nie zaśnie, spogląda raz po raz na zegar i na ulicę.

– Śliczny chłopiec Pete Rose – śpiewa Ed i biegnie truchtem na chodnik. Ciska piłką we mnie tak mocno, że robię krok do tyłu i przytrzymuję rękawicę oburącz. Czuję się głupio, ale cieszę się, że widzę tę cholerną piłkę, zanim rąbnie mnie w nos.

– Najmocniejszy strzał wieczoru – mówi Ed, widząc, że ledwo przyjmuje jego rzut. Pokazuje na niebo.

– Chcesz iść do domu? – pytam. Minę ma ponurą.

– Nie, nie chcę wracać tak wcześnie.

Podrzucam piłkę rękawicą i czekam, aż się zdecyduje. Szura trampkami po ziemi i patrzy w zamyśleniu na garaż.

– Pamiętasz, jak mój tato malował dom? – pyta. Kiedy potakuję, mówi: – Nie mógł tego robić, dopóki nie wrócił z pracy, a wtedy było już prawie zupełnie ciemno.

Więc kupił reflektor.

– Nadal go macie?

– Tak. Prawie go nie używał, stwierdził, że farba zawsze wygląda inaczej za dnia i to go wkurza. Ale zostawił sobie lampę.

– Jeżeli ją wyniesiemy, to łatwiej będzie zobaczyć piłkę – mówię, bo spodobał mi się pomysł. – I będzie tak, jakbyśmy rozgrywali na stadionie wieczorny mecz.

– Idziemy. – Ed rzuca rękawicę na ziemię i rusza za dom, w stronę małego garażu na jeden samochód. Ja za nim.

Nad wejściem przymocowany jest reflektor, który teraz nie działa. Główne drzwi są zamknięte, musimy wejść bocznymi. Wyczuwam zapach benzyny, kiedy Ed je otwiera. W starych garażach zwykle czuć paliwo, ale tu zapach jest bardzo mocny. I gra muzyka – Van Morrison śpiewa „Into the Mystic”.

Ed maca ścianę, próbując zapalić światło, nie zwraca uwagi na zapach. Nie mo-

że znaleźć przełącznika, sięgając krótkimi ramionami dwunastolatka, więc wchodzi głębiej do garażu. Idę z nim. Zapach paliwa aż dusi. Zdejmuję z dłoni rękawicę, która upada na betonową podłogę. Kij baseballowy trzymam mocno w zaciśniętej prawej ręce, ramię mam lekko cofnięte. Nigdy nie bałem się ciemności, ale teraz, nie wiem dlaczego, chcę wyjść z garażu.

– Nie mogę znaleźć tego cholernego przełącznika – mamrocze Ed obok mnie, a potem słyszę pstryknięcie i pomieszczenie wypełnia się jaskrawym białym światłem.

Odruchowo zaciskam powieki, broniąc się przed szokiem. Mam zamknięte oczy, kiedy rozlega się krzyk Eda. Otwieram oczy i cofam się gwałtownie; chcę wyjść z garażu.

Wiem, że jest tu jakiś napastnik, jakieś zagrożenie, coś, co przeraziło Eda. Uderzam plecami o ścianę i dopiero teraz omiatam wzrokiem pomieszczenie.

W garażu stoi samochód ojca Eda, chevrolet nova. Szyba od strony kierowcy jest opuszczona, wewnątrz siedzi Norm Gradduk z głową opartą o ramę drzwi. Twarz ma nabrzmiąłą i nienaturalny kolor skóry. Nawet mnie, dziecku, wystarczy jedno spojrzenie, by wiedzieć, że jest martwy.

Ed z krzykiem rzuca się do samochodu. Wyciąga ramiona do ojca i szybko je cofa. Chce mu pomóc; boi się go dotknąć.

– Musimy kogoś zawołać – mówię, a głos mi drży. Podchodzę bliżej do samochodu, mimo że mam ochotę uciec stąd jak najdalej. Na kolanach Norma Gradduka leży butelka z alkoholem. Zaciska na niej dłoń. Van Morrison śpiewa „Chcę go usłyszeć, nie muszę się go bać”.

Ed się odwraca i pędem wybiega na podwórko, nie przestaje wrzeszczeć, a ja, zerkając na Norma Gradduka, też krzyczę histerycznie. Matka Eda napomina nas z domu, żebyśmy się uciszeli.

Sanitariuszom przyjazd zajął siedem minut, a siedemdziesiąt sekund, żeby powiedzieć Edowi i jego matce, że nic nie poradzą.

Rozdział 2

Pamiętałem ten dom bardzo dobrze, choć minęły lata od czasu, kiedy w nim bywałem. Słyszałem, że Ed kupił dom swojego dzieciństwa. Kiedy żył ojciec, był to najlepiej utrzymany dom na całej ulicy. Norm spędzał przy nim każdą wolną chwilę, malował, naprawiał, dbał o trawnik. Mój ojciec nieraz mówił, że chociaż Norm Gradduk ma swoje wady, to z domu może być dumny, w przeciwieństwie do sąsiadów.

Jasne, że Ed chce dorównać ojcu, pomyślałem, patrząc na budynek, którego dach nad werandą zapadał się, na drugim piętrze szyba była wybita, a farba kiedyś zapewne jasnożółta czy biała przybrała odcień brudnej szarości. Przy zachodniej ścianie domu stała drabina i widać było, że ktoś zeszkrobywał łuszczącą się farbę. Stos starego drewna obok werandy wskazywał, że wymieniono podłogę. Następne miejsce na liście zajmował bez wątpienia dach werandy.

Na podjeździe i przy krawężniku nie było samochodów policyjnych; czarnego forda crown victoria zobaczyłem dwie przecznice dalej. Będą tak się czaić całą noc, czekając na jego powrót, pomyślałem. Ale Ed na pewno nie przyjedzie. Zaparkowałem ciężarówkę naprzeciwko nich, przeszedłem przez podwórko i stanąłem na schodach przed drzwiami frontowymi. Może ktoś będzie w domu. Dziewczyna, przyjaciółka. Do diabła, powinien już być żonaty.

Głośny odgłos moich kroków na nowej podłodze zwrócił czyjąś uwagę. Zatrzymałem się, pozwalając sobie na chwilę wspomnień. Aż podskoczyłem, kiedy ktoś krzyknął z wnętrza domu.

– Idźcie stąd, idźcie stąd, idźcie stąd! – skrzypiał kobiecy głos. – Mówiłam wam, wy brudni dranie, żebyście sobie poszli!

Już miałem odejść, ale ton tego głosu ożywił moją pamięć.

– Pani Gradduk, tu Lincoln Peny – powiedziałem głośno.

Samochody przejeżdżały ulicą a kilka przecznic dalej dzieci hałasowały i śmiały się, basowa muzyka dudniła w tle, zaczynało się przyjęcie. Latarnia migotała i brzęcza-

ła, a ja stałem z rękami w kieszeniach i czekałem, aż podejdzie do drzwi; wtedy zapukałem. Drzwi gwałtownie się otworzyły i chuda kobieta z zapadniętymi oczami i głę-

bokimi zmarszczkami stanęła naprzeciwko mnie.

– Ty sukinsynu – wyszczała. Głos był cienki jak ona sama; wyraźny, ale na granicy słyszalności, jakby zanikający. Ktoś, kto nie znał tej kobiety, pomyślałby, że to głos staruszki albo nałogowej palaczki. Ale ja wiedziałem, że zawsze był taki i że ona nigdy nie paliła. Dłoń trzymała na klamce. Przedramię miała tak straszliwie chude, że pomyślałem o głodujących dzieciach w Afryce i czarnobiałych zdjęciach z obozów hitlerowskich. Skóra zwisała z kanciastych kości tak samo jak

sukienka bez rękawów, pomięta, pofałdowana. Blond włosy były teraz siwe, rozczochrane, wystrzępione. Patrząc na nią, nie mogłem uwierzyć, że mogła tak się zmienić piękna kiedyś kobieta.

Musiała się chyba starzeć o dziesięć lat z każdym upływającym rokiem kalendarzo-wym.

– Dobry wieczór pani – przywitałem ją jakbym wpadł po drodze na szklaneczkę lemoniady, żeby porozmawiać o pogodzie i dzieciach.

Zacisnęła dłoń na klamce, a ja nie mogłem się powstrzymać, żeby nie spojrzeć; czekałem, aż kości zaczną pękać.

– Co tu, do diabła, robisz?

Doskonałe pytanie. Oblizałem wyschnięte wargi, przejechałem ręką po włosach, oczy miałem spuszczone.

– No?

– Nie wiedziałem, że pani też tu mieszka... – zacząłem, żeby wypełnić czymś milczenie.

– Pytałam, czego chcesz.

Wyprostowałem się i spojrzałem jej w oczy.

– Chciałbym znaleźć Eda. Może mógłbym... mu pomóc.

– Pomóc mu? – Zrobiła pół kroku do przodu, przyglądając mi się badawczo, z grymasem złości na twarzy. – To ty jesteś temu winien, wiesz? Popelnił jeden błąd, a ty zniszczyłeś go. Nigdy już nie był taki sam.

– To dawna sprawa – odparłem. – Nie zmieni się przeszłości. Słyszałem jednak, że Ed ma teraz duże kłopoty. Chciałbym się z nim widzieć.

Obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem.

– Czy przez dziesięć lat chociaż się do niego odezwałeś?

To nie było dziesięć lat, ale miała rację, nie rozmawiałem z nim. Milczałem, stojąc skrępowany przed kobietą, która kiedyś piekła mi ciasteczka, a teraz pluła jadem, jakby chciała zatopić zęby w moim ciele, wstrzyknąć truciznę do żył.

– Ty pieprzony gnojku, wydaje ci się, że możesz mu pomóc? – Prychnęła po-gardliwie. Zszokowało mnie jej słownictwo. Od kiedy znałem Albertę Graddock, nie pamiętam, żebym chociaż raz słyszał, jak przeklina. – Policja ma wszystko na taśmie.

Jego wina nie budzi wątpliwości; podłożył ogień i spalił dziewczynę. A ty chcesz wiedzieć, dlaczego?

Nie odpowiedziałem.

– Zszedł na złą drogę przez ciebie. Popułnił bład. Kaźdemu moźe się zdarzyć.

Ty byleś niby jego przyjacieleu. Najlepszym przyjacieleu. I odwróciłeś się do niego plecami.

– Zrobiłem to, co musiałem, proszę pani. Składałem przysięgę, a ona nie pomi-ja przyjaciół.

– A co teraz moźesz zrobić? – zapytała i chociaż w jej głoście nadal była wrogość pojawiła się teź odrobina nadziei.

– Nie wiem. – Muzyka i krzyki na ulicy stały się głośniejsze, przyjęcie nabierało rozpędu. Zerknąwszy na czarnego forda przy krawężniku, zobaczyłem, jak światła la-tarni odbijają się w przyciemnionej szybie przedniej, i znów zwróciłem wzrok na matkę Eda Gradduka.

– Znam adwokatów i znam policję – mówiłem. – Jestem teraz detektywem. Nie wiem, co tam się stało, ale wiem na pewno, że uciekając, działa na swoją niekorzyść.

Musi wrócić i skorzystać z pomocy prawnej, znaleźć sobie obrońcę. W tym moģę mu pomóc. Na razie pakuje się w jeszcze większe kłopoty.

– Ty wiesz wszystko o pakowaniu go w kłopoty.

– Proszę posłuchać... – zacząłem, ale nie pozwoliła mi skończyć.

– Wynoś się z moģego domu – rzuciła, cofając się do drzwi.

Dopiero wtedy zobaczyłem, że jest bosa, a żyły na jej bładych stopach rysują się mocnym fioletem.

– Będę moģł mu pomóc, jeśli go znajdę – oświadczyłem, szczerze w to wierząc, chociaż nie miałem ku temu podstaw. – Dokąd moģł pójść, proszę pani?

W tym momencie zamknęła z trzaskiem drzwi, aż zabrzęczała stara szyba.

Zgrzytnęła zasuwą, łańcuch zabezpieczający trafił na swoje miejsce. Przez szaloną chwilę byłem gotów kopać w drzwi, aż się otworzą a ja będę moģł złapać tę zwariowaną kobietę, potrząsnąć nią i powiedzieć, że to nie moja wina, że to nigdy nie była moja wina, że Ed spieprzył sprawę, a ja nie miałem wyjścia i musiałem być tym, który kazał mu za to zapłacić rachunek. Ale trudno jest wykrzesać z siebie taki gniew i prze-konanie do czegoś, czego do końca nie jest się pewnym. Odwróciłem się i wyszedłem.

Jego najbliższym przyjacieleu był Scott Draper. Kiedyś moģłbym tak powiedzieć o sobie, ale to dawne dzieje; Draper miał swoje miejsce w życiu Eda, w przeciwieństwie do mnie. Co najmniej cztery lata minęły, odkąd widziałem Drapera, lecz odnalezienie go nie sprawiało trudności; Kryjówka należała do jego rodziny od trzech pokoleń i musiał tam być, chyba że budynek zawalił się na niego.

Do knajpy musiałem pójść ulicą, przy której stał czarny ford. Byłem jakieś pięć metrów od niego, kiedy usłyszałem ciche mrużenie opuszczanej elektrycznie szyby.

– Jak leci, partnerze? – odezwał się jeden z siedzących w środku mężczyzn, przeciągając samogłoski.

– Świetnie – odparłem, idąc dalej. Wtedy drzwi otworzyły się, policjant wysiadł i zastąpił mi drogę. Spojrzałem na gliniarza; nie znałem go. Jeśli on znał mnie, nie dał

tego po sobie poznać.

– Miły wieczór, co? – zagadnął, opierając się o samochód.

Zerknąłem do wozu, chcąc zobaczyć tego, który zajmował miejsce dla pasażera, ale było za ciemno.

– Piękny wieczór – przytaknąłem, próbując go ominąć, ale on zrobił krok i znów zastąpił mi drogę.

– Za pozwoleniem, jaki interes miał pan do pani Graddock? – zapytał. Był wysoki, musiałem podnieść wzrok, żeby zobaczyć jego twarz.

Wyglądał groźnie. Ciemnobrązowe oczy rzucały złe błyski. Wpatrywał się we mnie przenikliwie. Ale to nie oczy przyciągnęły moją uwagę, tylko nos. Spuchnięty, si-nofioletowy i skrzywiony. Złamano mu go bardzo niedawno. Zrobił to prawdopodobnie Ed Graddock, jeśli informacja Amy o szamotaninie z policją była rzetelna.

– Wyraziłem współczucie i ubolewanie – powiedziałem. – Słyszałem, że jej syn nie miał dzisiaj szczęścia.

– Albo narobił nieszczęścia – rzekł gliniarz. – Ma to coś wspólnego z panem?

– Jestem jego spowiednikiem – oświadczyłem.

Położył mi rękę na ramieniu, ale wyswobodziłem się i odszedłem.

Powinienem się zatrzymać i pogadać z nim. Powinienem dokładnie wyjaśnić okoliczności, powiedzieć, że jestem starym przyjacielem, że nie mam pojęcia, co tutaj robię, że ścigają mnie złe wspomnienia. Powiedzieć, że byłem gliną może wymieni się paroma opowiastkami o długich nocnych patrolach albo śledzeniu podejrzanym.

Ale tego wieczoru wszystko nagle zrobiło się surrealistyczne, pokrętne i dziwaczne. I chociaż uznałem, że powinienem się zatrzymać i wyjaśnić sprawę, wydłużyłem krok i ruszyłem dalej. Nie ścigał mnie.

Przeszedłem jeszcze kilka przecznic na zachód, obok ośrodka sportów przy Clark Avenue, starego ceglanego budynku, który na początku stulecia zaczynał karierę jako łaźnia. Jednak od dziesięcioleci funkcjonował jako ośrodek sportów. Zapamięta-

łem wiele szalonych meczów w koszykówkę rozegranych na małym boisku w środku gmachu, z

garstką widzów kibicujących z balkonu otaczającego podwórko. Dziś wieczór grupa latynoamerykańskich nastolatków siedziała na schodach i przyglądała mi się, gdy przechodziłem. Okolice stawała się coraz bardziej puertorykańska, ale tak by-

ło i wtedy, kiedy tu dorastałem. Nieopodal budynku była pusta działka; została tylko betonowa nawierzchnia, na której kiedyś stał dom. Pamiętałem go i widok pustej parceli sprawił, że poczułem się znacznie starszy.

Kryjówka znajdowała się niedaleko ośrodka, w domu o sypiącej się fasadzie, z reklamą w oknie. Przez chwilę wahałem się, stojąc na popękany chodniku. Patrzy-

łem na znajomy budynek. Tu po raz pierwszy podano mi piwo. Miałem czternaście lat

– barman doskonale o tym wiedział – i razem z Edem odbiliśmy butelkę, budweysera, oczywiście. To się pije, mając czternaście lat; nie bez przyczyny otrzymał miano króla piw, prawda? Spędziłem tu niezliczone godziny i wewnątrz baru pamiętałem równie dobrze jak mój stary dom. Piętro przeznaczono na magazyn i stryżek, ale dziś wieczorem w oknach było ciemno. Wszedłem do baru po schodkach.

Po obu stronach długiego i wąskiego wnętrza ustawiono ciasne boksy, w powietrzu kłębił się dym z papierosów. Z tyłu, pod ścianą stała zepsuta szafa grająca, a obok wisiał telefon na monety. To była sala jadalna, ale chociaż pamiętam, że parę kubików zawsze okupowali miejscowi wielbiciele gorzały, to nie przypominam sobie, żeby ktoś tutaj jadał. Cheeseburgera z Kryjówki można było zjeść na własne ryzyko, a stek z polędwicy nadawał się tylko dla głupców lub samobójców. Mogli cię tu nato-miast uraczyć zimnym budweyserem albo innym piwem, napełnić szklaneczkę Jasiem Wędrowniczkiem, a tego właśnie potrzebowali stali bywalcy.

Za drzwiami, po mojej lewej stronie, znajdował się bar, połączony dębowego drewna, przed którym stały pokryte winylem stołki, tak jak powinno być w barze. Za barem były wielkie półki zastawione butelkami z alkoholem odbijającymi się w lustrze z tyłu, a na końcu sali stoły bilardowe. Przy obu tłoczyli się gracze, na stołkach siedziało tylko parę osób. Biały dzieciak w koszulce bez rękawów i czapce narciarskiej obsługiwał

bar. Lato, a on nosi czapkę narciarską. Ciekawe.

– Co panu podać? – zapytał.

– Szefa.

– Że co proszę?

– Scott Draper nadal jest tu właścicielem?

– Aha.

– No, to dawaj go tutaj.

Nie spodobał mu się rozkazujący ton w moim głosie, ale zrobił, co kazałem, poszedł w stronę schodków z tyłu sali. Zatrzymał się na pierwszym stopniu i spojrzał

na mnie.

– Kto go woła?

– Lincoln Perry. – Faceci przy barze przyglądali się nam, ale moje nazwisko chyba nic im nie mówiło. Dawno już nie byłem w Kryjówce.

Chłopak wszedł na górę, a ja usiadłem na stołku z rozdartym winylowym po-krowcem. W telewizorze nad barem leciał mecz Indiansów. Tribesi przegrywali dwoma punktami. Pierwszy rzut powolny i niecelny. Drugi tak samo, z tym samym skutkiem.

Trzeci trafił zawodnika w dołek.

– Lincoln.

Spojrzałem przez ramię. Scott Draper wyglądał tak, jak go zapamiętałem – wysoki, gruby, łysy i umięśniony. Nigdy nie trenował w siłowni, ale gdyby chciał, mógłby podnieść hondę. Głowę golił sobie od zawsze.

– Kopę lat, bracie – powiedział, wyciągając rękę. Głos brzmiał ciepło, ale jego oczy nie zdradzały żadnych emocji.

– Kopę lat – odparłem, ściskając mu twardą pokrytą zgrubieniami dłoń. – Miło widzieć, że nadal trzymasz tę knajpę na chodzie.

– Zamknąłbym ją rok temu. Ale nie dałem rady przekonać tych pijanie, żeby poszli do domu – dodał głośniejszym głosem. Mężczyźni siedzący obok mnie roześmieli się. Jeden pokazał Draperowi środkowy palec. Stali bywalcy.

– Słyszałeś o Edzie? – spytałem.

Przypatrywał mi się chwilę, potem przeniósł spojrzenie na telewizor. Szła re-klama piwa. Zgarnął z baru paczkę papierosów. Chyba nie były jego, ale nikt nie zaprotestował. Wytrząsnął jednego, wziął zapalniczkę od któregoś z facetów i zapalił, zaciągając się mocno.

– Słyszałem.

– Źle to wygląda.

Dmuchał w moją stronę.

– Nie najlepiej. Wielkie gówno, ot co. Morderstwo. Plus podpalenie.

Pokiwałem głową.

– Gliny tu zachodziły?

– Pewnie, całkiem niedawno. Zadawali mnóstwo pytań. Powiedziałem, gdzie je mogą sobie wsadzić, zaczęli pyskować, wspomnieli o inspekcji budowlanej i licencji na alkohol, no wiesz, próbowali się stawiać. Potem się wynieśli.

– Złapali go, ale podobno im uciekł.

– Tak mówią, zgadza się. – Znów wbił wzrok w ekran telewizora. Gapiliśmy się obaj w milczeniu, aż wreszcie on się odezwał: – A co tobie do tego, Perry?

– Nic a nic.

– Ale przyszedłeś tutaj?

– Pomyślałem, że gdyby udało mi się go znaleźć, to może mógłbym mu po-móc.

Uniósł brwi rozbawiony.

– Pomóc?

Nie byłem pewien, czy śmieszy go, że chcę pomóc Edowi, czy że wydaje mi się, że to możliwe.

– Nie wiem jak – przyznałem szczerze. – Ale on sam siebie pograża. W końcu go złapią a wtedy jego sytuacja będzie jeszcze gorsza.

Znów szedł mecz, przyciągał uwagę pijących przy barze, więc mogliśmy rozmawiać swobodnie. Draper odłożył papierosa i ściągnął brwi.

– Przez wszystkie te lata nie odezwałeś się do niego słowem, co?

Pokręciłem głową.

– Raz próbowałem, potem już nie.

– A jednak przyszedłeś tutaj, ledwie się o tym gównie dowiedziałeś? Koniecznie chcesz się w to wmieszać?

Domyśliłem się, że mi nie wierzy. Ja też sobie nie wierzyłem. Jedyne, co mogłem zrobić, to skinąć głową.

– Pewnie będziesz miał z tym roboty do diabła i trochę. Ale nie wiem, co ci powiedzieć, Lincoln. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Jeśli się pokaże, powiem mu to, co ty powiedziałbyś: żeby sam oddał się w ręce władz.

– Scott, jeśli ktokolwiek ma z nim kontakt, to tylko ty. Chciałbym z nim porozmawiać.

Patrzył na telewizor, ale widziałem, że napinają mu się mięśnie klatki i barków.

– Słuchaj – zaczął. – Wiesz, co myślę o tym, jak go załatwiłeś, żeby awansować.

Od tamtego czasu nie było cię w okolicy ani w moim barze. Kiedyś, do cholery, byli-

śmy kumplami. Dlatego zrobiłem, co mogłem, żeby okazać ci serce, kiedy tu przyszedłeś. Ale nie ułatwiasz mi zadania, Lincoln.

– Doceniam próbę okazania mi serca – odparłem – tyle że słabo próbowałeś.

– Proszę, nie zmuszaj mnie... – Nie dokończył, bowiem ze schodów do składzi-ku zszedł Ed Graddock i przepchnął się przez tłumek przy stole bilardowym.

Rozdział 3

Patrzyłem, jak Ed idzie w naszą stronę. Kiedy Draper zobaczył wyraz mojej twarzy, odwrócił się i zaklął po cichu.

Ed był ubrany w dżinsy i biały T-shirt. Na koszulce dostrzegłem krew, a pod prawym okiem brzydkie nacięcie. Włosy miał długie i zmierzwiłone, ale twarz opaloną i gładką. Nie przekroczył jeszcze trzydziestki, a groziło mu dożywocie, jeśli ława przysięgłych okaże się łaskawa.

– Przyjaciel w potrzebie. – krzyknął bełkotliwie, podchodząc do nas. Od razu poznałem, że jest wstawiony. – Na co mi przyszło, Lincoln? Wpadłem w biedę, człowieku. Nie ma, kurde, wątpliwości. Ale ty jako przyjaciel? Gówno prawda.

Draper złapał Eda za ramię, próbując go wepchnąć z powrotem na schody, ale ten strząsnął jego rękę. Chwiał się na nogach i język mu się plątał, ale spojrzenie miał

byste i przeszywające. Kiedy byliśmy dziećmi, ludzie często brali nas za braci – te same ciemnoblonde włosy i jasnoniebieskie oczy.

– Co tutaj robisz? – zapytał.

– Słyszałem, że wpadłeś w jakieś kłopoty.

– Jakieś kłopoty? Kpisz sobie ze mnie, człowieku? Jakieś kłopoty? – Popatrzył

na Drapera i roześmiał się dziko, ale Scott nawet się nie uśmiechnął. Nie odrywał

wzroku od drzwi, myśląc zapewne, że w każdej chwili może wejść glina, że obserwują bar z zewnątrz.

– Potrzebuje paru godzin, żeby dojść do siebie – odezwał się Draper, nieprzerwanie kontrolujący drzwi. – Musi wytrzeźwieć, ochłonać i uporządkować myśli. Może zadzwoni do adwokata, może wsiądzie do samochodu i da nogę. – Spojrzał na mnie nieprzyjaźnie. – Lincoln, nie mam zamiaru

dzwonić. Nie zrobiłem tego, kiedy tu przyszedł, i nie zrobię teraz.

– Nikt do nikogo nie zadzwoni – oświadczyłem twardo. Ed patrzył na mnie z szyderczym uśmiechem, chwiejąc się jak marynarz na rozkołysanym pokładzie.

– Co tu, do diabła, robisz? – powtórzył bardziej zdziwiony niż zły. – Powiedz prawdę, Lincoln. Chcesz być przy tym, jak pójdę na dno, co? Chcesz się tym delektować?

Patrzyłem mu w oczy z nadzieją, że znajdzie słowa, które do niego trafią, i zrozumie, dlaczego musiałem wtedy postąpić tak, a nie inaczej i co to dla mnie znaczyło.

Ale nie padły. Trudno było je znaleźć po ośmiu latach.

– Życzę szczęścia, Ed. – Odwróciłem się, kierując do drzwi. Ruszył za mną. Draper próbował go zatrzymać, ale Ed kazał mu zostać w środku. Pchnąłem drzwi i wyszedłem. Stałem na chodniku, oparłszy dłonie na biodrach, z wzrokiem utkwionym w ziemię, wdychając chłodne powietrze. Ed podszedł do mnie, wyjął papierosa i zapalił.

Milczeliśmy. Czułem od niego alkohol, ale wydawało mi się, że umysł ma trzeźwy.

– W Ohio wykonują karę śmierci za morderstwo, prawda? – odezwał się po chwili.

– Czasami.

Pokiwał głową i się zaciągnął.

– A czasami nie – dodałem. – Zależy od okoliczności. Jakie są twoje?

Odpowiedział groźnym pustym śmiechem, który aż mnie zmroził.

– Moje okoliczności? – Znów się roześmiał. – O kurczę, Lincoln, nawet nie będziesz chciał tego słuchać. Nie są czyste. To ci mogę powiedzieć. Nie są czyste.

Zaczął iść chodnikiem, zataczał się, ale poruszał dość szybko. Machnął na mnie ręką, żebym szedł za nim. Zlustrowałem ulicę, wypatrując policji. Nic nie wzbudzało podejrzeń, więc poszedłem za nim.

– Moje okoliczności – powiedział, nie wyjmując papierosa z ust – są trochę trudne do wyjaśnienia. Słyszałem, że gliny mają taśmę wideo, a to wystarczy przysię-

głym. Kto uwierzy słowom byłego kryminalisty?

Wiatr się wzmógł, poruszał śmieci i żwir na chodniku, wciskał kurz do oczu.

Zamrugałem, pochyliłem ramiona i opuściłem głowę.

– Co się stało, Ed?

Spojrzałem na niego, nacięcie nad okiem miał jaśniejsze niż wcześniej. Z rany sączyła się krew. Palił, zaciągając się głęboko.

– Najpierw – zaczął powoli – chodziło tylko o pieniądze. Strumień gotówki, jakby to powiedział mój stary. Ja taki znalazłem, koleś. On już był, ja tylko w to wszedłem, dostałem swoją rolę i swój udział. Wszystko, czego dusza zapagnie, rozumiesz?

Nie odpowiedziałem, przeszliśmy w milczeniu do następnej przecznicy. Ed po-rządkował myśli.

– Chodziło o pieniądze – ciągnął. – Mnóstwo dla jednych, trochę mniej dla innych.

– A dla ciebie?

– Dla mnie w sam raz. Wystarczało. Ale potem... – Groźny śmiech powrócił, a wraz z nim temperatura jakby spadła o dziesięć stopni. – Potem przestało chodzić o pieniądze. Weszły sprawy osobiste.

– Jak to?

Staął i popatrzył na mnie, przechylając głowę na bok.

– Pewien człowiek opowiedział mi historię.

Uniosłem brwi.

– Jaką historię?

– Taką której nie chciał opowiadać – odparł Ed. – I naprawdę było mi z tego powodu przykro. To było dla niego trudne, bo wiedział, że dla mnie będzie trudne.

Lincoln, o takich sprawach nie mówi się łatwo. Najtrudniej powiedzieć o najważniejszych rzeczach.

– Zabiłeś tę kobietę?

Dmuchnął ze znużeniem dymem.

– Nie zabiłem tej kobiety. I gwizdzę na to, że mają wideo, zdjęcie czy tysiąc naocznych świadków, żeby poprzeć swoją wersję. Było inaczej.

– Mogę ci pomóc, Ed.

Uniół brwi i parsknął.

– Mogę ci pomóc, ale musisz mi wszystko opowiedzieć. Podaj nazwiska, podaj fakty, odsłoń wszystkie karty.

Spojrzał nad moim ramieniem, na domy za mną. Wskazał na nie ręką z papierosem.

– W domu przy tej ulicy mieszkał Andy Butcher. Pamiętasz go? Zwariowany gówniarz. Tamtego dnia, kiedy przejeżdżał autobus z katolickiej szkoły, staliśmy na trawniku od ulicy. – Roześmiał się, na pozór beztrzesko, ot, facet na wieczornym spa-cerze. Jakieś oskarżenie o morderstwo? Pomyłka. Mówił dalej w zamyśleniu: – Autobus z katolickiej szkoły przejeżdża i jeden z tych chłopaków, co to chodzili pod krawatem, rzuca w nas butelką. Pamiętasz. Mały kutas rzuca w nas butelką, ale ona upada na trawę, nie na chodnik, nie tłucze się. Andy, kurczę, podnosi ją i zaczyna biec za autobusem, który musi robić jakieś trzydzieści na godzinę. Dogania go.

Pamiętałem, scena przelatywała mi teraz przez głowę, jak fragment filmu. Andy Butcher biegnie za autobusem z butelką w ręku, autobus zwalnia, bo z boku zajechał

mu drogę jakiś samochód. Andy skacze na bok autobusu, Ed i ja stoimy, szczęki nam opadły, gapimy się osłupiali, a Butcher chwyta lewą ręką za opuszczoną do połowy boczną szybę, zawisa przywarty do jadącego autobusu, a prawą ręką rozbija butelkę o twarz zaskoczonych dzieciaków z katolickiej szkoły.

– Człowieku, pędziliśmy, jakby się za nami paliło – powiedział Ed.

Uśmiechnąłem się lekko, chociaż to nie był czas na wspomnienia.

– Prawda. – Pokiwałem głową. – Kierowca wysiadł z autobusu i zaczął nas go-nić. Wrzeszczał, że wezwie policję.

Ten incydent utkwił mi w pamięci. Przebiegliśmy wtedy z dwadzieścia przecznic, zanim wpadliśmy na pomysł, żeby dać nogę w jedną albo drugą stronę i zniknąć kierowcy z pola widzenia. Przebiegliśmy przez parę podwórek i zwaliliśmy się jeden na drugiego. Zaśmiewaliśmy się do bólu i przybijaliśmy piątki.

– Andy był sportowcem jak cholera. – W głosie Eda brzmiał podziw. – Nigdy w życiu nie uprawiał sportu, a potrafił dogonić autobus i zawiesić się na oknie. Niesa-mowite.

– Musisz mi powiedzieć, co się stało – zacząłem, bo nie chciałem już rozmawiać o Andym Butcherze, ale Ed uniósł dłoń i znowu mi przerwał.

– Lincoln, ludzie mówią że takie wspomnienia to najlepsza rzecz w życiu. Kochają słowa, kochają uczucie, które one niosą, mówią aż się zadyszą; nostalgia i inne pierdoły. Wspomnienia, mówią. Och, jak ja kocham te wspomnienia.

Rzucił papierosa na chodnik i zdusił go znoszonym sportowym butem. Kontynuował wywody:

– Czasem bołą. – Podniósł na mnie wzrok. – Mówię o wspomnieniach. Wiem, że są dobre, ale co ze złymi? Człowieku, to jest najgorsze. Robisz, co możesz, żeby je odsunąć, wyrzucić z głowy, wymazać na zawsze. Ale nie możesz tego zrobić. One cią-

gle wracają i naprawdę bołą. To jest tak, jakby pamięć krwawiła, wiesz? I nie masz wyj-

ścia, musisz poczekać, aż skrzepną. Nie możesz zaszyć rany.

– Ed – użyłem rozkazującego tonu, który wypróbowałem na barmanie – daj sobie spokój z tymi cholernymi zagadkami, dobrze? Może nie chciałeś się ze mną zobaczyć, lecz ja i tak przyszedłem. Jeśli przyjmiesz moją pomoc, zrobię wszystko, co w mojej mocy. Pod warunkiem, że mi wszystko opowiesz.

Znów zaczął iść. Teraz trochę pewniejszym krokiem, ale widać było, że jest pijany. Spojrzenie miał przytomniejsze, a twarz surową. Mówił składniej i bardziej do rzeczy.

– Nie musisz się w to mieszać, Lincoln. – Powłóczył nogami, jakby w ogóle nie odrywał stóp od ziemi. W dzieciństwie też tak chodził.

– Wiem.

– Poszedłem do prokuratora – powiedział. – I co mi poradził?

– Nie wiem, Ed.

– Żeby wracał do domu i nie pakował się w kłopoty. Usłyszałem też, że ma dość problemów, a taki kryminalista, jak ja, nie będzie mu ich dokładał zwariowanymi opowieściami i plotkami. Uwierzysz? Ten człowiek bierze pensję z pieniędzy podatników i wyrzuca mnie ze swojego biura! Mówi, żebym nie pakował się w kłopoty.

– Po co poszedłeś do prokuratora?

– Powiem ci coś innego: próbowałem zrobić to, jak należy. Zgodnie z prawem, rozumiesz? – Oczy miał rozbiegane, zasnuwane mgiełką jakby zapadające się w otchłań ciągle jeszcze otumanionego gorzała mózgu. – Próbowałem. A oni odesłali mnie do domu i radzili, żeby nie pakować się w kłopoty. Wtedy powiedziałem, do diabła z tym.

Zmuszę ich, żeby się temu przyjrzel, w taki czy w inny sposób, jasne?

Za nami powoli jechało auto. Ed się odwrócił, ten samochód obudził jego czujność.

– Cholera.

Odwróciłem się i spojrzałem. Cholera. To był czarny ford crown victoria, który parkował przed domem matki Eda. Gliniarze zdali sobie sprawę, że ich zobaczyliśmy.

Kierowca dodał gazu i zbliżył się do nas z piskiem opon. Pulsujące światło zapaliło się za przednią szybą a Ed rzucił się do ucieczki.

– Nie uciekaj, daj im się zatrzymać! – krzyknąłem, ale nie posłuchał.

Ruszyłem za nim, chcąc go złapać. Byłem wściekły na gliny, że pojawiły się wła-

śnie w chwili, gdy Ed zaczął wreszcie mówić o faktach. Złapałem go za koszulkę i kiedy pociągnąłem, stracił równowagę. Jego prawa stopa ześliznęła się z krawężnika na jezdnię, potknął

się. Widziałem, jak patrzy na furgonetkę, która jechała naprzeciwko, a potem ogląda się na forda jadącego za nim. Chciał przebiec na drugą stronę ulicy.

Wtedy znów się za nim rzuciłem. Zrobił kilka szybkich, długich kroków, ale miał we krwi za dużo alkoholu na tak gwałtowne ruchy i w połowie jezdni poplątały mu się nogi. Upadł.

Kierowca forda dodawał gazu, żeby zajechać Edowi drogę. Kiedy ten upadł, nie zwolnił od razu, miał za słaby refleks. Gdy w końcu dotarło do niego, co się dzieje, nacisnął hamulec, ale było już za późno. Samochód ślizgiem przejechał po Edzie Gradduku.

Stałem przy krawężniku i wykrzykiwałem coś, co w założeniu miało sens, ale brzmiało jak wycie rannego zwierza. Wybiegłem na ulicę. Ed leżał pod samochodem, a ten głupi sukinsyn, kierowca, wrzucił wsteczny, jeszcze raz przejeżdżając Eda przednimi kołami. Krzyczałem. Samochód stanął, gliniarze, wygramoliwszy się z niego, wo-

łali do mnie, żebym się cofnął. Zignorowałem ich i podbiegłem do samochodu, żeby wyciągnąć Eda.

Trzymałem ręce na jego ramionach, kiedy gliniarz, który był kierowcą chwycił

mnie i próbował odciągnąć, krzycząc, żebym się odsunął. Odwinąłem się i władowa-

łem mu pięść w żołądek. Zgiął się wpół. Kiedy wyciągałem Eda, wiedziałem, że nie żyje – krew płynęła mu z nosa, ust, nawet z uszu. Ciało było poszarpane i podrapane, odłamki kości białeły na skrwawionej skórze. Zdążyłem tylko spojrzeć, kiedy drugi gliniarz złapał mnie za gardło i odciągnął, wciskając w ucho lufę rewolweru.

Potem było dużo krzyku, ale nie pamiętam, co mówiono do mnie ani co odpowiadałem. Gliniarze nie mogli sobie ze mną poradzić, a ja krzyczałem im w twarz.

Kobieta w średnim wieku, która prowadziła furgonetkę jadącą z naprzeciwka, wysiadła z wozu, spojrzała na Eda, upadła na kolana i zwymiotowała. Zatrzymało się więcej samochodów, na ulicy, jak zwykle gdy zdarzy się wypadek, przybywało gapiów. Zdąży-

łem się odwrócić od policjantów w samą porę, żeby zauważyć Scotta Drapera. Sekundę później dostałem pięścią w głowę.

– Ty go popchnąłeś! – krzyczał. – Ty go popchnąłeś!

– Wybiegł! – odkrzyknąłem, a on znowu się na mnie zamachnął. Gliniarze starali się uspokoić Scotta. – Chciałem zatrzymać Eda, głupi sukinsynu.

Spróbował jeszcze raz zaatakować. Złapałem go za ramiona i przewróciłem na chodnik. Poznałby siłę mojej pięści, gdyby kierowca forda nie złapał mnie za nadgarstek. Rzucił mnie na ziemię obok Drapera.

Leżałem, kiedy zakładali mi kajdanki – twarzą do dołu, prawym policzkiem na chodniku. Lewym okiem widziałem strumyczek krwi Eda Gradduka spływający w moją stronę po chodniku i

pomyślałem sobie, że to jakiś znak.

Rozdział 4

Koło północy mogłem wrócić do domu. Grozili mi oskarżeniem o utrudnianie pracy policji i czynny opór, ale nie odnotowali w kartotece. Gliniarz, pasażer forda, niejaki Lany Rabold, złagodniał, kiedy tylko się dowiedział, kim byłem, ale jego partner, ten, który zatrzymał mnie na chodniku, zachował służbowy dystans. Nazywał się Jack Padgett i wobec mnie, bądź co bądź kolegi po fachu, nie okazał wielkoduszności.

Byłem przesłuchiwany około godziny, wypytywali o Eda, szczególnie interesowało ich, co mi powiedział podczas naszej krótkiej rozmowy. Chyba nie uwierzyli, kiedy im powiedziałem, że nie utrzymywaliśmy kontaktu od lat.

– Więc dlaczego pobiegłeś tam, kiedy tylko się dowiedziałeś o zdarzeniu? –

zapytał Padgett.

Dobre pytanie. Już raz nie potrafiłem na nie odpowiedzieć tego wieczoru i nadal nie miałem wytłumaczenia. Obaj byli zainteresowani naszym rozstaniem przed laty. Wiedziałem, że sprawdzą czy łączyły nas później, mimo wszystko, przyjacielskie układy. Nic nie znajdują.

Kiedy mnie wypuścili, wezwałem taksówkę i wróciłem do swojej ciężarówki. Na Clark Avenue było ciemno i cicho, nie licząc paru włóczęgów i kobiety czekającej na autobus. Stałem przy krawężniku i patrzyłem na ulicę, gdzie przed kilkoma godzinami zginął mój przyjaciel z dzieciństwa. Zmyli już krew z chodnika, a nocny upał wysuszył

wodę.

Wsiadłem do ciężarówki, włączyłem silnik i przysłuchiwałem się odgłosom ulicznego ruchu. Miałem obawy, czy zdołam prowadzić i czy nie będzie mnie prześladować widok Eda wybiegającego na jezdnię. Spojrzałem na zegar. Czas wracać. I powinienem się wyspać, pomyślałem.

Pojechałem jednak do Joego.

Joe Pritchard od dawna mieszka przy Chatfield, trzy minuty drogi od naszego biura. To od niego się dowiedziałem, że siłownia, będąca teraz moja własnością, jest na sprzedaż. Na krótko przedtem wyrzucono mnie z policji, nie miałem planów zawodowych, więc kupiłem siłownię i wprowadziłem się do mieszkanie na górze. Kilka lat później Joe przeszedł na emeryturę i od tego czasu pracujemy razem, jako prywatni detektywi.

Jego dom zbudowany jest z cegły, z dwoma spadzistymi okapami, w kształcie litery A, co jest powszechne w tej okolicy: dwa połączone trójkąty i komin wznoszący się wzdłuż ściany frontowej. Kiedyś słyszałem, że takie domy budowano z zestawów dostarczanych przez sieć Sears Roebuck, bardzo popularnych, kiedy osiedle rozrastało się po II wojnie światowej, ale nie wiem, czy to prawda. Dzielnica cieszyła się bardzo dobrą opinią ale i tak większość rodziców wybierała dla

swoich dzieci szkoły prywatne, a nie publiczne. Mój ojciec nie miał ochoty wysyłać mnie do prywatnej szkoły, nawet gdyby mógł sobie na to pozwolić. Jeśli nie dasz sobie rady w liceum publicznym –

zwykł mawiać – to jak dasz sobie radę jako glina? Nawet wtedy mówiłem wszystkim, co mam zamiar robić, a ojciec miał rację – cztery lata w West Tech to było swego rodzaju przygotowanie do zawodu.

Dom Joego, z perfekcyjnie utrzymanym trawnikiem, lśniącoymi oknami i wykładaną brukowcami ścieżką łączącą drzwi wejściowe z chodnikiem, wyróżniał się spo-

śród posesji. Większą część tylnego podwórka i kawałek między podjazdem a domem zajmował ogródek z mnóstwem pięknych kwiatów. Za domem znajdował się garaż, pełen grabi, motyk, ziemi doniczkowej i nawozów, a jeśli chciało się znaleźć Joego w sobotnie czy niedzielne popołudnia, wystarczyło zajrzeć na podwórko albo do garażu.

Kiedyś ogrodem zajmowała się żona Joego, Ruth. Umarła zimą a wiosną następnego roku Joe uznał, iż nie może pozwolić, żeby jej ogród stracił na urodzie i wyglądał inaczej, niż przywykli go widywać sąsiedzi. Myślę, że teraz poświęcał mu nawet więcej czasu niż Ruth.

Przywitał mnie w drzwiach, spojrzenie miał nieufne, ale na pewno jeszcze nie spał, tak jak się spodziewałem. Joe późno się kładzie i wczesnie wstaje, a mimo to zawsze jest rzeński. Trzydzieści lat pracy w policji wyrobiło nawyk krótkiego i czujnego snu.

– Jest po północy – mówił, kiedy zamknął drzwi i prowadził mnie do salonu – a ty nie pojawiłbyś się tutaj o tej porze na pogawędkę. Musiały zatem zaistnieć nadzwyczajne okoliczności. Sądzę, że chodzi o jakąś sprawę, i to mnie niepokoi. Dlaczego? Bo sprawy, które masz teraz na tapecie, to błahostki i nie omawiałbyś ich w środku nocy.

Przypuszczam, że wplątałeś się w jakąś poważną historię, a mój nos mi mówi, że cały ten szajs dotyczy twojego koleśki kryminalisty.

Dojście do tego wniosku zajęło mu nie więcej niż dziesięć sekund.

Usiedliśmy w salonie, a ja zapytałem go, czy oglądał dziennik, czy widział ta-

śmę z Edem Graddukiem podejrzanym o morderstwo. Powiedział, że tak.

– Pamiętasz tego faceta?

Na chwilę odwrócił ode mnie wzrok.

– Żartujesz sobie? To była pierwsza sprawa, którą rozpracowywaliśmy razem, L.P. I nigdy później nie widziałem, żebyś był aż tak wytrącony z równowagi. Zachowywałeś się jak robot. Lubilem pracować z tobą rozpoznałem twoje zdolności, ale też zaniepokoiła mnie twoja słaba odporność psychiczna. Miałem wrażenie, że już się wypaliłeś, jak stary glina, który został w służbie pięć lat za długo.

Pokiwałem głową.

– Pamiętam, że nie poszło to tak, jak chciałeś – kontynuował Joe. – I chłopak wpadł. Ale nie powinieneś się obwiniać. Miał wybór. Jego decyzja, że nie chciał współpracować.

Milczałem.

– W tym było więcej, niż mi powiedziałaś – rzekł Joe. – Chodziło o dziewczynę.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Czekał na odpowiedź.

– Było więcej – zgodziłem się. – I chodziło o dziewczynę. Ale nie tak, jak myślisz.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno. Przecież teraz nie w tym rzecz. Powiedz, co się stało.

Opowiedziałem mu wszystko, począwszy od telefonu do Amy, skończywszy na przesłuchaniu prowadzonym przez Padgetta i Rabolda. Kiedy mówiłem, zdałem sobie sprawę, że co chwila pocieram skroń, próbując pozbyć się bólu głowy wyczuwanego tylko podświadomie.

– Zapytałbym cię, po co poszedłeś na Clark Avenue – odezwał się, kiedy skończyłem – ale nie spodziewam się odpowiedzi.

– Właściwa ocena.

Joe patrzył na wyciszony telewizor. Był włączony na ESPN Classic, jak chyba zawsze. Nadawano mecz koszykówki Bullsów i Jazzów z końca lat dziewięćdziesiątych.

– Trudno zachować zimną krew w sytuacji, kiedy się widzi, jak facet ginie w taki sposób – powiedział. – Szczególnie, jeśli to facet, z którym było się blisko.

– Aha.

– Ta przerwana rozmowa z Graddukiem nie daje ci spokoju. Coś cię w niej zaniepokoiło? Nastawiło sceptycznie?

– Pomyślałem, że faceta mogli zrobić.

– Przecież jest taśma.

– No tak. Wszyscy, którzy ją obejrzel, nie mają wątpliwości. Ty też widziałeś to w telewizji.

- Więc zamordował tę dziewczynę.
- On mówił, że nie.
- Kamera zarejestrowała, jak podpala dom. Ten, w którym odkryto ciało.
- Nie sposób zaprzeczyć.
- Zatem sprawa jasna – uciął, ale wiedziałem, że był zbyt dobrym detektywem, żeby to kupić.
- Kim była ta kobieta? – zapytałem. – Nawet nie wiem, jak się nazywała.
- Anita Sentalar. – Wieczorem długo przedstawiali jej sylwetkę w wiadomościach. Trzydziestosiedmioletnia pani adwokat, ładna, samotna.
- A związek z Graddukiem?
- Jak do tej pory nic tego nie potwierdza.
- Może już nie żyła, kiedy wybuchł pożar.

Parsknął.

– O, tak. Podoba mi się ten pomysł. Ktoś inny ją zabija, wychodzi z domu, a Gradduk przypadkiem przechodzi i podpala chałupę, żeby ukryć zwłoki? Co, chce komuś wyświadczyć przysługę, zapraszając ogień? Ubezpieczenie za tę ruderę nie by-

ło warte złamanego grosza, z tego co słyszałem.

- Co jest na taśmie?
- Jak wchodzi do domu i jak wychodzi. Jego twarz jest całkiem dobrze widoczna, samochód też, pewnie zrobią powiększenie, żeby odczytać numer rejestracyjny.
- A pożar?
- Dom zaczął płonąć jakieś dwadzieścia minut po jego wyjściu. Zanim pojawiły się płomienie, rozległa się jakby mała eksplozja, tak mi się zdaje. Śledczy ze straży pożarnej uważają, że użył zapalnika czasowego i urządzenia zapłonowego.
- Dwadzieścia minut? Cholera, Josephie, to diabelnie dużo czasu.
- Ale kamera nie pokazała, żeby ktoś inny wchodził do tego domu po nim.
- Kamera pokazuje dom panoramicznie? Widać wszystko w jednym ujęciu?

Westchnął.

– Tylko fronton.

– Więc mnóstwo ludzi mogło w tym czasie wchodzić i wychodzić przez tylne drzwi?

– Niewykluczone. Ale co robił Graddock w pustym domu, skoro to nie on podłożył ogień?

– Tego – powiedziałem – chciałbym się dowiedzieć.

Joe znowu westchnął i rozparł się na fotelu, przysuwając podnózek. Ja siedzia-

łem na kanapie, z łokciami na kolanach i patrzyłem na niego. Był najlepszym gliną, z jakim przyszło mi pracować, i moim partnerem w interesach. Jeśli miałem rozpocząć tę sprawę, potrzebowałem jego wsparcia.

– Joe, on mi powiedział, że poszedł do prokuratora, a ten go zbył, nie chciał z nim gadać. Nie zaszkodziłoby porozmawiać z prokuratorem. Dowiedzieć się, z czym przyszedł Graddock.

– Jeśli odesłał go z kwitkiem, to prawdopodobnie miał dobry powód.

Siedzieliśmy w ciemnym salonie i oglądaliśmy na szklanym ekranie rozgrywany przed laty mecz w koszykówkę. Michael Jordan wbiegał w uliczkę, rzucał i był faulowany.

– Ten gość, Graddock – odezwał się Joe – to nie był chłopak, którego zapamię-

tałeś z dzieciństwa. Siedział, a wydaje się, że za krótko. Gówniane hamulce fordka oszczędziły mu wieloletnich cierpień w celi, a podatnikom wydatków, gdyby go wsadzili tam, gdzie powinien się znaleźć.

Nie odpowiedziałem.

– Niezależnie od tego, co ci mówił, wygląda na to, że facet kogoś zamordował.

– Wygląda.

– Jakie to ma znaczenie? – Pilotem wyłączył telewizor. – Czy ją zabił, czy nie?

Nie skazano go, był tylko podejrzany. On nie żyje, L.P., i czy się w to wmieszasz, czy nie, nic tego faktu nie zmieni. Jedno jest pewne: nie ty wyrządziłeś mu krzywdę. Ani dzisiejszego wieczoru, ani wtedy.

Siedziałem i myślałem o tym, co mógłbym mu odpowiedzieć: że chodziliśmy razem tymi samymi ulicami, że biliśmy się z tymi samymi kolesiami i podrywaliśmy te same dziewczyny, że takiego związku nie da się porównywać z innymi, dorosłymi związkami, nawet z tym, który ma się z

partnerem.

– Ed nigdy nie miał lekko w życiu – powiedziałem. – Od kołyski po grób dostawał wycisk. Czy zasługiwał na to? Czasami pewnie tak. Ale za każdym razem? Nie, do diabła.

– Jego nie ma. Już nie możesz mu pomóc.

– Nie to miałem na myśli. Rzecz w tym, żeby komuś nie uszło na sucho coś znacznie gorszego niż grzeszki Eda.

Milczał, a ja mówiłem dalej:

– Widziałem, jak umierał. Kilka godzin temu. Widziałem, jak to się stało. A jutro rano, kiedy wszyscy włączą wiadomości albo otworzą gazety, pomyślą sobie: Boże, ten facet był zabójcą i dostał to, na co zasłużył.

Joe odetchnął głęboko i pokręcił głową spojrzawszy przez ciemne okno na grządki z kwiatami, które sadziła i pielęgnowała jego żona, a on przejął nad nimi opiekę. Robi się różne rzeczy dla zmarłych, nawet jeśli się nie musi. Może właśnie dlatego, że się nie musi. Joe wiedział o tym równie dobrze, jak każdy.

Gapił się w okno dłuższą chwilę, potem sięgnął po pilota. Włączył telewizor, wygodniej się usadowił i skupił uwagę na grze.

– Pójdziemy na spotkanie z prokuratorem – powiedział i to było wszystko, co od niego usłyszałem, zanim wyszedłem.

Rozdział 5

Kiedy budzik zadzwonił o szóstej, rzuciłem nim o szafę. Potem przypomniałem sobie, dlaczego nastawiłem na tę godzinę. Poleżałem jeszcze w łóżku, zaciskając powieki i starałem się nie myśleć o tym, co widziałem wczoraj wieczorem i jakie obowiązki spoczywają na mnie, począwszy od dzisiejszego ranka. Ucieczka w sen nic nie zmieni ani w niczym nie pomoże. Wstałem z łóżka i wziąłem prysznic. Dwadzieścia minut później już byłem za drzwiami, siedłem, żeby złamać serce, które po wielekroć było już łamane.

Allison Harmell mieszkała w North Olmsted, a piętnaście lat wcześniej przy Scranton Road i była sąsiadką, ale nie koleżanką z klasy. Jej rodzice wyłożyli pieniądze-

żeby mogła się uczyć w katolickiej szkole, ale ona częściej włóczyła się z ferajną z West Tech niż z kolegami ze szkoły.

Teraz zrezygnowała z państwowej posady i prowadziła własną działalność go-spodarczą. Dowiedziałem się o tym – jak i o wszystkim, co działo się w życiu Allison w ciągu ostatnich ośmiu lat – z listów. Nie rozmawialiśmy przez telefon, bo milczenie, które wkradało się między nas – bądź co bądź starych przyjaciół – było zbyt krępują-

ce. Od czasu do czasu spotykaliśmy się przy drinku, zawsze w barze hotelowym w Middleburg Heights, w towarzystwie innych osób, ale i te spotkania się skończyły. Takie zasady wzajemnych kontaktów utrwaliły się wraz z upływem lat i przestaliśmy na wymianie korespondencji. Wiedziałem, że pracowała w domu, więc nie musiałem wstawać tak wcześnie tylko po to, żeby złapać ją przed wyjściem. Bardziej mi zależało na tym, żeby złapać ją zanim włączy telewizję.

Podeszła do drzwi kilka sekund po tym, jak zapukałem; miała na sobie podomkę, a na włosach ręcznik.

– Lincoln. – Uniosła dłoń do skroni. – Co się stało. ? – I od razu sama sobie odpowiedziała. – Stało się coś złego.

Pokiwałem głową.

– Tak. Coś złego.

Kiedy ją zobaczyłem, pożałowałem, iż wyznaczyłem sobie rolę posłańca. Wiedziałem, że będzie mi trudno, ale to było lepsze wyjście, niż gdyby usłyszała wiadomość od jakiegoś zidiociałego reportera telewizyjnego lub podsłuchała rozmowę w kolejce do kasy, w spożywczym. Dopiero teraz pojąłem, jak trudno będzie mi o tym mówić.

– Słyszałam, że ma kłopoty – powiedziała, cofając się do środka. – Ale on przecież nie mógł zabić tej kobiety. Nie mógł.

– Nie zabił – odparłem. – Ale to już nie ma znaczenia. Przynajmniej dla niego.

Szedłem za nią przez malutką jadalnię do kuchni, która pachniała gorącą świe-

żo parzoną kawą. Allison usiadła na kuchennym stołku, poła szlafroka ześliznęła się jej ze szczupłych gołych nóg.

– O czym ty mówisz?

– Ed nie żyje. – Stałem w drzwiach do kuchni, skamieniały, z bezradnie opuszczonymi rękami.

– Nie. Nie żyje? Nie. On jest w więzieniu, Lincoln. Mieli go odesłać do... – Przerwała i patrzyła na mnie.

– To się stało wczoraj wieczorem. – Słowa ledwo przechodziły mi przez gardło.

– Byłem przy jego śmierci. Gliny go ścigały, a on, pijany, wybiegł na jezdnię. Nie zdążył przebiec. Wpadł pod ich samochód.

Nie odezwała się, tylko powoli odwinęła ręcznik z długich blond włosów. Spadły na ramiona, mokre kosmyki przylgnęły jej do szyi.

– Trzy lata i siedem miesięcy – powiedziała w zamyśleniu. – Tyle minęło, odkąd po raz ostatni z nim rozmawiałam. Obliczyłam, kiedy wczoraj wieczorem usłyszałam w wiadomościach o pożarze. Widzieliśmy się po jego wyjściu z więzienia, a potem już nie.

Skwitowałam to milczeniem.

– A więc nie powinno mi być smutno, prawda? – Głos Allison drżał.

Zaczęła płakać, po cichu, bez zgrywy, były to po prostu ciche łzy, które od czasu do czasu wycierała wierzchem dłoni. Nie podszedłem do niej. Zostaliśmy tam, gdzie byliśmy cały czas – ona, płacząc, na stołku, ja, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, w drzwiach.

– Cholera! – rzuciła, dławiąc łzy. Pokręciła głową. – Nie żyje, a ja jestem na niego za to wściekła. Czy to ma sens?

– Tak.

Zaśmiała się nienaturalnie i znów pokręciła głową.

– Boże, nienawidzę zachowywać się jak wariatka.

Milczenie, które teraz nastąpiło, potrwało kilka minut. Wreszcie odetchnęła głęboko i zaczęła spokojniejszym tonem:

– Teraz pewnie mi powiesz, jak to się stało, że byłeś przy nim, kiedy zginął? Ja nie rozmawiałam z Edem prawie od czterech lat, ty dłużej.

– Ja dłużej.

– Opowiedz o wszystkim. Dlaczego tam się znalazłeś, jak on wyglądał, co mówił. Jak zginął.

Pół godziny minęło, a my ciągle byliśmy w kuchni. Kawa już się zaparzyła, ale nikt jej nie nalewał, włosy Allison wyschły bez suszarki i trochę się nastroszyły. Nadal stałem w drzwiach; nie chciałem przekroczyć progu i usiąść razem z nią

– Uwierzyłeś mu?

– Że jej nie zabił? Uwierzyłem. Ed miał na sumieniu różne sprawy, Allison, ale nie morderstwo.

– Ludzie się zmieniają. Szczególnie kiedy...

– Kiedy spędzą lata w więzieniu – dopowiedziałem. Skrzywiła się, ale nie dlatego, że nie chciała kończyć zdania, by chronić moje uczucia. Było w tym coś znacznie bardziej osobistego.

– Na pewno to zmienia człowieka.

– Nie do tego stopnia. Nie sędzę, żeby zmieniało to ludzi aż tak bardzo. Ale też nigdy nie siedziałem.
– Zamilkłem na sekundę. – Dłużej niż jedną noc, jeśli ten szczegół ma znaczenie.

– Nie wpadł w kłopoty – powiedziała. – Był w porządku, odkąd wyszedł na wolność. Przejrzałam gazety, szukając jego nazwiska.

– Wiesz, co robił od tamtej pory?

Pokręciła głową.

– Ja też nie – przyznałem.

Przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi, patrząc na mnie.

– Masz zamiar się dowiedzieć, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak czy nie? – dopytywała się.

– A co, źle by było?

Przyglądała mi się z politowaniem.

– Nie, Lincoln. Ale już jest za późno, żeby cokolwiek naprawić.

– Myślisz, że o to mi chodzi? Nie muszę niczego naprawiać, Allison.

– Zgadza się. Nigdy tego nie robimy. Po prostu nie byłam pewna, czy też tak myślisz.

– Chyba tak.

Uśmiechnęła się lekko.

– Więc pytam jeszcze raz: dlaczego wczoraj wieczorem szukałeś Eda?

– Chciałem pomóc przyjacielowi.

– Nie był twoim przyjacielem, Lincoln. Już nie. Nie był nim od lat.

– Był moim przyjacielem.

– A ty jego. To chciałeś udowodnić. Jemu, Scottowi Draperowi, każdemu, kto kiedykolwiek znał was obu. Wszystkim cholernym sąsiadom, tym którzy jeszcze się ostali.

Patrzyłem na ścianę za nią.

– Nie zniechęcam cię – powiedziała. – Przypominam ci tylko o tym, z czym tutaj przyszedłeś: on nie

żyje.

– Ale nie jego imię. Nadal się o nim mówi i, jak wiesz, źle. Chcesz, żeby miasto zapamiętało go jako mordercę?

– Nie.

Zapadło milczenie, a potem ona zapytała, czy spotkałem kogoś ze starego sąsiedztwa. Pokręciłem głową.

– Niektórzy zadzwonili albo przysłali kartki po pogrzebie taty. Ale to stara gwardia, większość po pięćdziesiątce. Jeśli chodzi o dzieciaki, z którymi wyrastaliśmy, to nie. A ty masz z kimś kontakt?

Uśmiechnęła się tak, jakbym zadał absurdalne pytanie.

– Nie, nie myślą o mnie tutaj zbyt dobrze.

– O mnie też nie, Allison.

Próbowała mówić lekkim tonem.

– Zrobiliśmy, co należało, zgadza się? Po prostu nam nie wyszło. Nie trzeba żałować, Lincoln. Nie trzeba żałować.

Niewiele więcej zostało nam do powiedzenia. Przez jakiś czas siedzieliśmy jeszcze w kuchni. Podała kawę. Piłem swoją a ona płakała nad kubkiem. Kiedy wychodzi-

łem, miała suche oczy.

– Dobrze wyglądasz – zauważyła, odprowadzając mnie do ciężarówki. – Dawno cię nie widziałam.

– Wiem. – Objąłem Allison lekko. Przycisnęła mnie mocniej, aż poczułem paznokcie wbijające się w plecy. Odsunąłem się, kiedy spadła mi na policzek jej pierwsza łza.

– Nadal jesteś najpiękniejszą kobietą z którą nigdy nie miałem ochoty się prze-spać – stwierdziłem, a ona się roześmiała nie dlatego, że ją rozbawiłem, tylko dlatego, że to była prawda.

Patrzyła, jak wsiadam do ciężarówki, potem machnęła na mnie, żebym opuścił szybę. Wychyliwszy głowę, usłyszałem:

– Zadzwoń do mnie, Lincolnie. Powiedz, czego się dowiedziałeś.

Prośba i rozkaz. Taki ton słyszałem już wcześniej.

Słońce zaszło i pokój pogrąża się w szarym mroku. Siedzę na kanapie. Allison klęczy przede mną.

Łokcie opiera o moje uda, dłonie ma złączone. Jakby się do mnie modliła i w pewnym sensie tak jest. Dziś wieczór zadzwoniła, błagając, żebym ją ratował. Przyszedłem do niej.

– Wiesz, że mam rację – mówi. – Przemawiałam do jego rozsądku, dopóki miałam argumenty. On nie słucha. I nie będzie mnie słuchał.

– Może będzie – odpowiadam, sam w to nie wierząc. – Nie poddawaj się tak łatwo, Allison. Kocha cię. Nic się nie zmieniło. On po prostu...

– On po prostu pędzi ku własnej zgubie – wchodzi mi w słowo. – Próbujesz te-go nie dostrzegać, ale wiesz, że mam rację. To ty powiedziałaś mi, jaki jest Antonio Childers.

Antonio Childers ma złą sławę w naszym mieście, jest dilerem narkotykowym podejrzanym w kilkunastu niewyjaśnionych sprawach zabójstw. Ed Graddock pracuje dla niego od kilku miesięcy. Zaczęło się od drobnostek, od przenoszenia przesyłek, przemytu, ale potem było coraz gorzej. Ed pracował w budownictwie, ale prześladował go pech, tracił robotę, trafiał na złych majstrów i, jak widać, znalazł inne źródło dochodów. Właściwie się nie widujemy; mam nocne dyżury w clevelandzkiej policji, biorę mnóstwo nadgodzin, chcę, żeby mnie zauważono i awansowano. Tak zostaje się detektywem, a to moje marzenie.

– Zabiją go – powtarza Allison, a ja uciekam spojrzeniem.

– Wiem – mówię łagodnie. Rozmawiałem już o tym z Allison wcześniej. Z Edem też. Powiedział, żebym patrzył na drugą stronę ulicy, kiedy obok niego przejeżdżam, a wszystko będzie w porządku. Ja mu na to, że nie da rady. Od tego czasu nasze kontakty były sporadyczne.

– Od dawna go nie widziałam – mówi Allison. – W nocy rozmawialiśmy całymi godzinami przez telefon. Kiedyś jakiś facet siedział w furgonetce przed domem i czekał, aż Ed wróci.

Nadał mieszkać w zachodniej dzielnicy i to jest część problemu. Childers zwerbował Eda, bo ten ma rozeznanie, wie z kim gadać, a kogo unikać i zna ulicę doskonale, a tego wymaga się od żołnierza gangu. Za cholere nie mogę skojarzyć, jak to wszystko się zaczęło, jak doszło do tego, że Ed wdał się w konszachty z Childersem.

– Jest tylko jeden sposób, żeby cię wysłuchał. – Allison ściska mnie za przedramię, żeby dodać wagi swoim słowom. – Powiedziałaś, że możesz to zorganizować, ale we właściwym momencie. Teraz właśnie jest taki moment.

– Cholera, Allison. – Kręcę głową. – On musi chcieć mówić, żeby to poskutkowało. Jeśli nic nie powie...

– Będzie mówić. Jestem pewna. Kiedy przyjdzie mu wybierać między wolnością a więzieniem, między mną a celą, podejmie dobrą decyzję. Wiesz, że tak zrobi. Ale dopóki nie stanie przed takim wyborem, obawiam się, że będzie to uważał za zabawę.

– Nic nie powie – powtarzam.

– Powie. Może teraz nie obchodzi go własny los, ale jeśli się go przyciśnie, Lincoln... jeśli przyprze się go do muru, będzie musiał.

– Uratujemy Eda wbrew jego woli.

Dla Allison nie brzmi to sarkastycznie i z powagą kiwa głową.

– Tak – mówi. – Właśnie tak zrobimy. Twoja pomoc jest konieczna. Musisz się tym zająć, dać mu wybór. Myślisz, że sobie poradzisz?

Oblizuję językiem suche wargi.

– Poradzę. Jest taki detektyw, spec od narkotyków, nazywa się Pritchard. Joe Pritchard. Głina doskonały. Ma opinię mistrza w swoim fachu. I zagiął parol na Antonia Childersa. Nie wysłał płotek takich jak Ed do więzienia, jeśli będzie mógł przehan-dlować skazanie za informacje o Childersie.

– Więc zrobisz to.

Długo patrzę jej w oczy, potem znów w całkiem ciemne już okno.

– Lincoln – mówi – Ed przegrywa życie. Zabiją go albo ktoś inny wsadzi go do więzienia, ktoś kto już zadba, żeby go tam długo potrzymali. Wiesz, że same słowa nic nie dadzą. Musimy go zmusić, żeby z tym zerwał.

Wstaję i kierując się ku drzwiom, zatrzymuję pośrodku salonu.

– Jeszcze dziś zadzwonię do Pritcharda – oświadczam twardo.

Rozdział 6

Kiedy dotarłem do biura, Joe siedział przed telewizorem ustawionym na szafce na akta. Oglądał wiadomości. Przypatrywałem się reporterowi. Stał z ponurą miną na chodniku przy Clark Avenue i głądził o „tragicznym finale zdarzenia, które wstrząsnęło mieszkańcami”.

Na ekranie ukazało się zdjęcie Anity Sentalar, uśmiechniętej, pięknej młodej kobiety, w puertorykańskim typie, o łagodnych, inteligentnych oczach i błyszczących, ciemnych włosach okalających smagłą delikatną twarz.

W następnym ujęciu pokazano starego mężczyznę. Miał surową twarz i podkrążone zaczerwienione oczy, które zmrużył w blasku reflektorów. To był ojciec Anity Sentalar.

– Jak skomentuję śmierć Eda Gradduka? – zaczął, odpowiadając na zadane mu pytanie. – Pan sobie ze mnie kpi? Mogę powiedzieć tylko jedno: dobrze się stało.

Grób na ulicy jest właśnie tym, na co tacy faceci zasługują. Ale to nie przywróci życia mojej córce.

Przełączyli obraz z Clark Avenue do studia, gdzie prowadzący mówił, że na razie nie ustalono nic, co

mogłoby wskazywać na istnienie powiązań między Graddukiem a Sentalar, a potem dodał, że za chwilę zobaczymy „przerazające nagranie” po-

zaru na Train Avenue, w którym zginęła ta kobieta. Podeszedłem bliżej do ekranu i patrzyłem uważnie.

Kamery ochrony sklepu z alkoholami dawały ostry czarnobiały obraz chodnika przed budynkiem, a potem domu naprzeciwko. Była to rudera, opustoszała, sypiąca się chałupa.

Nagranie pokazywało mężczyznę, który szedł chodnikiem przed sklepem. Dało się rozpoznać jego twarz. Był to bez wątpienia Ed Gradduk; uśmiechnięty przechodził

przez ulicę. Zniknął za domem.

– Teraz zobaczymy obraz, zarejestrowany po siedemnastu minutach – objaśniał

prowadzący kolejne ujęcie. Po krótkiej przerwie, w domu po drugiej stronie ulicy ukazały się białe płomienie, wspinały się po ścianach, sięgając dachu.

– Mnóstwo czasu, żeby podpalić dom – zauważyłem.

– Zgadza się – mruknął Joe.

Wyłączyłem telewizor i usiadłem za biurkiem. Joe spojrzał na mnie i uniósł

brwi.

– Nadal masz poczucie misji?

– Jeśli pytasz, czy nadal mam ochotę spotkać się dziś rano z prokuratorem, to tak. Ale nie musisz ze mną iść, jeśli nie chcesz się w to mieszać.

– Skoro ty się mieszasz, to i ja. Wiesz.

Skinąłem głową.

– Mniej więcej godzinę temu dzwonił do ciebie jakiś facet – przekazał mi informację Joe. – Powiedział, że chodzi o Gradduka.

– Podał nazwisko?

– Scott Draper.

– Cholera.

Zmarszczył brwi.

– Tak źle?

- To on uderzył mnie wczoraj wieczorem i ciskał gromy, że wepchnąłem Eda pod wóz. Ed ukrywał się u niego, w magazynie i upijał się bourbonem.
- Amy też dzwoniła. Była zdenerwowana.
- Zostawiłem ją wczoraj wieczorem. Zadzwonię do niej teraz.

Przez pięć minut musiałem wysłuchiwać Amy, zanim mogłem wtrącić słowo.

Udało mi się wytłumaczyć. Kiedy już przez to przebrnąłem, zamiast odpowiadać na jej pytania, zadałem swoje:

- Jakież postępy w dochodzeniu w sprawie podpalenia?
- Śledczy ze straży pożarnej nadal badają sprawę. Wkrótce powinni wydać oświadczenie, ale na razie czekają na wyniki z laboratorium. Jedno jest pewne, była to profesjonalna robota.
- Skoro Gradduk nie żyje, pewnie zamkną sprawę – powiedziałem. – Skomentują, że sprawiedliwości stało się zadość. Co z tego, że przez przypadek.
- Też tak myślę.
- Wiesz, kto był właścicielem domu?
- Chyba miasto. Kupowali puste działki i nieruchomości sprzedane za długi, remontowali je i osiedlali w nich rodziny o niskich dochodach.
- Rozumiem. Którzy policjanci dostali tę sprawę?
- Ci ze straży pożarnej zajmują się tylko podpaleniem. Śledztwo prowadzi też wydział zabójstw. Facet nazywa się Richards. Znasz go?
- Tak, ale niezbyt dobrze. Mówią że to cholernie cwany glina. Szybko zamyka sprawy, a kiedy już to zrobi, są bez zarzutu.
- To chyba on. Wygląda na zajadłego.
- Zgadza się – odparłem. – Jest jak rekin, zanim połknie zdobycz. Czy urząd koronera bada, jak zginęła ofiara: od ognia czy już wcześniej była martwa?
- Wyniki z laboratorium będą za jakiś czas, ale Richards chyba sądzi, że już nie żyła.
- Spodziewałem się tego.
- Śledczy ze straży mają roboty po uszy. Jakież dziesięć pożarów przez ostatnie dwa tygodnie i ponad połowa to mogą być podpalenia. Muszą wszystko sprawdzić.

Ten pożar ma priorytet, bo jest ofiara śmiertelna, ale oni i tak ledwie dyszą.

– Może razem z Joem przyspieszymy sprawy. Dzisiaj idziemy na spotkanie z prokuratorem.

– Z prokuratorem?

Powiedziałem jej, co mówił podpity Ed o swojej wizycie u niego.

– Ten facet jest chyba najbardziej popularną postacią w mieście – zwróciła uwagę Amy. – Jeszcze nie ogłosił swojej kandydatury na urząd burmistrza, ale to prawie pewne, że będzie startował.

– Myślisz, że wygra?

– Ma duże szanse. Ludziom się nie podoba, że pieniądze wyciekają z magistratu. Nie będą chcieli na tym stanowisku kolejnego polityka. Potrzebny im szeryf, a on pasuje do tego wzorca.

– Znasz go?

– Całkiem nieźle.

– I?

– I myślę, że to polityk. – Wyobraziłem sobie jej uśmiech, chociaż go nie widziałem. – Całkiem sympatyczny gość. Zwłaszcza podczas rozmowy w cztery oczy. Jestem pewna, że szybko zmienia nastrój.

Nigdy nie miałem osobiście do czynienia z obecnym prokuratorem, Mikiem Gajovichem, ale wiedziałem, że statystyka przestępstw spadła pod jego rządami, natomiast wzrósł odsetek wyroków skazujących. Słyszałem jednak, że to drugie miało więcej wspólnego z zatrzymaniami płotek handlujących narkotykami niż z czymś poważniejszym. Kiedy w ostatnim roku budżet miasta znalazł się w kryzysie, Gajovich stał się bohaterem. Otwarcie krytykował burmistrza, który chciał zrobić cięcia w wydatkach na policję i straż pożarną a jednocześnie zatrudniał w swoim sztabie coraz więcej wysoko płatnych konsultantów. Brat Gajovicha służył w policji i większość znanych mi gliniarzy kochała tego faceta.

– Umówiłeś się na spotkanie? – zapytała Amy.

– Nie.

– Więc będzie ci potrzebna moja pomoc. Zadzwoń i zapytam, czy może nam poświęcić kilka minut. Domyślam się, że tak. Teraz bardzo mu zależy na zainteresowaniu mediów. Wiesz, zbiera siły do przyszłorocznej kampanii.

– Skontaktuj się z nim – powiedziałem. – Złożymy mu wizytę we troje.

Dziesięć minut później zadzwoniła Amy. U Gajovicha mieliśmy być o dziesiątej.

Zaproponowałem, że spotkamy się z nią w Centrum Sprawiedliwości. Kiedy przekaza-

łem wiadomość Joemu, minę miał ponurą, ale wstał i bez słowa włożył kurtkę.

– Ostatnia szansa, żeby się wycofać – ostrzegłem półzartem.

– Ostatnią szansę miałem na dzień przed tym, zanim poprosiłem cię, żebyś został moim partnerem – powiedział. – Pluję sobie w brodę do tej pory.

– I to mi się najbardziej podoba w pracy z tobą – odparłem. – To bezwarunkowe wsparcie.

Biuro prokuratora hrabstwa Cuyahoga mieści się w Centrum Sprawiedliwości, dwudziestopięciopiętrowym brzydkim budynku przy Ontario Street, który rzuca cień na stadion Cleveland Browns. Tutaj ma także swoją siedzibę szefostwo śródmiejskiej policji, ale nie zamierzałem tam wpaść, żeby powiedzieć cześć komendantowi. Niezbyt się kochaliśmy. Prokurator i jego pieścioszki urzędowali na ósmym i dziewiątym piętrze. Pojechaliśmy windą na górę i usiedliśmy w poczekalni. Amy była pewna, że Gajovich nas przyjmie.

– Nie będzie problemu – zapewniała. – Spotykam się z tym facetem regularnie.

Nie wiem, jak mu się układa życie małżeńskie, ale gapi się na mnie bez przerwy.

Sekretarka powie mu, że przyszedłem, a on wyjdzie mi naprzeciw.

– Dziennikarstwo w najlepszym wydaniu – pochwaliłem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie moja wina, że większość naszych pochodzących z wyboru notabli to zi-diociali erotomani.

Dobrze wyczuła sytuację. Za chwilę Mike Gajovich wyszedł na korytarz, uśmiechając się szeroko. Patrzył tylko na Amy.

– Cóż za urocza niespodzianka! – zawołał, podchodząc do niej, a mnie bardzo się nie podobało, że tak się wdzięczy. Prokuratorzy i gliniarze powinni unikać mediów jak ognia. Nigdy nie ufałem policjantowi, który robił wszystko, żeby pozyskać sobie względy dziennikarza. Temu facetowi też nie ufałem.

Gajovich przeszedł obok Joego, jakby go nie zauważał i podał Amy rękę. Kiedy odwzajemniła uścisk, przytrzymał jej dłoń oburącz, nie przestając się uśmiechać.

– Ten pajac chyba nie rozpoznaje najbardziej zasłużonego gliny w historii policji miejskiej – powiedziałem do Joego.

Mój partner nie zareagował, wyraźnie znużony całą tą sceną. Gajovich puścił

dłoń Amy i wreszcie na nas spojrzął.

– Przepraszam, panowie czekają na mnie?

– Jesteśmy z nią. – Wskazałem gestem na Amy.

– Ha, to świetnie – rzucił na pozór swobodnie, ale widać było, że jest wytrącony z równowagi. – Amy, dlaczego nie uprzedziłaś, że przyprowadzisz ze sobą wsparcie?

– Wypadło mi z pamięci – powiedziała. – To Lincoln Perry, a to Joe Pritchard.

Są teraz prywatnymi detektywami, ale kiedyś byli w policji.

– Oczywiście, Joe Pritchard! – Uścisnął rękę Joemu, jakby mój partner był odla-ny z czystego złota. – Jest pan żywą legendą organów ścigania tego miasta. Miło mi, że wreszcie mogłem pana poznać. – Odwrócił się do mnie i podał mi miękką dłoń. – I Lincoln Perry, chyba i o panu coś słyszałem.

– Wykopali mnie ze służby za jedną noc pijackiej rozróby i czynną napaść na naszego najśłynniejszego adwokata. – Pospieszyłem mu z pomocą. – Nienawidzę, jak o mnie zapominają.

Gajovich zmusił się do uśmiechu.

– Nie byłem pewien okoliczności i wątpię, żeby one stanowiły przyczynę pa-nów wizyty, więc nie musimy w to wchodzić.

– Zgadza się.

– Proszę do mojego biura, porozmawiamy. Dziś jestem zaharowany, ale obiecałem Amy, że znajdę parę minut. – Mrugnął do niej, a ja miałem ochotę go kopnąć.

Gabinet nie wyróżniał się niczym szczególnym, poza złotą tabliczką z nazwi-skiem stojącą na biurku. Wyglądała, jakby ważyła z dziesięć kilo.

– Amy, kto to jest ten nowy reporter, który obsługuje miasto? – zapytał Gajovich. Usiadł za biurkiem i założył ręce za głowę. Był grubo po czterdziestce, ale zachował młodzieńczy wygląd. Zmierzwi- one blond włosy i piegi dodawały mu uroku –

przypominał wręcz Tomka Sawyera. Był przyjemny w obejściu, pewny siebie i mimo że ślinił się na widok Amy, rozumiałem, dlaczego ludzie go lubią. Swoją postawą sugerował, że jest człowiekiem szlachetnym, o nieskazitelnym charakterze, a w kręgach rządowych i administracyjnych tacy należeli do wyjątków. Gdyby kandydował na urząd burmistrza, nie zakładałbym się, że przegra.

– Andrew? Awansowano go z informacji. Nie podoba ci się?

Gajovich się uśmiechnął.

– Potrafi poprawnie napisać moje nazwisko? Jeśli tak, to w porządku.

Roześmiał się, my również, przez grzeczność.

– Do diabła – rzekł Joe. – Miałby mu pan za złe, gdyby nie potrafił?

Znów się roześmialiśmy, ot takie żarty przed rozpoczęciem spotkania.

– Chyba powinienem zacząć się denerwować – powiedział Gajovich, pochylając się do przodu.

– Dlaczego?

– Dwóch prywatnych detektywów i reporter? Żartujecie sobie ze mnie? To groźna grupa. – Oczywiście się uśmiechał, a my zrewanżowaliśmy się tym samym. Zaczynała mnie już boleć twarz. W moim fachu człowiek nie uśmiecha się tak często od samego rana. – O co wam chodzi?

Amy odwróciła się na krześle i wskazała na mnie.

– To, właściwie, show Lincolna. Ja tu jestem na przyczepkę.

– No, to niech się dowiem, o co chodzi. – Gajovich znów odłonił w uśmiechu swoje doskonałe uzębienie. Wprawiliśmy go w tak dobry nastrój, że pewnie jakiś bie-daczyna zostanie dziś rano ułaskawiony.

– Zna pan faceta o nazwisku Ed Gradduk? – zapytałem.

Uśmiech powoli nikał, jak lód topiący się w słońcu.

– Ed Gradduk – powtórzyłem, kiedy nie odpowiadał.

Gajovich tak mocno westchnął, że papiery podfrunęły na biurku i rozparł się w fotelu.

– Ma pan na myśli tego mordercę?

– Mam na myśli faceta, który wczoraj wieczorem został przejechany. O ile wiem, nie zdążono oskarżyć go o morderstwo. Czy to może się tu nie liczyć?

– Po wyrzuceniu z policji niewiele się zmieniło pańskie podejście do ludzi, co? –

powiedział Gajovich.

– Wyrzucono mnie już dawno i ów fakt nie ma nic wspólnego ze sprawą, z któ-

rą przyszliśmy. – Byłem zaskoczony, jak szybko zmienił się ton rozmowy. Ledwie wspomniałem nazwisko Gradduka, już byliśmy wrogami. Szybko poszło.

Popatrzył na Amy.

– Wiesz, byłbym wdzięczny, gdybyś mnie uprzedziła, z czym będę miał do czynienia.

Rozłożyła ręce.

– Mike, do diabła, sama nie wiedziałam. Jestem tylko zainteresowanym obser-watorem.

Na mniej więcej minutę zapadła cisza. Wreszcie odezwał się Joe.

– Jestem skonsternowany. Skąd ta wrogość?

Gajovich nie odrywał ode mnie wzroku.

– Nie ma wrogości – zaczął. – Przepraszam, jeśli zrobiłem takie wrażenie. Powiem wprost: bardzo mi się nie podobał ten cały Graddock. Nie tak dawno przyszedł

tu, do biura z jakimiś zwariowanymi pomysłami. Skrytykował mnie, że go nie wspie-ram, a kilka tygodni później dowiedziałem się, że to podpalacz i zabójca.

– Cóż to były za pomysły? – zapytałem.

– Przyszliście po to, żeby się dowiedzieć? – Nietrudno było zauważyć, że Gajovichowi puszczają nerwy.

– Tak.

– A skąd to zainteresowanie?

– Zainteresowanie zatroskanego przyjaciela i obywatela. Wie pan, jednego z tych podatników, którzy zapewniają panu gażę. Mam też zamiar głosować w najbliż-

szych wyborach.

Przejechał ręką po zmierzwionych blond włosach i uśmiechnął się do mnie, ale nie przypominał już Tomka Sawyera.

– Perry, nie jestem z tych, których można robić w konia.

– Nie miałem i nie mam takiego zamiaru. Przyszedłem z całkiem prostym pyta-niem.

– Wie pan – mówił Gajovich – wielu ludzi zapomina, że nadal jestem praktyku-jącym adwokatem. Tym jest też prokurator, adwokatem, rzecz jasna, broniącym swoich racji. Ludzie zapominają też, że wszelkie rozmowy, które prowadzę jako prawnik, chronione są immunitetem adwokackim. Są tajne.

– Włączając tę, którą przeprowadził pan z Edem Graddockiem – wtrącił Joe.

Gajovich pokiwał głową.

– Tak. Nie wiem, co wam naopowiadał Graddock, czy co tam zasłyszeliście. I naprawdę, nie obchodzi mnie to. Natomiast co wiem i co mnie obchodzi: Graddock był

kryminalistą. Po wyjściu z więzienia znowu dopuścił się przestępstwa. Żałuję, że zginął

w tym wypadku, i nie tylko dlatego, że był to przykry moment dla naszej policji. Żałuję, że zginął, bo to nie pozwoliło mi go oskarżyć i wsadzić tam, gdzie powinien siedzieć.

– Twardy gość z pana – zauważyłem z sarkazmem. – Ale mógłby pan jeszcze walić pięścią w biurko. To zwiększałoby wagę słów. Robiłoby wrażenie na wyborcach.

– Idź pan do diabła – rzucił Gajovich.

Przez dłuższy czas panowała cisza, przerywana rżeniem drukarki gdzieś w sąsiednich pomieszczeniach i śmiechem jakiejś kobiety.

– Myślę, że na tym kończy się nasze spotkanie. – Amy pierwsza podjęła decyzję.

– No to zbierajmy się – dorzucił Joe. Prokurator milczał.

Wstali, ale ja zostałem tam, gdzie byłem, odwzajemniając jego wściekłe spojrzenie. Joe trzymał już rękę na klawiszu, kiedy Gajovich się odezwał.

– Perry, słyszałem, że w sprawie Weston wepchnięto pod dywan cały stos oskarżeń.

– Ludziska opowiadają przeróżne historie – odparłem.

– Z tego może wyniknąć jakaś brudna sprawa.

– Grozi, nie grożąc – powiedziałem. – Cholera, jesteś pan kuty na cztery nogi, panie Gajovich. Superpolityk, rzekłbym.

– Na pańskim miejscu wróciłbym do biura i zajął się czymś innym. To wszystko, co mam do powiedzenia. Graddock był nieudacznikiem, Perry. Więc nie dziwi mnie, kiedy słyszę, że był pańskim przyjacielem. Ale nieudacznicy nie mają władzy i nie przyciągają sympatii ludzi, którzy mają władzę. Przyciągają kłopoty, a potem są dep-tani. Niech pan to zapamięta.

Rozdział 7

Amy wróciła do pracy, a Joe i ja poszliśmy do biura. Po drodze rozpamiętywa-

łem słowa Gajovicha, które chociaż mnie wkurzyły, to i pomogły. Teraz przynajmniej wiedziałem, że będę musiał oddzwonić do Scotta Drapera. Moja wiedza o życiu Eda kończyła się, jak nożem uciął, na siedem lat przed jego śmiercią. Musiałem porozmawiać z kimś, kto był z nim blisko, i Draper był najlepszym źródłem, jakim dysponowa-

łem.

– Lincoln – powiedział Scott, kiedy się przedstawiłem – dziękuję, człowieku, że oddzwoniłeś. Chciałem przeprosić. Tamto, na ulicy, to była głupota. Gliny powiedziały mi, że go nie popchnąłeś. W moich oczach to wyglądało inaczej; powinienem pomy-

śleć i nie wygłupiać się. Przepraszam.

– Daj spokój.

– Słuchaj, miałbyś parę minut? Żeby tu wpaść i wypić sobie piwko?

– Piwko od rana?

– Nie musi być zaraz. Kiedy będziesz miał czas.

– Wpadnę około południa.

Ledwie odłożyłem słuchawkę, drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wkroczył detektyw Cal Richards. Był wysokim, szczupłym czarnym mężczyzną o kanciastej, jakby wyrzeźbionej twarzy. Nosił czarne spodnie, niebieską koszulę i krawat. Do pasa przypiętą miał odznakę. Ale najbardziej rzucał się w oczy grymas niezadowolenia malujący mu się na twarzy.

– Panowie – powiedział, siadając na jednym z krzeseł dla klientów. Mieliśmy dwa standardowe krzesła dla klientów i zestaw drewnianych krzeseł z clevelandzkiego stadionu miejskiego. Spojrzał na nie ze zdziwieniem, kiedy siadał.

– Jak pan się ma, detektywie? – Podałem mu dłoń. Nie wyciągnął ręki.

– Jak pan się ma, detektywie – przedrzeźniał mnie. – Jestem wkurzony, Perry.

Wkurzony, że jakoś udało ci się wczoraj wieczorem wywinąć, zanim zdążyłem z tobą porozmawiać, ale za to mogę mieć pretensję tylko do niekompetentnego, starego sierżanta, któremu się wydaje, że wraz z wiekiem wzrasta jego autorytet. Ale jeśli my-

ślisz, że tylko jego winię, to wiedz, że i na ciebie jestem wściekły. Właśnie dzwoniłem do informatora i ten powiedział mi, że masz zamiar prowadzić równoległe śledztwo w sprawie śmierci Sentalar. I nawet nie raczyłeś się ze mną skontaktować.

Założyłem ręce za siebie.

– To nieprawda.

– Nie prowadzisz śledztwa?

Zawahałem się, a jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej nieprzyjazne.

– Nie nadążasz? Mogę mówić wolniej.

Joe, który siedział obok mnie, uśmiechnął się półgębkiem. Popatrzyłem na niego z nienawiścią i znów zwróciłem wzrok na Richardsa.

– Detektywie, nie prowadzę żadnego oficjalnego śledztwa. Ed Graddock był moim przyjacielem.

Bliskim przyjacielem, dawno temu. Spotkałem się z nim tego wieczoru, kiedy zginął. Rozmawialiśmy. Jestem pewien, że wiesz już o tym z raportów policyjnych.

Pokiwał głową.

– I teraz chcesz się wygłupiać, narazić na szwank moje śledztwo?

– Nie mam zamiaru narażać niczyjego śledztwa, a gdybym sam miał je przeprowadzić, przyrzekam, że nie będę „się wygłupiać”, Richards. – W moim głosie pojawiła się nutka wrogości. – Jestem całkiem dobry w tym, co robię. Zamierzałem się skontaktować z tobą po południu, więc przestań się wściekać, że nie zawiadomiłem cię w porę. Wzajemnie marnujemy sobie czas.

Rozluźnił krawat i rozparł się na krześle.

– Jeżeli zaczniesz przeszkadzać, to się do ciebie dobiore, Perry. Wiesz, że tak będzie, bo wiesz, co o mnie mówią.

– A ty wiesz, co o mnie mówią.

Skwitował to uśmiechem.

– O, tak. Wiem, jaką sławą się cieszysz, przyjacielu. – Ruchem głowy wskazał na Joego. – I twój partner, oczywiście. Trzydzieści lat nienagannej służby. A ty, Perry? Nie tak wiele.

– Powinno wystarczyć – przyznałem.

– Wystarczy. Ale zbytnie cwaniactwo nie popłaca.

– Będziesz wiedział o wszystkim, czego się dowiem.

Chwilę myślał, zanim znów się odezwał.

– Twój koleś zginął niecałą dobę temu, a ty już zacząłeś działać i niepokoić ludzi. Zastanawiam się, co ty wiesz.

– Nic a nic. A twój informator nie może być bardziej oczywisty, bo jedyną osobą, z którą dzisiaj rozmawialiśmy, jest Mike Gajovich.

Richards uśmiechnął się i w jego wyrazie twarzy pojawiło się coś, co kazało mi pomyśleć, że jeśli miałbym wybrać ludzi, którym nigdy nie powinienem wchodzić w drogę, to on byłby na czele listy. Pomyślałem też, że ma niezachwianą pewność siebie i niebezpieczną intuicję. W tym momencie zrozumiałem, że Cal Richards nigdy w życiu nie robił czegoś tylko dlatego, że ktoś mu kazał.

– Słuchaj – zaczął po chwili. – Mike Gajovich po raz pierwszy znajduje dla mnie trochę czasu dopiero dziś rano. Nagle zostajemy najlepszymi przyjaciółmi, a on po-wiadamia mnie o czymś, co może zagrozić mojemu śledztwu. Chcesz wiedzieć, jak na to zareagowałem? Tracąc resztki szacunku, jaki miałem dla tego człowieka. Bo jak tylko mi to powiedział, domyśliłem się, że chciał się ze mną

widzieć, żeby ratować własny tyłek. Dlaczego? Nie wiem.

Joe popatrzył na mnie i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: komiczny facet, co?

– Mówię wprost – kontynuował Richards. – Trzymaj się z dala od śledztwa w sprawie śmierci Anity Sentalar. Nie lubię, kiedy wolni strzelcy wchodzą mi w paradę.

Ale... jeśli chcesz grzebać w tym, co dotyczy Eda Gradduka, rób to. Wiem, że wy dwaj jesteście zdolnymi śledczymi. Umówmy się: wy nie wtrącacie się do mojej pracy, a ja nie tracę czasu na was. Honorowo?

– Honorowo. Ale jedno pytanie: czy coś wskazuje na znajomość ofiary z Edem Graddukiem?

Richards głęboko odetchnął.

– Później wam o tym powiem.

– Daj spokój.

Pokręcił głową.

– Wybacz, Perry. W tej sprawie obijam się po mieście od samego rana i chociaż trafiłem już na jakiś ślad, nie chcę rzucać słów na wiatr. Kiedy uda mi się coś potwierdzić, wtedy dam ci znać.

– Nie byli sobie całkiem obcy?

– Nie byli – odparł Richards. – Ale nie zniosę dalszych pytań. Po prostu trzymaj się, do diabła, z daleka od dochodzenia w sprawie zabójstwa. Chcesz się zająć Graddukiem, doskonale. Ale nie Sentalar. Jasne?

– Jasne.

Przeniósł wzrok na Joego.

– Był z ciebie doskonały glina, Pritchard. Wszyscy to wiedzą. Ufam ci, że utrzymasz tego kowboja, swojego partnera, w cuglach.

– Zazwyczaj staram się zapobiec, żeby nie wsadził sobie głowy w zadek, ale spróbuję zająć się też cugłami – rzekł Joe.

Richards znów zwrócił się do mnie.

– Teraz przeprowadzimy oficjalną rozmowę. To jest śledztwo w sprawie morderstwa, a ten niekompetentny dupek Padgett najpierw cię przesłuchał, a potem wypuścił na ulicę i nawet nie pomyślał, żeby zapytać mnie o zdanie. Już wzbudziłem w nim bojaźń bożą, ale muszę wiedzieć dokładnie, jak się miały sprawy.

I znów wróciłem do zdarzeń, których relacjonowanie zaczynało mnie już mę-

czyć. Richards zadawał więcej pytań niż ci, z którymi rozmawiałem do tej pory, więc opowieść zajęła sporo czasu, ale i tak nie byłem w stanie przekazać mu więcej informacji.

– Czy byłeś z Padgettem i Raboldem, kiedy przyszli aresztować Eda Gradduka?

– zapytał Joe detektywa, gdy skończyłem.

Ten pokręcił głową.

– Nie. Chyba dostali cynk od właściciela sklepu z alkoholem. Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że pracują w tej dzielnicy od lat. Chcieli trafić do mediów, poszli sami i spartaczyli zatrzymanie.

Odegnąłem wspomnienie pisku kół i trzasku kości. Richards wstał i tym razem podał mi rękę.

– Winien ci jestem uścisk dłoni. Ale weź na serio to, co ci mówiłem i nie ładuj się w moje dochodzenie. – Puścił moją dłoń. – Zapomniałem już, jaki jesteś diabelnie młody. Doszedłeś już do trzydziestki?

– Niedługo przejdę granicę.

Ściągnął wargi i zagwizdał bezgłośnie.

– Musiałeś być najmłodszym detektywem w historii departamentu.

– Nie. Ale było blisko.

– Tęsknisz czasem?

– Tylko za wkurzaniem szefostwa. – Prawie się uśmiechnął, zanim wyszedł.

Wchodziłem do Kryjówki z ciężkim sercem. Wczoraj stałem na progu tej knajpy zatopiony we wspomnieniach. Miałem do spełnienia misję i wierzyłem, że spotkam się ze starym przyjacielem. Dzisiaj wyjdę stąd sam.

Było niewiele gości, przy barze siedziało dwóch facetów i kobieta. Palili papierosy i pili budweisera. Kiedy otworzyłem drzwi, wpuściłem do ciemnej sali światło słoneczne; odwrócili się i mrużąc oczy, wypatrywali znajomej twarzy. Takie oblicza widywało się najczęściej w Kryjówce, one postarzały to miejsce bardziej niż wiekowy budynek. Chłopak, z którym rozmawiałem poprzednio, stał za barem, rozmawiając ze starszym facetem w dżinsach i jedwabnej koszuli. Szedłem do nich, ale zanim dotar-

łem do baru, usłyszałem za plecami:

– Co tu do diabła robisz, kutasie?

Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę, który z grymasem obrzydzenia na mięsistej twarzy mierzył mnie wzrokiem. Siedział przy stoliku naprzeciwko kontuaru.

Miał jakieś sześćdziesiąt lat, gęste, siwe włosy i przekrwione oczy. Gapił się na mnie, jakby chciał rozbić butelkę z piwem o moją głowę.

– Miło i ciebie widzieć, Bill – powiedziałem.

– Pocałuj mnie w dupę.

Bill Foulks mieszkał tutaj od urodzenia i, o ile wiem, nie wyjeżdżał stąd na dłu-

żej niż tydzień. Handlował mięsem na rynku w zachodniej dzielnicy, co zapamiętałem z dzieciństwa, i był jednym z najbliższych przyjaciół Norma Gradduka.

– Ktoś cię tu zapraszał, dupku? – rzucił ze złością. – Brakowało ci jaj, żeby tu wpaść, odkąd zapuszkowałeś Eda, ale teraz, kiedy on nie żyje, uważasz, że wszystko w porządku? Myślisz, że coś się zmieniło? Nic się nie zmieniło. Zjeżdżaj stąd, do diabła.

Już otwierałem usta, chcąc zasugerować Billowi, żeby podniósł swoją tłustą dupę ze stołka, to łatwiej będzie mi go wyrzucić przez okno, kiedy wkroczył Scott Draper.

– Daj sobie spokój, Bill.

Foulks patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Jaja sobie ze mnie robisz, Scott? Ten kutas...

– Wiem, do cholery, kto to jest – przerwał mu ostro Draper – i nie muszę wysłuchiwać, co o nim myślisz. Lincoln jest tutaj, bo go zaprosiłem.

Foulks gapił się na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz mi powiedzieć, że ty sprowadziłeś tutaj tego sukinsyna?

Draper nawet na mnie nie spojrzał.

– Ma tu interes – uciał. Skinął na mnie ręką żebym poszedł za nim do sali jadalnej. Foulks spojrzał na mnie gniewnie i pokazał mi tłusty środkowy paluch, kiedy wychodziłem.

Poszedłem za Draperem do pustej jadalni. Na ścianach, nad stołami wisały zdjęcia. Na jednym z nich byłem ja. Stałem z Edem i Draperem przed barem, w dniu, kiedy ukończyliśmy szkołę średnią. Byłem mile zaskoczony widząc to zdjęcie nad starym boksem, gdzie wszyscy wycięliśmy nożami swoje imiona. Chciałem się bliżej przyjrzeć fotografii, ale Draper wziął mnie pod łokieć i poprowadził do innego stołu.

– Czego się napijesz? Na koszt firmy, oczywiście.

– Cokolwiek zimnego i w butelce.

– Zaraz wracam. – Wrócił do baru. Słyszałem, jak ściszym głosem rozmawia z Billem Foulksem. Zastanawiałem się, co mu powiedział. Prawdopodobnie nie bronił

mnie zbyt zajadle. On tu prowadzi interes.

Draper wrócił do jadalni, przynosząc po flaszcze kanadyjskiego mooseheada, a za nim szedł facet w dżinsach i jedwabnej koszuli. Draper podał mi piwo i skinął głową na towarzysza.

– On był szefem Eda. Właśnie mu mówiłem, co się stało wczoraj wieczorem.

Popatrzyłem na obcego z zainteresowaniem.

– Jimmy Cancerno – powiedział, wyciągając rękę.

Nie był taki stary, jak mi się wydawało, kiedy zobaczyłem go przy barze, chyba nie przekroczył pięćdziesiątki, ale przygarbione ramiona i rzadkie posiwiałe włosy dodawały mu lat.

– Chcesz coś zjeść? – zapytał mnie Draper.

– Żartujesz? Nie jadłem od wielu godzin, ale się nie skuszę na zarcie z Kryjówki, bo dbam o zdrowie.

– Co? Jedzenie się tu teraz poprawiło, Lincoln. Wprowadziliśmy parę zmian.

– A więc umyłeś grilla?

Uśmiechnął się.

– Zmiany wprowadzamy sukcesywnie. Ale mamy nowe marynaty.

– Ogórki konserwowe?

– Pikantne ogórki konserwowe. Z wyprzedaży, oczywiście.

Cancerno przysłuchiwał się tej wymianie zdań bez zainteresowania. Siedzieli-

śmy pochyleni nad starym drewnianym stołem. Na ścianie wisiała czarnobiała fotografia przedstawiająca dziadka Drapera siedzącego na masce wielkiego oldsmobile'a.

Zrobiono ją prawdopodobnie około 1950 roku.

– Długo tu urzędował. – Pokiwałem głową patrząc na zdjęcie.

– Ponad pół wieku. Dziadek otworzył tę knajpę, kiedy wrócił z wojny. Tato przejął interes, kiedy wrócił z Wietnamu. Tradycja rodzinna wysyłała mnie na wojnę, zanim mogłem poprowadzić tę budę, ale mój stary zmarł, zanim otworzyła się dla mnie taka szansa, więc to przejąłem.

– Umarł młodo – przypomniałem. David Draper zmarł na raka płuc w parę lat po ukończeniu przez nas ogólniaka. Palił więcej niż paczkę papierosów dziennie od czterdziestu lat i spędził większą część życia, pracując w barze, zwykle tak zadymionym, że trudno było dojrzeć ekrany telewizorów.

– Do diabła, nasi ojcowie szybko nas opuścili – skonstatował smętnie Draper. –

Twój był starszy, kiedy zszedł, ale i tak za wcześnie.

Wyjął papierosy, wziął jednego dla siebie i podsunął mi paczkę. Najwyraźniej choroba ojca nie była dla Scotta przestrogą. Odmówiłem, on zapalił i natychmiast po-

łożył papierosa na brzegu popielniczki.

– W tym tygodniu jest pogrzeb Eda – powiedział głosem pozbawionym emocji.

– Nie zdecydowałem się jeszcze, czy pójdę. Edowi to nie zrobi różnicy.

Milczałem.

– Biedaczysko. – Draper westchnął. Zaciągnął się papierosem. – Ale może to i lepiej. Sprawy potoczyłyby się dla niego fatalnie. Wiesz przecież.

– Jeśli jej nie zabił, moglibyśmy to udowodnić, może udałoby się go wyciągnąć.

– My?

Wzruszyłem ramionami.

– No, policja. Chciałem pomóc, ale teraz to już nie ma znaczenia.

Draper osuszył jedną trzecią swojej szklanki, pociągając solidny łyk piwa, i wytarł usta grzbietem dłoni. Miał na sobie biały T-shirt, który opinał jego mięśnie, z szyi zwisał mu cienki, srebrny łańcuszek.

– Muszę przyznać, że wczoraj wieczorem poniosły mnie nerwy. Dobrze, że wsadzili cię do radiowozu. Winiłem cię za to, co się stało, nawet jeśli nie popchnąłeś Eda. Było mu dobrze tam, w magazynie, dopóki się nie pojawiłeś.

Upiłem łyk piwa i słuchałem Scotta. Edowi nie mogło być dobrze, kiedy się ukrywał w barze, pijany, z krwią gliniarza na koszuli, ale skoro Draper wmawiał sobie, że odegrał rolę mecenasa, nie przeczyłem.

– Teraz już mi złość minęła – dodał. – To znaczy nie zrzucam na ciebie winy.

Przyszedłeś tutaj, zgadza się? Dlatego że chciałeś mu pomóc. Trzeba mieć jaja, żeby podjąć taką decyzję.

Odchyliłem się do tyłu, a on przyglądał się uważnie mojej twarzy, paląc papierosa. Pokręcił głową.

– Myślę, że Ed docenił twoje starania – ciągnął. – A jeśli miał tego dnia zginąć, cóż, to miło, że miał wtedy obok siebie starego kumpla.

Znów widziałem pijanego Eda na jezdni, jak się potyka i upada. Potem zgrzyt hamulców, trochę za słaby, spóźniony.

– Pewnie – zgodziłem się. – To miło.

Cancerno siedział i sączył whisky z lodem. Nie wtrącał się do rozmowy.

– Jak długo Ed pracował dla ciebie? – zapytałem go.

– Może pół roku? – Wzruszył ramionami. – To Scott mi go polecił. – Rzucił

Draperowi zjadliwe spojrzenie.

Draper zachował zimną krew.

– Poleciłbym go po raz drugi, Jimmy.

– Niezła gadka, jeśli wziąć wszystko pod uwagę – skwitował ponuro Cancerno.

– Jesteś załamany z powodu Eda, co? – powiedziałem.

– Myślisz, że chrzanię? – Wbił we mnie wzrok. – Ledwie znałem tego faceta. Był

po prostu cieślą i malarzem, tak samo jak tuzin innych gości. Tyle że ten tuzin nie sprowadzał mi pod drzwi gliniarzy.

– Aha, to cię gnębi. – Zmrużyłem oczy.

– Tak. Gnębi mnie. Należę do ludzi, którzy lubią zachowywać dystans do glin, dupku. Więcej nie musisz wiedzieć.

– Spokojnie, Jimmy, Lincoln ci się nie stawia. – Ton Scotta uświadomił mi, że je-

śli jednak się stawiam, to lepiej, żebym przestał.

Przez chwilę piliśmy, nie odzywając się słowem. Draper wyjął papierosy, ale nie zapalił.

– Wyszliście stąd jakieś dziesięć minut wcześniej, zanim wpadł pod samochód?

– zapytał mnie.

– Nawet mniej.

– Ale pogadaliście trochę?

– Trudno to nazwać rozmową. Był mocno pijany. Szybował gdzieś myślami, a mnie zostawił na ziemi. Jakby mówił do siebie, jednocześnie mówiąc do mnie. Robił

jakieś aluzje, ale nic nie precyzował. Kiedy zadawałem pytania, przeskakiwał na inny temat.

Draper gapił się na stół, obracając paczkę papierosów między palcami.

– Miał jakieś kłopoty – stwierdziłem, a Scott podniósł wzrok. – Wiesz coś na ten temat? Z kim się zadawał?

– O ile wiem, od lat był czysty – odparł, wstając. – Pójdę po piwo. Zaraz wracam.

Wyszedł, zostawiając nas samych. Cancerno zmagał się z resztką whisky, wyglądał na znudzonego.

– Był dobrym pracownikiem? – zagadnąłem.

Odpowiedział, nie podnosząc wzroku znad szklanki.

– Jak każdy. Przychodził na czas, szedł do domu na czas i dostawał pieniądze za to, co zrobił. Widzisz, u mnie jest trochę inaczej. Niewiele papierkowej roboty.

Płatne gotówką. Praca była dla niego w sam raz.

– A czym się właściwie zajmujesz?

– Głównie remontami domów. Mieliśmy remontować ten, który spalił. Nieduża robótka. Niewiele zarobiłbym na tym. Teraz będą mnie pewnie pozywać przez tego sukinsyna.

– Myślałem, że dom był niezamieszkały.

– Bo był – mówił tak, jakby tłumaczył coś małemu dziecku. – Ale spółka deweloperka, będąca właścicielem, chciała dom wyremontować. Żeby mogli go sprzedać, rozumiesz? Wyobraź sobie.

Pochyliłem się do przodu, zadowolony, że mogę z nim pogadać.

– Miał jakiś powód, żeby tam pójść?

– Jeszcze nie zaczęliśmy prac w tym domu, ale on wiedział, że niedługo wchodzimy, i miał klucze. Może chciał rzucić okiem, zorientować się, jakie materiały będą potrzebne.

– No, to jest cholernie ważne – przytaknąłem.

Cancerno nie kwapił się do podtrzymania tematu.

– To piwo jest lepsze, niż myślałem – stwierdził Draper, przesuwając po blacie butelkę w moją stronę. Usiadł z powrotem za stołem. – Sprzedaję je, ale sam dużo nie piję. Może to zmienię.

Nie dotknąłem butelki.

– Muszę wiedzieć, kim ta dziewczyna była dla Eda.

Draper uniósł brwi.

– To też interesowało gliniarzy. Mogę ci powiedzieć to samo, co im: nie mam pojęcia. Pytałem go wczoraj, kiedy się tutaj pojawił, ale mnie zignorował. Powiedział, że jej nie zabił, i poprosił o drinka; chciał się zastanowić, co robić dalej. Ponaglał, żebym zabierał się na dół, bo gliny będą tu szukać. Miałem z nimi pogadać. Ledwie zda-

żyłem się ich pozbyć, kiedy ty przyszedłeś.

– Więc niewiele możesz mi pomóc.

Pokręcił głową oczy miał smutne.

– Żałuję, Lincoln. Przykro mi.

– Z kim jeszcze był w bliskich stosunkach? – zapytałem. – Miał jakąś dziewczynę, kolegów?

– Z nikim się nie spotykał. – Draper ściszył głos. – Dużo pracował, przychodził

tutaj, pił i oglądał baseball. To naprawdę wszystko. A przez ostatnie dwa tygodnie nawet u mnie się nie pokazywał.

– Wiesz, Scott, Ed powiedział mi, że był z jakąś sprawą u prokuratora.

Zmarszczył brwi.

– Poszedł do prokuratora?

– Tak.

Wzruszył ramionami.

– Nie mogę ci pomóc. Jak mówiłem, na ostatnich parę tygodni zniknął z pola widzenia.

Byłem przygnębiony. Liczyłem, że dowiem się więcej od Drapera. Czy naprawdę tak mało wiedział, czy po prostu nie chciał mówić? To też brałem pod uwagę. Głupotą byłoby sądzić, że w jedną dobę pozbył się starej urazy.

– Może warto by pogadać z Corbettem. – Draper w zamyśleniu sączył piwo. –

To człowiek Jimmy’ego.

Popatrzyłem na Cancerna, ten pokiwał głową. Szklanekę miał pustą i spoglądał

na zegarek.

– Mitch Corbett – powiedział – był szefem Eda w robocie. Stary wyga. Porządny gość. To przez niego i Scotta zatrudniłem tego skurwiela Gradduka i dałem mu pod-wyżkę.

Upiłem długi łyk, żeby chłodne piwo stłumiło gniew wzbudzony jego słowami.

Odezwałem się po chwili:

– Czy Corbett może wiedzieć, jaki powód miał Ed, żeby pójść do tego domu przed pożarem?

– Pewnie tak. Jeśli był jakikolwiek rozsądny powód, to tylko polecenie Mitcha.

– Chciałbym więc z nim porozmawiać.

Cancerno uśmiechnął się ponuro.

– Ja też, chłopcze.

Nie chwytalem, o co mu chodzi.

– Mitch od dwóch dni nie pojawia się w pracy. I nie odpowiada na telefony, sukinsyn. – Cancerno wstał. – Wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Gdybyś się z nim widział, powiedz, żeby zadzwonił do mnie jak najszybciej, jeśli nie chce wylecieć z roboty. Dostyc mam tych jego konszachtów z Graddukiem, tracę cierpliwość.

Cancerno powiedział jeszcze coś do Drapera, zanim wyszedł, lecz nie to zaprzętało moją uwagę. Z niepokojem myślałem o Mitchu Corbetcie. Jego nieobecność, co prawda, zirytowała szefa firmy, ale odniosłem wrażenie, że nie zaskoczyła, bowiem tak już się zdarzało wcześniej. Nie podobało mi się to wszystko. Było zbyt bliskie sprawy Eda.

Kiedy zostaliśmy sami, Draper zwrócił się do mnie, nieco zmieszany.

– Przepraszam. Przyszedł tuż przed tobą, chciał się dowiedzieć, co wiem o Edzie. Mocno go to wszystko wkurzyło i ma pretensję, że poleciłem mu Eda.

– Ten Corbett – powiedziałem – myślisz, że był w bliskich stosunkach z Edem?

Może wiedzieć, w co się wdał Ed?

Scott wzruszył ramionami.

– Sądzę, że wie o nim więcej niż inni spośród tych, którzy przychodzą mi do głowy.

– Nie uważasz, że to dziwne? Facet nagle zniknął.

– Zniknął? Nie wyprzedzaj faktów. Gość po prostu olał robotę, to wszystko.

Niewykluczone, że miał rację, ale mimo wszystko postanowiłem odszukać Mitcha Corbetta. Wstałem, Draper odprowadził mnie do drzwi.

– Dziękuję, że ta przyszedłeś. Głupio się zachowałem wczoraj. Kiedyś wszyscy byliśmy przyjaciółmi.

– Tak, byliśmy. – Drapera łączyły koleżeńskie stosunki z Edem, nie ze mną, ale prawdą jest, że spędziliśmy razem mnóstwo czasu od najmłodszych lat. Stałem na chodniku i odwróciłem się, żeby spojrzeć na stary ceglany budynek.

– Scott, nadal chcesz utrzymywać tę budę? To ostatni ze starych barów w sąsiedztwie.

Oparł się o framugę.

– Do diabła, tak. Nie zlikwiduję interesu. Tylko to zostało ze starej dzielnicy: banda Polaków i Czechów, którzy ostro pracują i jeszcze ostrzej piją. Dorobek trzech pokoleń mojej rodziny, nie pozwolę tego zaprzepaścić. – Popatrzył na ulicę. – Clark się zmieniła, człowieku. Zmienia się z każdym rokiem. Kryjówka zostaje taka sama.

Na plakacie przyczepionym do starych drewnianych drzwi było napisane: „Po-słuchaj Czwórki na Ganku na żywo przez całe lato”.

– Co to jest Czwórka na Ganku?

– Kapela z jedną ładną czarną dziewczyną, która umie śpiewać, i trzema zapi-tymi białymi facetami bez talentu – wyjaśnił Scott. – Ale i tak są fajni.

– A więc i Kryjówka nie jest już taka sama. Muzyka na żywo to nowość.

Draper zapatrzył się na plakat.

– Zgadza się. Ale musiałem coś zrobić, żeby zarobić pieniądze. Ze starej ferajny zostało niewiele. Muszę jakoś ściągnąć ludzi. – Przeniósł wzrok na mnie. – Domyślam się, że wiesz ci się nieźle. Siłownia i te sprawy detektywistyczne: dwa interesy na chodzie.

– Utrzymuję się na powierzchni. Tylko tyle mi potrzeba. Skąd wiesz o siłowni?

Milczał chwilę, zanim odpowiedział.

– Od Eda. Mówił, że ma na ciebie oko. Może i z tobą nie rozmawiał, ale wiedział, co porabiasz.

Lekko skinąłem głową.

– Tak przypuszczałem.

We wtorek, w dniu pogrzebu ojca pada deszcz. Dostałem tygodniowy urlop okolicznościowy w związku ze śmiercią bliskiej osoby, ale postanowiłem wrócić do pracy w środę. Lepiej czymś zająć myśli. Przyszło mało ludzi, może ze względu na pogodę, a może dlatego, że ojciec był cichym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Jest moja siostra, Jennifer, jest też jedyna siostra ojca. Odkąd przyleciała z New Jersey, wciąż powtarza mi, że ojciec był ze mnie dumny, że nieraz do niej dzwonił i mówił o tym. Doceniam jej wysiłki, ale czuję się skrzepowany, bo wiem, że nie mówi prawdy.

Ojciec był ze mnie dumny. Wiem. Ale nie mówiłby o tym – ani ciotce, ani mnie, ani nikomu. Nie leżało to w jego naturze. Moje sukcesy to moja sprawa i chociaż się z nich cieszył, nie mówiłby, że jest z nich dumny. Cnotą, którą najbardziej w nim poważałem

– i której zazdrościłem – była pokora.

Stoimy w kupce, blisko trumny, stłoczeni, bo trudno usłyszeć głos pastora przez szum deszczu bębniącego o parasole. Ja nie mam parasola. Po pięciu minutach jestem całkiem przemoczony, ubranie mam nasiąknięte wodą, włosy przyklepione do głowy. Podoba mi się zapach deszczu, skrapiającego otwarty grób, w którym spoczną zwłoki ojca. To zapach świeżości, ma w sobie jakąś nadzieję.

– Droga rodzinno i przyjaciele, przyjmijcie, proszę, wyrazy szczerego współczucia, łączę się z wami w smutku po śmierci Thomasa Perry'ego – mówi pastor, wyteżając głos. Jest starszym mężczyzną, wygląda na schorowanego i delikatnego. Zastanawiam się, jak robi interesy na mowach pogrzebowych, będąc w takim stanie. – Thomas był pobożnym człowiekiem, który dobrze poznał Stwórcę podczas swego pobytu na tej ziemi. Jeszcze lepiej pozna go teraz. Jesteśmy zasmuceni, albowiem nie zobaczymy go już w ziemskim bycie, chyba że w krainie wspomnień. Dziś ta pamięć przynosi smutek, bo bólu serca jeszcze nie ukoił czas. Ale zawierzcie boskiej opatrności, ten smutek ustąpi przed przyjemnym wspomnieniem o zmarłym Thomasie, kiedy był

w pełni sił witalnych, zaś pewnego dnia, miejmy nadzieję, że już wkrótce, wspomnienia będą wywoływać pełen miłości uśmiech, zamiast rozdzierać bólem duszę.

Kiedy przemawia, moje spojrzenie wędruje. Nie wpatruję się w trumnę i nie potrafię wbić wzroku w ziemię, jak czynią to wszyscy. Zauważam postać pod drzewem na pagórku, jakieś dwadzieścia metrów od nas. Poza mną jest jedyna osoba, która nie ma parasola. Z pewnością nie słyszy słów pastora. W sylwetce młodego mężczyzny, pod drzewem, jest coś znajomego. Przyglądam mu się dokładniej, podnosi głowę i odwzajemnia moje spojrzenie. To Ed Graddock.

Cztery lata minęły, odkąd ostatni raz rozmawiałem z Edem, a było to w pokoju przesłuchań. Patrzył na mnie zimnym wzrokiem, kiedy mówiłem, że nie mogę mu dać więcej czasu – albo będzie mówić, albo pójdzie do więzienia. Poszedł. Siedział trzy la-ta.

Przez dłuższą chwilę patrzę na niego, potem znów na pastora, który kończy to, co jak obiecywał, będzie krótkim przesłaniem. Powiedział, że tak należy pożegnać mojego ojca, w którego naturze leżały skromność i prostota; nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że ulewny deszcz wpłynął jakoś na jego decyzję.

– Ufny w wierze polecam duszę świętej pamięci Thomasa Perry'ego łasce Stwórcy. Niech dane mu będzie życie wieczne w królestwie niebieskim, by mógł się radować wraz z tymi, których kochał, a poszli tam przed nim.

Ja myślę o matce i uśmiecham się po raz pierwszy od wielu dni.

– Przyjmij go w swej miłosiernej łasce, tak jak on przyjmował ciebie, w sercu, w dniach, które spędził z nami – zakończył pastor.

Podchodzimy kolejno do trumny i rzucamy kwiaty na omyte deszczem wieko.

Ja idę ostatni i kiedy kładę goździk, odwracam się, w samą porę, żeby zobaczyć, jak Ed Graddock znika za wzniesieniem.

Dzwonię do niego wieczorem i zostawiam wiadomość. Nie oddzwonił. Następnego dnia wracam do pracy.

Rozdział 8

– Mówisz, że jego szef nie wyglądał na szczególnie przejętego – odezwał się Joe po chwili milczenia.

– Nie. – Wróciłem już do biura, powiedziałem Joemu o rozmowie z Draperem i o tym, że chcę znaleźć Mitcha Corbetta.

– Może ten facet miał niejako w zwyczaju spać albo pić przez kilka dni pod rząd.

– Może.

Joe siedział z nogami opartymi o brzeg biurka.

– Albo rzecz w czymś innym.

– Tak czy inaczej, muszę znaleźć Corbetta, bo chcę z nim porozmawiać.

Joe kiwnął głową i zdjął nogi z biurka. Przyciągnął krzesło bliżej do komputera i kilka razy kliknął myszką. Prawdopodobnie otwierał jedną z naszych baz danych.

– Wiem, że ci się to nie spodoba – powiedział – ale informacja, że Graddock pracował przy remoncie tego domu, nie ma znaczenia dla sprawy.

Rzeczywiście zaskoczył mnie.

– O czym ty mówisz? To daje mu uzasadniony powód, żeby tam być, kiedy wybuchł pożar.

– Daje mu też dobry powód, żeby wybrać ten dom na miejsce pozbycia się zwłok.

Tego nie wziąłem pod uwagę. Miał rację, ale ja uparcie obstawałem przy swoim.

– Joe, jestem przekonany, że on nie podpalił domu. Taśma w sądzie byłaby bezużyteczna. Minęło dwadzieścia minut od czasu jego wejścia do chwili pojawienia się płomieni. Za dużo wątpliwości.

– Więc jeśli nie on to zrobił, dlaczego uciekał, kiedy pojawiła się policja?

– Spanikował. – Byłem tego pewien.

Drukarka zaczęła szumieć, a Joe pokazał na nią palcem.

– Masz adres jedynego Mitchella Corbetta, którego udało mi się znaleźć w tym mieście. Wiek: czterdzieści pięć lat, mieszka niedaleko Fulton Road.

– Zgadzałoby się – powiedziałem. – Ta sama okolica, w sąsiedztwie Eda i Drapera. – Pomyślałem, że powinienem dodać także siebie, ale od tamtych czasów minę-

ło już parę lat. Nie dość, że się wyprowadziłem stamtąd, przestałem też wpadać na drinka do Kryjówki, a nawet chodzić tamtymi chodnikami.

Joe wstał.

– W porządku. Zobaczmy, co Corbett ma do powiedzenia.

Dom był mały, parterowy, wciśnięty w kąt działki za dużej jak na tę okolicę.

Corbett najwyraźniej wykorzystał umiejętności zawodowe, urządzając swoje lokum –

nowe zadaszanie na samochody, odświeżona elewacja i zadbane obejście sprawiały, że ten domek wyglądał lepiej niż większe budynki w sąsiedztwie.

Zaparkowałem na pustym podjeździe.

– Może nie być go w domu, nie widzę nigdzie samochodu – powiedział Joe.

– Zaraz się przekonamy.

Wysiedliśmy z wozu i podeszliśmy do drzwi wejściowych. Skrzynka pocztowa starego typu wisiała z boku na ścianie. Przez uchylone wieczko widać było, że jest za-pchana przesyłkami. Nikt nie wyjmował poczty od paru dni.

– Trzy gazety na ziemi. – Joe wskazał na zwinięte dzienniki leżące pod drzwiami.

Odsunąłem osłonę chroniącą drzwi i zabębniłem w te właściwe, drewniane, kostkami palców. Zwolniłem osłonę i cofnąłem się parę kroków. Czekaliśmy. Z wną-

trza nie dobiegał żaden odgłos.

– Chyba nikogo nie ma – odezwał się Joe. Patrzył na ulicę.

– Zajdźmy od tyłu.

Przeszliśmy na tylne podwórko. Joe zatrzymał się i położył mi dłoń na ramieniu.

– Sprawdźmy boczne drzwi.

Prowadziły do domu spod zadaszienia i nie miały osłony. Były zamknięte i wyglądały dość solidnie. Przez moment nie wiedziałem, co przyciągnęło uwagę Joego, aż zobaczyłem głęboką czarną rysę obok klamki.

– Wygląda, jakby ktoś kopnął w drzwi. – Joe nachylił się i przeciągnął palcami po framudze, nacisnął klamkę i popchnął drzwi. Trochę ustąpiły, rozległ się trzask drewna. Joe chrząknął z zadowoleniem i przypatrywał się czemuś z uwagą.

Schyliłem się i zobaczyłem szczelinę przy framudze. Trochę się poszerzyła, gdy Joe popchnął drzwi. Wystające drzazgi świeżego drewna wskazywały, że zniszczenia dokonano niedawno. Drzwi nie miały zasuw, tylko zwyczajny nowy zamek sprężynowy.

– Ten, kto kopnął w drzwi, uznał, że łatwo je wyważyć, bo nie mają zasuw –

mówił Joe, puszczając klamkę. – Zamek był mocniejszy, niż sądził. Przy drugim, silniejszym uderzeniu otworzyły się, ale odpadł kawałek framugi.

– Otworzymy z kopa – zdecydowałem. Nagle nabrałem pewności, że Mitcha Corbetta znajdziemy w środku, ale nie będzie się nadawał do rozmowy.

Joe spojrzał na mnie groźnie.

– Oszalałeś?

Odpowiedziałem, unosząc nogę. Kopnąłem w sam środek drzwi. Szczelina przy framudze rozwarła się z trzaskiem i drzwi ustąpiły; uderzyły o ścianę i odbiły się z powrotem. Joe przytrzymał je ręką, żeby się nie zamknęły. Gapił się na mnie.

– Lincoln, dobrze wiesz, że ja nie stosuję takich metod w swojej pracy.

– Przepraszam, ale mam złe przeczucia.

Ominąłem go i wszedłem do środka. Boczne drzwi prowadziły do małej kuchni pachnącej cytrynowym środkiem czystości. Panował w niej wręcz wzorowy porządek.

Moja ponura wizja się nie urealniła. Na podłodze nie było ciała.

Joe wszedł za mną na szczęście przestał gderać. Przeszliśmy do przyległego saloniku. Kilka egzemplarzy „Sports Illustrated” leżało na stoliku, obok kanapy stała pusta puszką po piwie.

Podniosłem ją i przyjrzałem się wieczku. Było suche, została opróżniona już dawno.

Odstawiłem puszkę, Joe minął mnie, idąc w stronę korytarzyka wychodzącego z pokoju. Poszedłem za nim. Otworzył drzwi i wszedł do pomieszczenia, które okazało się pralnią. W środku stały pralka, suszarka, podgrzewacz do wody, mopy, szczotki i kuweta dla kota. Dalej, idąc korytarzykiem, natrafiliśmy na łazienkę, a po prawej stronie, na kolejne zamknięte drzwi. Od wejścia do domu nie odezwaliśmy się ani słowem.

Teraz Joe otworzył drzwi i przytrzymał je, kiedy wchodziłem do małej sypialni z obdartą kanapą i biurkiem, najpewniej ze sklepu z rupieciami. Stamtąd przeszliśmy do ostatniego pokoju. Drzwi do niego też były zamknięte.

Tutaj też nic nie przykuło naszej uwagi. W rogu stało biurko. Otworzyłem kilka szuflad, ale nie znalazłem żadnej rzeczy bardziej interesującej niż taśma wideo z pro-gramem szkolnym dla dorosłych z college'u gminy Cuyahoga.

– Zadowolony? – zapytał Joe. – Nie ma trupów ani podpisanego zeznania o wrobieńiu Eda Gradduka.

– Mitcha Corbetta też nie ma – przypomniałem. – I ktoś włamał się niedawno do jego domu.

– Mógł to zrobić on sam. Nie zdarzyło ci się zatrzasnąć drzwi, zostawiając klucze w środku?

– To nie był on. I dobrze o tym wiesz.

– Chcę już wyjść z tego domu. – Westchnął głęboko. – Twój sposób prowadzenia śledztwa pozostawia wiele do życzenia.

Wyszliśmy tą samą drogą i zamknęliśmy za sobą boczne drzwi, ale teraz wystarczyło lekko je popchnąć, żeby się otworzyły. Dobrze, że właściciel był cieślą.

Joe pierwszy zauważył ogon, co źle o mnie świadczyło, bo to ja prowadziłem i powinienem zwracać większą uwagę niż on na lusterka wsteczne i boczne.

– Rzuć okiem na czarnego džipa cherokee za nami – powiedział, kiedy staliśmy na czerwonym świetle. Spojrzałem w lusterko. Przednią szybę miał przyciemnioną, ale dostrzegłem dwóch mężczyzn siedzących z przodu.

– Dlaczego cię niepokoi?

– Parkował przy ulicy naprzeciwko domu Corbetta. Jakies pięć domów dalej, po drugiej stronie ulicy. Ja bym też się tam zatrzymał, gdybym obserwował ten dom.

– I odjechał, kiedy my ruszyliśmy?

– Aha.

Światło zmieniło się na zielone. Cherokee nie opuszczał nas, jadąc kilka wozów dalej, ale zawsze podjeżdżał bliżej, kiedy zbliżaliśmy się do skrzyżowania. Nie ryzykował, że nas zgubi przy zmianie światła na czerwone. Tak się jeździ, prowadząc obserwację jednym samochodem.

– Niech to diabli.

Joe chrząknął.

– Zaczyna się ciekawie, nie sądzisz? – zagadnąłem.

– Moglibyśmy łatwo go zgubić – odparł. – Ale wtedy nie dowiedzielibyśmy się niczego.

– Właśnie. No, to co robimy?

Podrapał się po skroni i westchnął.

– Myślę, że będziemy śledzić śledzących.

– Trudno to będzie zrobić, kiedy jedziesz ze mną.

– Zawieź mnie do biura i zatrzymaj się przy krawężniku. Niech to wygląda, jakbyś mnie podwiózł. Pójdę na parking i wezmę swój samochód. Potem ty pojedziesz w kółko przecznicami. Kiedy ruszysz, ja pojedę za nimi.

Powrót w okolice biura zajął nam pięć minut, a dziup był ciągle za nami. Kiedy zatrzymałem wóz przy krawężniku przed budynkiem, Cherokee wjechał na parking jakieś trzydzieści metrów za nami.

Joe udzielił mi dalszych instrukcji.

– Stanę na chodniku i będziemy swobodnie rozmawiać, musimy się zachowywać naturalnie, jakbyśmy o nich nie wiedzieli.

– Okej.

Siedziałem, silnik pracował na wolnych obrotach, a Joe stał obok samochodu i opierał się o drzwi, trzymając rękę na dachu.

– Pozostanę, aż ruch na ulicy się zwiększy – mówił. – Dzięki temu będziesz mógł poczekać chwilę, zanim odjedziesz, nie może to wyglądać, jakbyś po prostu zabijał czas.

Dbalność o szczegóły była mocną stroną Joego, żaden ze znanych mi gliniarzy nie mógł się z nim równać. Dziś znowu tego dowiódł. Kiedy samochody przed nami stanęły na czerwonym świetle, zatrzasnął drzwi, pożegnał mnie gestem uniesionej dłoni i poszedł na parking, trzymając ręce w kieszeniach. Czekałem przy krawężniku, aż się zmieni światło i samochody przejadą przez skrzyżowanie. Potem wyjechałem na ulicę. Cherokee ruszył za mną.

Skręciłem w prawo, w Rocky River Drive. Po północnej stronie ulicy była stacja benzynowa.

Podjechałem tam i napełniłem bak. Czarny dziup minął stację i zatrzymał

się parę metrów dalej, na parkingu centrum handlowego. Zapłaciłem i wsiadłem do ciężarówki. Kiedy znów wyjechałem na Rocky River, obrałem kurs na biuro. Dziup ruszył

z parkingu i pojechał za mną a za nim – taurus Joego. Karawana ciekawskich.

Skręciłem w lewo, w uliczkę, przejechałem obok biura i pojechałem siedem przecznic dalej, do siebie. Nie było jeszcze piątej, a to znaczyło, że kantorek w siłowni był otwarty. Grace, moja menedżerka, siwowłosa, wygadana kobieta, uśmiechnęła się, kiedy wszedłem. Teraz kontrolę nad dziupem powinien przejąć Joe. Byłem pewien, że ma go na oku.

– Cześć, szefie. Tak wcześnie skończyłeś dzisiaj pracę?

– Już oczyściliśmy miasto ze zbrodni. – Próbowałem się dostosować do jej pogodnego nastroju, chociaż myślami byłem gdzie indziej.

– Tak łatwo poszło?

– Zgadłaś. – Wyjąłem z lodówki koktajl proteinowy. Nie jadłem lunchu i żołą-

dek mi o tym przypomniał. – Pójdę na górę i zmienię ubranie, potem wrócę i poćwi-czę. Dużo dziś ludzi?

– Tłum. Sześciu zamiast trzech, jak zazwyczaj.

– Bardzo śmieszne.

Poszedłem do mieszkania, włożyłem szorty i T-shirt bez rękawów, wróciłem do sali z telefonem komórkowym w rękę. Wiedziałem, że Joe da mi znać, jeśli będzie coś miał. Nie potrafiłem przewidzieć, ile mu to zajmie czasu.

Byłem w połowie trzeciej serii wyciskania na ławce, kiedy zadzwonił.

– Nadal obserwujemy twoją siłownię – powiedział. – Znam ich numer rejestracyjny. Chcesz, żebym stąd odjechał i sprawdził, kto to taki, czy mam siedzieć tutaj i czekać, aż coś zrobią?

– Jak wolisz. To ty marnujesz na nich czas.

– Dam im jeszcze godzinę.

Skończyłem ćwiczenia na klatkę i zacząłem pracować nad mięśniami pleców.

Od czasu do czasu przerywałem, żeby porozmawiać ze stałymi bywalcami siłowni.

Grace zamknęła kantorek i poszła do domu, ale oni mogli przychodzić, korzystając z klucza magnetycznego.

Dochodziła szósta, kiedy znów zadzwonił Joe. Skończyłem już z ciężarami i rozciągałem się przed biegiem. Przerwałem, żeby odebrać telefon.

– Odjeżdżasz? – zapytałem.

– Nie musiałem podejmować takiej decyzji, bo oni przestali się tobą interesować.

– Odjechali?

– Aha. A ja za nimi. Aż na komisariat.

– Co?

– Słyszysz przecież. To gliny. Zatrzymali się na parkingu dla funkcjonariuszy i wysiedli z samochodu. Jeden to tajniak, drugi w mundurze. Ten w mundurze wszedł

do środka, a tajniak pojechał do domu.

– Rozpoznałeś któregoś z nich?

– Nie, byłem za daleko. Jutro sprawdzę nazwiska na podstawie tablicy rejestracyjnej.

– Jeśli nieobecność Corbetta przyciągnęła uwagę policji, to dlaczego nie uznali go jeszcze za zaginionego? I dlaczego obserwują dom, zamiast go szukać?

– I – dodał Joe – dlaczego, jak mi się zdaje, robią to po służbie?

Nie mieliśmy odpowiedzi na te pytania. Przynajmniej na razie.

Rozdział 9

W książce telefonicznej Cleveland było dwanaścioro Corbettów. Mitchell też znalazł się na liście, ale uważałem, że nie wróci do domu na wieczór, i nie zadzwoni-

łem do niego. Pozostali Corbettowie mieli pecha – Lincoln Perry zadzwonił do nich w porze obiadowej, prowadząc detektywistyczny telemarketing.

Z pierwszych pięciorga na liście tylko troje zastałem i żadna z osób nie miała krewnego o imieniu Mitch. Dorene Corbett zapytała, czy chcę doprowadzić do spotkania z jej naturalnym ojcem. Kiedy okazało się, że nie, była rozczarowana.

– Myślałam, że jest pan z programu telewizyjnego, w którym ludzie spotykają się po latach. Wie pan, jak ci, którzy przychodzą czasami na programy Ophry. Lubię te programy.

– Więc pani nigdy nie spotkała się z ojcem? – Chciałem podtrzymać rozmowę.

– Oczywiście, że się spotkałam. Ale myślałam, że szuka pan kogoś o moim nazwisku, kto się nie

spotkał.

– Rozumiem.

– Jest jeszcze jedna Dorene Corbett – poinformowała. – Znalazłam ją kiedyś w Internecie. Ale ona mieszka w Georgii. Niech pan tam spróbuje, okej?

Zapewniłem ją, że spróbuję szukać w Georgii, z ulgą odłożyłem słuchawkę i wziąłem się do dalszej pracy nad listą. Za siódmym razem trafiłem na dzentelmena, dla którego Mitch Corbett nie był osobą nieznaną.

– Słuchaj pan – powiedział Randy Corbett, kiedy tylko zadałem pytanie – mam już tego dosyć. Nie utrzymuję kontaktów z Mitchem. Nigdy się nie widzimy, w żadnej zafajdanej sprawie. Nie wiem, gdzie jest, i nie obchodzi mnie to. Nie rozmawiałem z nim już ponad rok.

– Ale jest pan z nim spokrewniony?

– Jestem jego bratem, ośle. Skoro nie wiesz, to po co dzwonisz?

– Kiedy zapytałem, czy pan zna Mitcha, powiedział pan, że ma pan tego dosyć.

Czy ktoś jeszcze pytał pana o niego?

– Tylko policja – odparł. – To dowodzi, jaką mam fajną rodzinę, słyszę o swoim bracie tylko wtedy, kiedy szuka go policja. Matka chyba przewraca się w grobie.

– Kiedy była policja?

– Dziś rano. – Przerwał. – A jeśli pan nie jest od nich, to kim pan jest, do diabła?

– Prywatnym detektywem.

– Więc może pan mi powie, co on zrobił? Policja nie chciała mówić.

– O nic go nie oskarżają tyle, że nie pojawił się w robocie. Próbuję go namierzyć, bo może wiedzieć coś, co przyda mi się w innej sprawie. Naprawdę pan nie wie, dokąd mógł pójść?

– Absolutnie nie. Panie, my nie jesteśmy, jak to się mówi, kochającymi się braćmi. A ja jestem jedynym jego żyjącym krewnym.

– Czy ma jakichś przyjaciół w mieście? Może jakieś ulubione miejsce wakacyjne?

Randy Corbett tak długo się śmiał, że aż się przestraszyłem. Mógł umrzeć z braku tlenu, zanim skończył. Najwyraźniej w moim pytaniu było coś śmiesznego.

– Ulubione miejsce wakacyjne – powiedział wreszcie. – To dobre. Panie, Mitch nie ma dość forsy, żeby wyjechać z miasta na kilometr. Nie wiem, gdzie jest, ale zdziwiłbym się, gdyby pojechał dalej

niż do wschodniej dzielnicy.

Ledwie skończyłem sprawdzanie clevelandzkich Corbettów, gdy zadzwonił telefon. To była Amy.

– Jak się miewasz? – zapytała.

– Jako tako – odparłem. – I to od paru dni.

– Dobrze. Jadłeś już kolację?

– Nawet nie planowałem. Do diabła, lunchu też nie jadłem.

– A może zamówiłabym pizzę i wpadła do ciebie?

– Niezły pomysł. O coś ci chodzi, czy po prostu martwisz się o mnie?

– Zawsze się o ciebie martwię. Ale chciałabym też omówić parę rzeczy. Może zechciałbyś powiedzieć coś więcej o swoich związkach z Graddukiem? Na przykład, dlaczego nie rozmawiałeś z nim przez osiem lat?

– O szczegółach porozmawiamy później, Asie. Teraz mogę ci powiedzieć tylko tyle, że ja zostałem kryminalnym, a on kryminalistą. Zderzenie światów.

Dwadzieścia minut później zjawiała się Amy z pizzą w pudełku i torbą paluszków chlebowych. Usiedliśmy w salonie przy przyciemnionych światłach i jedliśmy z papierowych talerzyków. Wiedziałem, że przyszła głównie po to, żeby wydobyć ze mnie dalszą część opowieści o moich relacjach z Edem. Muszę przyznać, że starała się po-wściągnąć ciekawość – zjadła prawie połowę paluszków chlebowych, zanim zaczęła pytać.

– Więc ty zostałeś kryminalnym, a on kryminalistą. Tylko tyle mi do tej pory powiedziałaś. Teraz czekam na resztę.

Opowiadałem, a ona jadła pizzę. Siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami i nie przerywała mi pytaniami, dopóki nie skończyłem. Było to niezwykle dla niej zachowanie.

– Kurczę, Lincoln, to musiało być dla ciebie trudne – powiedziała, gdy dobrną-

łem do końca. – Wpakowałeś do więzienia najlepszego przyjaciela, któremu tak naprawdę chciałeś pomóc.

– To dla niego musiało być trudne – odparłem. – Do więzienia wpakował go najlepszy przyjaciel.

– Naprawdę wierzyłeś, że będzie mówić?

– Byłem tego pewien. Może dlatego Allison udało się mnie przekonać. Uważa-

łem, że on zrobi wszystko, byle tylko uniknąć więzienia. Nie zrozum mnie źle, spodziewałem się

oporu, tej pierwszej reakcji, ale myślałem, że może później... – Pokręci-

łem głową i westchnąłem.

– Co później?

– Wyobrażałem sobie, jak to będzie – kontynuowałem. – Jasne, czeka nas trudny okres, ale potem Ed zrozumie i spojrzy na sprawę inaczej. Nie przekreśli starej przyjaźni. Ożeni się z Allison, a za jakiś czas, może za parę lat, pójdziemy na piwo i on nagle spoważnieje. Podniesie swoją szklankę i powie... – Przerwałem.

Amy odłożyła pizzę.

– Powie...?

– Nie wiem. Może by mi podziękował – dodałem po chwili, ale już kiedy to mówiłem, poczułem się głupio. Wychodziło na to, że bardziej myślałem o sobie niż o Edzie. A może tak tylko mi się powiedziało?

– Zdaje się, że mieszkańcy tej okolicy to mała, ściśle z sobą powiązana społeczność – zauważyła Amy. – To dziś rzadkość.

Pokiwałem głową.

– Cholerna rzadkość. Teraz te powiązania są słabsze. Ale kilka rodzin przez lata żyło się z tym miejscem i głęboko zapuściło korzenie. Ta grupa trzyma się razem. Ed i Scott Draper mieszkali tu już w trzecim pokoleniu i każdy dobrze znał ich rodziny. Z

początku byłem outsiderem; przeprowadziliśmy się tutaj dopiero po śmierci matki.

Ale dziadek przeżył tu prawie całe życie, a tata tutaj dorastał. Kiedy umarła mama, ojciec zmienił zawód, został sanitariuszem. Powiedział, że chce mieszkać blisko szpitala miejskiego, dlatego że stamtąd wyjeżdżała jego karetka. Myślę, że w istocie chciał

wrócić na stare śmiecie; czuł się trochę zagubiony. To było dla niego jak powrót do domu.

– Na co umarła twoja matka?

– Zabił ją pijany kierowca.

Skrzywiła się.

– Przepraszam. Wiedziałam, że umarła, kiedy byłeś mały, ale nie znałam okoliczności.

– Miałem trzy lata, kiedy umarła.

– Pamiętasz ją chociaż trochę?

– Mgliście. Nawet teraz słyszę jej śmiech, ale wyraźnie pamiętam tylko wyraz jej twarzy, kiedy pewnego dnia spadłem ze schodów. Rozciąłem sobie głowę i strasznie krwawiłem. Mama stała u szczytu schodów i patrzyła na mnie przerażona. Ten obraz zachował mi się w pamięci.

– Nie wiedziałam, że twój tata był sanitariuszem.

– Tak. Pracował jako kierownik, w fabryce, w Bedford, nieźle zarabiał. Postanowił robić coś innego i wybrał właśnie to. Trafiliśmy do miasta, a ja spotkałem się z Edem i Draperem. Wyrastałem wśród rodzin zasiedziałyh to od pokoleń i przez jakiś czas sam należałem do tego klanu. Jakbym dorastał w dzielnicy, która przemieściła się w czasie. Zanim pracownicy fizyczni przenieśli się na przedmieścia, okolica wyglądała jak z lat pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych.

– Już nie należysz do klanu?

Pokręciłem głową.

– Trzymam się z daleka, Asie. Starzy wyjadacze nienawidzą mnie. To była nie-zwykle lojalna grupa, bo z roku na rok robi się coraz mniejsza. Pilnują się nawzajem.

Nie posyłają sąsiadów do więzienia.

Wstałem i poszedłem do kuchni, żeby nalać sobie szklankę wody. Kiedy wróci-

łem, Amy zamknęła już pudełko z pizzą i siedziała prosto na kanapie. Tym razem bardziej przypominała człowieka niż kota.

– Mam dla ciebie informację – oznajmiła. – Jutro będzie o tym w gazecie, ale zasłużyłeś sobie, żeby się dowiedzieć wcześniej.

– Tak?

W jej zachowaniu było coś dziwnego, nie patrzyła mi w oczy, kiedy do mnie mówiła. Poczułem się niewyraźnie.

– Dziś miałam telefon od faceta, który przeczytał mój pierwszy tekst o Gradduku i oświadczył, że może mi powiedzieć, kiedy Sentalar i Gradduk się spotkali.

– Duża sprawa – przyznałem, siadając.

Skinęła głową i upiła łyk dietetycznej coli. Rzuciłem niecierpliwe spojrzenie.

– No więc kiedy to było? Kiedy się spotkali?

– W barze przy Lorain. Facet jest barmanem. Przypomniał sobie oboje, Gradduka i Sentalar, gdy tylko zobaczył ich zdjęcia. Twierdził, że spotkali się w barze mniej więcej dwa tygodnie temu.

– Wyczuł, jakie to było spotkanie? Przyjacielskie, romantyczne, zawodowe?

Popychała koniuszkami palców puszkę coli po stoliku.

– Graddock przystawiał się do Sentalar, a ona chciała, żeby zostawił ją w spokoju.

Zmarszczyłem brwi.

– To niepodobne do Eda.

Amy odepchnęła puszkę na bok i zaczęła szperać w torebce, aż znalazła notatnik. Otworzyła go, mówiąc:

– Zacytuję ci słowa barmana: „Ten facet, Graddock, ciągle kładł jej rękę na ramieniu, nachylał się, żeby po cichu coś jej powiedzieć, bardzo się starał. A ona kilka razy odtrącała jego dłoń. Pamiętam, że powiedziała: „Twoje prośby nie zostały wysłuchane”. A on na to: „Nie przyjmuję tego za odpowiedź”. Odpowiedziała, że będzie musiał. Rozmawiali jeszcze z minutę albo dwie, potem odsunęła się od niego i powiedziała głośno: «Zostaw mnie, do diabła, w spokoju». Wtedy się wtrąciłem z radą żeby posłuchał, co pani mówi. Nie odezwał się, wstał i poszedł. Ale odwrócił się jeszcze do niej ze słowami: «Wiesz, że wrócę»,».

Amy zamknęła notatnik i schowała do torebki.

Pokręciłem głową.

– Nie wierzę. To jakiś nieudacznik, który wyczuł, że ma swoje pięć minut, bo przez chwilę może być w centrum zainteresowania. Dlatego wymyśla historyjkę albo koloryzuje to, co widział.

Amy uniosła brwi.

– Zapamiętał epizod cholernie dokładnie. A Cal Richards nie zbagatelizował sprawy. Stwierdził, że to ładnie pasuje do tego, co myślał o ich związku. Podziękował za informację, jakbym nagle stała się jego ulubienicą.

– A co on myślał?

– Nie zwierzał się mi. Ale powiedział, że w billingu Sentalar, w ostatnich tygodniach, jest mnóstwo krótkich telefonów od Gradduka. Facet, z którym prowadziła firmę prawniczą, mówi, że Graddock, zdaje się, przychodził parę razy do biura, a Sentalar go spławiała.

Siedziałem ze zjedzonym do połowy paluszkami chlebowym w rękę i czułem coraz większą złość. To nie było w porządku wobec Eda. Całkowicie nieprawdopodobne. Te opowieści to wierutna bzdura. Nie pozwolę, by go szkalowano. Jakiś strzęp rozmowy w zatłoczonym barze, której treść w oczach opinii jeszcze bardziej zoży-

ła Eda, miał dowodzić jego nikczemności!

– Nie możesz tego napisać, Amy – odezwałem się. – To jest śmieszne. Niepo-twierdzona, jednostronna relacja z rozmowy, która może w ogóle się nie odbyła.

Tym razem uniosła brwi tak wysoko, że prawie dotknęły linii włosów.

– Przepraszam? Nie mogę tego napisać? Jesteś moim wydawcą czy kimś takim? To mocna historia i wiem, jak mogę dobrze ją wykorzystać. Żaden dziennikarz nie zrezygnowałby z takiej gratki. Jestem pierwszą osobą, która ma jakikolwiek materiał, rzucający światło na związki między Sentalar a Graddukiem. To największa sensa-cja, takiej sprawy nie miałam od miesięcy.

– Największa od czasu, kiedy podsunąłem ci temat na reportaż życia, chciałaś powiedzieć?

Zmrużyła oczy.

– Cóż chcesz przez to powiedzieć? To, że kiedyś dałeś mi dobry materiał, nie znaczy, że możesz mną rządzić.

– Nie możesz tego napisać – powtórzyłem. – Ed wyjdzie na jakiegoś prześladowcę kobietę psychologa, a to jest absurd. Gdybyś chociaż go znała...

– Tak jak ty go znałeś? Kiedy miał dwanaście lat? Daj spokój, Lincoln! Nawet nie wiedziałeś, jak się zmienił. Pomyśl: ostatni raz rozmawiałeś z Graddukiem, kiedy był aresztowany, nawiasem mówiąc, słusznie.

Odsunąłem krzesło i wróciłem do kuchni. Musiałem wyjść. Wrogość narastała we mnie tak szybko, że bałem się utraty panowania nad sobą. Przez kilka minut sta-

łem plecami do niej, myłem czyste naczynia, oddychałem powoli, milczałem. Wyszła z salonu, ale nie przekroczyła progu kuchni. Zatrzymała się przed drzwiami.

– Od czasu, kiedy go znałeś, minęło wiele lat – zaczęła.

– Znałem go dobrze w latach, kiedy z chłopców wyrastają mężczyźni, Amy. –

Wyszedłem z kuchni. – Myślę, że charakter człowieka kształtuje się właśnie wtedy.

– Aresztowałeś go! Jak wtedy oceniłbyś jego charakter?

– Jest różnica między facetem, który sprzedał trochę narkotyków, bo był splukany, a zboczeńcem seksualnym i mordercą. – Mówiłem podniesionym głosem, ścierkę do naczyń trzymałem w zaciśniętej pięści.

– Nie widziałeś się z nim przez osiem lat.

Staliśmy naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem jak para rewolwerowców.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała wreszcie, odwróciła się i położyła rękę na klamce. – Nie

chciałam tego puszczać, zanim ci opowiem. Ale to pójdzie, Lincoln.

Tak właśnie powinnam zrobić.

– Oczywiście. Znakomita okazja do wypromowania osobistej marki w tablo-idach.

Z całej siły szarpnęła za klamkę, aż się zdziwiłem, że nie zwicznęła sobie barku, i wyszła, zatraskując drzwi za sobą. Rzuciłem ścierką do naczyń; uderzyła o framugę z młaśnięciem i zostawiła mokry ślad, zsuwając się na ziemię. Można na mnie liczyć, je-

śli chodzi o dziecinne zachowanie.

Po minucie westchnąłem, podszedłem do drzwi i podniosłem ścierkę. Uprzątnąłem bałagan w salonie, umyłem resztę naczyń, wyłączyłem światło i stanąłem przy oknie. Patrzyłem przez nie niewidzącym wzrokiem. Światy się zderzyły, powiedziałem Amy. Z całą pewnością.

Pokój do przesłuchań niewiele się różni metrażem od szafy ściennej w sypialni średniej wielkości. Jakoś udało się jednak umieścić w nim stół, który zdaje się zajmować całą powierzchnią. Jeśli chce się go obejść, trzeba przyciskać się do ściany. Przechodzenie się po pokoju śledczego – scena rodem z filmów kryminalnych – nie wchodzi w grę.

Siedzę naprzeciwko najlepszego przyjaciela i zarówno stół, jak i pokój robią się dla mnie za małe. Nie mam na sobie munduru, on nie ma kajdanek. Całe szczęście.

Ale i tak wszystko idzie źle, gorzej niż wyobrażałem sobie, zanim tu przyszedłem, tak źle, że aż żołądek mi się wywraca, a ręce drżą; wpycham je pod stół, żeby nie było wi-dać.

– Ed – mówię. – Już nie mogę przeciągać sprawy. Jeśli teraz nie zaczniesz mó-

wić, nie będzie ugody sądowej. Pójdiesz do więzienia. Na parę lat.

Wpatruje się we mnie z kamienną twarzą. Trudno mi wytrzymać to lodowate, martwe spojrzenie. Ma kilkudniowy zarost, ale nadał wygląda bardzo młodo.

– Cholera, Ed – odzywam się po kilku minutach ciszy. – Nikt nas teraz nie słucha. Nie ma magnetofonów, nikt nie stoi za lustrem, nic z tych rzeczy. Tylko ty i ja.

Powiedz mi coś. Cokolwiek. Cokolwiek, co będę mógł wykorzystać, żeby cię chronić.

Odchyła się do tyłu, składa grzecznie ręce i kładzie je na stole. Twarz ma pogodną, wzrok oskarżycielski. Usta zaciśnięte.

– Pójdiesz do więzienia. Oskarżą cię o posiadanie kokainy z zamiarem sprzedaży. Skazanie masz jak w banku. Żaden unik ci nie pomoże, bo będą chcieli, żebyś pożałował, że milczałeś. Obejdą się z tobą surowo, bo psujesz im plany.

Brak reakcji.

– Chcesz widywać Allison przez szybę, Ed?

Ani słowa.

– Daj spokój, Ed. – Mam nadzieję, że nie słysząc w tym rozpaczliwego błagania, które skrywam w duszy.

Nie spuszcza ze mnie wzroku, powoli kręci głową.

– Czym się przejmujesz? Myślisz, że Childers cię zabije? Nie ma tyle siły.

Ochronimy ciebie i Allison, a jego zamknjemy. Kiedy się znajdzie w więzieniu, reszta jego chłopaków nie będzie groźna. Oni nie są lojalni wobec Antonia, oni się go boją.

Mam nadzieję, że aluzja do strachu jakoś go poruszy. Na pewno to jest powodem, że nie chce mówić – boi się zemsty Antonia. Ale od dwóch tygodni gliny, prokuratorzy obiecywali mi, że Ed będzie miał ochronę, jeśli zacznę mówić, a on nie zaczął.

Patrzę na zegarek. Spóźniłem się dziesięć minut na spotkanie z Pritchardem i zastępcą prokuratora. To jest to. Moja ostatnia szansa w pokoju przesłuchań. Ostatnia szansa, żeby dotrzymać obietnicy – spisać zeznanie, które wpakuje Antonia Childersa za kratki. Ostatnia szansa, żeby uratować Eda przed więzieniem, przed Childersem, przed stoczeniem się na samo dno, i, co wielce prawdopodobne, przed śmiercią.

Ed nic nie mówi. Patrzy. Jego oczy wwiercają się we mnie jak butanowe palniki.

Chce, żebym to poczuł. Tym twardym spojrzeniem wyraża to, czego nie wyraził słowami. Zdradziłem go, najlepszego przyjaciela od szczenięcych lat. Wsącza we mnie swój ból, chcąc, bym nigdy się od niego nie uwolnił.

– Próbuję ci pomóc – mówię. – Niech cię cholera, że nie chcesz się zgodzić.

Wpadłeś, bracie, po same uszy, ale możesz z tego wyjść. Podaję ci rękę, której ty nie chcesz przyjąć.

Cisza osiada na mnie i ciąży jak ołowiany płaszcz.

– Chcę ci pomóc wrócić do normalnego życia, Ed. Postaraj się to zrozumieć.

Wtedy odzywa się po raz pierwszy.

– To ty, Lincoln, powinieneś spróbować zrozumieć. Zanim wplątałeś w sprawę wszystkich tych gliniarzy, prokuratorów i sędziów. Zanim odebrałeś mi pole manewru.

Oto, co powinieneś zrozumieć.

Pukanie do drzwi. Żaden z nas się nie odzywa. Pukanie się powtarza.

– Będziesz mówić?

Kręci głową.

Znowu pukanie, tym razem głośniejsze, niecierpliwe. Słyszę, jak brzęczą klucze.

Zaraz wejdą, zabiorą go i wtedy koniec. Stanie na drodze prowadzącej do więzienia.

To ja go tam poślę.

Klucz zgrzyta w zamku.

– Przykro mi – mówię.

Gałka się obraca. Drzwi się otwierają.

– Wiem – odpowiada Ed Graddock, a potem wychodzi, z powrotem w kajdan-kach, a stalowe drzwi zamykają się z brzękiem za nim. Zostaję sam w małym pokoju do przesłuchań, siedzę z głową opartą na rękach.

Rozdział 10

Kto mieszka długo przy ruchliwej ulicy, uczy się nie słyszeć zgiełku zza okna.

Odkąd zamieszkałem w tym domu, ryk silników, pisk hamulców, ostre tony klaksonów z zatłoczonej uliczki powoli stały się tylko hałasem dobiegającym z tła.

Ale kiedy obudziłem się następnego dnia, hałas przebił się do mojego mózgu, co zazwyczaj się nie zdarzało. Leżałem zaspany na łóżku, gdy samochód na ulicy ostro zahamował. Rozległ się pisk opon ślizgających się po nawierzchni, ale nie nastąpił

trzask, który słyszałem w inne poranki, kiedy doszło do zderzenia. Same opony jednak wystarczyły. Byłem całkiem już rozbudzony. Potem zacisnąłem powieki, bo znowu zobaczyłem Eda i czarnego forda.

Ten obraz sprawił, że zrobiło mi się niedobrze. Leżałem z dłońmi przyciśniętymi do zamkniętych oczu, jakby ten ucisk zdołał wyprzeć wspomnienie. Myślałem o tym, jak złamało się jego ciało, jak ramiona i nogi poleciały w stronę samochodu, a tułów w przeciwną. Widziałem go przez ułamek sekundy, zanim został wessany pod jadący wóz.

I ten dźwięk. Nigdy nie zapomnę tego dźwięku. Stłumiony łoskot poprzedzony piskiem opon i zgrzytem hamulców. Mokra pstryknięcia, kiedy koła przejeżdżały ciałem, jak butelki szampana otwierane pod wodą. A potem ten sam dźwięk, tylko bardziej głuchy, tym razem szampan był zwietrzały, kiedy znów nad nim przejeżdżali.

Wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Minęła siódma, ruch się wzmagił

przed godziną szczytu. Patrzyłem na jadące samochody, myślałem o Edzie Gradduku i o krwi, zmywanej mocnym strumieniem wody z nawierzchni Clark Avenue, o tym jak szybko zasychała. Przez to miejsce musiało przejechać już tysiąc samochodów. Wię-

cej. Zastanawiałem się, czy któryś z nich zwolnił.

Światła uliczne zmieniły się i samochody pod oknem znów ruszyły, kierując się w stronę skrzyżowania przed naszym biurem, kilka przecznic dalej. Jechały szybko, żeby zdążyć na zielonym, potem zwalniały, kiedy pojawiło się czerwone, zatrzymywały się pod moim oknem, a niecierpliwi kierowcy wyciągali szyje, patrzyli przed siebie, licząc samochody, żeby oszacować, czy zdążą na zielonym za drugim razem i dojadą do biura, zanim wykupione zostaną wszystkie bajgle i wystygnie pierwszy dzbanek z kawą.

Wyszedłem z sypialni, potem z domu. Idąc na parking, czułem zimny ostry żwir pod bosymi stopami. Miałem na sobie tylko spodenki, ale okrążyłem budynek i staną-

łem na chodniku od frontu. Patrzyłem, jak zdziwieni kierowcy gapią się na mnie.

Można na coś patrzeć, a jednak nie dostrzegać tego. Wiem o tym po latach zbierania zeznań od naocznych świadków. Wzrok podaje informację, a mózg ją obra-bia. Proste. Tylko, że jeśli informuje, iż stało się coś złego, bardzo złego, mózg nie chce tego należycie obrobić. Racjonalizuje, podaje perspektywę albo tłumaczenie.

Mózg jest po to, żeby objaśniać. Nie da się tej funkcji wyłączyć.

Ale jest jeszcze pamięć. Pamięć zatrzymuje obraz – to co zobaczyły oczy. I przechowuje go, ukrywając głęboko pod warstwą świadomości. Obraz bez perspektywy. Kiedy byłem w policji, właśnie do tego próbowaliśmy dotrzeć. Zazwyczaj po-trzebny jest jakiś impuls, coś co wpłynie na zmysły w taki sposób, że wydobędzie obraz z podświadomości. Coś jak pisk opon, który usłyszałem tego ranka.

Joe był w biurze, kiedy przyszedłem. Trzymał w ręku kubek kawy z cukierni. Je-go komputer mruczał, uruchamiając programy. Joe popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

Zazwyczaj przychodzi co najmniej pół godziny przede mną.

– Jeszcze nie sprawdziłeś numeru rejestracyjnego? – zapytałem.

Upił łyk kawy i pokręcił głową.

– Właśnie wszedłem.

– Musi należeć do Jacka Padgetta albo Lany’ego Rabolda.

– Bo pracują przy sprawie Gradduka i ich zainteresowanie Corbettem jest oczywiste?

– Nie – powiedziałem. – Bo zabili Eda Gradduka.

– Zgadza się. Ale to był wypadek... – Przerwał, widząc, że kręcę głową.

– Nie jestem taki pewien.

Patrzył na mnie, mrużąc oczy. Wypił kilka łyków kawy.

– Diabelnie poważny zarzut, L.P. I nie widzę podstawy. Graddock wybiegł im prosto przed maskę. Byłeś świadkiem.

– Wiem. Joe, ale oni cofnęli po jego ciele. Potem, jak go potrącili. Wtedy założyłem, że po prostu chcą zjechać z ciała.

– Prawdopodobnie tak było.

Znow pokręciłem głową.

– Przejechali po nim przednimi kołami. Słyszałem ten dźwięk; musieli poczuć, jak wóz się unosi. Wiedzieli, że przejechali po nim, a jednak cofnęli i znowu po nim przejechali. Myślę, że to dla pewności, żeby nie przeżył.

Joe zaczerpnął powoli tchu.

– Daj spokój, L.P. Pomyśl, jak szybko to wszystko się stało. Wyobraź sobie, że ty jesteś kierowcą. Do diabła, pewnie bardziej się wystraszył tym, co zrobił, niż ty, stojąc i patrząc. Chciał odjechać od Graddocka. W rezultacie cofnął.

– Nie zwolnili, kiedy upadł. Był już na ziemi, a oni jeszcze jechali, przez sekundę, dwie, potem nacisnęli hamulce. Do tego czasu byli za blisko, żeby go nie przejechać.

– Jechali szybko, bo zobaczyli, że przebiega przez ulicę.

– Jechali szybko, bo nie chcieli, żeby przebiegł.

Pokręcił głową.

– Gdybyś przyszedł do mnie z tą hipotezą wieczorem, tego dnia, kiedy się to zdarzyło, może bym ją kupił. Ale nie teraz. Miałeś za dużo czasu, żeby wszystko przemyśleć, przekonstruować to, co zobaczyłeś, aż wyszło coś, nad czym możesz popracować.

– Błąd. Kiedy widziałem, co się stało, założyłem, że to wypadek, bo przyzwyczailem mózg do takiego myślenia. Nie zakłada się, że gliniarze specjalnie przejadą człowieka, więc przyjmuje się, że tego nie zrobili. Ale oni to zrobili.

– Nie. Nie zrobili.

– No to odpowiedz: dlaczego Padgett i Rabold pojechali do domu Eda, żeby go aresztować?

– Richards mówi, że dostali informację od właściciela sklepu z alkoholem.

Pokiwałem głową

– Właśnie. Dostali informację, chociaż to nie była ich sprawa. I zamiast postę-

pować według przepisów, które znają, bo całe lata służyli w policji, i przekazać informację detektywowi zatrudnionemu przy tej sprawie, pojechali sami. A Ed bił się z nimi i uciekł. Dlaczego? Skoro był niewinny, dlaczego uciekał?

– Może nie był... – zaczął Joe, ale wyraz mojej twarzy sprawił, że przerwał. Odwrócił wzrok i skinął głową. – W porządku. Zakładamy, że nie był.

– Tak twierdził. A ja mu uwierzyłem. Nadal wierzę.

– To niebezpieczna sugestia. Mówisz o dwóch policjantach. Wiesz, co się może zacząć?

– Mam pomysł.

– Nic nie wiem na temat Padgetta, ale zetknąłem się z Lanym Raboldem parę razy. Wygląda na porządnego faceta. I dobrego glinę.

– Sprawdź numer rejestracyjny – powiedziałem. – Zobaczmy, czy się myłę.

Po długiej przerwie odwrócił się ode mnie i zalogował do komputera. Prywatni detektywi w Ohio mają dostęp do bazy danych urzędu prowadzącego ewidencję po-jazdów mechanicznych i nietrudno jest znaleźć numer rejestracyjny. Przez parę minut Joe był zajęty, wreszcie podniósł wzrok.

– Jeep jest zarejestrowany na Jacka Padgetta.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie. Jęknął i potarł twarz rękami

– Cholera, Lincoln.

Mogłem się tylko zgodzić.

Przede wszystkim chciałem zobaczyć raport funkcjonariusza na temat wypadku, który się zdarzył przy schrzanej próbie zatrzymania Eda Gradduka. Takie raporty nie są podawane do publicznej wiadomości, a przynajmniej nie ze szczegółami, ale przecież pracowałem kiedyś w policji. Zawsze można znaleźć starego przyjaciela, który chętnie pomoże w drobniejszych sprawach. No cóż, przynajmniej Joe może sobie na to pozwolić. Jasne, ja też mam swoje kontakty w wydziale policji, ale Joe to legenda.

Ma w policji przyjaciół, których nawet na oczy nie widział.

Zadzwoił w parę miejsc i uzyskał obietnicę, że dostanie ten raport. Kiedy odłożył słuchawkę, podniósł gazetę z biurka i przytrzymał ją w górze.

– Czytałeś już artykuł Amy?

– Nie.

Prawie zapomniałem o rewelacjach Amy, bo zająłem się Padgettem i Raboldem. Niechętnie wziąłem gazetę. Rzut oka na tytuł z pierwszej strony wystarczył, żeby dalej nie czytać: „Podejrzany o morderstwo był niechcianym gościem w życiu ofiary”.

Przeczytałem jednak artykuł, potem złożyłem gazetę tak, że nie było widać pierwszej kolumny, i wetknąłem do kosza na śmieci.

Nie mogłem nazwać tego tekstu wyrazem opinii publicznej, bo nim nie był.

Amy ograniczyła się do tego, że opublikowała cytaty: Gradduk podobno miał w barze nieprzyjemną rozmowę z Sentalar; Gradduk podobno dzwonił do niej wiele razy, do biura i do domu; partner Sentalar z kancelarii prawnej, facet o nazwisku David Russo, powiedział, że zmarła uważała Gradduka za natręta i chyba czasem się go bała. Amy napisała to, co jej powiedziano. Domyślałem się, że w telewizji przeklinano ją, bo ich ubiegła. Nie ułatwiało mi to jednak lektury.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Joe.

– Bzdura.

– Musi być w tym trochę faktów. Musi być.

– Pewno, parę faktów może być, ale bez wyjaśnienia czy komentarza czytelnicy wydadzą pochopny wyrok, że Ed nachodził tę kobietę.

Joe uśmiechnął się słabo.

– I na tym polega wina Amy?

– Nie mówię, że to jej wina.

– Ale tak myślisz.

Wstałem i podszedłem do faksu, sprawdziłem kontrolkę, czy jest włączony. Ani śladu raportu z wypadku.

– Widzisz, może jej się nie podobało, że pisze o twoim starym przyjacielu –

powiedział. – Ale to jej praca.

– Rozmawiała z tobą?

– Nie. Po prostu niepokoi mnie twoja reakcja i ostrzegam cię, żebyś przyhamował. Służyłeś w policji, teraz jesteś prywatnym detektywem. Prowadzisz śledztwa, potem one dają wyniki. Amy jest

w innej sytuacji. Kiedy ma za sobą udany dzień dziennikarskiego śledztwa, musi dać informację do porannej gazety albo zostanie to uznane za zawodową porażkę.

– Ale przez to on wychodzi... – zacząłem, ale Joe przerwał mi parsknięciem.

– Na innego niż był? Rozpowszechnianie nieprawdy, podsycanie plotek? Nie chrzają, Lincoln. Witamy w świecie mediów. Myślałby kto, że nigdy się z tym nie zetknąłeś.

– Zetknąłem się.

– Właśnie. Więc się zastanów i potem zadaj sobie pytanie, czy naprawdę byłbyś taki wściekły, gdyby to nie Amy napisała ten tekst.

Faks ożył. Kiedy zobaczyłem okładkę akt departamentu policji Cleveland, wiedziałem już, że to raport z wypadku.

Miał siedem stron, włożyłem je do kopiarki, żeby Joe mógł też przeczytać. Raport sporządził sierżant Jack Padgett, następnego ranka, po dniu, w którym zginął Ed.

Zaczynał się od wiadomości od informatora.

Po południu, 12 sierpnia, około 3.45 dostałem wiadomość na mój telefon komórkowy. Ten numer często podaję świadkom, informatorom i innym, którzy mogliby pomóc w pracy policyjnej. Dzwonił Jerome Huggins ze sklepu z alkoholem przy Train Avenue. Zapytał mnie, czy wiem o pożarze przy Train Avenue, który był poprzedniego dnia. Powiedziałem mu, że o tym wiem. Wtedy powiedział mi, że jego kamera ochrony zarejestrowała zdarzenie i może to być cenny dla policji materiał informacyjny. Pan Huggins postanowił zadzwonić do mnie, bo współpracował ze mną w sprawie rabunku, który miał miejsce w jego sklepie kilka lat temu. Powiedziałem panu Hugginsowi, że wpadnę, że-by zobaczyć ten film.

Po przyjeździe do sklepu z alkoholami pan Huggins zaprowadził mnie do małego monitora. Puścił fragment taśmy, który uważał za istotny.

Na części widać było pożar, na innych fragmentach białego mężczyznę, który wchodzi do pustego domu i wychodzi z niego na krótko przed pożarem. Na jednym ujęciu widać było jego samochód. Zapyta-

łem pana Hugginsa, czy zna człowieka z filmu, a on powiedział, że zna.

Rozpoznał tego mężczyznę, jako kogoś z sąsiedztwa. Powiedział, że ma na imię Ed, ale nie przypomina sobie jego nazwiska. Dokładnie przyglądając się filmowi, odczytałem numery rejestracyjne wozu. Potem zadzwoniłem do dyspozytorni i poprosiłem, żeby poszukali w ba-zie danych. Poinformowali mnie, że samochód jest zarejestrowany na Eda Gradduka. Zapytałem pana Hugginsa, czy uważa, że ta osoba mo-

że być człowiekiem z filmu, a on powiedział, że to możliwe. Wtedy razem z funkcjonariuszem Raboldem zabrałem taśmę z kamery jako materiał do śledztwa i pojechałem szukać podejrzanego,

Edwarda Gradduka. Ja i funkcjonariusz Rabold uznaliśmy za prawdopodobne, że pan Gradduk wtargnął na teren prywatnej nieruchomości na krótko przed przestępstwem podpalenia tej nieruchomości.

– „Przestępstwo podpalenia”, pisze. – Popatrzyłem na Joego, który tylko mruknął i czytał dalej. Wróciłem do lektury.

Dyspozytornia poinformowała mnie, że Edward Gradduk zameldowany jest przy Clark Avenue. Razem z funkcjonariuszem Raboldem pojecha-

łem pod ten adres, żeby ustalić, czy podejrzany jest w domu. Jego samochód, ford sedan, stał na podjeździe. Funkcjonariusz Rabold zaproponował, że pozostanie na zewnątrz, żeby obserwować dom, na wypadek gdyby Gradduk próbował wyjść tylnymi drzwiami, a ja to zaaprobowaliśmy. Wszedłem do domu wpuszczony przez starszą białą kobietę, która przedstawiła się jako matka Edwarda Gradduka. Staliśmy w kuchni i czekaliśmy, aż Edward Gradduk zejdzie na dół. Zszedł na prośbę matki i od razu było widać, że nie podoba mu się moja obecność. Powiedziałem, że chcę z nim porozmawiać o pożarze przy Train Avenue i zapytałem, czy pójdzie na komisariat w celu przesłuchania. W

tym momencie jego matka okazała wrogość, krzyczała na mnie i nalegała, żebym wyszedł. Edward Gradduk powiedział, że chce zadzwonić do adwokata. Powiedziałem, że może zadzwonić i umówić się z nim na komisariacie, a ja zabieram go do aresztu jako podejrzanego w śledztwie o podpalenie i zabójstwo. Wtedy Edward Gradduk uderzył mnie w twarz prawą pięścią i wyszedł z domu frontowymi drzwiami. Funkcjonariusz Rabold obserwował tylne drzwi do nieruchomości i nie widział, jak Edward Gradduk wychodzi.

Raport opisywał dalej przybycie posiłków, przekazanie obowiązków i stan zdrowia Padgetta, który nie miał, jak się okazało, złamanego nosa, tylko krwotok. Była wzmianka o spotkaniu ze mną a potem krótki opis „przypadkowej” śmierci Eda Gradduka, która została opisana, jako niemożliwy do uniknięcia kontakt podczas pościgu za podejrzanym o zabójstwo.

Skończyłem czytać przed Joem, więc przekartkowałem raport jeszcze raz, czekając, aż skończy ostatnią stronę. Wreszcie odłożył raport.

– Trochę mało szczegółów jak na raport z wypadku, w którym zginął podejrzany – powiedział. – Ale poza tym, nie ma w nim nic szczególnego.

– Nie licząc wiadomości od informatora.

– Mnie ona nie dziwi. Skoro Huggins Padgetta znał wcześniej, jasne, że zadzwonił właśnie do niego. Jeśli jakiś biznesmen docenia lokalnych gliniarzy, to właśnie właściciel sklepu z alkoholem.

– Nadal mi się to nie podoba.

Joe wzruszył ramionami.

– Nie mówię, że ma ci się podobać. Ale to nie wystarczy, żeby podbudować takie poważne

oskarżenie. Ciekawe, co teraz masz zamiar zrobić.

– Chcę porozmawiać z Hugginsem i chcę porozmawiać z Alberta Graddock.

Joe skinął głową, patrząc z wyrzutem na stos akt prowadzonych przez nas śledztw.

– Jeśli niepokoją cię płacący klienci, to zrobię to sam. Daj mi parę dni urlopu.

Przewrócił oczami i wstał.

– Nie mamy nic na talerzu, co nie mogłoby poczekać jednego dnia. I nie ma granic dla kłopotów, w które byś się wpakował, gdybym zostawił ci wolną rękę.

CZEŚĆ II

Z POPIOŁÓW

Rozdział 11

Staliśmy na światłach na Lorain, po drodze do sklepu z alkoholem, kiedy Joe zapytał mnie, co naprawdę zaszło przed laty między mną a Edem. Wolałby pewnie, żebym opowiedział mu o tym z własnej woli, ale ja ciągle zapominałem, że on nie zna tej sprawy. Niewiele tajemnic miałem przed Joem.

Opowieść nie zajęła mi wiele czasu, co mnie zdumiało. Myślałem, że potrwa parę godzin, a nie parę minut. Nie czułem się całkiem w porządku wobec Eda.

– A więc ty i jego dziewczyna próbowaliście wyciągnąć go z kłopotów, a on nie chciał dać się wyciągnąć – podsumował Joe, kiedy skończyłem.

– Tak.

Nic nie powiedział, patrzył w zamyśleniu przez okno.

– Powiniennem wtedy jasno przedstawić sprawę – odezwałem się. – Ale ledwie cię znałem i... nie było to łatwe do przedstawienia.

– I nadal czujesz się winny z tego powodu?

– Że ci nie powiedziałem?

– Nie. Że zrobiłeś coś takiego przyjacielowi.

– Zdradziłem go, Joe.

– Bo próbowałeś mu pomóc.

– Nie.

Odwrócił głowę, ale nie spojrzałem na niego.

– Nie chodziło o dziewczynę – mówiłem. – Nie chciałem żyć z Allison. Ale nie mogę udawać, że zrobiłem to wyłącznie ze szlachetnych pobudek.

– A te inne powody?

– Chciałem być bohaterem.

Przez chwilę milczał.

– Rozumiem – rzucił.

– Jasne, chciałem mu pomóc – tłumaczyłem. – Ale też chciałem, żeby wszyscy wiedzieli, że to ja. Allison, Draper, matka Eda, wszyscy. Chciałem być wybawcą.

– Ale nie zostałeś nim.

Roześmiałem się smutno.

– Nie.

Joe milczał aż do Train Avenue. Wreszcie odezwał się, nie odwracając oczu od jezdni.

– To, co przed chwilą powiedziałaś... to historia każdego młodego gliny. Każdy pragnie, na początku, zostać bohaterem. Wiem coś o tym. Znam takich wielu. I sam taki byłem. Młodzi gliniarze mają takie marzenia.

– A starzy gliniarze?

– Chcą tylko zrozumieć – odparł. – Chcą tylko poznać prawdę i zniknąć.

Naprzeciwko sklepu z alkoholem stały osmalone betonowe fundamenty domu, w którym zginęła Anita Sentalar. A przynajmniej, gdzie spłonęły jej zwłoki. Joe zatrzymał taurusa przy krawężniku i przyglądaliśmy się zgliszczom. Niewiele zostało.

Ogień był, jak mówiła Amy, naprawdę szybki i naprawdę gorący. Część taśmy policyjnej odgradzającej działkę zerwały ciekawskie dzieciaki z sąsiedztwa. Okno po mojej stronie było opuszczone i kiedy Joe wyłączył silnik, zdawało mi się, że wiatr niesie gryzący zapach spalenizny i dymu.

– Diabelnie dziwne miejsce, żeby pozbyć się zwłok – mówił Joe. – To zatłoczona miejska ulica. Dyskretne podpalenie nie byłoby łatwe.

– Dobra wiadomość: Ed nie szukał miejsca, żeby pozbyć się zwłok i nie on podpalił dom, więc

sprawa zamknięta.

– Jasne.

Wysiedliśmy z samochodu i poszliśmy do sklepu z alkoholem. Był wielkości toalety w samolocie. Trzy półki zajmowała tania gorzałka, a w dwóch lodówkach przy ścianie chłodziło się piwo. Na końcu półki dostrzegłem cztery butelki szampana. Najdroższy był asti za dwadzieścia dolarów. Przy kasie siedział czarny facet o mięsistej twarzy, z kilkoma podbródkami, który nie spuszczał nas z oka. Z kącika ust wystawała mu wykałaczka.

– Szukacie czegoś specjalnego?

– Mamy do pana kilka pytań – odezwał się Joe, podchodząc do kasy.

Ja stałem z boku i przypatrywałem się ścianom. W rogu pomieszczenia wisiała kamera wycelowana w drzwi. Obróciłem się i znalazłem drugą zamontowaną tak, żeby filmować kasę. Znalazłem już obie kamery wewnętrzne, prześledziłem wzrokiem wektory i potwierdziło się to, co podejrzewałem – żadna nie pokazuje obrazu z drugiej strony ulicy. Wszedłem, kiedy Joe rozmawiał z kasjerem, stanąłem na chodniku i znalazłem trzecią kamerę, małą wciśniętą pod okap, ustawioną pod takim kątem, żeby obiektyw pokazywał obraz z naprzeciwka, a dokładnie zgłiszcza budynku. Kamera by-

ła czarna i czysta, wkręty, które ją mocowały – porządnie umocowane, niepokryte rdzą.

Wróciłem do środka. Joe zerknął na mnie z zaciekawieniem i przestał mówić.

Czarny facet przełożył wykałaczkę w drugi kącik ust i patrzył na mnie z wściekłością.

– Czy pan nazywa się Jerome Huggins? – zapytałem. Pokiwał głową.

– Jest jakiś powód, żeby pan tak się interesował moimi kamerami ochrony?

– Tak. Pan dał policji taśmę z zarejestrowanym pożarem, zgadza się?

W ciasnym sklepiku było gorąco, łysa czaszka mężczyzny lśniła od potu, który spływał mu po policzkach. Obok kasy stał mały wentylator i nawiewał powietrze na jego twarz.

– Zgadza się – burknął. – Ale pytam się, co to was, do diabła, obchodzi?

– Jesteśmy prywatnymi detektywami. – Joe sięgnął po portfel.

Huggins machnął ręką.

– Gównu mnie obchodzi, jaką odznakę mi pokażecie. Chyba nie mamy o czym rozmawiać. Jeśli jesteście prywatnymi detektywami, to dla kogo pracujecie?

– Cholernie dużo urządzeń zabezpieczających ma pan tutaj. – Szerokim gestem wskazałem na pomieszczenie. – Dwie kamery wewnętrzne, jedna zewnętrzna. Niektó-

re banki mają mniej zabezpieczeń.

– Chłopcze, to Brecksville. – Spojrzał na mnie z politowaniem. – Po ulicy biegają tu dzieciaki z wielkimi spluwami i małymi mózdzkami. Trzeba być przygotowanym.

– Dawno zawiesił pan te kamery?

– Dwa lata temu. – Huggins przeżuwał teraz wykałaczkę tak intensywnie, że chyba bolały go szczęki.

Oparłem się o ladę, zbliżyłem twarz do jego twarzy i się uśmiechnąłem.

– Jerome – powiedziałem – jesteś gnojek.

Otarł spocone policzki i wypluł wykałaczkę na podłogę.

– Słucham, chłopcze?

– Jerome, te kamery są niemal fabrycznie nowe. Mogę się założyć, że gdyby-

śmy je ściągnęli i zawołali kogoś od producenta, to okazałoby się, że wyprodukowano je w ubiegłym roku. Zamontowałeś je nie wcześniej jak przed miesiącem.

Joe odszedł parę kroków w bok i przyjrzał się jednej z kamer wewnętrznych.

Stwierdził to samo, co ja.

– Proponuję – wycedził Jerome Huggins – żebyście chłopaki zrobili wypad z mojego sklepu.

Pokręciłem głową.

– Jeszcze nie, Jerome. Nie wyjdziemy, aż nam powiesz, kiedy zamontowałeś kamery i kto ci kazał to zrobić.

– Pocałuj mnie w moją czarną dupę – powiedział wolno, prostując się na stoł-

ku.

– Naprawdę kupiłeś je dwa lata temu? – zapytał Joe.

Huggins popatrzył na niego z niesmakiem, ale skinął głową.

– Skąd je masz? – dociekał Joe, nadal nastawiony przyjaźnie.

Huggins nabrał głęboko powietrza.

– Z katalogu.

– Może przypadkiem zachowałeś kwit? – zagadnął Joe.

– Wynosić się – rzucił Huggins. – Ale już.

Położyłem dłonie na ladzie i nachyliłem się do niego.

– Jesteś kłamliwym gówniarzem, Jerome. Te kamery są nowe, a ty je zamontowałeś, bo ktoś kazał ci to zrobić. Prawda?

– Zamontowałem, bo lubię czuć się bezpiecznie. – Schował ręce pod ladę. – Z

tego samego powodu trzymam to. – Wyjął mały rewolwer smith & wesson i nie wypuszczając go z dłoni, przesunął nim delikatnie po blacie, kierując lufę w moją stronę.

– Myślę, że już czas, żebyście poszli.

Nie ruszyłem się i patrzyłem na niego. Długo. Wystarczająco długo, żeby zaczął

się koncentrować na moim wzroku. Kiedy był tym już bardzo zaabsorbowany, przejechałem dłonią po kontuarze i jednym szybkim, mocnym ruchem wytrąciłem mu rewolwer. Wstał ze stołka i niezgrabnie się na mnie zamachnął. Uchyliłem się przed cio-sem i sięgnąłem za ladę, chwytając go za gardło. Joe przeklął i szarpnął mnie do tyłu.

– Jerome, powiedz, że jest tak, jak mówię. – Ścisnąłem go mocniej za gardło.

Zaczął charczeć, oczy wyszły mu na wierzch, próbował odginać mi palce, chcąc się wyswobodzić.

– Zostaw go – powiedział Joe. Założył mi dźwignię i odciągnął. Puściłem Jerome’a Hugginsa i odszedłem od lady. Stał bez ruchu, pocierał szyję i ciężko oddychał.

– Lepiej go zabierz – wydyszał, zwracając się do Joego. – Człowieku, ten chłopak ma wariackie oczy. Wariackie oczy. Czasem tacy tutaj przychodzą gotowi są zabić za coś, czego nikt nie rozumie. I wiesz, co się z nimi potem dzieje? Chłopie, szybko kończą. Są martwi.

– Jerome, kto kazał ci zamontować kamery? – zapytałem. – Powiedz, to sobie pójdziemy.

Pokręcił głową.

– Ty już nie żyjesz, bracie.

Chciałem powiedzieć coś więcej, ale Joe popchnął mnie do drzwi.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Joe otworzył drzwi do samochodu, ale nie wsiadł. Oparł się o maskę i mierzył mnie przenikliwym wzrokiem.

– Kamery są nowe, Joe. Wrobili Eda.

Na pustej działce hulał wiatr i machnął mu krawatem w twarz. Wygładził go i dalej patrzył na mnie w milczeniu.

– Wiesz, że mam rację – mówiłem. – Widziałeś te kamery, słyszałeś, co gadał

Huggins i wiesz, co to znaczy.

– Powiem ci, co jeszcze widziałem. Widziałem, jak tracisz panowanie nad sobą.

Szybko.

– Tracę panowanie? Daj spokój. Byłem bardzo powściągliwy. Gdybym utracił kontrolę, potłukłbym wszystkie butelki z gorzałą, a tego dupka wyrzuciłbym przez okno.

– Macho – skwitował Joe. – Milutko.

– Idź do diabła.

Milczał dłuższą chwilę, zanim się odezwał.

– Wiesz, co napisałbym w raporcie, gdybyśmy nadal służyli w policji? Napisał-

bym, że partnera trzeba odsunąć od sprawy, bo jest zbyt emocjonalny, nadmiernie w nią zaangażowany. Napisałbym, że nie można ufać twojemu osądowi w tej sprawie, że jesteś zagrożeniem dla siebie i wszystkich wokół siebie.

Położyłem ręce na dachu samochodu i się oparłem. Popatrzyłem mu w oczy.

– Joe, już nie służymy w policji.

– Ale to nie znaczy, że możesz tak sobie pozwalać – odparł, wskazując ruchem głowy na sklep Hugginsa.

– Te dranie wrobiły mi przyjaciela w morderstwo, a potem go zabiły! – powiedziałem podniesionym głosem, przyciskając mocniej ręce do dachu wozu. – Nie mów mi, co mi wolno, a czego nie wolno. Jestem tutaj, żeby wyrównać cholerne rachunki, zgadza się? A jeśli będę to mógł zrobić, kopiąc w drzwi i waląc po łbie takich gównia-rzy jak ten Jerome, to tak zrobię. Nie podoba ci się, więc się wynoś i wracaj do domu.

Sam to zakończę.

– Myślisz, że to najlepszy sposób na załatwienie sprawy? Nawet na mnie teraz krzyczysz. Jest sposób prowadzenia śledztwa...

– Te dranie wrobiły mi przyjaciela w morderstwo, a potem go zabiły! – Teraz już wywrzeszczałem, waląc pięścią w dach jego samochodu. – A ty chcesz mówić o protokole i manierach? Kpisz sobie ze mnie?

Joe stał wyprostowany, mięśnie miał napięte, oczy przymrużone. Nic nie mówił.

– Nie mam ochoty słuchać, co byś napisał w jakimś pieprzonym raporcie, gdybyśmy nadal służyli w policji. – Mówiłem cicho i spokojnie. – Już nie jesteśmy policjantami i to nie jest sprawa, którą ktoś rzucił na moje biurko. To był mój najlepszy przyjaciel, Joe. Nie żyje. Nie mów mi, żebym traktował to jak zwyczajną sprawę, bo to nie jest zwyczajna sprawa.

Głęboko odetchnął, błądził wzrokiem po ulicy i nadal milczał.

– Jeśli chcesz wracać do domu, wracaj – powtórzyłem. – Ja idę na spotkanie z Alberta Gradduk.

Nie ruszył się. Odwróciłem się i odszedłem w stronę Train Avenue. Do starego domu Eda było stąd daleko, ale miałem w sobie mnóstwo paliwa, które musiałem spalić.

Przeszedłem może trzy przecznice, kiedy Joe podjechał i zatrzymał się obok mnie. Popatrzyłem na niego. Nie odwrócił się, żeby spojrzeć mi w oczy, spoglądał na ulicę, otwierając drzwi. Czekał, aż wsiądę.

Miała poszarzałą twarz i podkrążone zaczerwienione oczy. Stałem na schodkach i patrzyłem na tę atrakcyjną niegdyś kobietę, która rzadko piła i nigdy nie paliła, a teraz dyszała mi w twarz zmieszany zapachem dymu papierosowego i bourbona.

– Już ci mówiłam, żebyś sobie poszedł. – Alberta Gradduk patrzyła na mnie nienawistnie. – Nie chcę cię tu widzieć. Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju?

– Nie ma już „nas”, proszę pani – powiedziałem. – Pani syn nie żyje. I nic mnie nie obchodzi, co pani sobie o mnie myśli ani czy pani chce, czy nie chce mnie widzieć.

Jestem tu po to, żeby się dowiedzieć, co naprawdę przydarzyło się Edowi Graddukowi, i nie odejdę.

Liczyłem się z tym, że znowu zatrzaśnie mi drzwi przed nosem, ale nie zrobiła tego. Odwróciła się i niepewnym krokiem poszła w głąb mieszkania. Drzwi zostawiła otwarte, więc razem z Joem poszliśmy za nią.

W tym mieszkaniu przeszłość zastygła i zachowały się wspomnienia. Pamięta-

łem każdy kąt, każde drzwi i każdy pokój tak żywo, że mógłbym chodzić po całym domu z zawiązanymi oczami, chociaż nie byłem tu od piętnastu lat.

Razem z Joem usiedliśmy na brudnej kanapie, tyłem do ulicy, Alberta przycupnęła na fotelu naprzeciwko nas. Nerwowo przesuwiała po blacie stolika paczkę papierosów i pustą szklanekę, ale w końcu dała sobie spokój.

– Dawno tu nie byłem – powiedziałem.

Wymiana zdań przed drzwiami nie nastrojała optymistycznie, ale nie chciałem, żeby ta rozmowa zamieniła się w kłótnię. Gdyby jakoś mi się udało przekonać Albertę Gradduk, żeby porozmawiała ze mną jak ze starym przyjacielem rodziny, którym nadal się czułem, sprawy potoczyłyby się znacznie lepiej.

– Ed najwyraźniej zrobił jakieś porządki.

– Nie wasz interes, co robimy we własnym domu – odparła ostrym tonem Alberta.

– Więc teraz podoba się pani tutaj? – zapytałem, ignorując jej słowa.

Sięgnęła po papierosa i obracała go między palcami.

– Nienawidzę tego domu.

– Nie chciała pani, żeby Ed go kupił?

– Eda nie obchodziło, co o tym myślę. – Podniosła wzrok i spojrzała na mnie z wściekłością. – Dlaczego zawracacie mi głowę? Myślisz, że głupie pytania o ten stary dom na coś się zdadzą? Za trzy dni jest pogrzeb mojego syna, rozumiesz? Pogrzeb. –

Zwróciła wzrok na Joego. – A ty, co się tak gapisz?

Uśmiechnął się jak cierpliwy ksiądz w konfesjonale.

– Tylko słucham, proszę pani.

– To mój partner – wtrąciłem pośpiesznie. – Nazywa się Joe Pritchard. Przez wiele lat był detektywem w policji. Myślę, że może nam pomóc.

Popatrzyła na Joego z pogardą.

– Nienawidzę policji, proszę pana. Was wszystkich.

Spojrzał na mnie, jakby chciał rzec „ładne wejście”, ale się nie odezwał.

– Eda wrobili – powiedziałem, pochylając się do przodu. Oparłem łokcie o kolana. – Jestem całkowicie pewien, proszę pani. Ale chcę to udowodnić, żeby inni też wiedzieli.

– Jakby kogoś to obchodziło. – Machnęła kościstą ręką. Miała na sobie tę samą sukienkę, co dwa dni temu, kiedy tu przyszedłem.

– Nie chcemy się narzucać, proszę pani – odezwał się Joe. – Robimy wszystko, żeby wyjaśnić sprawę. Pani może nam pomóc. Mogłaby pani powiedzieć, co zaszło, kiedy przyjechała policja po syna?

Odłożyła papierosa na stolik. Grymas złości wykrzywił jej twarz.

– Ten glina wlaźł tutaj, jakby to była jego własność, ot co. Nie zapukał, tylko otworzył drzwi i wszedł.

Uniosłem brwi.

– Policjant nie zapukał? Jest pani pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna. Siedziałam w tym pokoju. Czytałam gazetę, ale nie pamiętam, co. Usłyszałam, jak wchodzi po schodkach i odłożyłam gazetę. Pomy-

ślałam, że muszę podejść do drzwi, bo zaraz zapuka. Ale był już w środku, zanim wstałam z fotela.

– Co powiedział? – zapytał Joe.

– Z początku nic, cholera. Tylko patrzył na mnie zdumiony, jakby zdziwił się, że zastanie mnie w moim własnym domu. Zapytałam, co on tu, u diabła, robi. A on na to, co ja tu robię. Co ja tu robię, jakbym nie ja tutaj mieszkała, tylko on. Wtedy wszedł Ed.

– Gdzie był wcześniej? – Przypomniałem sobie, jak w tym pokoju siedzieliśmy z Edem na podłodze i oglądaliśmy telewizję. Byliśmy w trzeciej klasie, on miał kolejkę.

Kładliśmy szyny pod kanapę, podwijaliśmy narzutę i pociąg przejeżdżał przez tunel.

Obok mnie znajdowały się drzwi prowadzące na boczny ganek. Tam siadywaliśmy wieczorami i słuchaliśmy opowieści Norma Gradduka, patrzyliśmy, jak stawia pasjansa i popijaliśmy austriackie piwo.

– Nie wiem, nie chodziłam za nim z pokoju do pokoju! – wykrzyknęła Alberta piskliwie głosem rozhisteryzowanego dziecka.

Joe odczekał chwilę, nim zadał następne pytanie:

– Co się stało, kiedy syn zobaczył funkcjonariusza?

– Kiedy wszedł, wycelował w niego rewolwer i kazał mu podnieść ręce do góry.

Wymieniliśmy spojrzenia.

– Ed miał broń? – zapytał Joe.

Alberta była zdegustowana.

– Nie.

– Ale pani powiedziała, że celował...

– Zgadza się. Celował w Eda.

– Miał już broń w ręku, kiedy wszedł do domu?

– Zgadza się.

Znów wymieniliśmy spojrzenia. Najście z bronią w ręku. Zupełnie inaczej zosta-

to to przedstawione w raporcie Jacka Padgetta.

– Co się wtedy stało?

– Kazał mi iść na górę i zostawić ich samych. Powiedział, że musi zostać sam na sam z Edem. Wrzeszczałam, żeby się wynosił. Ed kazał mi zostać. Obaj się darli i Ed uderzył go w twarz. Mocno. Ja krzyknęłam i wtedy Ed otworzył drzwi i uciekł.

– Czy wyglądało na to, że Ed zna tego glinę? – zapytałem.

Powoli uniosła powieki, jakby koncentracja sprawiała jej trudność.

– Wiesz co – powiedziała – jesteś jak twój ojciec.

– Przepraszam?

– Taki sam, jak on. – Domyśliłem się, że to nie komplement.

– Co mój ojciec ma z tym wspólnego?

Patrzyła na mnie nieprzyjaźnie.

– Ludzie mają własne problemy. Powinni sami dawać sobie z nimi radę. Nigdy nie lubiłam takich, którzy się wtrącają.

– Ja się nie wtrącam, proszę pani. Próbuję oczyścić imię pani syna. Chciałbym wiedzieć, że pani mnie w tym wspiera.

– Chcę, żebyście wyszli.

– Nie odpowiedziała pani jeszcze na wszystkie moje pytania.

– I nie odpowiem! – wrzasnęła. Oczy miała szeroko otwarte i złe, mówiąc, par-skała śliną. – Nie chcę was tu widzieć. Nie wracajcie. Wyjdźcie i zostawcie nas w spokoju. Damy sobie radę bez was i waszych osądów.

Już miałem powiedzieć, że nikogo nie osądzam, ale uświadomiłem sobie, że moje słowa nic nie zmieniają. Pokręciłem głową i obaj wyszliśmy.

– Bardzo dobrze, wyjdźcie stąd. – Alberta Gradduk mówiła już normalnym głosem, czyli słabym i ochrypłym szeptem.

– Idziemy. – Otworzyłem drzwi wejściowe. – Życzę pani spokojnego dnia.

Współczuję z powodu Eda.

Siedzieliśmy już w samochodzie.

– Wszedł bez pukania, nie przedstawiając się, z bronią w ręku – mówiłem. – Był zaskoczony i zaniepokojony, że zastał matkę. Kiedy tylko pojawił się Ed, Padgett zażądał, żeby wyszła. Ed kazał jej zostać.

Joe milczał.

– Miał zginąć – powiedziałem. – Matka uratowała Edowi życie, przynajmniej wtedy. On wiedział, o co chodzi, i uciekł.

Joe miał kamienną twarz, wzrok zacięty. Wiedziałem, że teraz mogę liczyć na jego poparcie. Pochodził z gliniarskiej rodziny, większą część życia poświęcił na to, żeby stać się najlepszym policjantem w tym mieście. Sama myśl o skorumpowanym funkcjonariuszu budziła w nim odrazę i wściekłość.

– To co, jedziesz ze mną? – zapytałem.

Uśmiechnął się zimno.

– Do diabła – rzekł. – Ja prowadzę.

Rozdział 12

Byliśmy spóźnieni. Jeszcze pięć minut i nie zastalibyśmy Cala Richardsa w naszym biurze. Kiedy zajechaliśmy na parking, właśnie wsadał do samochodu. Gdy nas zobaczył, wysiadł.

– Panowie. Dobrze się składa, że wróciliście. – Uśmiechnął się.

– Co się stało? – zapytał Joe.

– Pozwoli pan, że pójdziemy do was, do biura? Gorąco tu jak wszyscy diabli.

Kiedy weszliśmy do biura, Richards usiadł naprzeciwko nas i dramatycznie odchrząknął.

– A więc, ledwie wyjechałem na jeden dzień, a już dostałem skargę na wasze zachowanie.

– Od kogo? – Naprawdę byłem ciekaw.

– Od Jerome’a Hugginsa. Rozmawiałem z nim niecałą godzinę temu. Powiedział mi, że dwóch białych chłopaków, prywatnych detektywów, przyszło do niego ra-no i niepokoiło go. Powiedział, że starszy był w porządku, ale młody był . . . narwany.

Jerome chyba nie wspomina go z rozczuleniem.

– W tym mieście jest mnóstwo prywatnych detektywów – powiedziałem. – To mógł być ktokolwiek.

Richards przewrócił oczami.

– Nie marnujmy czasu na bzdury, okej? Nie chcę was za to łapać za jaja, Perry.

Mógłbym to zrobić, ale nie chcę. Wiem, że badacie przeszłość przyjaciela, i nie robię z tego powodu problemów. Chciałbym tylko dowiedzieć się cokolwiek, z tego, co wy-kryliście.

– Co robiłeś w sklepie z alkoholem? – zaatakowałem.

Przejechał dłonią po ściętych najeża włosach.

– Chciałem potwierdzić parę spraw u Jerome’a, to wszystko.

Uśmiechnąłem się.

– Kłamiesz, detektywie.

– Słucham?

– Jesteś za dobry, żeby nie zająć się kamerami w tym sklepie.

Richards siedział przez minutę z obojętnym wyrazem twarzy. Joe zaśmiał się cicho.

– Zabiłeś mu ćwieka, L.P. Jednym tchem nazwałeś go kłamcą i powiedziałeś komplement. Facet nie wie, co teraz powiedzieć.

Richards pozwolił sobie na uśmiech.

– Rozważam różne możliwości, to pewne. I nadal będę robić swoje, Perry. Fakt, jestem za dobry, żeby się nie zająć kamerami.

– Jakiś pomysł, kto kazał je zamontować?

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Jerome trzyma się uparczywie wersji, że są tam od lat. Jedno spojrzenie wystarczy i wiadomo, że to bzdura, ale jeszcze nie jestem gotów, żeby go zamknąć i wyciągnąć z niego prawdę. Zaciekawilo mnie to i tyle. Huggins będzie do dyspozycji, kiedy będę go potrzebować.

– Rozumiem.

– A co wy macie? Jakiś pomysł, kto pociąga za sznurki przymocowane do Jerome’a?

Popatrzyłem na Joego. Odpowiedział mi obojętnym spojrzeniem. Po chwili wahania postanowiłem zaufać Calowi Richardsowi.

– Myślę, że twoi gliniarze go wrobili. I że go zabili. Z rozmysłem.

Cal nabrał powietrza i powoli zrobił wydech.

– Znowu chcecie mi coś wmówić?

Opowiedziałem mu o niespójnościach między raportem policyjnym a relacją Alberty Gradduk. Powiedziałem też, że Padgett i Rabold obserwowali dom Mitcha Corbetta.

Richards kręcił głową z dezaprobatą.

– Ci faceci są od dawna glinami, Perry. Może nie z tych najlepszych, ale są tu od dawna. Jesteś cholernie bezczelny. Sugerujesz, że brali udział w spisku. I w mor-derstwie.

– Wrobili go, Richards. Wrobili go i sprzątnęli. Ed był niewinny.

Westchnął.

– Słuchaj, Perry. Powiem ci coś, bo uważam, że zasługujesz, żeby o tym wiedzieć. Myślę nawet, że powinieneś o tym wiedzieć. Wydałem nakaz przeszukania do-mu Gradduka i jego samochodu. Wiesz, co znaleziono? Bagażnik wozu zapchany butelkami z zapalnikiem chemicznym i kilkuset metrami lontu przemysłowego. Jeszcze więcej znaleziono w piwnicy. Były tam też dwa urządzenia opóźniające domowej roboty, nastawione na piętnastominutową zwłokę, zanim podpalą lont. W sam raz, żeby wzniecić pożar przy Train Avenue.

Rewelacje nie zrobiły na mnie wrażenia.

– Nie były jego, Richards. Ktoś podłożył mu to gówno. Do diabła, Padgett i Rabold mieli mnóstwo czasu, żeby to zrobić.

– Mam też faceta, który zezna, że sprzedał Graddukowi lont. Rozpoznał go na zdjęciu i przysięgnie w sądzie.

– Nie.

Pochylił się do przodu, oparł łokcie o kolana i patrzył na mnie z powagą.

– Powiem ci, co jeszcze mam: raport koronera z sekcji zwłok ofiary. Mimo że Sentalar była bardzo popalona, stwierdzono, że nie zginęła w pożarze. W ciele była kula, w samym środku czoła. Anatomopatolodzy stwierdzą bez wahania, że był to na-bój kaliber 32. Na Eda Gradduka zarejestrowany jest tylko jeden pistolet. Też kaliber 32. Gdzieś zginął.

Milczałem.

– Można dokonać porównania balistycznego? – odezwał się Joe.

– Nie. Kula wyszła z tyłu głowy. Gdybyśmy ją mieli, można by przeprowadzić dokładne badania. Pochłonął ją ogień. Była gdzieś w rumowisku, ale strażacy nie znaleźli. Nie winię ich za to.

– Jego wrobili – powtórzyłem. – Richards, Eda wrobili.

Richards pokiwał głową.

– Dał się zrobić. Ale to nie dotyczy morderstwa. On zabił tę dziewczynę, Perry.

Myślę, że zrobili go w ten sposób, że dał się sfilmować, kiedy to robił. I chciałbym wiedzieć, dlaczego.

– Ale Padgett i Rabold...

– To dwóch starych, dobrych gliniarzy, którzy chcieli dokonać zatrzymania –

powiedział. – Tyle. Wierz mi, dobrze się przyjrzę temu Corbettowi i opieprzę ich, że wzięli go pod obserwację bez mojej zgody. Liczyli, że trafią na czołówki gazet. Jeśli są czemukolwiek winni, to wstrzymywaniu informacji. Idę o zakład, że mieli jakiś cynk, ale nie chcieli go podać dalej, bo doszedłby do mnie i straciliby powód do chwały.

Podszedłem do okna, stanąłem tyłem do niego, zaciskając pięści.

– Wiem, że był twoim przyjacielem – mówił Richards. – Ale on ją zabił. Jestem tego prawie pewien.

Nie odpowiedziałem. Siedział przez jakiś czas, wreszcie powiedział Joemu do widzenia i wyszedł. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, milczeliśmy. Zostałem przy oknie. Joe się odezwał dopiero po paru minutach.

– W porządku. Co innego chciałeś od niego usłyszeć. Ale to nie znaczy, że praca, którą wykonaliśmy rano, poszła na marne. Wróćmy teraz do tego i się skoncentrujmy.

Odwróciłem się od okna. Nadal byłem zły.

– Joe, on jest przekonany o winie Eda. Odrzucił wszystko, co daliśmy mu na tych gliniarzy.

– Nie odrzucił. To dobry detektyw. Może równie dobry jak ty. Weźmie to, co mu daliśmy, połączy z tym, co sam znalazł, i pójdzie dalej. Do diabła, a ty co? Spodziewałeś się, że podskoczy i będzie wycinać hołubce na myśl, że dwóch jego podwładnych zrobiło Gradduka? Daj spokój.

Z niechęcią przytaknąłem i wróciłem na krzesło.

– Okej. Słucham. Jaki mamy plan? Zaczynamy od kamer?

Poprawił krawat i zmarszczył brwi.

– Raczej nie. Żeby się dowiedzieć o nich prawdy, trzeba by złamać Hugginsa.

Sądzę, że można to zrobić, wiążąc go z Padgettem i Raboldem. Zacząłbym raczej od dokładnego przyjrzenia się tym dwóm. Chcę się dowiedzieć, skąd są od jak dawna służą w policji, nad jakimi sprawami pracowali, z kim piją, z kim sypiają. Pierwszą rzeczą którą chcę poznać, kiedy prowadzę śledztwo w sprawie brudnych glin, jest ich obyczajność.

– Myślisz, że coś znajdziemy?

Pozwolił sobie na znaczący uśmiezek. Raczej mu się nie zdarzało popadać w zarozumiałość, tym razem jednak pofolgował swojej próżności.

– L.P., jeśli zechcę, mogę dostać książeczkę czekową ich szefa.

– Więc zadzwoń. Ale o czymś zapominasz.

– Tak?

– O Mitchu Corbetcie.

Odetchnął głęboko i pokiwał głową.

– Cholera, masz rację. Zapomniałem o nim. Jeśli jest ważny dla Padgetta, musi być ważny i dla nas.

Powiedziałem mu, czego się dowiedziałem z wczorajszych rozmów telefonicznych. Prawdę mówiąc, niewiele wniosły.

– Jego brat twierdził, że nie utrzymują kontaktów. Może faktycznie nie przepa-dają za sobą a może to zasłona dymna, bo ukrywa Mitcha u siebie.

– W porządku – rzekł Joe. – Zróbmy tak: dziś po południu ty rozpracowujesz Corbetta, zbierasz wszystko, co się da. A ja zajmę się wszystkim, co dotyczy Padgetta i Rabolda.

Rodzina nie okazała się szczególnie pomocna w moich poszukiwaniach Corbetta, jedyny znany mi jego przyjaciel nie żył. Pozostawali współpracownicy. Jimmy Cancerno, szef Corbetta, poprzedniego dnia nie był zbyt chętny do współpracy. Postanowiłem, że pojedę do spółki budowlanej Cancerno i porozmawiam z każdym, ko-go tam spotkam. Jeśli Ed i Corbett zaprzyjaźnili się w pracy, do ich paczki mogło nale-

żeć kilku innych koleśków.

Pinnacle Properties, spółka kontraktowa Cancerna, usytuowana była przy Pearl Road, tuż obok cmentarza Riverside. Po drugiej stronie międzystanowej znajdował się szpital miejski, w którym mój ojciec pracował całe lata jako sanitariusz. W szpitalu mieściła się najbardziej obłożona pracą izba przyjęć w mieście. Pamiętam do dziś ten rozchodzący się na całą okolicę dźwięk, kiedy karetki, kursujące całą dobę jechały na sygnale. Teraz też, o kilka przecznic dalej, usłyszałem zawrozenie syreny ambulansu.

Ledwie ucichła, w oddali rozległo się dudnienie łopat śmigłowca pogotowia ratunko-wego lecącego w stronę lądowiska na dachu szpitala.

Spółka miała siedzibę w długim magazynie z elementów prefabrykowanych.

Obok było biuro, na parkingu stało kilka samochodów. Wsiadłem z ciężarówki i wszedłem do biura.

Za jedynym biurkiem siedziała młoda blondynka o miłym uśmiechu. Powiedziałem, że szukam Mitcha Corbetta. Wydawała się nieco zakłopotana.

– Mitch nie pracował w tym tygodniu. Nie wiem, co się stało. Ale mogę połączyć się przez radio z budową i sprawdzić, czy pojawił się dzisiaj.

– Wie pani co, proszę mi powiedzieć, gdzie oni są a ja tam pojadę. Jeśli Mitcha nie zastanę, zawsze będę mógł porozmawiać z... – Ściągnąłem brwi i dotknąłem dłońią czoła, jakbym nagle doznał zaćmienia pamięci.

– Jeffem.

– Zgadza się, z Jeffem. – Uśmiechnąłem się do niej. – Pogadam z nim, gdyby Mitcha nie było. Gdzie oni są?

Podawała mi adres przy Erin Avenue. Podziękowałem, wróciłem do ciężarówki i pojechałem ulicą na północ aż do Dwudziestej Piątej Zachodniej, tuż za Clark Avenue.

Skręciłem w lewo, w Erin Avenue i zwolniłem, przyglądając się numerom domów.

Żeby znaleźć ten, którego szukałem, nie musiałem sprawdzać adresu; przed domem stała furgonetka Pinnacle Properties. Dom był wąski, piętrowy bliźniak, który czasy świetności miał już za sobą. Stos śmieci i gruzu leżał na chodniku, a wyblakła tabliczka wbita w zarośnięty zielskim trawnik głosiła, że dom należy do Wspólnoty Mieszkańców.

Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy. Kiedy wchodziłem na schodki, z wnętrza

trza słyszałem stereo, Lybyrd Skynyrd śpiewał Gimme Three Steps. Z trzaskiem otworzyły się boczne drzwi i wyszedł rudy grubas bez koszuli, a za nim mężczyzna w latynoamerykańskim typie, o widocznej rzeźbie muskulatury. Obaj nieśli wypchane torby.

Rzucili je na stertę śmieci. Torby stoczyły się natychmiast na chodnik i coś w nich zabrzęczało. Latynos odwrócił się obojętnie i zobaczył, że stoję przy drzwiach. Rudy zbierał torby i rzucał je na stos śmieci.

– To teren prywatny – uprzedził Latynoamerykanin. – Masz pan powód, żeby tu być? – Jego kompan odwrócił się i patrzył na mnie z zaciekawieniem.

Podszedłem bliżej.

– Jak leci? Szukam Jeffa.

– Znalazłeś go – odparł rudy. – Jeff Franklin. – Ściągnął grubą roboczą rękawicę i podał mi mięsistą dłoń. Uścisnęliśmy ręce, obaj mrużyliśmy oczy przed słońcem, któ-

rego nie przesłaniały tutaj drzewa. Latynos splunął na chodnik. Wyglądał na znudzonego.

– Nazywam się Lincoln Perry. Mam nadzieję, że pomożesz mi kogoś znaleźć.

– Tak?

– Mitcha Corbetta.

Jeff Franklin spojrział na mnie z zainteresowaniem, wyciągnął z tylnej kieszeni czerwoną bandanę i wytarł nią twarz. Barylkwatą, porośniętą gęstymi, rudymi włosami pierś zlewał mu pot, ramiona miał pokryte piegami.

– Obawiam się, że Mitch zaginął. Nie ma go od paru dni.

– Czy to coś niezwykłego?

Pokiwał głową.

– Bardzo. Pracowałem z nim ponad rok i nie pamiętam, żeby wziął sobie chociaż jeden wolny dzień. Ten człowiek potrafi tyrać jak wół.

– A ty coś za jeden, glina? – zapytał Latynos i znów splunął na chodnik.

– Nie. Po prostu ktoś, kto musi porozmawiać właśnie z tym człowiekiem. – Skinąłem głową na Jeffa Franklina, dając do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany ani obecnością tego drugiego, ani konwersacją z nim. Franklin szybko załatwił sprawę.

– Ramone, idź do środka i pomóż chłopakom. Mamy dzisiaj jeszcze kupę roboty.

Osilek wzruszył ramionami i wrócił podjazdem, ramiona miał przygrabione, szedł rozkołysanym krokiem. Jeff Franklin popatrzył za nim i westchnął, schował bandanę do kieszeni.

– Mogę zapytać, po co panu Mitch?

W Jeffie Franklinie dostrzegłem coś, co mi się podobało. Zachowywał się śmia-

ło, był naturalny i odniosłem wrażenie, że jeśli mówi się do niego wprost, odwzajemnia się tym samym.

– Jestem prywatnym detektywem. Ed Gradduk, wiele lat temu, był moim przyjacielem.

Spojrział na mnie smutnym wzrokiem.

– Usiądźmy. Chce pan colę?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, jego już nie było. Poszedł do furgonetki, wyjął z lodówki dwie puszki coli i wrócił podjazdem na zapadający się ganek. Usiadł, otworzył

jedną puszkę, a drugą podał mnie.

– Ed był dobrym człowiekiem – powiedział, kiedy się napił. – Pracował z nami zaledwie pół roku, ale to wystarczy, żeby faceta dobrze poznać. Lubiłem go.

– Ja też.

Napił się jeszcze trochę, stłumił beknienie i przyjrzał się mi.

– Myśli pan, że zabił tę kobietę?

Pokręciłem głową.

– Nie, nie myślę tak. I dlatego jestem tutaj.

– Szuka pan Mitcha? Co on ma z tym wspólnego?

– Może nic. Ale nie będę wiedział, dopóki go nie zapytam. I trochę się niepokoję, że zaginał. Powiedziano mi, że Ed i on byli w bliskich stosunkach.

– Byli. – Znowu wyciągnął bandanę z kieszeni. Trzymał ją niedbale w jednej rę-

ce, w drugiej puszkę z colą. – Mitch i Ed się dobrali. Oczywiście, Mitch był jakieś dwadzieścia lat starszy, ale mieli podobną osobowość, rozumiesz? Śmieli się z dowcipów, których nikt inny nie uważał za śmieszne, spostrzegali rzeczy, których nikt inny nie widział. Tak, dobrali się jak w korcu maku.

– Od dawna znasz Corbetta?

Przygryzał wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Chyba prawie dwa lata. Tyle pracuję dla Jimmy’ego, a Mitch już tu był, kiedy przyszedłem. Jest brygadzystą.

– Zatem od dawna pracuje na budowach?

– Całe życie. Poszedł do wojska i wrócił jako specjalista od wyburzeń. Zatrudnił się u Jimmy’ego. I od tego czasu u niego został.

– Mówisz, że był specjalistą od wyburzeń?

Chyba chciał przytaknąć, ale się powstrzymał. Zmrużył oczy.

– Myślisz o tym pożarze?

– Może.

Wzruszył ramionami.

– Facet, Mitch to dobry człowiek.

– Ed też taki był.

– Zgadzasz się. I dlatego uważam, że żaden z nich nie miał z tym nic wspólnego.

– Widziałeś Mitcha od śmierci Eda?

– Nie. Ostatni raz widziałem Mitcha na dzień przed tym, jak się to wszystko zaczęło. – Zgniół puszkę po coli i popatrzył na mnie. – A ty myślisz, że ci dwaj wleźli w coś razem, co?

– Niewykluczone. Masz jakiś pomysł?

Pokręcił głową. Uwierzyłem mu. Wyglądało na to, że z chęcią by mi pomógł, gdyby tylko był w stanie.

– Muszę porozmawiać z kimś, kto go dobrze znał. – Do diabła, pomyślałem, dobrze znał obu. – Zaczynam od zera. Zbieram wszystko.

Jeff Franklin zmarszczył brwi.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Pracujemy razem, ale niewiele się mówi poza tym, co zwykle, no wiesz. Sport, samochody, kobiety i takie tam. Mam czworo dzieci, więc po fajrancie zbieram się i wychodzę. Nie mam czasu, żeby obijać się z chłopaka-mi. Tyle wiem, że Mitch i Ed byli zaprzyjaźnieni.

– Nie znasz nikogo innego, z kim Corbett spędzałby czas?

Znów przygryzł wargę.

– Wiem, że pracował społecznie, wieczorami i w weekendy. W jakiejś sali gimnastycznej przy Clark Avenue. Sędziowanie w meczach koszykówki, trenowanie dzieciaków, coś takiego.

– Ośrodek Sportów przy Clark? – zapytałem, a on skinął głową.

– Żałuję, ale to wszystko, co mam dla ciebie.

Kiedy odchodziłem, Jeff Franklin poprosił, żebym do niego zadzwonił, jeśli się dowiem czegoś o Mitchu. Obiecałem mu to.

– Nie ma nikogo, kto mógłby się o niego martwić – dodał. – Żadnej rodziny, o której warto byłoby mówić, i niewielu przyjaciół. Facet zamknięty w sobie. Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy pójść na policję, ale mówią, żebym się nie trudził; mówią że Mitch ma się świetnie i że wróci, kiedy tylko będzie gotów do powrotu. Ale wiesz co? Nie jestem tego wcale taki pewien.

Rozdział 13

Pamiętam z czasów dzieciństwa, że ośrodek przy Clark był dla mnie miejscem szczególnym. Relikt z innej epoki, ale to właśnie stanowiło o jego wyjątkowości. Znajduje się tam kryty basen – atrakcja zwłaszcza zimą dla dzieciaka z Cleveland – ale nie jest to nierdzewny zbiornik z jarzącymi się światłami, jak we współczesnych basenach YMCA. To raczej wąski brodzik wykładany kafelkami, z malowanymi ścianami, oświetlony akwamarynowym poblaskiem z filtrujących naturalne światło świetlówek w suficie. Tutaj nauczyłem się pływać, a kiedy dorośli nie widzieli, skakać na nogi do wody, po wariacku.

Boisko do siatkówki przypomina klatkę. Otoczone jest kamiennymi ścianami i nieco zagłębione w ziemi. Wokół nie ma trybun dla widzów, ale są balkony i tam się siada, chcąc oglądać grę na dole. Na balkonie wymalowane jest „Clark Warriors”.

Prawdopodobnie tak nazywa się ligowy zespół ośrodka, ale kiedyś zawsze kojarzyłem to z „West Tech High School Warriors”. W tym zapętleniu czasu, jakim zdawała się sa-la gimnastyczna, nauczyłem się rzutów, nauczyłem się uważać na środkowy atak przeciwnika, żeby nie dać się zwieść, podczas gry w obronie odpierać atak.

Na terenie przed boiskiem stoją stoły piknikowe. Można tam także zagrać w piłkarzyki i ping-ponga. Od tej strony wszedłem z ulicy po rozmowie z Jeffem Franklinem. Przy jednym ze stołów siedziały dzieci i rysowały coś kredkami na papierze pakowym. Stała nad nimi schludna czarna kobieta. Poszedłem w lewo, szukając mniej zajętego dorosłego, ale nie mogłem się oprzeć, żeby nie zajrzeć na stary basen. Na ścianach wymalowano teraz jaskrawą farbą ryby, a obok umieszczono tabliczki informujące, że nie wolno wnosić broni palnej do budynku. Zauważyłem także fotografię młodej dziewczyny. Nad jej głową czarnymi, wielkimi literami było napisane „Zaginio-na”. Głęboko odetchnąłem przesyconym chlorem powietrzem, pokiwałem głową i wróciłem na teren rekreacyjny.

Było tam zadziwiająco cicho. Stoły okupował co najmniej tuzin dzieciaków.

Czarna kobieta klęczała przy dziewczynce, chyba ośmioletniej, która płakała. Szeptwała do niej uspokajająco, a dziewczynka kiwała głową i pociągała nosem. Miała długie brązowe warkocze, wielkie oczy i wyglądała na zmęczoną. Zdaje się, że przed chwilą była jakaś kłótnia i bijatyka. Opiekunka prawdopodobnie zareagowała w ten sposób, że nakazała za karę milczenie.

Podszedłem do jednego ze stołów, stanąłem kilka metrów za grupą i spojrze-

łem z góry na to, co dzieci rysowały. To, co zobaczyłem, sprawiło, że uniosłem brwi i podszedłem bliżej. Jedna dziewczynka narysowała ludzi ze smutnymi twarzami i nie-bieskimi łzami na policzkach. Dziecięcy sposób widzenia cierpienia i smutku. Nad nimi w chmurach unosiła się postać kobieca z aureolą wokół głowy. Chłopiec obok rysował

ołówkiem, a nie kredkami. Miał zdolności artystyczne. Jego rysunek przedstawiał

komplement. Kilka małych kamieni nagrobnych otoczonych było większymi pomnikami; wszystkie nagrobki narysowane mocnymi, ciemnymi liniami, ziemia i niebo zaznaczone lekką szarością. Jediną barwną plamą na rysunku były płatki kwiatów pod wielkim pomnikiem. Ich jaskrawe kolory ostro kontrastowały z ciemnym tłem. Cholernie dobry obrazek jak na dziecko w tym wieku. Patrzyłem

zafascynowany, jak pracuje, lekko i pewnie trzymając ołówek. Prawdopodobnie nigdy się nie uczył rysunku.

Czarna kobieta wreszcie mnie zauważyła, tłumaczyła coś cicho dziewczynce, potem podeszła do mnie. Przeczytałem na identyfikatorze: STACEY.

– Witamy w ośrodku – powiedziała szeptem. – Czym mogę panu służyć?

Wymusiłem uśmiech, który w tym miejscu chyba był niestosowny.

– Kiedy dorastałem, spędzałem tu mnóstwo czasu.

– Zatem jest to nostalgiczna wizyta? – Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Niezamierzona – dodałem. – Ale prawdziwy powód jest taki, że chcę zapytać o Mitcha Corbetta. Słyszałem, że pracował tutaj społecznie.

– Tak. – Z troską spoglądała na dziewczynkę, od której odeszła. Dziecko znowu płakało, ocierając oczy piąstkami. – Mitch bardzo pomagał przy prowadzeniu drużyny koszykówki. Przychodzi tutaj od lat. Dzieciaki na pewno powiedzą panu, że jest najlepszym na świecie graczem w piłkarzyki.

– Kiedy był ostatnio?

Na jej twarzy pojawił się niepokój.

– Co się stało?

– Nic się nie stało. Jestem prywatnym detektywem. Przypuszczam, że Mitch Corbett mógłby udzielić mi informacji, które ułatwiłyby wyjaśnienie sprawy. Myślałem, że go tu złapię, ale nie miałem szczęścia.

Objęła się ramionami i cofnęła o krok.

– Rozumiem. Niestety nie mogę panu pomóc. Ma tu przyjść dopiero w następny weekend.

– A więc kiedy był ostatnio?

– W sobotę.

Sobota była cztery dni temu, zanim wybuchł pożar przy Train Avenue.

– Rozumiem, że wtedy widziała go pani po raz ostatni?

– Tak. Mówi pan szczerze? Jest pan pewien, że Mitchowi nic się nie stało?

– Nic na ten temat nie wiem – odpowiedziałem, w zasadzie szczerze.

– Dzięki Bogu. – Położyła rękę na sercu. – Ostatnia rzecz, którą chciałabym zrobić, to powiedzieć

tym dzieciom, że coś się stało Mitchowi.

Wskazałem ruchem głowy na stół, przy którym rysowały dzieci.

– Przepraszam, nie powinienem pytać, ale wygląda na to, że nastroje są posępne. Rysunki też.

– To smutny dzień. Dzieci właśnie się dowiedziały, że straciły przyjaciela. Musiałam im o tym powiedzieć. Zaproponowałam, żeby rysunkiem wyraziły swoje odczucia. W tym wieku czasem lepiej udaje się to zrobić za pośrednictwem rysunku niż słów.

– Przykra sprawa. Ale pomysł z rysunkami wydaje się dobry.

– Bardzo się w to zaangażowały.

Patrzyłem na dziewczynkę z brązowymi warkoczami. W końcu wzięła kredkę i wróciła do rysowania. Zagryzała wargi, powstrzymując się od płaczu.

– Czy zmarłe dziecko było szczególnie bliskie dziewczynce, z którą pani rozmawiała?

Stacey pokręciła głową.

– Lily ma też kłopoty rodzinne, z którymi musi sobie poradzić. Dzisiaj chyba problemy ją przerosły. A przyjaciel to osoba dorosła.

– Myślałem, że z grona rówieśników?

– Nie. Może pan słyszał o tym w wiadomościach. O tej biednej kobiecie, która zginęła w pożarze?

Popatrzyłem na nią uważnie. Odpowiedziała mi uniesieniem brwi.

– Słyszał pan o tym?

– O Anicie Sentalar?

– Tak. To okropne, prawda?

Odwróciłem od niej wzrok, popatrzyłem znowu na dzieci i ich rysunki.

– Anita Sentalar pracowała tutaj?

– Nie. Ale przyszła pewnego dnia, w ubiegłym tygodniu i spędziła z dziećmi popołudnie. Była słodka. Wszyscy ją pokochali. Miała wrócić dzisiaj. To dlatego musiałam im powiedzieć.

– Dlaczego tu przyszła?

– Właściwie to przyprowadził ją Mitch. Dzieciaki uwielbiają Mitcha. Zawsze jest w pobliżu. Dlatego wystraszyłam się tak bardzo, kiedy zapytał mnie pan o niego. Nie zniósłabym, gdybym musiała im powiedzieć, że i Mitchowi coś się stało.

W przerwach rozmowy słyszałem skrzywienie kredek i ołówków na papierze.

Panowała taka cisza.

– Czy pani wie, dlaczego Anita Sentalar była z Mitchem Corbettem? – zapyta-
łem. – Czy byli kochankami?

Pokręciła głową

– Jestem pewna, że nie. Powiedział, że pokazuje jej sąsiedztwo.

– Pokazuje sąsiedztwo – powtórzyłem.

– Stacey – powiedziała szeptem dziewczynka z brązowymi warkoczami.

Stacey okrążyła stół i skinęła na mnie, żebym poszedł za nią. Dziewczynka z warkoczami zapytała, czy może iść do łazienki. Twarz miała zaczerwienioną, ze śladami łez. Kiedy dziewczynka wyszła, popatrzyłem na jej rysunek. Wstrząsający. Wysoki dom, z mnóstwem okien, starannie narysowany, skrzący się jaskrawymi kolorami. Na szczycie widniała postrzępiona, czarna dziura, z której buchały pomarańczowe płomienie.

Ściągnąłem brwi i wskazałem na rysunek.

– Powiedziała pani dzieciom, jak zginęła Anita Sentalar?

– Nie. Tego rodzaju szczegóły zostawiam rodzicom. Powiedziałam tylko, że nie żyje i powinniśmy się cieszyć, iż spędziliśmy z nią dzień.

– Jak pani tłumaczy, że dziewczynka narysowała ogień?

– Jak już mówiłam, w domu Lily jest sytuacja kryzysowa. Do końca miesiąca mieli się przeprowadzić do nowego domu. Była bardzo podniecona. Potem ich dom spłonął.

– To nie był dom przy Train Avenue?

– Nie, tutaj, przy Clark. Właściwie, to przecznicę dalej. Ale to był jeden z do-mów Anity.

– Słucham?

Stacey podniosła palec, żebym poczekał i podeszła do półek przy ścianie, na których leżały gazety i broszury. Formularze dla chętnych do uczestniczenia w róż-

nych zespołach czy zajęciach prowadzonych przez ośrodek. Przyniosła broszurę i po-dała mi ją.

Na pierwszej stronie były dwa zdjęcia tego samego domu. Fotografia na górze przedstawiała rudę z wybitymi szybami i wyblakłą farbą na ścianach. Na dole piękny dom ze świeżą elewacją i nowymi

oknami. Budynek całkowicie odremontowany. Napis brzmiał: WSPÓLNOTA MIESZKAŃCÓW. REMONTY DUMĄ ZACHODNIEJ DZIELNICY.

– W środku powinno być jej zdjęcie – powiedziała.

Otworzyłem broszurę i zobaczyłem kilka zdjęć domów sprzed remontu i po nim oraz krótki tekst objaśniający, że Wspólnota Mieszkańców jest inicjatywą gminy Cleveland, której celem jest podniesienie standardów mieszkaniowych w części zachodniej dzielnicy, z funduszy federalnych. Zniszczone domy są odnawiane i sprzedawane osobom o niskich dochodach przy wsparciu federalnie zabezpieczonej hipoteki. Wspomnianego zdjęcia nie było.

Stacey zajrzała mi przez ramię.

– Może jest z tyłu.

Zamknąłem broszurę i spojrzałem na małe zdjęcie Anity Sentalar. Takie samo znalazło się na czołówkach gazet w dniu, kiedy jej ciało wyciągnięto ze zgliszczy domu przy Train Avenue. Podpis pod fotografią informował, że jest dyrektorem Wspólnoty Mieszkańców.

– Corbett pokazywał Sentalar okolicę – mówiłem – bo była zaangażowana w miejski program remontowy.

– Na to wygląda.

– A on pracuje przy tych domach. – Przypomniałem sobie tabliczkę z napisem

„Wspólnota Mieszkańców” przed domem, w którym znalazłem Jeffa Franklina. Przyglądałem się zdjęciu Anity Sentalar. I myślałem o tym, jak przyszła tutaj z Mitchem Corbettem zaledwie na kilka dni przed śmiercią.

– Pożar przy Clark Avenue zniszczył jeden z domów z tej grupy? – zapytałem.

– Tak. Rodzina Lily ustalała szczegóły kupna. Wcześniej nie mieli domu na własność, zawsze zajmowali małe mieszkanie, a mają czworo dzieci. Byli tacy podnieceni.

Serce mi pękło, kiedy się dowiedziałam, co się stało, ale Anita obiecała, że postara się o nowy dom dla nich. Dlatego ta mała była taka smutna, kiedy usłyszała, że Anita nie żyje. Obawiam się, że w jej przekonaniu dom rodzinny umarł wraz z tą kobietą.

Lily wróciła, nadal miała smutną minę. Zatrzymała się przed nami.

– Kto to jest? – Pokazała na mnie palcem.

– Przyjaciół Mitcha – odpowiedziała Stacey. Dziewczynka utkwiała we mnie spojrzeniem.

– Nasza przyjaciółka umarła – powiedziała.

Ukucnąłem obok stołu, żeby znaleźć się na jej poziomie.

– Strasznie mi przykro z tego powodu. Wiem, że musi ci być bardzo smutno.

Jeden z moich przyjaciół też niedawno zmarł. To trudne przeżycie.

– Jak umarł? – zapytała powodowana bezceremonialną dziecięcą ciekawością.

– Wpadł pod samochód. – I nie wiem dlaczego, dodałem. – Wypadek się zdarzył na tej ulicy. Nadal jest mi bardzo smutno, wiem, jak dzisiaj się czujesz.

– Trzeba być ostrożnym, kiedy się przechodzi przez ulicę.

Pokiwałem głową.

– Rozejrzeć się w obie strony, prawda?

– Prawda. – Wspięła się na ławkę i wzięła kredkę.

Wstałem i zobaczyłem, że Stacey uważnie mi się przygląda.

– Pański przyjaciel zginął na Clark Avenue?

– Tak.

– Ed Gradduk?

– Tak.

Twarz zaczerwieniła się jej z gniewu.

– To pan nie wie? On jest...

– Jest niewinny – oświadczyłem stanowczo. – Tak, wiem. I myślę, że może właśnie dzięki pani tego dowiodę.

Rozdział 14

Działka przy Clark Avenue była pusta, upał wysuszył trawę, ziemia spieczona pękała. Rumowisko uprzątnięto, zostały tylko resztki fundamentów. Pamiętałem jednak ten dom. Piętrowy, jasnoniebieski, z kratownicą u podstawy werandy. Nigdy nie byłem w środku, ale przechodziłem obok prawie codziennie przez kilka lat. Starszy mężczyzna, który tutaj mieszkał, miał dmuchawę do śniegu, chyba jedyną na cały kwartał. Zimą odśnieżał swój podjazd, podjazdy sąsiadów, a potem chodnik, aż do znaku stop. Nosił wielką, futrzaną czapę i kojarzył mi się z bohaterami rosyjskich filmów szpiegowskich. Kiedy pracował przy dmuchawie, palił cygaro. Machał do każde-go.

Tej zimy, przy obfitych opadach, śnieg wypełnił stare fundamenty, zasypie je i nie będzie nawet

wiadomo, że tutaj stał dom. Patrzyłem na osmalone kamienie i my-

ślałem o dziewczynce z warkoczami. To miał być jej dom rodzinny. Czwooro dzieci, powiedziała Stacey.

Obszedłem podwórko, wznosząc kłęby pyłu. Stałem w jego wewnętrznej części i spojrzałem przed siebie, na ulicę, której dom już nie zasłaniał. Przedwczoraj przechodziłem obok, w pośpiechu, i ledwie przystanąłem, żeby zerknąć na działkę.

Szukałem Eda Gradduka. Właśnie on nadał starszemu mężczyźnie przydomek „rosyjski szpieg”. Nazwał go agentem X, a dom kwaterą główną KGB.

To wszystko było tak dawno.

Opuściłem podwórko i poszedłem do ciężarówki. W głowie miałem słowa starej piosenki Springsteena: „Słyszałem, jak głos przyjaciela niknie w oddali”. Zawsze uważałem, że to dobra piosenka.

Joe dzwonił gdzieś, kiedy przyszedłem, ale szybko odłożył słuchawkę.

– Długo cię nie było, L.P.

– Tak.

– Znalazłeś chociaż coś interesującego?

– Dom przy Train Avenue należał do Wspólnoty Mieszkańców, miejskiej inicjatywy remontowej. Anita Sentalar była dyrektorem tej organizacji. Brygada budowlana Cancerna zajmuje się remontami. Pracowali w niej zarówno Ed, jak i Mitch Corbett. W

ubiegłym tygodniu spłonął inny dom tej wspólnoty. Przy Clark Avenue. Corbett był

specjalistą od wyburzeń. Wiedział, jak skutecznie podłożyć ogień. W ubiegłym tygodniu widział się z Sentalar.

– Nie było cię trzy godziny – powiedział Joe. – I tylko tyle znalazłeś?

Uśmiechnąłem się.

– No nie, muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Mimo że relacja była nudna i za wiele się nie dowiedziałem. Powtórz, ale ze szczegółami i innym tonem.

– Ton też mam poprawić? Może słodkim sopranem?

– A co, będzie się różnić od twojego normalnego głosu?

Opowiadanie z detalami zajęło mi trochę więcej czasu. Powiedziałem, jak spę-

dziłem popołudnie, nie pominąłem rozmowy z Jeffem Franklinem i Stacey w ośrodku sportów.

– Ten drugi pożar wydaje się bardzo ważny – mówiłem. – Corbett, który jest specjalistą od wyburzeń, gdzieś zniknął. A kto włóczył się z Sentalar po zachodniej dzielnicy, zaledwie kilka dni zanim znaleziono jej ciało w pogorzelisku?

– Podejrzany jak wszyscy diabli – uznał Joe. – Ale to niekoniecznie oczyszcza twojego przyjaciela z zarzutów.

– Nie mówię, że jest inaczej. Ale najlepszy sposób, żeby oczyścić Eda, to znaleźć winnego śmierci Sentalar. Tymczasem Corbett nieźle do tego pasuje.

– Ale nie pasuje do twojej teorii o Padgetcie i Raboldzie. Przynajmniej na razie.

Pokiwałem głową.

– Na razie. Ale widzieliśmy Padgetta, czatującego pod domem Corbetta. To już jest jakieś powiązanie. Znalazłeś coś interesującego o tych dwóch glinach?

Machnął ręką.

– Nie mam jak ty rewelacji, ale jest parę ciekawych wątków. Obaj całe życie mieszkali w Cleveland. Padgett jest samotny, wcześniej był żonaty, a Rabold ma żonę i dziecko. Obaj zdają się żyć trochę ponad stan swoich zarobków. Padgett jeździ nowym dżipem i jest właścicielem łódki wartej jakieś trzydzieści, czterdzieści tysięcy.

Dom ma dość skromny, ale należy do niego także część domku na Florydzie, nad zatoką. Może po prostu ma pieniądze. Dom Rabolda kosztował go prawie trzysta tysięcy,

a hipoteka jest tylko na połowę tej sumy. Jego żona pracuje, tylko społecznie, w szkolnej bibliotece.

– Myślisz, że są na czyjejs liście płac?

– Nieźle do tego pasują.

– A historia ich służby?

– Pracuję nad tym. Pamiętasz Amosa Lorenzona?

– Oczywiście. To był pierwszy gliniarz, z którym jeździłem, kiedy skończyłem akademię policyjną. Dobry gość, ale szybko się nauczyłem nie zadawać zbyt wielu pytań. Robił się nerwowy.

– Pewnie. Za wiele pytań od żółtodzioba i ma się wrażenie, że pracuje się samemu. Tak, czy inaczej, Amos jest teraz w centrali, czyta mnóstwo raportów dyscyplinarnych i ma oko na chłopaków z patroli. Zadzwoniłem do niego i powiedziałem, w czym rzecz.

– Idę o zakład, że poczuł się niezręcznie po takiej prośbie.

Pokiwał głową.

– Tak, wyobrażam sobie. Ale obiecał, że przejrzy archiwa i skontaktuje się z nami. Będzie trochę ostrożniejszy z udzielaniem nam informacji niż paru innych chłopaków, do których mógłbym zadzwonić, ale różnica polega na tym, że on umie trzymać gębę na kłódkę. To ważne.

– Będzie trzymać gębę na kłódkę – zapewniłem z uśmiechem. – Pamiętam, że kiedy miał operację chirurgiczną, dopiero po pół roku dowiedzieliśmy się, gdzie był

przez te dwa tygodnie. Powiedział, że to nie nasz interes, wziął urlop ze względów osobistych i nie wspomniał, że chodzi o sprawy zdrowotne. Mówił coś o prywatności.

– Prawda. Właśnie dlatego wybrałem jego do tej roboty. Spodziewam się, że zadzwoni jutro.

– Chciałbym dzisiaj jeszcze raz spotkać się z Jimmim Cancernem – powiedział-

łem. – Pracował dla Wspólnoty Mieszkańców, dawał robotę obu, Edowi i Corbettowi.

– To do niego zadzwoń.

Chwyciłem książkę telefoniczną i wyszukałem numer do Pinnacle Properties.

Sekretarka miała złe wiadomości: Jimmy wyszedł na cały dzień i, mimo moich usilnych próśb, nie chciała mi podać numeru jego komórki.

– Co z twoim kolesiem? – zapytał Joe, kiedy powiedziałem mu, że jest problem.

– Tym, który jest właścicielem baru?

Wyszukałem w książce telefonicznej numer Kryjówki i minutę później rozmawiałem z Draperem.

– Jasne, mam jego numer – powiedział, kiedy wysłuchał mojej prośby. – Ale lepiej, żebym ja do niego zadzwonił, nie ty. Jest szansa, że go tu ściągnę. Tobie mógłby po prostu powiedzieć, żebyś poszedł do diabła, i się rozłączyć.

– Dobrze. Oddzwoń, Scott. I dziękuję.

– Dla ciebie wszystko.

Po chwili zadzwonił telefon.

– Jimmy przyjdzie za dwadzieścia minut – mówił Draper. – Niezbyt spodobał mu się ten pomysł, ale powiedziałem mu, że jesteś porządny gość.

Czyżbym wyczuł sarkazm w jego głosie? Nie byłem pewien.

– Okey, Scott. Zaraz będziemy. Dzięki.

– Nie ma sprawy. Chcesz, żebym wrzucił parę cheeseburgerów na grilla?

– Może następnym razem.

Odłożyłem słuchawkę i popatrzyłem na Joego.

– Cancerno jedzie do baru Dropera. Chcesz pojechać ze mną?

– Idziemy – rzucił, wstając. Już mu chciałem podziękować, ale poczułem się niezręcznie i nic nie powiedziałem. Po postu wyszedłem za nim. Schodziliśmy z piętra w milczeniu.

Dotarliśmy do Kryjówki pięć minut przez Cancernem. Draper nie obsługiwał

baru, przysiadł się do nas. W ręku miał butelkę i trzy szklanki włożone jedna w drugą.

Postawił je na stole i do każdej nalał szkockiej. Przesunął szklaneczkę w moją stronę.

– Glenlivet. Nadal to lubisz najbardziej?

– Jest dobra – powiedziałem. – Tak jak twoja pamięć.

– Jeśli się pracuje w tym biznesie, dobrze jest pamiętać, co kto lubi wypić. –

Popchnął drugą szklaneczkę do Joego. Ten pokręcił głową.

– Za wcześnie na szkocką? – zapytał Draper.

– On pije tylko wodę – wtrąciłem.

Draper, który prawdopodobnie jasne pełne pił z piersi matki, spojrzał zdziwiony na Joego.

– Tylko wodę?

– Przesadza – odparł Joe. – Piję także mleko.

Draper rozwiązał problem: przelał zawartość szklaneczki Joego do swojej i osuszył prawie całą. Pił szkocką tak, jak ludzie piją piwo.

– No, to powiedz, co jest grane. Po co chcecie się widzieć z Jimmym?

– Słyszałeś kiedy o Wspólnocie Mieszkańców? – zapytałem.

Zmarszczył czoło i podrapał się po ogolonej głowie.

– Zdaje się, że Ed trochę u nich pracował. Wykupują domy w całej okolicy.

– Zgadza się. I wygląda na to, że chłopaki od Cancerna remontują większość z nich.

– Możliwe.

– Ta kobieta, która zginęła w pożarze – mówiłem – była dyrektorem Wspólnoty Mieszkańców. Chcę zapytać Cancerna, co o niej wie i dlaczego Ed się z nią spotkał.

Draper pociągnął jeszcze łyceczek szkockiej. Miałem nadzieję, że powie coś na ten temat, ale się myliłem.

Wreszcie przyszedł Cancerno, znowu w dzinsach i jedwabnej koszuli. Od razu było widać, że ma gdzieś uprzejmości. Skinął głową Draperowi, a nas obrzucił wściekłym spojrzeniem.

– W porządku. – Wcisnął się za stół obok Drapera. – O co, do diabła, chodzi?

– Panie Cancerno, to mój partner, Joe Pritchard.

– Wspaniale. Powtórzę: o co, do diabła, chodzi? Mam cholernie dużo roboty po południu.

– Pamięta pan kobietę, która zginęła w pożarze?

– Tę, którą zabił Graddock?

– Tę, która zginęła w pożarze – powtórzyłem z naciskiem.

– A co z nią?

– Była dyrektorem czegoś, co się nazywa Wspólnota Mieszkańców. – Nagle za-chciało mi się poddać tego gościa próbie. Ciekawe, czy będzie mówił prawdę, czy skłamię, żeby uniknąć dalszego ciągu rozmowy. – Słyszał pan o nich?

Skrzywił się.

– Jasne, że o nich słyszałem. Moje chłopaki remontują wszystkie te ich zasrane domy.

Facet walił prosto z mostu.

– Co może mi pan o nich powiedzieć?

– Niewiele. Nie wtrącam się w ich sprawy, zajmuję się swoim biznesem. Zlecają mi remont domu, bo chcą go odsprzedać, i ja robię, co każą. To jakiś projekt rządowy, miejski albo gminny. Wykupują gówno – rudere, pustą i rozwaloną, która kłuje sąsiadów w oczy. Potem ją remontują żeby dało się w niej przyzwoicie mieszkać, i osiedlają w niej biedaków. Federalni ubezpieczają hipotekę, dają finanse i załatwiają resztę tego szajsu. Chcą tu zrobić elegancką dzielnicę.

– Jeśli ma pan od nich tyle zleceń – zauważył Joe – musiał pan znać Anitę Sentalar.

Cancerno posłał mu zabójcze spojrzenie, ale Joe je wytrzymał.

– Musiałem? Obawiam się, że nie, koleś. Nie wiesz tyle, ile ci się wydaje. Dopiero teraz się dowiedziałem, że ta martwa laska ma cokolwiek wspólnego z Wspólnotą Mieszkańców. Sprawy ze mną załatwiał konsultant, no wiecie, taki, co trochę się zna na budowlance. Nie pozwoliliby dziewczynce po szkółce prawniczej kontraktować u nas remonty domów.

– Jak się ten konsultant nazywa? – zapytał Joe.

– Ward Barry. Ma dużo roboty w federalnym departamencie urbanizacji przy tego rodzaju projektach. To inżynier budowlany. Jeśli chcecie się dowiedzieć czegoś o tej kobiecie, porozmawiajcie z nim. Nigdy z nią słowa nie zamieniłem.

– A co z Edem Graddukiem? Mógł się z nią spotykać?

Cancerno, patrząc na mnie, miał w oczach stal.

– Nie wiem, chyba żeby przyszła na plac budowy zobaczyć, jak idzie robota. To możliwe. Kurde, ja go nigdy nikomu nie przedstawiałem. I dobrze. Mam teraz furę kłopotów tylko dlatego, że zatrudniłem tego sukinsyna.

Odetchnąłem głęboko i wypilem łyżeczek szkockiej. Glenlivet ma ostry smak, ale działa jak balsam.

– Okej. To ma sens, panie Cancerno. Przy ilu domach Wspólnoty Mieszkańców pan pracuje?

– Dostaliśmy kontrakt na wszystkie. Będziemy mieli tyle pracy, ile domów zdążą wykupić przez dwa lata. Zrobiliśmy chyba jakieś dziesięć, a pół tuzina jest w obróbce.

– Był jeden przy Clark Avenue – powiedziałem. – Spalił się jakiś tydzień temu.

Wie pan coś o nim?

Po raz pierwszy Jimmy Cancerno wyglądał na zainteresowanego, ale zanim zdążył się odezwać, do rozmowy włączył się Draper.

– Przy Clark spalił się dom?

Odwróciłem się do niego i skinąłem głową a Cancerno popatrzył na niego zdumionym wzrokiem, jakby zapomniał, że Draper siedzi przy stole.

– Tak, spalił się. Kilka przecznic na wschód stąd.

– Słyszałem o tym – przyznał Draper. – Nie wiedziałem, że należał do Wspólnoty Mieszkańców. – Podniósł szklanę, ale była pusta. Napełnił ją do połowy.

– Pracowaliście w domu przy Clark Avenue?

– Nie. Tam jeszcze nie pracowaliśmy.

– To była własność Wspólnoty Mieszkańców – przypominałem.

Wzruszył ramionami.

– Już mówiłem, prowadzimy remonty w kolejności, tak jak nam zlecą. Wierzę, że byli właścicielami, ale jeszcze tam nie zaczęliśmy remontu.

– Nie sądzi pan, iż to trochę dziwne – mówił Joe – że w ciągu tygodnia w dwóch domach należących do tej samej grupy wybucha pożar?

Cancerno zakasłał.

– Byłoby dziwne, gdybym nie mógł tego zwać na Gradduka. – Przerwał, a po chwili dodał: – Cholera, właśnie zrozumiałem, co to znaczy. Jeśli ten mały sukinsyn naprawdę spalił tamten dom, to i mnie będą szarpać.

– Nie wie pan czasem – zapytałem – kto mógł mieć problemy z tą Wspólnotą Mieszkańców? Czy ktoś inny też startował w przetargu i przegrał, albo miał jakieś problemy?

– Nie mam pojęcia, troszczę się tylko o własne podwórko.

Pokiwałem głową.

– Niezłą kasę musicie na tym robić. Mówi pan, że dostał kontrakt na wszystkie remonty, na dwa lata?

Cancerno prychnął.

– Niezła kasa? Nie rozśmieszaj mnie, koleś. Żałuję, że wziąłem udział w tym przetargu. Będę miał szczęście, jeżeli wyjdę na swoje.

– Naprawdę?

Minę miał jeszcze bardziej ponurą.

– Tak, naprawdę. Jeśli nie wierzysz, to chętnie pokażę ci księgi.

– Nie ma potrzeby.

Zapadła cisza. Pierwszy się odezwał Cancerno.

– No, to wszystko? – Patrzył na mnie wyczekująco.

– Chyba tak. Dziękujemy, że poświęcił pan nam czas. Porozmawiamy z tym Warrenem Barrym.

– Wardem Barrym. I nie mów pan, że to ja podałem jego nazwisko. Ostatnia rzecz, której mi teraz potrzeba, to jeszcze jeden gość wkurzony na mnie o tego Gradduka.

Wstał, odwrócił się tyłem do stołu.

– Udało się panu znaleźć Corbetta?

– Jeszcze nie.

– Ale próbowałeś pan?

– Tak.

– Jeśli go pan znajdziesz, to mu powiedz, że dzisiaj podarłem czek na jego wy-płatę. Może nie wracać, znajdzie się ktoś inny.

Joe i ja też wstaliśmy i poszliśmy do drzwi. Odwróciłem się, myśląc, że Draper pójdzie z nami, ale zobaczyłem, że nadal siedzi za stołem przygarbiony ze szklaneczką whisky w dłoni.

– Dzięki raz jeszcze, Scotty.

– Co? A, tak. Nie ma sprawy, koleś. – Wstał i otworzył ciężkie drzwi frontowe.

Na dworze był upał. Promienie słoneczne raziły w oczy, odbijając się od popękanego chodnika. Draper wyszedł za nami. Mrużył oczy, patrząc na ulicę.

– Ciekawe – powiedział – że dom, który tu spłonął, ma związek z tym przy Train Avenue.

– Tak. Ciekawe.

– Ale to było przedstawienie, mówię ci. Tyle wozów straży pożarnej, ludzie szli, żeby zobaczyć, co się, do diabła, dzieje. Nawet stąd widziałem dym.

– Duży pożar.

Pokiwał głową.

– Pierwszy, który widziałem, odkąd byliśmy dziećmi. Pamiętasz tamten? Staliśmy z twoim staruszkiem.

Zawahałem się, pomyślałem i przypomniałem sobie.

– Zgadza się, pożar lombardu. Cholera, ale to było dawno.

– Chodziliśmy jeszcze do podstawówki. Pamiętam, że wracaliśmy z ośrodka sportowego, szliśmy z twoim tatą. Odprowadzał nas, bo był wieczór. Wszystkie syreny wyły.

Popatrzył na mnie i się uśmiechnął.

– Hymn smutku, co?

– O czym ty mówisz?

– Tak nazwał to twój ojciec, dźwięk wydawany przez syreny.

Roześmiałem się.

– Kurczę, Scotty, daleko sięgasz pamięcią.

– Po prostu zapamiętałem. Bo wiesz, to ma sens. Karetka pogotowia, wóz stra-

ży pożarnej, samochód policyjny. Każda z tych syren trochę inaczej brzmi i łączą się w jakąś zwariowaną piosenkę. Hymn smutku, tak nazwał to twój ojciec. Tak, pamiętam tamten wieczór.

Ja też pamiętałem. Zrobiło mi się smutno. Stałem na ulicy z Edem, Draperem moim tatą. Tylko dwóch z nas żyje. Pamiętam to napięcie, które zdawało się płynąć wtedy ulicą. Lombard stał w ogniu, syreny wyły wokół nas. Ojciec dobrze to nazwał, to miało sens. W końcu spory kawał życia przepracował w pogotowiu.

– Tamtego lata wybuchł jeszcze jeden pożar. – Draper podrapał się w łysą głowę. – Cholera, może nawet dwa?

– Tak. Dwa, masz rację. To były podpalenia. Wszyscy się zamartwiali. Ale dzięki temu ludzie znaleźli inny temat do rozmów niż...

– Niż co? – zapytał Joe, kiedy przerwałem.

Obaj przyglądali mi się z zaciekawieniem.

– Inny niż rodzina Eda – powiedziałem powoli.

Draper ściągnął brwi.

– Cholera, masz rację. Tamtego lata Norm popełnił samobójstwo.

Joe i ja popatrzyliśmy na siebie twardym wzrokiem.

– Ojciec Gradduka zabił się tego lata, kiedy wybuchały pożary w okolicy – mówił Joe. – A teraz jego syn nie żyje i znów są pożary.

Stłumiony szmerek, który czułem u podstawy czaszki po szkockiej, teraz zniknął. Draper patrzył na nas w milczeniu.

– Masz jakąś teorię, tłumaczącą tamte pożary sprzed lat? – zapytał Joe.

Pokręciłem głową.

– Nie. Ale nagle strasznie mnie to zaciekawiło.

Rozdział 15

Joe chciał zadzwonić do Amy i poprosić, żeby przeszukała komputerowe archiwa gazety w sprawie pożarów sprzed lat. Zniechęciłem go do tego, mówiąc, że ba-za danych komputera nie sięga aż tak odległego okresu, ale prawdę mówiąc, źle bym się czuł, korzystając z jej uprzejmości. Nie rozmawialiśmy od tamtego wieczoru, kiedy wypadła jak burza z mojego mieszkania, i nie miałem ochoty prosić Amy o cokolwiek, zwłaszcza że mogliśmy poradzić sobie sami.

– Jaką więc mamy alternatywę? – zapytał Joe. Westchnąłem.

– Myślę, że powinniśmy zrobić to, czego twardziele, tacy jak my, dwaj prywatni detektywi, robić nie powinni.

– To znaczy co?

– Pójść do biblioteki.

Można zaufać bibliotekarzowi, że w dwadzieścia sekund zrobi to, co detektywowi zajmie parę godzin. Ledwie zacząłem wyjaśniać, o co nam chodzi, kiedy biblio-tekarka, wysoka siwowłosa kobieta, zaczęła naciskać klawisze komputera.

– Mamy coś, co się nazywa indeks prasowy Cleveland – tłumaczyła. – Można do niego wejść z Internetu, nie musieliście tutaj przychodzić.

Poczułem się głupio.

– Indeks prasowy zawiera informacje w postaci cytatów z lokalnej gazety i trzech lokalnych tygodników. Sięga wstecz ponad dwadzieścia lat. Więc mówi pan, że szuka informacji o podpaleniach przy Clark Avenue?

– Przynajmniej jedno z nich było przy Clark – powiedziałem. – Ale tego samego lata były jeszcze dwa pożary.

– Wyszukam według klucza „podpalenie” i „Clark Avenue”. Zobaczymy, co wyjdzie.

Powiedziałem, w którym roku były pożary, a ona uruchomiła przeszukiwanie.

Po kilku sekundach uśmiechnęła się i odwróciła monitor w naszą stronę. Pięćdziesiąt wyników. Tytuły artykułów, daty i źródła. Przejrzałem pierwszą stronę i pokręciłem głową. Nacisnęła klawisz myszy i pokazała drugą stronę wyników wyszukiwania. Tym razem zobaczyłem to, na co czekałem: „Podpalenie lombardu”. Poprosiłem, żeby wydrukowała tę pozycję, i czytałem dalej. Sześć punktów niżej znalazłem kolejną interesującą rzecz: „Trzeci pożar w zachodniej dzielnicy w ciągu dwóch tygodni. Okoliczni mieszkańcy są zaniepokojeni, policja zainteresowana”.

Bibliotekarka wydrukowała oba teksty i zaprowadziła nas do przeglądarki mikrofilmów. Znalazła rolki z filmami w magazynie, przyniosła je i załadowała aparat.

– Chcecie, panowie, żebym wydrukowała kopie artykułów, czy wolicie po prostu przeczytać je z mikrofilmów?

– Proszę je wydrukować.

Wręczyła nam trzy kartki i wróciła za biurko. Razem z Joem staliśmy pośrodku sali i czytaliśmy. Pierwszy, bardzo krótki, podawał godzinę wybuchu pożaru przy Clark Avenue. Mogliśmy się z niego dowiedzieć, że nie było ofiar w ludziach, ale lombard został doszczętnie zniszczony. Kolejny artykuł okazał się bardziej interesujący. Łączył

pożar przy Clark Avenue z wcześniejszymi pożarami – jednym przy Fulton Road i drugim przy Detroit. Trzy pożary w trzy tygodnie, pisano, a wszystkie w nieruchomościach

należących do jednego człowieka, Terry’ego Solicha. Reporter twierdził, że Solich odmówił udzielenia wypowiedzi, wspomniał też, że wcześniej Solich był oskarżony o posiadanie towarów pochodzących z kradzieży, ale sprawa została umorzona.

– Słyszałeś o tym facecie? – zapytał Joe.

Pokręciłem głową i już miałem odpowiedzieć, kiedy mój wzrok trafił na kolejne nazwisko, w dalszej części reportażu: „Śledczy straży pożarnej są co prawda, pewni, że ogień jest skutkiem podpalenia, ale ani oni, ani policja nie chcą ujawnić, czy są jacyś podejrzani. Detektyw Matthew Conrad z clevelandzkiej policji oświadczył, że w tej sprawie współpracuje z śledczym ze straży pożarnej, Andrew Maribellim”.

– Conrad nie żyje – powiedział Joe.

– Jesteś pewien?

– Byłem na pogrzebie.

– Cholera. Znasz śledczego ze straży pożarnej?

– Nie. Ale myślę, iż najwyższy czas, żeby zawrzeć z nim znajomość.

Najpierw zadzwoniliśmy do centrali telefonicznej straży pożarnej, bo minęło już prawie dwadzieścia lat i było całkiem możliwe, że Maribelli już odszedł z pracy. Mieli-

śmy jednak szczęście – przynajmniej z początku. Nadal służył w straży. Po prostu nie był zainteresowany rozmową z nami.

– Szczerze mówiąc – powiedział, kiedy mnie z nim połączono – niezbyt dobrze bym się czuł, rozmawiając z wami, chłopaki, kiedy śledztwo policyjne jest w toku.

– Mówimy o pożarach, które były prawie dwadzieścia lat temu. Czy śledztwo może tego dotyczyć?

– Niecałe sześć godzin temu policja zażądała moich starych akt. Więc myślę, że może dotyczyć, i to

jak cholera. No dobrze, a dokładnie, co was interesuje?

– Kto ich zażądał? – zapytałem, ignorując jego pytanie. – Czy to był detektyw Cal Richards?

– Nie. To był funkcjonariusz o nazwisku. . – Przerwał, bo pewnie szukał w pa-mięci albo w notatkach. – Larry Rabold.

– Larry Rabold zażądał pańskich starych akt? – Joe uniósł wysoko brwi, kiedy to usłyszał. – A pan nadal je miał? Po siedemnastu latach?

– Trzymam notatki dotyczące każdej większej sprawy, która nie została zamknięta, ale nie będę z wami, chłopaki, rozmawiał, bo nie wiem, kim, do diabła, jeste-

ście, a tu gliny nagle znów się sprawą interesują. Nie chcę być kutasem, ale nie zmienię zdania.

– Nie ma sprawy.

Odłożyłem słuchawkę i popatrzyłem na Joego.

– Nie chce z nami mieć nic wspólnego, mówi, że policja znowu interesuje się tą sprawą. Dziś rano rozmawiał z nim Rabold i zażądał kopii notatek.

Joe włożył okulary przeciwsłoneczne i pokiwał głową.

– Kiedy rozpracowywałem Rabolda, dostałem harmonogram jego czasu pracy.

Dziś powinien mieć wolne, a on zajął się sprawą podpalenia sprzed siedemnastu lat?

Ciężko zapracowane sukinsyny, on i Padgett.

– Jeśli ma dzień wolny, to może jest w domu. Warto by go odwiedzić, nie sądzisz?

Powiedziałem to od niechcienia, jakbym proponował pójście na piwo po drodze do domu.

Joe ściągnął brwi, zastanawiał się.

– Może trochę za szybko odkryjemy karty.

– Idę o zakład, że Jerome Huggins powiedział tym facetom o naszym zainteresowaniu już wiele godzin temu.

Mój partner krótko się wahał.

– W porządku. Tak czy siak, chyba czas podnieść stawkę. Bez względu na to, jak zareaguje, czegoś się dowiemy.

Dom Larry'ego Rabolda stał na odcinku West Boulevard przebiegającym mię-

dzy Clifton a Edgewater Park – okolica historyczna i cholernie wysokie czynsze. Z du-

żym budynkiem w stylu wiktoriańskim sąsiadowało jezioro. Weranda okalająca cały dom oferowała ładne widoki, a gdy podjeżdżaliśmy, zobaczyłem na jeziorze łódź z jaskrawym, wielokolorowym żaglem.

– Ilu znasz gliniarzy, którzy mają dom z widokiem na jezioro? – zapytałem, kiedy skręciliśmy na podjazd.

– Wliczając tego faceta, jednego – odparł Joe. – Chociaż nie jestem pewien, czy należy go nazywać gliniarzem.

Garaż na dwa samochody stał za domem, a przed nim parkowała czarna honda civic. Drugi wóz był częściowo widoczny przez otwarte drzwi garażu. Poszliśmy wykładaną brukowcami ścieżką, między ładnie utrzymanymi grządkami kwiatów. Po-

środku drzwi frontowych widniał elegancki przycisk z brązu, z którego wystawał klucz.

Joe przekręcił go i gdzieś we wnętrzu domu rozległ się dzwonek. Taki klucz kosztował pewnie pięćdziesiąt dolców więcej niż zwyczajny guzik. Stylowo.

– Ale chałupa. – Pomyślałem o wysokiej cenie, niskiej hipotece i żonie pracującej społecznie.

Nikt nie podchodził do drzwi. Joe jeszcze raz przekręcił klucz, znów rozległ się dzwonek. Tym razem, kiedy dzwonek ucichł, usłyszeliśmy płaczliwe zawodzenie. Nie ustawało. Joe spojrzał na mnie.

– Co to jest, do licha?

Zawodzenie przybrało jeszcze wyższe tony. To był rozpaczliwy krzyk. Podeszedłem do drzwi i nacisnąłem klamkę. Zamknięte.

– On ma dziecko – powiedział Joe. – Może w napadzie złości tak się wydziera.

Kiedy to mówił, zawodzenie przeszło w przyciszony krzyk, a potem były to odgłosy jakby tłumionego łkania. Czuję się jak rażony prądem, wszystkie mięśnie mi zeszywniały. Gdzieś w głębi mózgu jest miejsce, które rozpoznaje emocje kryjące się za krzykiem innego człowieka. Uczuciem, którego teraz doświadczałem, był strach.

– Co to jest, do licha? – powtórzył Joe, ale mnie już przy nim nie było, zaszedłem dom z boku. Tam stał samochód, a ten, kto nim przyjechał, prawdopodobnie nie skorzystał z drzwi frontowych, tylko wszedł bocznym wejściem.

Tym razem klamka ustąpiła. Weszliśmy do wąskiego pomieszczenia. Na ścianie był wieszak, a na podłodze stała para nowych butów. Rozchodził się zapach świeżego chleba i kadzidła albo świec, czegoś pachnącego wanilią.

– Hej! – zawołałem. – Co się dzieje?

I wtedy wszystko, co skumulowało w sobie to bolesne zawrozenie, wybuchło ze zdwojoną siłą. Taki krzyk bywa tylko w koszmarach sennych i filmach grozy; nikt nie chciałby go słyszeć w realnym życiu.

Podbiegłem do drzwi, sięgnąłem odruchowo do paska, ale przypomniałem sobie, że nie mam broni. Wąski korytarz prowadził do eleganckiej kuchni z wykładanym granitem stołem pośrodku i fabrycznie nowymi sprzętami. Ominąłem go i pobiegłem w stronę, z której dochodził krzyk. Na bufecie zobaczyłem zestaw noży, zatrzymałem się na ułamek sekundy i chwyciłem jeden z nich. Był to prosty nóż kuchenny z mierzą-

cym kilkanaście centymetrów ostrzem, ale mając go, poczułem się lepiej. Za tym przeraźliwym wyciem mogła się kryć tylko czyjaś rozpacz.

Wpadliśmy do salonu. Histeryczny krzyk nie ustawał nawet na moment. Mia-

łem ochotę zatkać uszy i uciec. Może i był to dobry pomysł. Staliśmy pośrodku salonu, rozglądając się. Krzyk roznosił się po pokoju, ale nikogo nie widziałem. Zdawał się dochodzić z części, w której stała kanapa.

Podszedłem do wielkiej niebieskiej sofy, chwyciłem ją z boku i odciągnąłem od ściany.

Młoda blondyneczka, może piętnastoletnia, schowała się za oparciem. Ubrana była w szorty i T-shirt, kolana przyciskała do piersi, jakby chciała się zasłonić. Twarz miała bledszą niż ściana, pod którą siedziała, a takich oczu jeszcze nie widziałem, nawet kiedy pracowałem w wydziale narkotykowym i siłą rzeczy stykałem się z ludźmi na głodzie czy konającymi. W jej oczach był tylko strach. Nie zorientowałem się, że wzrok ma utkwiony w nożu, który trzymam w rękę. Dopiero Joe zabrał mi go i rzucił w kąt pokoju.

– Przestań – powiedział do dziewczyny.

Nie wiem, jak mu się to udało, za pomocą jednego, cicho wypowiedzianego słowa, ale dziewczyna zamilkła. Wpatrywała się w nas. Oddychała szybko, urywanie, wydawało mi się, że słyszę, jak wali jej serce. Wtedy zauważyłem, że ma krew na butach.

Była świeża, jeszcze lepka, ale splamiła tylko czubki butów, jakby zanurzyła w niej tylko palce u nóg, jak ktoś, kto sprawdza temperaturę wody w basenie. Joe też to zobaczył.

– Gdzie on jest? – zapytał. Zrozumiał coś, co do mnie jeszcze nie dotarło.

Nie odpowiedziała – pewnie nie mogła mówić – ale uniosła drżącą rękę, wycią-

gnęła palec i pokazała na podłogę.

– Piwnica – rzucił Joe.

Po drugiej stronie salonu, obok schodów prowadzących na piętro, były otwarte drzwi. Zobaczyliśmy wykładane dywanem stopnie prowadzące w dół. Spostrzegłem na nim kilka lepkich, czerwonych smug. Tędy weszła na górę.

Joe zszedł pierwszy, ja za nim. Żałowałem, że nie mam noża. Serce mi waliło, pięści miałem zaciśnięte, mięśnie napięte. Doszliśmy do podstawy schodów i znaleźli-

śmy się u wejścia do urządzonej jak pokój piwnicy z kanapą telewizorem i półką na książki. Joe stał w drzwiach, ale ja wszedłem do środka i skręciłem w prawo.

Stał tam stół bilardowy, a pod nim leżał mężczyzna; widać było jego nogi. Wo-kół ciała rozlała się kałuża krwi, ściana za stołem też była schlapana. Do tynku przylepiły się kawałki tkanki.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć Joemu, ale on już stał przy mnie i wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Dziewczyna – powiedział. – Wracam na górę. Sprowadzę karetkę, lekarza, te-rapeutę, kogoś, kto mógłby jej pomóc.

Wszedł na schody, ściana obok mnie trzęsa się, gdy biegł na górę, do salonu.

Zbliżyłem się do stołu. Pośrodku kałuży krew była wilgotna, na obrzeżach zaczynała krzepnąć. W powietrzu unosił się metaliczny zapach. Kiedy przyklęknąłem, uderzyła we mnie fala smrodu, wywołując mdłości. Do gardła podchodziła mi gęsta żółć. Zwalczyłem odruch wymiotny, przykryłem dłonią usta i nos. Nie byłem detektywem z wydziału zabójstw i chociaż widywałem wcześniej zwłoki, to jak się okazało, mój organizm nie nabył odporności. Przez kilka sekund, zamknąwszy oczy, oddycha-

łem powoli. Wreszcie poczułem, że jestem gotowy. Otworzyłem oczy i zajrzałem pod stół bilardowy.

Leżał tam Larry Rabold. Miał tylko część twarzy; lewa strona, poczynając od kości policzkowej, aż po oko i skroń, była krwawą miazgą.

Strzelono mu raz w twarz z bliskiej odległości z broni dużego kalibru. Bliski dystans był oczywisty. Świadczyły o tym wielkość rany i cętki od mikroskopijnych krwotoków na policzku i szczęce spowodowane przez ziarenka prochu, które wbiły się w skórę. Takich znaków nie ma na ciele, jeśli strzał oddany jest z większej odległości.

Kiedy przyjrzałem się dokładnie zwłokom, nie miałem wątpliwości, że do męż-

czyzny strzelono jeszcze dwa razy. Dostał jedną kulę w serce, drugą w brzuch. Krew nadal sączyła

się z rany w klatce, a część wnętrzości, coś, co przypominało długi, czarny sznurek, wypłynęła na wierzch. Znów poczułem mdłości. Upłynęło trochę czasu, nim się zorientowałem, że czarny sznurek wystający na zewnątrz to drut.

Pochyliłem się nad ciałem, przewyciężając mdłości. Połowa koszuli Rabolda wyciągnięta była ze spodni. Nosił ją włożoną do środka, ale prawą połą miał teraz na wierzchu.

Wyjąłem z kieszeni długopis, ostrożnie włożyłem koniec pod kołnierz koszuli i podniosłem ją. Kołnierz uniósł się mniej więcej na centymetr, ale to wystarczyło. Od środka przypięty był miniaturowy mikrofon – bardzo małe, bardzo czułe urządzenie do nagrywania. Sukinsyn.

Odłożyłem długopis, kołnierz koszuli opadł. Przy miniaturowym mikrofonie powinien być bezprzewodowy nadajnik, który przesyła rozmowę do zdalnego magnetofonu, ale taka aparatura jest skomplikowana, rzadka i cholernie droga. Znacznie częściej używa się zestawu, w którym mikrofon podłączony jest do małego magnetofonu cyfrowego wielkości małej baterii, schowanego gdzieś na ciele.

Długopisem podniosłem luźną połą koszuli. Uniosła się na parę centymetrów.

Na białym, tłustym brzuchu leżał koniec kabla od mikrofonu. Prowadził... donikąd. Na końcu widać było kawałeczek nagiego, miedzianego drutu. Kabel został przecięty, brakowało magnetofonu, z którym powinien być połączony.

Wydostałem się spod stołu bilardowego. Zrobiłem trzy kroki w stronę schodów, kiedy wzrok mi się przyćmił, a w skroniach zaczęło mi pulsować. Wyciągnąłem lewą rękę, namacałem ścianę, oparłem się o nią i przygryzłem wargę. Ból przywrócił

mi jasność spojrzenia.

Idąc na górę, trzymałem się jedną ręką ściany, kolana uginały się pode mną.

Wszedłem do salonu. Joe siedział na podłodze obok kanapy. Blondynka, nadal zwinięta w kłębek, łapała gwałtownie powietrze. Nie widziałem jej twarzy, tylko szybko unoszącą się i opadającą klatkę piersiową. Dłoń Joego spoczywała na jej kolanie. Ona trzymała go za nadgarstek; pomalowane paznokcie wbijały mu się w ciało.

Stałem i patrzyłem na Joego. Wzrok miał utkwiony w przestrzeń. Wzrok gliniarza. W porządku, przechodzę na tryb policyjny. Muszę wejść z powrotem we własną skórę.

– Zadzwońłeś? – zapytałem.

Skinął głową.

– Czy... – Nie dokończył pytania, bo nie chciał wymieniać nazwiska Rabolda w obecności dziewczyny, która prawdopodobnie była jego córką.

– Tak – odparłem.

Nie mogłem już patrzeć na dziewczynę. Przeszedłem do pokoju od frontu i wyrząłem przez okno. Czekałem na policję. Stojąc, czułem się silniejszy, niż gdybym usiadł. W tym momencie siła była mi bardzo potrzebna.

Rozdział 16

Zanim przyjechał Cal Richards, dowiedzieliśmy się, że Mary, córka Rabolda, przybyła do domu jakieś pół godziny przed nami. Sąsiadka pamiętała, że przyjechała sama. Opowiadała o tym glinom wysokim histerycznym głosem, słyszeliśmy ją wyraż-

nie, stojąc przy samochodzie policyjnym. Kiedy już znaleźliśmy czas przyjazdu dziewczyny, nasza wyobraźnia dała sobie radę z całą resztą. Prawdopodobnie Mary zeszła na dół, zobaczyła ojca i doznała szoku. Wróciła na górę, ale strach ją pokonał. Nie była w stanie pomyśleć, żeby wezwać policję, czy choćby żeby wyjść z domu. W szoku, przerażona, nic nie zrobiła. Włazła za kanapę, zwinęła się w kłębek i czekała, a ciało ojca leżało w piwnicy, poziom niżej. Nigdy o czymś takim nie słyszałem, ale też nie widzia-

łem jeszcze sceny takiej, jak w domu Rabolda. Jego córka miała szesnaście lat.

Richards wcześniej przyjechał na miejsce zdarzenia, bo Joe zadzwonił najpierw do niego. Przedtem wysłali inny zespół do spraw zabójstw, ale Richards przejął do-wodzenie, kiedy tylko się pojawił. Gliniarze bez wątpienia znali Cala. Mary Rabold zabrała karetka. Razem z nią pojechał jeden z detektywów.

Richards opuścił budynek mniej więcej po dwudziestu minutach. Podszedł do furgonetki techników kryminalistyki, przy której staliśmy. Przed domem parkowały już trzy radiowozy i nieoznakowany samochód Cala. Po drugiej stronie ulicy zgromadzili się sąsiedzi, ale dziennikarze jeszcze nie przyjechali. To nie mogło potrwać długo.

– Przejdźmy za dom, panowie – powiedział Richards. Wyraz twarzy miał teraz bardziej beznamiętny niż normalnie. W piwnicy zobaczył to, co i ja widziałem, ale ja-koś udało mu się panować nad nerwami. Nie mógłbym powiedzieć tego o sobie. Ale pewnie gorsze rzeczy zdarzały się już ludziom.

Szliśmy za Richardsem podjazdem, obok czarnej hondy. Na tyłach domu stał

osłonięty pawilonik. Pracowało przy nim dwóch policjantów w mundurach. Robili zdjęcia i szukali dowodów na podwórku. Richards zatrzymał się za rogiem, z dala od nich, ale też poza polem widzenia gapiów na ulicy. Oparł się o ścianę, wyciągnął papierosa, zapalił. Zaciągnął się kilka razy, bezmyślnie przewracając kartki notatnika, który trzymał w ręku.

– Zrobił się niezły bałagan. Martwy policjant. Zamordowany we własnym do-mu, znaleziony przez córkę. Dzieciak nie jest w stanie teraz mówić. Ani słowa. Tylko patrzy tymi swoimi oczami. Człowieku, te oczy... – Znow się zaciągnął, mocno. Potem zgasił papierosa o ścianę i włożył peta do kieszeni marynarki. Nie chciał zanieczysz-czać miejsca przestępstwa. – Niezły bałagan – powtórzył. – W porządku, mówcie, chłopaki.

Opowiadaliśmy mu o swojej wizycie w domu Rabolda. Mundurowi w milczeniu przeczesywali trawę i robili zdjęcia. Milczeli. Na ulicy powstało jakieś zamieszanie, drzwi otwierały się i zamykały, rozległy się podniesione głosy. Pewnie przyjechały media.

– Miał na sobie podsłuch – powiedziałem, kiedy przekazaliśmy już podstawowe informacje. Dopiero teraz Joe usłyszał o tym, i nie krył zdziwienia. Richards pozostał niewzruszony.

– Naprawdę?

– Daj spokój, Cal. Byłeś tam, na dole. Widziałeś.

Ściągnął brwi i odwrócił wzrok. Nie podobało mu się, że cywil pierwszy trafił na miejsce zbrodni.

– Miał podsłuch – przyznał. – Ktoś go odciął. Magnetofon zniknął. Macie go?

– Nie.

Spojrzał na mnie ostro, a ja też ostro odpowiedziałem.

– Zwariowałeś? Nie, Richards, nie ukradłem trupowi magnetofonu.

– Okej.

Joe przyglądał się z zainteresowaniem.

– Rabold to policjant z parolu. Po diabła nosił podsłuch? I to we własnym do-mu? – zastanawiał się głośno.

– Nie mogę wam powiedzieć – rzekł Richards – bo nie wiem.

– Dziś rano zażądał akt starych spraw o podpalenia. A teraz nie żyje. Sądzisz, że to nie ma powiązania?

Twarz Richardsa pozostawała bez wyrazu.

– Nie bawię się w zgadywanki, Perry. Jestem detektywem. Zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi.

– Jasne.

– Słuchajcie, teraz będziecie musieli pojechać i złożyć oficjalne zeznania, które zostaną nagrane – uprzedził. – Rozdzielimy was. Źle bym wypadł, gdybym przesłuchiwał świadków razem. Zajmie się tym Baker. Spotkacie się z nami dwoma, ale teraz przekazuję was jemu.

– Kto to jest Baker? – zapytałem.

– Mój partner.

– To ty masz jakiegoś partnera?

– Jesteśmy zgranym zespołem. – Uśmiechnął się. – Chociaż często grywamy na różnych boiskach.

Kiedy wyszliśmy za róg domu, zobaczyłem Jacka Padgetta, który przepychał się przez tłum. Warknął na umundurowanego policjanta, żeby zszedł mu z drogi. Był

ubrany po cywilnemu, w dzinsy i jaskrawą koszulkę. Twarz miał zaczerwienioną z wściekłości.

– Cholera. – Richards z trudem hamował wściekłość. – Ostatnia rzecz, jak była mi potrzebna, to ten zwariowany drań na miejscu przestępstwa.

Ruszył w stronę Padgetta. Ten odwrócił się do niego i zobaczył mnie. Twarz mu pociemniała, postąpił parę kroków do przodu, napinając barki, niczym bokser wychodzący z narożnika.

– Co ten facet tutaj robi? – Wskazał na mnie.

Richards zdążył do niego podejść i coś mu powiedział. Padgett odpowiedział, już łagodniejszym głosem. Usłyszałem tylko epitety pod moim adresem. Wtedy Richards położył mocno ręce na ramionach tamtego i odepchnął go od nas w stronę kordonu gliniarzy pilnujących podwórka. W domu technicy kryminalistyczni pewnie nadal prowadzili rutynowe czynności. Zastanawiałem się, skąd Padgett dowiedział się o zdarzeniu i gdzie wtedy był. Tak czy owak, musiał mocno przeżyć śmierć partnera.

Richards zniknął w tłumie, zanim sobie uświadomiłem, że nie powiedziałem mu, czego się dowiedziałem o Sentalar i Corbetcie. Kilka godzin wcześniej była to wielka nowina. Kilka godzin wcześniej ojciec Mary Rabold jeszcze żył.

Przez jakiś czas Joe i ja rozmawialiśmy z Bakerem, niskim, opalonym facetem o krótko przystrzyżonych włosach. Richards już nie wrócił. Baker zabrał nas na komendę i przesłuchał osobno, nagrywając zeznania. Kiedy wypełniliśmy formularz świadka, powiedział, że możemy iść.

– A co z Calem Richardsem? – zapytał Joe. – Przyjdzie tutaj?

Baker wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Powiedział, żebym nagrał wasze zeznania i wrócił na miejsce przestępstwa. Nic nie mówił, żeby was zatrzymać do jego powrotu.

– Wie, gdzie nas znaleźć – rzekł Joe.

Funkcjonariusz z patrolu zawiózł nas do mojego mieszkania. Samochód Joego miał być, rzecz jasna, przeszukany przez policję. Pewnie nie zakładali, że znajdą spluwę w bagażniku czy zakrwawione włókienka na podłodze, ale i tak musieli sprawdzić.

Kiedy glina odjechał, staliśmy chwilę na parkingu. Był już wieczór, słońce za-szło, zrobiło się bardzo chłodno. Przed siłownią parkowało kilka samochodów, panowała cisza.

– Biedne dziecko – odezwał się Joe.

– Tak.

Westchnął i przejechał dłońmi po twarzy.

– Co się, do diabła, dzieje? W co wdał się twój przyjaciel?

Nie miałem odpowiedzi. Zaledwie dwanaście godzin temu stałem na ulicy przed tym domem i zaczynałem się domyślać, że to Rabold i jego partner zabili Eda.

Teraz Rabold nie żył. To nie wpłynęło na moją teorię, ale cholernie ją skomplikowało.

– Powiedziałaś któremuś z detektywów na komendzie o Corbetcie i Sentalar? –

zapytał Joe.

– Nie, to sprawa Cala. Tylko on mógłby zrozumieć, jakie to ma znaczenie. Jemu powiem.

– Okej. Powiemy mu o tym rano. Prześpij się trochę, zjedz coś. Kilka godzin normalności rozjaśni nam w głowach. Rano się okaże, na czym stoimy.

– Joe, wygarnęli do niego trzy razy – mówiłem. – Odstrzelili mu kawałek twarzy, strzelili mu w klatkę i w brzuch. To nie było zabójstwo dla zabójstwa. Nie chodziło tylko o wyeliminowanie faceta. Te rany pokazują, że tam było mnóstwo gniewu.

– Ciekawe, czy jego żona jest już przy dziewczynie – powiedział tylko.

– Mam nadzieję. Podwieźć cię do domu?

– Nie, dziękuję.

– Jesteś pewien?

– O, tak! Potrzebny mi teraz spacer.

Wszedłem na górę, wziąłem długi gorący prysznic. Mięśnie powoli odprężyły się pod strumieniem wody. Wytarłem się i zmieniłem ubranie. Ale była już prawie dziesiąta, dobrze po czasie kolacji, bliżej do łóżka dla normalnych ludzi. Jako że najwyraźniej nie byłem normalny, pomyślałem, że mogę zjeść bardzo wczesne śniadanie w charakterze bardzo późnej kolacji. Zrobiłem sobie omlet, ale nie miałem apetytu, więc wyrzuciłem go do śmieci i wypilem szklankę soku pomarańczowego.

Potem wyjąłem z lodówki butelkę becksy i poszedłem na dach. Tuż za drzwiami są włącz i składane schody, po których można tam wejść. Na dachu były dwa fotele i parę roślin w doniczkach. Idealne miejsce do odpoczynku, zwłaszcza w letnie wieczory. Siedziałem samotnie, wsłuchując się w odgłosy ulicy; popijałem piwo, myślałem o starych przyjaciółkach i przerażonej szesnastolatce, przycupniętej za kanapą. Kiedy butelka była pusta, zszedłem po następną. Przystanąłem w drzwiach,

zawahałem się, sięgnąłem po telefon bezprzewodowy i wziąłem go ze sobą. Było tutaj trochę szumu statycznego w słuchawce, ale dawało się rozmawiać. Wykręciłem numer Amy.

– Cześć – powiedziałem, kiedy odebrała. – Jeszcze nie śpisz?

Ledwie rozpoznała mój głos, od razu rzuciła się na mnie.

– Wiesz, jesteś kretyn. Szkoda, że tak łatwo dałam się spławić wczoraj wieczorem. Im bardziej o tym myślę, tym bardziej się wkurzam. Ja nie przychodzę do ciebie do biura i nie mówię ci, jak masz pracować, a w gruncie rzeczy to właśnie zrobiłeś wczoraj. Tak, wiem, że Graddock był twoim przyjacielem, ale kiedy zacznę zmieniać stosunek do tekstu, bo z kimś się przyjaźnię, skończę z zawodową uczciwością...

– Jeden z gliniarzy, którzy próbowali zatrzymać Eda, został dzisiaj zamordowany – mówiłem, wchodząc jej w słowo. – Spędziłem cały dzień, próbując udowodnić, że wspólnie ze swoim partnerem wrobili Eda, i odkryłem, że nie żyje. Strzelili do niego trzy razy, w jego własnej piwnicy. Razem z Joem znaleźliśmy ciało. Jego córka już je widziała. Schowała się za kanapą w salonie. Nie była w stanie z nami rozmawiać. Nie wydobyliśmy z niej ani słowa.

Amy odezwała się po chwili milczenia.

– Jesteś w domu?

– Aha.

– Będę za dziesięć minut. – Odłożyła słuchawkę.

Minął zaledwie kwadrans, kiedy zachrząścił żwir i zapiszczały opony pod domem – sygnał, że przybyła Amy. Drzwi na schody zostawiłem otwarte, usłyszałem, jak się otwierają i zamykają a chwilę później Amy zapukała do drzwi.

– Jestem na górze! – zawołałem.

Zatrzeszczały szczeble, gdy wchodziła na dach, a potem jej głowa wyłoniła się z włazu. Rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie. Nie odezwałem się. Podeszła, wyjęła mi butelkę z dłoni i wypila jedną trzecią piwa, po czym oddała mi ją.

– Okej. Co się, do diabła, stało?

Opowiadanie zajęło mi sporo czasu. Taki to był dzień. Kiedy skończyłem, siedziała w milczeniu, patrząc na nocne niebo.

– Przykro mi – powiedziała po jakimś czasie. – To musiało być straszne, kosz-marne przeżycie.

– Dla córki.

– I dla ciebie. Straszne dla ciebie, bo widziałeś i ciało, i córkę.

– Tak.

– Są jakieś hipotezy na temat tego morderstwa?

Pokręciłem głową.

– Jeszcze nie. Złożyliśmy zeznania i odesłali nas do domu. Jestem trochę zaskoczony, że o tym nie słyszałaś.

– Wyszłam wcześniej z pracy, bo wczoraj siedziałam do późna w nocy.

– Rozumiem. – Nie chciałem wspominać o jej artykule. Gdzieś między salonem Larry’ego Rabolda a jego piwnicą straciłem zdolność do denerwowania się z takich powodów.

Ona sama wróciła do sprawy.

– Słuchaj, Lincoln. Nie sugerowałam, że Graddock był jakimś zboczonym nieudacznikiem, który zamordował tę kobietę, bo go odrzuciła. Po prostu napisałam, co o tym wiem...

– I pozwoliłaś, żeby czytelnicy sami doszli do wniosku, że był zboczonym nieudacznikiem, który zamordował tę kobietę, bo go odrzuciła – dokończyłem, ale w moim głosie nie było wrogości ani zgorzknienia.

– Przepraszam, jeśli tak to odbierasz – powiedziała cicho.

– W porządku, Asie. Nie podobało mi się to. Ale ty wykonałaś swoją pracę i zrobiłabyś to samo jeszcze raz, i chyba łatwiej jest mi to znieść, bo wiem, że tak, po prostu, jest.

– Ten dzień chyba cię zmiękczył.

– Można tak powiedzieć. – Można też było powiedzieć, że opanowała mnie pustka, ale nie chciałem mówić tego głośno.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na kilka odważnych gwiazd, które próbowały się przebić przez chmury i światła miasta. Na ulicy pod nami szumiał ruch. Dopilem piwo.

Miałem ochotę na następne, ale nie chciało mi się wstać.

– Więc Anita Sentalar знаła Mitcha Corbetta – odezwała się Amy. – A on zaginął przed paroma dniami. I dwóch policjantów go szukało. Tych samych, którzy zabili Eda Graddocka i spisali raport pełen łgarstw. A teraz jeden z nich nie żyje. Czy to jest sedno sprawy?

– Zasadniczo tak.

Rozparła się w fotelu i mlasnęła cichutko językiem.

– Ależ bałagan.

– To samo powiedział Richards.

– Nie bez racji. Co masz zamiar teraz zrobić? Zakładam, że nie zostaniesz na stałe na dachu.

– Są wieczory, kiedy myślę, że to całkiem niezły pomysł. Ale chyba w końcu zejdem na dół. Kiedy to zrobię, będę musiał wziąć się znowu do roboty. Bo jeszcze nic nie zrobiliśmy. Dzisiaj pojawiło się diabelnie dużo pytań. A odpowiedzi mamy niewiele.

– Od czego zaczniesz?

Zagapiłem się na niebo. Sam chciałbym wiedzieć.

– Zacniemy chyba od pożarów. Nie wiem, co łączy pożary sprzed prawie dwudziestu lat z tymi sprzed tygodnia, zastanawiałem się nad tym. Jednak nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś w tym jest. Niestety, jedyne ogniwo łączące nie żyje.

– Jeśli potrzebna ci pomoc, możesz na mnie liczyć.

Już chciałem jej podziękować, ale pomyślałem, że owszem, może pomóc. Przypomniałem jej o domu, który spłonął przy Clark Avenue, i powiedziałem, że był własnością tej samej grupy, do której należał dom przy Train Avenue.

– Chcę wiedzieć coś więcej o Wspólnocie Mieszkańców. – To moja prośba. –

Przejrzyj archiwa gazety i prześlij mi faksem wszystkie artykuły, w których jest o niej wzmianka, dobrze?

– Jasne. I sprawdzę, czy pisaliśmy coś o tym pożarze przy Clark.

– Dziękuję, Amy.

Jej twarz tonęła w ciemności, ale i tak widać było skupiony wzrok.

– To cholernie interesujące, Lincoln. Dwa pożary domów należących do jednego właściciela w ciągu tygodnia. Oba domy były puste?

– Było tego więcej. – Przypomniałem sobie szczegóły, które przeoczyłem. – Mitch Corbett jest specjalistą od wyburzeń. Ma doświadczenie z lontami i materiałami wybuchowymi i pewnie wie, jak podłożyć ogień.

– Myślisz, że zabił Anitę Sentalar?

– Nie wykluczam. Ale po co ten drugi pożar?

– Podpalenie dla zysku?

Pokręciłem głową.

– Jak mówiłem. Mam pytania, a nie odpowiedzi. To musi się zmienić.

Wkrótce wyszła. Uściskała mnie na pożegnanie, a jej zapach i miękkie włosy zdołały jakoś oczyścić mnie z paru wspomnień, takich jak miedziany odór krwi Larry’ego Rabolda i straszny krzyk jego córki. Nie mówiliśmy więcej o artykule i wiedzia-

łem, że już do tego nie wrócimy. Sprawa była załatwiona, co mnie cieszyło. Prawdziwi przyjaciele są nieocenieni, a utraceni są jak duchy, które zawsze krążą w pobliżu. Za dobrze znałem oba te przypadki.

Rozdział 17

Andrew Maribelli był wysokim, chudym mężczyzną. Grzywę siwych włosów miał szesana na prawą stronę i krótko przyciętą z lewej, co sprawiało, że wyglądał

tak, jakby ciągle przekrzywiał głowę. Szpiczaste wąskie ramiona i szeroka klatka świadczyły o amorficznej budowie ciała. Nosił wykrochmaloną niebieską koszulę, któ-

ra wydawała się naciągnięta na ramę drzwi, ze sterczącymi osobliwie ramionami po obu stronach.

Kiedy wkroczył do swojego wąskiego gabinetu w departamencie straży pożarnej miasta Cleveland przy Superior Avenue o ósmej rano i zobaczył, że siedzę za jego biurkiem, a Joe przygląda się wiszącej na ścianie fotografii w ramkach, zniósł to cał-

kiem nieźle.

– Panowie – powiedział, zamykając za sobą ostrożnie drzwi. Nie pokazał po sobie zmieszania. – Zawsze proszę swoich gości, żeby czuli się jak u siebie w domu, ale wolę wiedzieć, kiedy mnie odwiedzą. Wiecie, żebym zdążył posprzątać.

Wstałem, obszedłem biurko, a Joe odwrócił się do niego. O siódmej zadzwoni-

łem do Joego, proponując mu wizytę u Maribellego. Uznał, że to dobry pomysł. Wizyta w miejscu, w którym był Rabold tuż przed śmiercią mogła okazać się owocna. I zapewne ryzykowna.

– Nazywam się Lincoln Perry, wczoraj rozmawiałem z panem przez telefon.

Ściągnął brwi.

– Aha. A ja panu powiedziałem...

– Pamiętam, co mi pan powiedział. To już nie ma znaczenia, proszę pana. Policjant, którego pan osłaniał, nie żyje. Został zamordowany.

Skrzywił się.

– Cholera. Słyszałem, że glina... ale nie wiedziałem, to znaczy, nie usłyszałem nazwiska. Nie

wiedziałem, że to ten facet.

– To był on – powiedziałem. – Zastrzelono go w piwnicy. Znaleźliśmy ciało.

Maribelli ciężko westchnął, przeszedł obok mnie, precyzyjnie się za biurko i usiadł na krześle.

– Też byliśmy glinami – odezwał się Joe, a Maribelli spojrzął na niego, jakby dopiero go zobaczył. – Trzydzieści lat służyłem. Mój ojciec też. I jego ojciec. Więc jest to dla nas ważne. Nie podoba nam się, kiedy zabijają gliniarza. Chcemy wiedzieć, dlaczego do tego doszło.

Wczoraj Maribelli nie palił się do rozmowy, ale istnieje specyficzna więź między policjantami a strażakami i mieliśmy nadzieję, że nam to pomoże. Patrzył na nas w milczeniu, wreszcie skinął głową i rozparł się w krześle.

– Mówicie, że znaleźliście ciało? – zwrócił się do mnie.

– Zgadza się.

– Przykro mi. – Westchnął głęboko. – Skoro moja stara sprawa jest tak cholernie ważna – zaczął – to dlaczego przyszli do mnie prywatni detektywi zamiast detektywów z wydziału zabójstw?

– Jeśli sprawy potoczą się tak, jak się spodziewamy, przyjdą do pana detektywi z wydziału zabójstw – odpowiedział Joe. – Dostaną wszystko, co odkryjemy. Spowalnianie naszej pracy nie pomoże im. Ani trochę.

– No, to czego chcecie? – Maribelli rozparł się wygodniej i założył ręce za głowę. – Pożary, o których chciał się dowiedzieć tamten policjant, zdarzyły się siedemna-

ście lat temu. Trzy pożary w zachodniej dzielnicy, wszystkie w krótkich odstępach czasu, latem, wszystkie w nieruchomościach człowieka o nazwisku Terry Solich. Ale do-myślę się, że to już wiecie.

– Przeczytaliśmy stare gazety – powiedziałem. – Według dziennikarskich relacji pan prowadził śledztwo w sprawie tych pożarów i ustalił, że były wynikiem podpalenia.

Pokiwał głową.

– Co może nam pan powiedzieć o samym śledztwie?

– Podejrzewano, że Solicha ktoś chce wysadzić z interesu. Prowadził parę lombardów w okolicy i wszyscy uważali, że to podejrzany typ. Policja przyjęła wersję, że albo wkurzył niewłaściwych kołesiów, albo ktoś chce na nim coś wymusić. Myśleli, że Solich wie, kto jest sprawcą ale nie chce gadać. To irytowało policję i mnie, bo kiedy trzeci lombard poszedł z dymem, zrobił się z tego niezły wrzód na dupie. Ludzie w okolicy zaczęli się bać, media bardzo się tym zainteresowały. Chcieliśmy załatwić sprawę, a Solich w ogóle nam nie pomagał, chociaż pewnie mógłby.

– I nie zakończyliście tego? – zapytał Joe.

Maribelli już zaczął kręcić głową, ale się powstrzymał.

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Nikogo nie aresztowano, ale mieliśmy podejrzanego, który nieźle pasował do tych pożarów. Ale zanim do niego poszliśmy, już nie żył. Zabił się.

– Zabił się – powtórzyłem. – Pamięta pan nazwisko?

– Jeszcze wczoraj nie pamiętałbym, ale przeglądałem notatki razem z tym gliną. Podejrzany nazywał się Norman Graddock.

Wymawiał „gredak”, co i tak nie zmniejszyło wrażenia. Poczulem ściskanie w gardle.

– Dlaczego zaczęliście go podejrzewać? – Starłem się mówić spokojnie.

– Informacje z sąsiedztwa. Jeden z gliniarzy, którzy patrolowali okolicę, przyłożył ucho do ziemi i przekazał parę wiadomości Conradowi, detektywowi policyjnemu.

Razem z nim obserwowaliśmy faceta, którego przesłuchaliśmy w sprawie innego podpalenia niecały rok wcześniej, w tej samej okolicy. Ale fama głosiła, że to ten Graddock. Kiedy mieliśmy do niego pójść, okazało się, że nie żyje od paru dni. Tamtej jesieni było od groma roboty, Conrad był zajęty, ja też, i sprawa utknęła. Tak czy inaczej, najlepszy podejrzany nie żył. Pożary ustały.

– A co pan pamięta, jeśli chodzi o same pożary? – zapytał Joe.

To było dobre pytanie. Jak każdy specjalista, Mirabelli lepiej pamiętał szczegóły niż całość zagadnienia.

– Wszystkich trzech podpaień dokonano przy użyciu małego ładunku wybuchowego i akceleratora naftowego – powiedział bez wahania. – Facet owinął budynek lontem i spryskał ściany akceleratorem. To dawało pewność, że kiedy wybuchnie po-

żar, nie da się go ugasić, aż wszystko spłonie. Podejrzewałem, że użył też opóźniacza.

Lont, który wykorzystał, pali się szybko, nie można po prostu przytknąć do niego zapalniczki i uciec, a dom zapalił się po kilku minutach. Nie był tak szybki jak primacord, to gównie używane przez wojsko, który się pali z jakąś absurdalną szybkością trzech tysięcy metrów na sekundę, ale i tak nie można było przy nim użyć zapalniczki.

Wymieniliśmy z Joem spojrzenia. Taką samą metodę opisał nam Richards.

– Nie jesteśmy pewni co, o ile w ogóle coś, pożary sprzed lat mają wspólnego z ostatnimi podpaleniami w okolicy – mówiłem. – Ale to, co pan opisał, pasuje do tych nowych pożarów i

wchodzą w grę te same nazwiska. Wspomniał pan, że informacja pochodziła od policjanta z patrolu, który miał rewir w okolicy. Pamięta pan, kto to był?

Jęknął i spojrzał na sufit.

– Cholera, nie mam pamięci do nazwisk. Wczoraj rano żona prosiła, żebym napisał kartkę do jej siostry. Napisałem „droga Alice”, a ona ma na imię Allison. Trzeba było słyszeć moją żonę. Wściekała się jak wariatka. – Popatrzył na nas i się uśmiechnął. – Albo wariowała jak wściekła. To lepiej brzmi.

– Nazwisko?

– Tak, tak. Zastanawiam się. Och, kurczę. Siedemnaście lat, macie wymagania. –

Myślał chwilę z miną cierpiętnika, potem westchnął i pokręcił głową. – Przepraszam, ale nie mogę sobie przypomnieć.

– Może w starych aktach jest coś, co odświeżyłoby panu pamięć?

– Wczoraj je przeglądałem. Nie pamiętam, żebym widział tam nazwisko tego gliniarza. Może jest w notatkach Conrada, jeśli uda się wam do nich dotrzeć. Ale w moich go nie ma. Zajmowałem się stroną techniczną.

Nie chciałem wymieniać tego nazwiska, wolałem, żeby on sam powiedział, ale musiałem zapytać.

– Czy mógł to być Jack Padgett?

Ściągnął brwi.

– Czy mógł być? Jasne. Ale mogło być mnóstwo innych. Uczciwie mówię, nie pamiętam.

– W porządku. A co to za podejrzany, którego mieliście, zanim dostaliście cynk o Gradduku?

– Pamiętam go. Facet nazywa się Mitchell Corbett. Miejscowy, zna się na wyburzeniach, był podejrzanym w poprzednim podpaleniu, jak mówiłem.

Odwróciłem się i popatrzyłem na Joego.

– Wiesz – powiedział. – Naprawdę musimy znaleźć tego sukinsyna.

Zaczęliśmy od maklera informacji w Idaho. Termin „makler informacji” to kod, pod którym kryje się rządowy szpieg i haker. Facet pracował kiedyś w CIA i umiał

wejść do większości komputerowych baz danych, które zwykłemu człowiekowi wydają się nie do złamania. W całym kraju jest garstka takich ludzi i chociaż o tym się nie mówi, każdy prywatny detektyw, choć trochę zasługujący na to miano, zna kilku z nich. Ale przy rutynowych dochodzeniach nie prosi się ich o pomoc. Jest to zarezerwowane tylko dla szczególnych przypadków, z dwóch

powodów: ryzyka i kosztów.

Przywykniesz, że wiesz coś, czego nie powinieneś wiedzieć, i w rezultacie wpadniesz w tarapaty. A kolesie, jak ten nasz, z Idaho, słono każą sobie płacić. Kiedy Joe zadzwonił

do niego, wiedział, że nasz iluzoryczny budżet na wydatki dozna poważnego uszczerbku. Ale się nie zawahał.

Joe poprosił o sprawdzenie historii rachunku bankowego Mitcha Corbetta.

Gdyby kupił coś na kartę, wiedzielibyśmy gdzie i kiedy. To samo dotyczyło karty de-betowej i wypłat z bankomatów. Od tego należało zacząć. Facet z Idaho powiedział

Joemu, żeby dał mu kilka godzin. Popracuje nad tym i oddzwoni.

Sprawdziłem faks i znalazłem tuzin kartek na tacy. Amy nie zapomniała o mojej prośbie. Przesłała kilka artykułów o Wspólnocie Mieszkańców wraz z pełną listą nieruchomości należących do tej organizacji, zebranych z bazy danych archiwum miejskiego. Pierwsze teksty były banalne – kilka stereotypowych cytatów o odbudowywaniu poczucia wspólnoty przez odbudowywanie domów, notka o Sentalar jako o dyrekto-rze i to wszystko. Jednak ostatni artykuł bardzo nas zainteresował. Napisany został

zaledwie dwa miesiące temu. Mówił o tym, że Wspólnota Mieszkańców z pomocą funduszy miejskich i piętnastomilionowego grantu federalnego ma przekształcić stare liceum imienia Josepha A. Marsha Juniora w budynek mieszkalny, który zostanie za-siedlony za niskie czynsze przez rodziny o małych dochodach. Stara, prawie dziewięć-

dziesięcioletnia szkoła z cegły świeciła pustkami od ponad dziesięciu lat. Podobnie jak college West Tech została zamknięta wkrótce potem, jak ją ukończyłem. Najwyraźniej taki mam wpływ na szkoły.

West Tech, które mieściło się w równie historycznym budynku, kilka lat temu również zostało przebudowane na mieszkania. Kiedyś tam poszedłem i byłem pod wrażeniem jej wyglądu. Udało się im przekształcić typowy szkolny budynek w coś tak niezwykłego, że aż się wzruszyłem. Skrzynki pocztowe lokatorów umieszczono w starej szatni, salę gimnastyczną przekształcono w siłownię, audytorium miało służyć specjalnym funkcjom. Klasy na piętrze zamieniono na mieszkania – niektóre dwupoziomowe, ze spiralnymi klatkami schodowymi i szerokimi ciągami okien. Chociaż wysokość czynszu świadczyła, że nie preferowano osób o niskich zarobkach, jak w przy-padku szkoły Marsha, nowy budynek po ukończeniu zebrał mnóstwo przychylnych opinii. Nie byłem zaskoczony, że podobnie chciano postąpić ze szkołą Marsha.

– Pieniądze, które miała Wspólnota Mieszkańców, dawały jej wejście do pierwszej ligi – powiedziałem Joemu i pokazałem mu artykuł. – Dostali grant w wysokości piętnastu milionów dolarów.

Kiedy czytał artykuł, przejrzałem listę nieruchomości z archiwum miejskiego, którą dołączyła Amy. Okazało się, że Wspólnota miała dziewięć domów, nie licząc budynku szkolnego. Wszystkie

położone były w zachodniej dzielnicy. Dwie z dziewięć-

ciu nieruchomości były teraz pustymi działkami, bo domy, które na nich stały, zamieniły się w kupę popiołu. Dziewiąty dom z listy został sprzedany zaledwie tydzień temu za wzbudzającą szacunek sumę trzydziestu dwóch tysięcy dolarów. Aż pokręciłem głowę. Dziewięć pustych domków, zapewne zajętych za niespłacone hipoteki w okolicy, w której dorastałem. Pomyślałem o starych czarnobiałych zdjęciach ze ścian Kryjówki, o tych domach i warsztatach, porządnym, czystym, dobrze utrzymanym, o ludziach, którzy stali przed nimi z wyrazem dumy na twarzach.

– Interesujące – rzekł Joe, kiedy skończył czytać. – Jeśli wziąć pod uwagę, co twój przyjaciel mówił o korzystaniu z dopływu cudzej gotówki, jest w tym pewien potencjał. Mamy parę godzin. Poczekamy i zobaczymy, co nasz przyjaciel z gór znajdzie na Corbetta. Myślę, że możemy poszukać tego konsultanta, o którym wspominał

Cancerno, tego faceta z federalnego departamentu urbanizacji.

Pokręciłem głowę.

– Myślę, że powinniśmy wykorzystać ten czas, żeby pójść do Terry’ego Solicha i zapytać, dlaczego zmarły ojciec mojego zmarłego przyjaciela miałby podpalać jego przedsiębiorstwa. Albo dlaczego miałby to robić Mitch Corbett.

– Facet nie pomógł wtedy glinom – zauważył Joe.

Uśmiechnąłem się.

– Zgadza się. Ale gliny nie łamały mu rąk. Nakłonię go do mówienia.

– Co ci mówiłem o opanowaniu? Nie chcemy zaczynać od łamania rąk. Przecież facet ma palce.

Rozdział 18

Terry Solich miał plamy wątrobowe na twarzy i na łysej głowie; zapadnięte oczy były podkrążone. Zbliżało się południe, ale drzwi otworzył nam w szlafroku. W jednej ręce trzymał dzbanek z kawą w drugiej ceramiczny kubek.

– Wy chyba sobie ze mnie kpicie – powiedział. – Ile razy mam wam, ludziska, mówić, że nie zamierzam wstąpić do tej idiotycznej straży sąsiedzkiej.

– My nie jesteśmy z sąsiedztwa – wyjaśnił Joe.

– A sąsiedztwo i teraz wygląda cholernie spokojnie – dodałem.

– Jak wszyscy diabli – odburknął Terry Solich.

Pięć minut później siedzieliśmy na tylnym podwórku, na patio. W trawie syczał

zraszacz, polewając cienkim strumyczkiem rządki kwiatów wzdłuż płotu. Po trawniku biegał w kółko i poszczekiwał mały terier.

– Wyprowadziłem się z tamtej cholernej dzielnicy piętnaście lat temu – powiedział Terry Solich. – Jestem na emeryturze. Mam wnuki. Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju?

Popełnił ten błąd, że zaproponował nam kawę, zanim przeszliśmy do sedna sprawy, i teraz pomyślałem, że tylko to ratuje naszą rozmowę. Solich był przebiegłym starym sukinsynem, ale nie pozbawionym manier – nie wyrzuciłby nas z domu, zanim dopijemy kawę. Maniery.

– Nie zamierzamy przysparzać panu kłopotów. To pan może pomóc zapobiec problemom – mówiłem. – Chcemy tylko wiedzieć, dlaczego spalono pańskie przedsiębiorstwa.

Ściągnął brwi i siorbnął kawy.

– Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Wandale, punki, bachory podpaliły mi interes, a potem niby przyszły i powiedziały dlaczego? Tak wam się zdaje? Okej, oto dlaczego to zrobiły: ich rodzice nie kochali ich, nauczyciele też. Zadowoleni?

– Pańskie przedsiębiorstwa nie zostały spalone przez dzieci, proszę pana –

odezwał się Joe przyjacielskim, ale stanowczym tonem.

– Tego to pan nie wie.

– Ale pan wie. Więc dlaczego pan nie chce powiedzieć?

Jedyną odpowiedzią Solicha było beknięcie.

– Krążyły plotki, że sprzedawał pan towary, pochodzące z kradzieży w swoich sklepach – powiedziałem. – Czy mogło to mieć jakiś związek z tymi pożarami?

Solich włożył dwa palce w usta i gwizdnął tak, że włosy stanęły mi dęba. Zwariowany mały terier podbiegł i pobieżnie obwąchał mnie i Joego, potem usiadł obok Solicha i zaczął lizać mu rękę.

– Jestem na emeryturze – powtórzył Solich. Skrzyżował kościste nogi i zacisnął

pasek od szlafroka.

Czekaliśmy. Minęło pięć minut, a Solich milczał. Nie ponaglaliśmy go jednak, bo wyglądało na to, że myśli. Wreszcie przemówił:

– Nie odpowiadam na pytania, co sprzedawałem dwadzieścia cholernych lat temu.

– Nie chodzi o to, co pan sprzedawał dwadzieścia lat temu – tłumaczyłem spokojnie. – Nie obchodzi nas to i, szczerze mówiąc, policji chyba też nie. Chcemy tylko wiedzieć, dlaczego ktoś spalił trzy pańskie lombardy.

Westchnął i podrapał się po głowie.

– Miałem trzy, naprawdę? Więcej w życiu nie miałem. Zaczynałem od małej budy przy Superior, przeniósłem się do większej, potem miałem jeszcze jedną i jeszcze jedną. Szło mi nieźle. Robiłem pieniądze. – Zamyślił się. – Tak, mogę wam powiedzieć. Chyba nikomu teraz nie zrobię krzywdy. Tyle czasu minęło.

– Owszem.

Napił się kawy.

– Ludzie przynosili mi wartościowe przedmioty, a ja je kupowałem i o nic nie pytałem. Tak prowadziłem interes. Każdy tak powinien robić. Z latami nabrałem do-

świadczenia. Płaciłem lepiej niż paru innych facetów, miałem więcej towaru i obroty większe.

– Łupy. Kradzione.

Podniósł lekko wargę.

– Towary.

– W porządku.

– Tak czy inaczej, rynek w tej okolicy, do diabła, w prawie całej zachodniej dzielnicy, należał do mnie. Było tak przez parę lat i mogło tak zostać. Przyszedł inny facet, wymyślił sobie, że przejmie moją sieć. Chciał, żebym się wyniósł. Powiedziałem mu, żeby się chrzanił, a on spalił mi sklepy. Proste. – Solich wypił kawę i nalał sobie nową porcję.

– Musi pan podać nam jego nazwisko. – Joe twardo stawiał sprawę.

Solich obrzucił go ponurym spojrzeniem.

– Nie mamy zamiaru pana w to wciągać – dodał Joe. – Ale musimy wiedzieć.

Solich westchnął.

– Wy dwaj niewiele jesteście warci, ale zaoszczędzę wam kłopotu, bo już dla niego nic nie znaczę, więc chyba nie przyjdzie tutaj, żeby zrobić mi krzywdę. Facet nazywa się Jimmy Cancerno.

Nachyliłem się do przodu.

– Cancerno? Pracuje w branży budowlanej.

Solich spojrział na mnie z rozbawieniem.

– Pracuje w wielu branżach. I ma z tuzin lombardów w zachodniej dzielnicy, chociaż z tego, co

słyszałem, przenosi się coraz bardziej w sferę pożyczek gotówkowych. – Zrobił kwaśną minę. – Nigdy mi się to nie podobało.

– Cancerno chciał pana wyprzeć z interesów i dlatego podpalił panu sklepy? –
odezwał się Joe.

Solich kiwnął głową.

– Aha. To się działo wówczas, kiedy Jimmy był tu nowy i dopiero szedł do góry.

Podejrzewam, że już dawno mnie przerósł.

– Dlaczego nie powiedział pan policji? – zapytałem. – Nie chciał pan, żeby przyjrzeni się pańskim interesom?

– Tym się szczególnie nie przejmowałem, bo wszystko czemu chcieliby się przyrzyć, spłonęło. Po prostu nie chciałem, żeby Jimmy uderzył mocniej. Facet osią-

gnął, co chciał, a ja się z tym pogodziłem.

– Myśli pan, że Cancerno mógłby się posunąć do czegoś więcej niż tylko spalanie pańskich interesów?

Solich przekrzywił głowę, patrząc na Joego.

– Niewiele wiesz pan o Jimmym, co?

– Niewiele.

– Hm, to bezlitosny sukinsyn. Wystarczył mi jeden pożar, żeby to zrozumieć, ale on na tym nie poprzestał. Za mało, bym szedł mu z drogi, on chciał, żebyśmy uciekał. I nie oglądał się za siebie. I miał, co chciał.

– Więc konkretnie, w czym robi Cancerno? Sprzedaż fantów, lichwa? – podpowiadałem.

Solich szeroko otworzył zapadnięte oczy, wysoko uniół brwi.

– W czym Cancerno nie robi? Wtedy to był gówniarz. Fanty i lichwa to było wszystko, co miał. Teraz to gruba ryba. Przynajmniej tyle słyszałem. Zdziwiłbym się, gdyby w zachodniej dzielnicy był jakiś nielegalny interes, którego on nie prowadzi.

– A więc przestępczość zorganizowana – rzekł Joe. – Ma powiązania?

– Z kim, z mafią włoską? – Solich pokręcił głową. – Nie, do diabła. Kumpelski interes to nie w jego stylu. Jest na to zbyt niezależny. Macza palce we wszystkim, ale trzyma się z daleka. W okolicy jest jednak szefem. Między Clark Avenue a Fulton Road nic się nie zdarzy, jeśli on nie da swojego

błogosławieństwa.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Solich głaskał teriera po głowie, zraszacz syczał i polewał grządki.

– Więc pan nic nie powiedział glinom, bo nie chciał pan, żeby Jimmy mocniej pana nacisnął? – zapytałem. – Co to dokładnie znaczy? Myśli pan, że zabiłby?

Solich spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– Proszę pana, był powód, że przeszedłem na emeryturę.

Zostaliśmy jeszcze jakiś czas, może dziesięć minut, ale Solich zdawał się być coraz bardziej niespokojny. Pod koniec krzywił się za każdym razem, kiedy wspomnieli-

śmy nazwisko Cancerno. Chyba zaczynał żałować, że był taki otwarty. Piętnaście lat przesiadywania na patio w Parma, dogłądanie psa i wnuków, zmiękczyło go. A teraz myśmy się pojawili i potrząsnęliśmy nim. Cieszyłem się, że przyszliśmy do niego pierwsi. Raczej nie byłby tak pomocny, gdybyśmy złożyli mu wizytę jako drugi z kolei zespół i wypytywali, co wie o starej dzielnicy i ludziach, którzy prowadzą tam działalność przestępczą.

– Kupujesz tę charakterystykę Cancerno? – Jechaliśmy do biura i Joe mówił

głośno, żeby było go słychać przez wiatr wdzierający się do kabiny ciężarówki.

– Tak. Nie sądzę, żeby coś kombinował. Właściwie, to nawet pasuje. Cancerno powiedział mi za pierwszym razem, kiedy się spotkaliśmy, że nie lubi, kiedy policja węszy i przeszkadza mu w interesach; wiadomo, chodziło o coś więcej niż obawa przed naruszeniem prywatności.

– Jeśli ten facet jest taki, jak mówi Solich – ocenił Joe – sprawa awansuje o parę klas wagowych. Przystępczość zorganizowana, nawet jeśli ograniczona do jednej dzielnicy. I, cholera, jeżeli Cancerno pożarami wypłasza ludzi z ich biznesów, to dwadzieścia lat temu też nie był zawodnikiem wagi lekkiej.

– Dobieramy się do niego?

Joe pokręcił stanowczo głową.

– Nie ma mowy. Dużo za wcześnie. Nic do zyskania, mnóstwo do stracenia.

Nadal potrzebuję Corbetta. Przydałoby się nam to, co facet wie o sprawach z przeszłości, i nie tylko. Szybciej uporządkowalibyśmy cały ten bałagan.

W biurze czekała wiadomość od naszego szpiega z Idaho. Joe natychmiast oddzwonił, ale nie było dobrych wieści. Żadnego ruchu na rachunkach Corbetta przez ostatnich dziesięć dni. Ma dwie karty kredytowe i jedną debetową, korzystał z nich regularnie. Przestał dziesięć dni temu.

– To wskazuje na dwie możliwości – stwierdził Joe, kiedy przekazał mi informację. – Pierwsza, że Corbett nie żyje.

– To dlaczego Padgett i Rabold go szukali?

– Bo nie wiedzieli, że nie żyje. Druga jest taka, że Corbett ucieka, ukrywa się przed kimś. A jeśli tak, to jest mądry. Nie korzysta z plastikowych pieniędzy, bo wie, że można by go namierzyć. Jeśli tak, to mówi nam to coś jeszcze.

– Mianowicie?

– Obawia się, że faceci, którzy go ścigają, mają długie ręce. I niezłe źródła informacji, jeśli mogą namierzyć karty kredytowe.

– Faktycznie. Ale to nie ułatwi nam znalezienia go.

Joe pokiwał głową i westchnął.

– Przystąpmy więc do planu B.

– Ścieranie zelówek?

– Trafiałeś w sedno.

Minęło pięć godzin, a my nic nie mieliśmy. Przez resztę popołudnia i wieczór chodziliśmy po ulicach, próbując znaleźć kogoś, kto mógłby nas skontaktować z Mitchem Corbettem. Poszliśmy do domu jego brata, który już chciał wzywać na nas gliny. Wróciliśmy do ośrodka sportów, dostaliśmy listę telefonów innych pracowników społecznych, którzy pracowali z Corbettem, i przelecieliśmy ją, szukając kogoś, kto mógłby nam pomóc. Nikt nie mógł. Odwiedziliśmy sąsiadów Corbetta, zaliczyliśmy dwadzieścia pięć domów. Wszędzie słyszeliśmy tę samą gadkę. Mitch Corbett był cał-

kiem miłym gościem, zamkniętym trochę w sobie i nie, nie było go tutaj od dłuższego czasu. Przynajmniej przez ostatnich parę dni. Nie, nie wiadomo, gdzie teraz może być.

– Cholera – powiedziałem, kiedy wracaliśmy do samochodu – to była totalna strata czasu, Joe. Większość dnia poświęciliśmy Corbettowi i nic nie znaleźliśmy. Tymczasem pół tuzina innych aspektów dochodzenia zostawiliśmy na boku.

– Musieliśmy spróbować. – Joe obstawał przy swoim. – On ma odpowiedzi.

Wiesz, że je ma.

– Inni też mogą mieć odpowiedzi. A my, po prostu, straciliśmy czas.

Wracaliśmy do samochodu w milczeniu, obaj wściekli. W powietrzu czuć było wilgoć. Ledwie przeszedłem z samochodu do domu i z powrotem, a już zacząłem się pocić. Ciężkie fioletowe chmury wisiały nad horyzontem, od północnego zachodu, nad jeziorem. Miałem nadzieję, że nadciągną nad

miasto, zrzucą na nas trochę deszczu i odpoczniemy od upału, który narastał od wielu dni. Trudno jednak było przewidzieć to w sierpniu. Czasem znad jeziora, pod koniec dnia, nadciągała burza, czasem przechodziła bokiem i spadało tylko kilka kropel.

Wsiedliśmy do wozu, Joe zapalił silnik i podkreślił klimatyzację. Z otworów dmuchnęło gorące powietrze. Komórkę zostawił w konsoli, teraz wziął ją i sprawdził

ekranik.

– Przegapiliśmy kilka telefonów.

– Wiesz, są powody, dla których to cholerne urządzenie jest przenośne – burknąłem, ciągle zirytowany bezowocnymi poszukiwaniami.

Joe nie odpowiedział, tylko przytknął telefon do ucha, żeby odsłuchać wiadomości. Patrzyłem przez okno, odsuwając twarz od gorącego, zakurzonego powietrza, które waliło przez otwory klimatyzacyjne. Spojrzałem na pusty dom Corbetta, na sto-sik gazet pod drzwiami, na pocztę wysypującą się ze skrzynki. Gdzie on się podział, do diabła? I co on wie?

– To był Amos Lorenzon – powiedział Joe po minucie, odsuwając telefon od ucha. Wyrwał mnie z zamyślenia. – Chce się z nami spotkać. Jak najszybciej. Mówi, że ma coś z raportów dyscyplinarnych.

– Tyle że dzień za późno.

– Tak. – Joe miał skupiony wyraz twarzy. – Powiedział, że to duża sprawa. Tak duża, że boi się o niej mówić przez telefon.

Z Amosem Lorenzonem spotkaliśmy się w Bartlett's Tavern przy Lorain Avenue.

Przy barze siedziało kilku ludzi, ale Amos zajął samotny stolik w rogu sali. Nie widzia-

łem go już kilka lat, ale bardzo się nie zmienił, choć zawsze widywałem go bez munduru.

– Jak się masz, synu? – Uścisnął mi rękę. Amos zawsze nazywał mnie synem, kiedy razem jeździliśmy, ale nigdy nie było w tym pogardy.

– Świetnie. Miło cię widzieć.

Kiedy witał się z Joem, przyciągnąłem trzecie krzesło i wszyscy usiedliśmy. Stolik był wielkości podkładki pod piwo. Barmanka, kobieta w średnim wieku o ochryłym głosie, przekrzykując muzykę, zapytała Joego i mnie, czy chcemy drinka. Obaj odmówiliśmy.

– Mam nadzieję, chłopaki, że mnie zrozumiecie. Dla nikogo innego tego bym nie zrobił – powiedział Amos. Miał dość jasną skórę jak na czarnego, ale tutaj, w pół-

mroku przybrałaciemniejszy odcień. W jego kędzierzawych włosach pojawiła się już siwizna, a na

czole miał głębokie zmarszczki. Był wysoki, a przy tym masywny; nigdy dotąd nie spotkałem człowieka, który miałby silniejsze ręce. Nieraz widziałem, jak niby od niechcienia kładł dłoń na ramieniu pijanego awanturnika i jednym ruchem go unieszkodliwiał.

– Wiemy – rzekł Joe. – A ty wiedz, jak bardzo to doceniamy.

– Zapłacimy ci tyle, ile uznasz za stosowne – zaproponowałem, mimo że nie mieliśmy klienta, który opłacałby nasze rachunki. Nie chciałem, żeby Amos myślał, że go wykorzystujemy.

Zmarszczył brwi.

– Doskonały pomysł, synu. Gdyby się rozniosło, że przekazałem tę informację, to wpadłbym jak śliwka w kompot, choćbym nawet nie wziął za nią łapówki.

– Racja.

– Co masz? – zapytał Joe.

Amos popatrzył na ludzi przy barze. Był ostrożny, mimo że nie mogli nas słyszeć przez ogłuszające rytmy Pearl Jam. To nie był bar odwiedzany przez policjantów i pomyślałem, że właśnie dlatego Amos go wybrał. Miał obawy w związku z informacją, którą chciał nam przekazać.

– Przejrzałem raporty dyscyplinarne, tak jak prosiliście. I Padgetta i Rabolda.

Tego samego dnia zabito Rabolda.

Milczenie.

– Nie wiem, co mi na ten temat powiecie, ale i tak mi się to nie podoba.

– Kiedy prosiłem cię o sprawdzenie raportów dyscyplinarnych, nie wiedziałem, że sprzątną faceta – odparł Joe. – No, to co znalazłeś?

– Mieli trochę za uszami – powiedział Amos. – Rabold sam się wpakował w kłopoty osiem lat temu, kiedy wziął kilka setek w gotówce od podpitego kierowcy.

Facet później opowiadał o tym na party, a w sali był urzędnik miejski i Raboldowi dobrali się do dupy. Ale nie został zawieszony; nic nie przeciekło do prasy, więc zała-twiono sprawę po cichu. To była jedyna poważniejsza wzmianka u Rabolda. Poza tym ogólne uwagi, że jest leniwy.

– A Padgett?

– To inna para kaloszy. – Amos poprawił się na krześle i nachylił do nas. – Nie miał pozytywnych opinii, ale służy od tak dawna i jest taki wrzaskliwy i apodyktyczny, że chyba niektórzy faceci się go boją. Przez te lata było na niego kilkanaście skarg za użycie przemocy, ale nie wyciągnięto konsekwencji. Wydział wewnętrzny prowadził

jakieś dziesięć lat temu dochodzenie w sprawie plotki, że brał łąpówki od paserów, ale go oczyścili.

– Paserstwo – powiedziałem. – Czy nie był w to zamieszany facet o nazwisku Cancerno?

– Nie pamiętam, żeby wymieniono tam jakieś nazwiska. Jest tylko parę zdań, że go sprawdzono i oczyszczono z zarzutów.

Amos przerwał i napił się wody. Znów rzucił okiem na bar. Obejrzałem się i zobaczyłem, że barmanka, nalewając komuś piwo, przygląda się nam. Trzech facetów siedzi przy stoliku, w kącie, a przed nimi stoi tylko jedna szklanka wody z lodem. Musiało jej to się wydać bardzo podejrzanie.

– Powiem wam, co jeszcze znalazłem i nie spodobało się mi – ciągnął Amos. –

Kiedy poprosiłem w archiwum, żeby wyciągnęli te raporty, dziewczyna, która tam pracuje, powiedziała, że Rabold cieszy się popularnością. Okazało się, że w ciągu ostatnich paru tygodni już dwa razy ją proszono, żeby przyniosła jego teczkę: raz sprawy wewnętrzne i raz FBI.

– FBI – powtórzył Joe. – Cudownie. Wiedzieli, o co szło?

– Nie. Ale ja, idiota, postanowiłem się dowiedzieć. Zadzwoiłem do znajomego ze spraw wewnętrznych i zapytałem, co wie o Raboldzie. Facet się zdenerwował.

Uparcie dociekał, dlaczego ten gość mnie interesuje. Powiedziałem, że prowadzę przegląd spraw dyscyplinarnych i jestem po prostu ciekaw, ale nie kupił tego. Jeżeli mnie zacznie sprawdzać, będę miał kłopoty. To znaczy, jeśli komuś powiecie, że przekazałem informacje dwóm cywilom.

– Nikomu nie powiemy – zapewniłem. – A ten facet powiedział ci chociaż, o co chodzi z Raboldem?

– Nie. A do tego ja go bardzo dobrze znam. To prawie przyjaciel. Więc jego reakcja zaskoczyła mnie. – Amos jeszcze bardziej ściszył głos, ledwo go było słychać. –

Dziewczyna w archiwum podała mi nazwisko gościa z FBI, który zażądał teczki Rabolda. Nazywa się Robert Dean. Sprawdziłem go trochę. Jest w grupie do zadań specjalnych.

Joe popatrzył na mnie i uniósł brwi.

– Grupa do zadań specjalnych, a Rabold nosi na sobie podsłuch?

– Podsłuch? – Amos był zaskoczony.

– Rabold miał na sobie podsłuch, kiedy go zabili – rzekł Joe. – Myślisz, że mógł pracować dla spraw wewnętrznych? Może miał im wystawić Padgetta?

Amos odsunął się od stołu i podniósł ręce.

– Nie mam pojęcia, człowieku. Zielonego.

Przez chwilę milczeliśmy. Wreszcie Joe zapytał go, czy to wszystko, co ma.

– Jeszcze nie skończyłem – odparł Amos. – Ale zanim będę mówił dalej, zadam wam, chłopaki, proste pytanie i chcę, żebyście udzielili mi prostej odpowiedzi, zgoda?

Pokiwaliśmy głowami.

– No dobrze. Pritchard, nie powiedziałaś mi, o co w tym wszystkim chodzi. Rozumiem. Ale pamiętam to i owo, może więcej niż wam się wydaje i mam własne pomysły. Czy ma to coś wspólnego ze śmiercią Eda Gradduka?

Joe pozostawił mi odpowiedź.

– Tak. O to w tym wszystkim chodzi.

Ściągnął usta i zmarszczył czoło.

– Tego się bałem. Pamiętam, co się wydarzyło między tobą a tym facetem, zanim przeszedłeś do narkotyków, synu. Pamiętam, że nie było ci łatwo.

– Jakoś się z tym uporałem.

– Jasne, synu. Ale ja pamiętam. Tylko tyle. I słyszałem, że go zabito parę dni temu, ale nie skojarzyłem tego, kiedy zadzwonił do mnie Pritchard.

Czekaliśmy.

– Piętnaście lat temu na Padgetta była skarga o molestowanie – powiedział

Amos. – Ktoś twierdził, że zachodził do kobiety od czasu do czasu i kazał jej z sobą współżyć. Chyba miał coś na nią a może po prostu ją zastraszył, bo pozwalała na to przez dłuższy czas... – Przerwał. Potem dodał: – Ta kobieta to matka Gradduka.

Przez jakiś czas w barze słychać było tylko zawodzenie Eddiego Veddera, per-kusję i gitarę.

– Myślisz, że między tymi dwoma mogła być jakaś zadawniona nienawiść? –

zapytał Amos.

– Może i tak – odparłem obojętnie.

– To wygląda na brudną sprawę, właśnie tak wygląda. Jeden z gliniarzy, który przejechał tego chłopaka na ulicy, molestował przed laty jego matkę? Człowieku, tu zbiera się burza.

– Były jakieś szczegóły? – zapytałem. – To poważny zarzut, a Padgett nadal służy w policji. Jakby nie wpłynęło to na jego karierę.

– Tego jest cholernie dużo – mówił Amos. – Graddock nie złożyła skargi. Nic nie chciała powiedzieć. Kiedy skarga wpłynęła, w wydziale uznali, że z tego może zrobić się skandal i trzeba poważnie do tego podejść. Więc poszli do adwokatów, którzy po-rozmawiali z tą kobietą. Nic im nie powiedziała. Bez zeznania ofiary, zostawała tylko plotka. Sprawę zamieciono pod dywan. I tam leży.

– Przynajmniej do dziś leżała – wtrącił Joe, a Amos się skrzywił.

– Chwileczkę – odezwałem się. – Jeśli Alberta Graddock nic nie chciała powiedzieć, to kto złożył skargę?

– Mam nazwisko. – Amos wyjął kartkę z tylnej kieszeni i spojrzał na nią. – Nie dam wam tego, bo chcę, żeby nasza rozmowa została w pamięci, a nie na papierze.

Rozumiecie, muszę się zabezpieczyć. Jak skończymy, spuszczę tę kartkę z wodą w ki-blu.

Czekaliśmy chwilę, a on szukał nazwiska. Po minucie je znalazł.

– Skarżącym był przyjaciel rodziny. Poszedł bezpośrednio do szefa. Facet nazywał się Thomas Perry. Powiedział, że pracuje jako sanitariusz w karetce miejskiej.

Joe popatrzył na mnie.

– Cholera, Lincoln. Czy to twój...

– Ojciec – powiedziałem. – Tak. To był on.

Rozdział 19

Ojciec nie był w zażyłych stosunkach z Graddockami. Niewiele miał wspólnego z Normem, a Alberta ciągle siedziała w domu, trzymała się na uboczu. Ed był jedynym członkiem tej rodziny, którego ojciec widywał regularnie, bo przychodził do nas bardzo często. Nadeszły czasy, kiedy ojciec i Ed nie rozstawali się z sobą. Z początku trudno było mi to zrozumieć.

Co wtorek zwykli grywać w baseball, na trawniku przed domem Eda. Tylko we wtorkowe wieczory ojciec przychodził do domu na kolację. Natknąłem się na nich przypadkiem, przez parę minut patrzyłem w osłupieniu, wreszcie wycofałem się z po-czuciem urazy i odtrącenia. Ale ojciec zauważył mnie i wieczorem przyszedł do mojego pokoju porozmawiać. Powiedział, że od czasu do czasu musi spędzać parę chwil sam na sam z moim przyjacielem i że Ed ciężko znosi utratę ojca. Powiedział, że cieszy się, iż jestem na tyle dojrzały, żeby to zrozumieć. W ten subtelny sposób dawał mi do zrozumienia, że jeśli nie podoba mi się ich zażyłość, to powinienem do tego doro-snąć. Przyjąłem tę lekcję.

I tak, od czasu do czasu, spędzali z sobą długie godziny. Ale nigdy nie sądzi-

łem, że Ed mówi ojcu rzeczy, o których nie mam pojęcia. Byłem najlepszym przyjacielem Eda, ojciec był starym facetem. Jeśli ktoś tu miał znać tajemnice, to ja, zgadza się?

Dawno już skończyliśmy rozmowę z Amosem, a ja nie mogłem dojść do siebie.

Zastanawiałem się, co właściwie wiedział ojciec, dlaczego Ed zwierzył się jemu, a nie mnie. Może są rzeczy, które mówi się najlepszemu przyjacielowi, kiedy ma się czternaście lat, i rzeczy, których się nie mówi. Wyznanie, że matka jest wykorzystywana seksualnie, zdaje się należeć do tej drugiej kategorii. I dziwiłem się, że ojciec nigdy mi o tym nie powiedział – jeśli własne problemy zwykły zachowywać dla siebie, to tym bardziej dotyczyło to problemów innych. Thomas Perry nie był z tych, którzy roznoszą plotki. Był jak kamienna ściana, na której się one zatrzymywały.

„Jesteś taki, jak twój ojciec”, powiedziała do mnie ze złością Alberta Gradduk.

„Nigdy nie lubiłam takich, co się wtrącają”.

A więc się wtrącił. Złożył skargę na policji, to pewne, zażądał dochodzenia w sprawie Padgetta. I co wtedy się stało? Czy Padgett przestał molestować Albertę? Jakie miał kontakty z Graddukami przez wszystkie te lata? Co sprawiło, że przed trzema dniami wszedł do domu Eda z bronią w ręku? I dlaczego, do diabła, Alberta nie chcia-

ła mówić? Była dość chętna do współpracy, dopóki nie zapytałem, czy zna jednego z tych gliniarzy. Wtedy nas wyrzuciła.

Takie pytania krążyły mi po głowie, kiedy Joe wiózł mnie z powrotem do biura.

Robiło się późno, słońce już zachodziło. Niewiele zdziałaliśmy. Same pytania i niewiele odpowiedzi. To już, zdaje się, stało się dla nas normą.

Joe poszedł do biura pod pretekstem, że chce wyłączyć swój komputer. Ale ja wiedziałem, że pracuje nad sprawami płacących klientów, które zaniedbaliśmy przez ostatnie dni. Pożegnałem się z nim i wróciłem do domu. Nie wszedłem na górę, ale poszedłem do biblioteki West Park. Obszedłem budynek i usiadłem na chłodnym murku przy schodach. Słyszałem śmiechy dobiegające ze skwerku przy bibliotece, dzieciaki bawiły się w berka albo goniły za świetlikami.

Położyłem się na murku z rękami pod głową i spojrzałem na nocne niebo.

Wspominałem, jak to było w gorący, parny letni wieczór, kiedy byłem dzieciakiem.

Zamknąłem oczy i oddychałem głęboko. Pod plecami czułem zimne kamienie. W letnie wieczory, z Edem i Draperem, zwykliśmy przesiadywać do późna na betonowych schodkach Kryjówki. Mówiliśmy cześć stałym bywalcom, którzy przychodzili do baru, rozglądaliśmy się, czy ulicą nie idzie jakaś dziewczyna. To było milion lat temu albo wczoraj.

Martwiło mnie, że tak wiele stało się bez mojej wiedzy. Norm Gradduk był podejrzany o podpalenia tego lata, kiedy popełnił samobójstwo, jego żona była najprawdopodobniej molestowana przez policjanta, a mój ojciec złożył na niego skargę.

To się działo pod moim nosem, na ulicach, którymi codziennie chadzałem, uczestni-czyli w tym ludzie, których tak dobrze znałem. I nic o tych sprawach nie wiedziałem.

W kieszeni odezwała się komórka. Nie chciało mi się jej odbierać i rezygnować z tej krótkiej chwili spokoju, bo ktoś dzwoni, ale w końcu wyjąłem ją i sprawdziłem. To był numer służbowy Amy.

– Jak ci leci, Asie?

– Okej. Dostałeś te faksy?

– Tak. Wielkie dzięki.

– Do usług. A widziałeś listę z archiwum miejskiego?

– Aha.

– Dobrze. Pamiętasz tę notkę, że nie było już żadnych pożarów w domach należących do Wspólnoty Mieszkańców?

– Tak.

– Możesz ją podrzeć. Dziesięć minut temu wzywano straż pożarną. Dom przy Dwudziestej Piątej Zachodniej. Z listy, którą ci przesłałam.

Usiadłem.

– Jesteś tam?

– Tak.

– To nie jest robota Eda Gradduka.

– Nie.

– Ale płonie kolejny dom Wspólnoty Mieszkańców. Lincoln, co jest grane?

– Nie wiem. – Zeskoczyłem z murka. – Ale chciałbym osobiście się przekonać. –

Wyszedłem z powrotem na ulicę.

– Idziesz tam? Do pożaru?

– Chyba powinienem.

– Chcesz, żebyśmy się tam spotkali?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Podziękowałem jej, rozłączyłem się i przyspieszyłem kroku. Chciałem dotrzeć do Dwudziestej Piątej Zachodniej, kiedy dom jeszcze płonął. I chciałem wziąć z sobą pistolet.

Miałem już glocka w kaburze, a kluczyk tkwił w stacyjce, kiedy znowu zadzwoniła Amy. Włączyłem silnik i odebrałem, wyjeżdżając z parkingu.

– Jestem już w drodze, Amy.

– To będzie krótsza jazda, niż myślisz.

– Jak to?

– Nie uwierzysz, ale mamy kolejny pożar. Znow dom Wspólnoty Mieszkańców.

Przy Hancock Avenue.

– Jesteś pewna?

– Tak. Właśnie to zgłosili. Płoną dwa domy Wspólnoty Mieszkańców. Dwa w niecałe dwadzieścia minut. Kto to robi? I dlaczego?

W rozmowie z reporterem nieznośne jest to, że ma tendencję do zadawania pytań, nawet jeśli wie, że nie zna się odpowiedzi. Powiedziałem Amy, że oddzwonię, wyjechałem na ulicę i nacisnąłem gaz. Wielka ciężarówka pognęła z rykiem silnika. Ja-dąc, wystukałem numer domowy Joego i przyłożyłem komórkę do ucha. Dopiero po sześciu dzwonek przypominałem sobie, że nadal jest w biurze. Rozłączyłem się i znowu do niego zadzwoniłem. Odebrał natychmiast.

– Dzieje się coś dziwnego, Joe.

– Tak?

– Dwa pożary w zachodniej dzielnicy w ciągu pół godziny. Oba domy należą do Wspólnoty Mieszkańców.

Cisza.

– To nie jest robota Eda Gradduka – powiedziałem, powtarzając oczywiste stwierdzenie Amy.

– Gdzie jesteś?

– W drodze na Hancock Avenue. To najnowsza sprawa.

– Myślisz, że to coś pomoże, jak będziesz stać na chodniku i gapić się na pożar?

– Nie wiem, Joe. Ale nie mam ochoty siedzieć w domu i czekać, aż Amy zadzwoni z najnowszymi informacjami. To musi być podpalenie. Może ktoś coś widział, tak jak było z Graddukiem, którego uchwyciła kamera. Teraz jest najlepszy czas, żeby porozmawiać z ludźmi, kiedy wszyscy wyszli na ulicę obejrzeć widowisko. Będzie łatwiej czegoś się dowiedzieć. Lepiej tak spróbować niż stukać

jutro do drzwi i pytać, kto był świadkiem pożaru.

Jęknął.

– Chcesz się ze mną tam spotkać? Przejdziemy się razem po ludziach?

– Jeszcze nie wiem. Muszę się najpierw zorientować jak sprawy się mają. Potem do ciebie oddzwonię.

– W porządku. – Długa przerwa, wreszcie powiedział: – Masz jakieś inteligentne pomysły na temat tego, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie.

– Ja też nie.

– Oddzwonię, Joe.

Już z oddali słyszałem syreny i widziałem dym przy Hancock Avenue. Dwie przecznice przed domem trafiłem na blokadę policyjną. Radiowozy stały w poprzek ulicy, odgradzając rejon pożaru. Przy krawężniku nie wolno było parkować, ale mimo to zatrzymałem się, wjeżdżając na chodnik bokiem, dwoma kołami, żeby nie tarasować drogi. Zostawiłem samochód i pobiegłem truchtem w stronę domu.

Zdażyłem w samą porę, żeby zobaczyć, jak dach werandy zapada się pod strumieniem wody z węża strażackiego. Do pożaru przyjechały dwa wozy. Jeden stał

na ulicy, drugi wjechał na wąski podjazd. Po drugiej stronie ulicy stali sąsiedzi, stłoczeni w kilkusobowe grupki. Przyglądali się z przerażeniem i ekscytacją. Płomienie cofały się przed strumieniami wody, ale czarny dym buchał nadal z okien na piętrze.

Kiedy daszek werandy ugiął się i zawalił, jakaś kobieta krzyknęła i zasłoniła oczy, a chłopczyk, który stał obok niej, zaklaskał w ręce i podskakiwał, szeroko otwartymi oczami chłonąc scenę znacznie bardziej interesującą niż telewizyjny program, który oglądał, zanim rozległy się syreny i wywabiły go z domu.

Kusiło mnie, żeby stanąć razem z nimi i patrzeć na ogień, gapić się z zachwytem jak stary dom – najpierw przypalony, potem nasączony wodą – wali się na ziemię.

Ale odwróciłem się plecami i obserwowałem tłum.

Było z dwadzieścia pięć osób, stały w małych grupkach. Nie spostrzegłem znajomych twarzy. Podeszedłem do kobiety, która zakryła oczy, kiedy runął daszek nad werandą, i wyciągnąłem portfel. Otworzyłem go, żeby zobaczyła licencję prywatnego detektywa. Okazanie legitymacji, jakiegokolwiek, często pomaga w zdobyciu autorytetu i przekonuje ludzi do czegoś więcej niż pobieżne zwrócenie uwagi w tej sytuacji. Po-myślałem, że będzie to jedyny sposób, żeby kobieta odwróciła wzrok od ognia.

– Proszę pani, czy mieszka pani w sąsiedztwie? – zapytałem i mignąłem jej przed oczami licencją, po czym zamknąłem portfel i włożyłem go z powrotem do tylnej kieszeni spodni. Spojrzała na mnie i zamrużyła zaskoczona. Nie zrozumiała pytania. Miała około trzydziestki, blond włosy i obfity brzuch ściśnięty paskiem. Zgadłem, że chłopczyk jest jej synem, bo odciągała go z ulicy na chodnik.

– Czy mieszka pani w sąsiedztwie? – powtórzyłem, kiedy już zaczęła rozumieć.

– Co? No, tak, owszem. Mieszkam, wie pan... – Machnęła ręką za siebie, wskazując na któryś z dziesięciu okolicznych domów. Znów skierowała wzrok na płonący dach.

– Kiedy to się zaczęło? – Podeszedłem bliżej, żeby przyciągnąć jej uwagę.

– Z pięć minut temu?

Dzieciak stojący obok niej, może dziesięcioletni, patrzył na mnie ze znacznie większym zainteresowaniem niż matka. Pokręcił niecierpliwie głową.

– Nie, wcześniej. Przed końcem połówki. Oglądaliśmy mecz Indiansów.

– Wyszliście z domu, zanim przyjechali strażacy?

Popatrzyła na dziecko, potem na mnie i pokręciła głową.

– Nie. Tak, prawie równocześnie. Usłyszeliśmy syreny, co? No to podeszłam do okna i wyjrzałam. Zobaczyłam, że dom się pali. Wyszliśmy, kiedy przyjechały wozy strażackie.

W kieszeni zawibrowała mi komórka, ale zignorowałem ją i podeszedłem bliżej, próbując usłyszeć kobietę mimo szumu wody z węży, krzyków strażaków i sąsiadów

– Nie wie pani, jak to się zaczęło?

– Co? Nie. No, tam nikt nie mieszka, więc to nie mogło być od kuchenki czy czegoś innego. – Staliśmy teraz blisko siebie, zalatywało od niej zapachem kiszonki, aż miałem ochotę odwrócić twarz.

– Było słycać jakiś wybuch?

– Nie wiem. Jared tak głośno nastawił telewizor...

Jakiś mężczyzna, który stał obok nas, wysoki, szczupły facet z postrzępioną bródką w czapce baseballowej Indiansów, wpadł jej w słowo.

– Tak, był wybuch. No, przynajmniej coś było słycać. Jakby taki syk.

Odwróciłem się do niego

– Gdzie pan był, kiedy się to zaczęło?

Pokazał dom obok, po lewej.

– Właśnie tam, paliłem papierosa na trawniku. To ja wezwałem straż. – Popatrzył na mnie z zaciekawieniem. – Pan jest z policji?

– Jestem detektywem.

– Ze straży pożarnej?

Zamiast odpowiedzieć, zadałem mu kolejne pytanie.

– Jak długo stał pan na trawniku?

Pogłodził bródkę palcami.

– Hm, co najmniej dziesięć minut.

– Zauważył pan coś po drugiej stronie ulicy? Widział pan, jak ktoś szedł, może siedział w samochodzie i obserwował dom, coś w tym stylu?

Jeden z węzów strażackich zmienił teraz kierunek i zaczął polewać dom z innej strony. Wiatr zniósł rozpyloną mgiełkę w naszą stronę. Spadła na nas jak krople deszczu z liści drzewa. W powietrzu unosił się ciężki odór dymu.

– Niczego nie zauważyłem – powiedział mężczyzna z bródką w chwili, gdy kapitan straży wydał rozkaz wejścia do budynku. Odwróciłem się i zobaczyłem trzech strażaków w uniformach i z toporami, którzy wchodzili na ganek.

– Dom stał pusty od dłuższego czasu, zgadza się? – zapytałem.

– O, tak. Będzie parę miesięcy. Nikogo tam nie widziałem. Pewnie to jakiś dzieciak z sąsiedztwa podpalił. Wie pan, zabawa z zapałkami.

Od wschodu słyhać było teraz więcej syren, ich dźwięk był coraz głośniejszy, aż chłopiec, który przez cały czas bawił się koło nas, zakrył sobie uszy rękami. Jego matka już odwróciła się ode mnie i znów skupiła uwagę na scenie po drugiej stronie ulicy. Mój telefon znów zaczął wibrować. Podniosłem palec, dając do zrozumienia mężczyźnie z bródką, żeby chwilę zaczekał, odszedłem i wyciągnąłem komórkę. Zobaczyłem numer telefonu służbowego Amy. Jeszcze nie zdążyła wyjść z pracy.

Odpowiedziałem.

– Jestem tutaj, Amy. Wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj, zamiast prosić mnie o informacje.

– To cholerstwo wyrwało się spod kontroli. Płonie jeszcze jeden. Clark i Trzy-dziesta Szósta Zachodnia.

– Co?

– Słyszałeś. Trzy domy stoją w płomieniach. Wydawca kazał mi tu zostać i ko-ordynować pracę reporterów – powiedziała. – Chcę czy nie chcę, muszę tu siedzieć.

– To jakieś wariactwo. Trzy pożary naraz?

– Nie lubię być pesymistką – powiedziała Amy – ale sądzisz, że na tym się skończy?

– Może nie. – Kiedy to mówiłem, zrozumiałem, że tracę czas, stojąc tutaj i ga-dając z sąsiadami. – Cholera, Amy, masz przy sobie listę domów Wspólnoty Mieszkańców, tę, którą mi przesłałaś.

– I co?

– Wygląda na to, że ktoś podpala według tej samej listy, prawda? Los puka do drzwi.

– Masz zamiar nadążyć za tym, kto to robi?

– Sama to powiedziałaś, Asie: prawdopodobnie nie skończy się na trzech. I mo-

że mi się uda wyprzedzić tego faceta.

Rozdział 20

Amy przeczytała mi listę, a ja spisałem adresy na kartce, długopisem pożyczonym od jednego z sąsiadów przyglądających się pożarowi. Rozłączyłem się i wróciłem do ciężarówki. Pierwszy dom z listy, który jeszcze nie stał w płomieniach, znajdował

się przy Erin Avenue, kilka przecznic na północ od Clark, niedaleko Mili Park. Przy Erin stał jeszcze jeden dom. Pomyślałem, że zacznę od tego nieopodal parku, a potem pojedę na wschód.

Wkrótce znalazłem się dość daleko od pożarów i syreny ucichły. Okolica była spokojna, mimo że panował tu dość duży ruch. Skręciłem w prawo, w Erin Avenue i zwolniłem. Przyglądałem się numerom, szukając tego, o który mi chodziło.

Za mną coś się działo. Ostro zahamowałem i wychyliłem się przez okno. Nasłuchiwałem. Krzyki i wycie syren. Samochód za mną zatrąbił. Podjechałem do przodu jakieś dwadzieścia metrów i skręciłem ostro w lewo, w wąską uliczkę. Wrzuciłem wsteczny i spojrzałem w lusterko. Czekałem na okazję, żeby się cofnąć i zmienić kierunek jazdy, ale zrezygnowałem z tego i zaparkowałem ciężarówkę. Policja pewnie będzie teraz miała ważniejsze sprawy na głowie niż odholowywanie wozu z bocznej uliczki.

Zanim wysiadłem, już zobaczyłem dym. To nie był dom przy parku, który znajdował się na lewo ode mnie, ale ten dalej na wschód. Zacząłem biec.

Palił się parterowy dom, mniejszy od tych, które już trawił ogień. Tym razem przybyłem na czas, żeby zobaczyć płomienie. Z trzaskiem i rykiem buchały przez wy-bite szyby, sięgały powyżej dachu. Coś

w środku się zawaliło, ogień huczał niemal ekstatycznie, jak pierwotne monstrum dyszące żądzą zniszczenia.

Wozy strażackie jeszcze nie przyjechały. Było tylko dwóch policjantów w starym radiowozie. Krzyczeli na ludzi, żeby trzymali się z dala.

Jakiś mężczyzna stał pośrodku ulicy i nie chciał się cofnąć, a kiedy gliniarz kazał

mu wrócić na chodnik, krzyknął ze złością:

– Człowieku, obok stoi mój dom! Jeżeli pożar się rozprzestrzeni, ogień pochłonie moją chałupę!

– Straż pożarna da sobie z nim radę – zapewnił policjant i położył dłoń na klatce rozzłoszczonego mężczyzny. – A teraz proszę przejść na drugą stronę ulicy.

– Do diabła z tym! – Mężczyzna odtrącił rękę i przebiegł przez ulicę do domu, który stał niecałe dwadzieścia metrów od płonącego budynku. Gliniarz zaklął i pobiegł za nim, a jego partner odwrócił się w stronę tłumu, unosząc ręce. To był Jack Padgett.

Stałem i patrzyłem, jak wydawał polecenia i instruował gapiów. Jego partner gonił mężczyznę biegnącego do domu. Padgett był w mundurze, chodził sztywnym krokiem po ulicy, pewny siebie, wysoki, silny i zły.

Cofnąłem się i zadzwoniłem do Joego.

– Płonie kolejny dom – powiedziałem, kiedy odebrał. – Zgadnij, kto pilnuje tłumu.

Przerwa.

– Padgett?

– Aha. Trochę dziwne, że tak od razu się tu pojawił, nie sądzisz?

– Od dawna tam jest?

– Nie wiem.

Joe odchrząknął.

– Nie podoba mi się to, Lincoln. Gdybym był na twoim miejscu, zmywałbym się stamtąd natychmiast.

Padgett uspokoił tłum i rozglądał się wokół.

– Cholera – powiedziałem. – Patrzy prosto na mnie. Kończę rozmowę i spływam. Sprawdzę pozostałe domy.

Joe znów zaczął mnie przestrzegać; nie słuchałem, rozłączyłem się. Padgett szedł w moją stronę, ale

głowę miał odwróconą szukał partnera. Tylko chwilę się wa-
hałem, zanim odwróciłem się i odszedłem. Konfrontacja z Padgettem może poczekać.

Ten dom to stracona sprawa; dom przy parku może jeszcze nie.

Musiałem wymijać ludzi, idąc chodnikiem. Wieść o pożarze szybko się rozniosła, tłum wylęgał na ulicę. Ktoś twierdził, że pożar wywołał gang uliczny, jakaś kobieta krzyczała, że to wyciek gazu.

Szedłem w stronę parku. Pistolet miałem w kaburze na plecach. Liczyłem numery domów, byłem coraz bliżej. Stał tam, parę metrów dalej. Wszedłem na werandę, rękę trzymałem na pistolecie. Utkwiłem wzrok w czarnych oknach, czekałem na jakiś ruch.

Okna wypadły z hukiem, ledwie stanąłem pod drzwiami.

Obok mnie spadła kaskada szkła. Kiedy uderzyła pierwsza fala gorąca, padłem na kolana. W wybitych oknach pojawiły się płomienie. Zakryłem głowę rękami i zaczą-

łem się toczyć w tył, byle dalej od żaru.

Zrobiłem dwa obroty, w połowie trzeciego stoczyłem się z werandy na trawnik.

Ledwie dotknąłem trawy, zacząłem na czworakach uciekać od domu. Starąłem się trzymać głowę jak najbliżej chłodnej ziemi. Po drugiej stronie ulicy ludzie krzyczeli.

Tłum zebrał się, żeby zobaczyć, powód zamieszania z końca ulicy przeniosło się tutaj.

Przebyłem jakieś dziesięć metrów na czworakach, zanim się podniosłem. Ludzie rozstępowali się i trzymali się ode mnie z daleka. Patrzyli nieufnie, jak ciężko upadam na chodnik i patrzę na pożar, oddychając z trudem. Przedramiona miałem podrapane, przez koszulę przesączała się krew.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała jakaś kobieta, głosem pełnym niepokoju.

Tylko skinąłem głową.

– Co tam robiłeś? – zapytał ktoś inny bardzo podejrzliwie. – Ten dom jest pusty. Co tu się dzieje. W całej dzielnicy wybuchają pożary.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na mówiącego, otyłego, rudego mężczyznę z piegami na twarzy. Stojący obok zareagowali na jego słowa; ich miny, do tej pory zaskoczone i zatroskane, zmieniły się w podejrzliwe i gniewne.

– Co tam robiłeś? – powtórzył ktoś. – Ten dom stał pusty od roku. Kiedy wybuchł pożar?

Oparłem dłonie o chodnik i odepchnąłem się, żeby wstać. Kiedy to robiłem, koszula podwinęła mi się i kobieta, która pytała mnie, jak się czuję, wrzasnęła:

– On ma broń! On ma broń!

Chaos. Połowa gapiów natychmiast uciekła, nie sprawdzając, czy mam broń i czy rzeczywiście jest powód do strachu. Dwóch czy trzech zaczęło krzyczeć wraz z kobietą a rudy i piegowaty rzucił się na mnie niezdarnie, rozkładając ręce jak dziecko biegnące, żeby ucisnąć matkę. Zrobiłem unik i bez trudu zanurkowałem mu pod ramieniem. Rąbnąłem go łokciem w splot słoneczny ruchem rugbisty. Zrobił wydech, zaczął łapać powietrze i chwiejnie się odsunął. Uwolniłem się.

– Niech ktoś wezwie gliny! – krzyknął ktoś.

Potem usłyszałem kobietę, która źle to zrozumiała i zaczęła wrzeszczeć, że ktoś zastrzelił glinę. Kiedy policja tu dotrze, będzie miała sporo pracy, żeby wydobyć prawdę z tego oszalałego tłumu. Ale nie miałem ochoty czekać, bo jednym z gliniarzy mógł być Padgett. Zacząłem biec.

Ciężarówka stała przecnicę dalej, w bocznej uliczce, ale uciekając przed tłumem, pobiegłem w przeciwną stronę. Pomyślałem, że lepiej będzie uciekać na piechotę. Teraz w okolicy paliło się pięć domów i jeśli podpalacz trzymał się mojej listy, to zostały mu jeszcze dwa. Zastanawiałem się, czy Padgett znowu pojawi się przy któ-

rymś z nich.

Przebiegłem przez ulicę i park, schowałem się za domem i wyjąłem z kieszeni listę Wspólnoty Mieszkańców, krew z moich palców plamiła papier.

Wiedziałem, dokąd teraz pójde. Pierwszy pożar wybuchł w domu położonym najbardziej na wschód, a dwa pożary przy Erin Avenue wybuchały po kolei ze wschodu na zachód. Temu, kto to robił, zależało na czasie i skuteczności, posuwał się systematycznie od domu do domu w kierunku zachodnim.

Najbliższy budynek z listy leżał na południowym zachodzie, przy Czterdziestej Zachodniej, między cmentarzem St. Mary a Trent Park. Jeżeli pobiegnę szybko wzdłuż Fulton do Clark, zdążę.

Jeśli drugi dom przy Erin Avenue był najmniejszy z listy, to dom przy Czterdziestej Zachodniej był chyba największy. Według listy z archiwum miejskiego, którą przysłała mi Amy, to ostatni zakup Anity Sentalar. Dom był stary, stał trochę dalej od ulicy niż sąsiednie budynki. Dwa piętra spłowiałej farby i wybitych okien. Do drzwi frontowych prowadziła weranda, ale po ostatnim doświadczeniu postanowiłem wejść od ty-

łu.

Dom skierowany był fasadą na zachód, od południa ogradzała go pozrywana metalowa siatka. Od północy, do garażu na jeden samochód prowadził wąski podjazd.

Poszedłem podjazdem. Po długim biegu drżały mi nogi. Front oświetlała latarnia, z tyłu panowała kompletna ciemność. W ciężarówce miałem latarkę, ale teraz by-

ło za późno, żeby po nią wracać. Podeszedłem do domu od tyłu.

Wokół było cicho. Ta część ulicy przypominała miasto duchów. Rozejrzałem się uważnie po

podwórku. Tylne drzwi domu wyglądały na solidne, nie było na nich śladów włamania. Może pomyliłem się, zakładając, że tutaj wybuchnie następny pożar, a może podpalacz skończył na piątej posesji. Byłoby to całkiem zrozumiałe przy takich siłach policji, nie mówiąc o tłumach na ulicach.

Prawie już w to uwierzyłem, ale kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że brakuje szybki w górnej połowie drzwi. Włożyłem rękę w otwór i bez trudu znalazłem zamek. Otworzyłem go i przekręciłem gałkę. Nie obróciła się, czyli drzwi były otwarte.

Zrobiłem trzy kroki w tył i spojrzałem w czarne okna. Czekałem na jakiś ruch, znak, że w środku ktoś jest. Nic. Sięgnąłem za plecy i wyjąłem glocka z kabury. Prze-

łożyłem go do lewej dłoni i otworzyłem drzwi.

Śmierdziało zgnilizną. Zrobiłem kilka kroków, szurając stopami po podłodze, bo wokół panowała ciemność. Trafiłem do pomieszczenia, które chyba było kuchnią.

Zatrzymałem się na chwilę, żeby przyzwycząić wzrok do ciemności. Kiedy widziałem już na tyle dobrze, żeby rozpoznać większe przeszkody, znów ruszyłem przed siebie.

Przy drzwiach zatrzymałem się i przejechałem dłonią po ścianie, szukając włącznika światła. Znalazłem go, ale kiedy nacisnąłem, światło się nie zapaliło. Dom pozbawiony był prądu.

Przeszedłem przez pusty salon, aż dotarłem do schodów. Zacząłem wchodzić.

Stałem na wąskim podeście, kiedy usłyszałem szuranie, słaby, szeleszczący odgłos, a potem niezbyt głośne łomotanie. Uklęknąłem i czekałem. Po chwili znów rozległ się łomot, a po nim brzęk.

Byłem w połowie schodów, schylony, po omacku szukałem drogi, kiedy coś na mnie wpadło. Krzyknąłem i podniosłem glocka. Palec zacisnąłem na spuście. Po schodach zbiegał wielki kot. Przeskoczył mi przez ramię, wylądował z wdziękiem na schodach i głośno miauknął. Na jego obrócce, w promieniu światła z ulicy, błysnęła metalowa tabliczka. Pewnie to ona tak brzęczała. Kot miauknął jeszcze raz, pobiegł w lewo i zniknął.

– Psiakrew. – Wziąłem głęboki oddech. Oparłem się o ścianę, wszystkie mięśnie dygotały mi z napięcia. Nic dziwnego, że łomot był dość cichy – kot ważył więcej niż cztery kilogramy. Wytarłem czoło grzbietem dłoni. Skóra podrapana odłamkami szkła piekła. Wyprostowałem się, gotów iść dalej.

Reszta domu była pusta. Wyszedłem i stanąłem na podwórku. Co teraz? Mam czekać, aż ktoś się zjawi, czy iść dalej, według listy? Jednak wola działania okazała się we mnie najsilniejsza. Joe nie byłby zdziwiony.

Ostatni dom z listy stał przy Newark Avenue, niedaleko Trent Park. Też był pusty, ciemny i cichy. Drzwi od podwórka były zamknięte; otworzyłem je jednym kopnięciem.

Przeszukałem parter i poszedłem na górę. Tu było jeszcze ciemniej niż w tamtym domu. Drewniane, stare schody zobaczyłem dopiero, kiedy wpadłem na balustradę. Stopnie skrzypiały pod moim

ciężarem.

Na górze znalazłem dwoje zamkniętych drzwi. Otworzyłem jedno i wszedłem do środka, przeklinając ciemności. Z ulicy wpadało niewiele światła. Macałem po ścianie, aż trafiłem ręką na zlew. To pewnie łazienka. Cofnąłem się do korytarza, zamkną-

łem za sobą drzwi i otworzyłem następne. Sypialnia.

Coś zatrzeszczało pode mną. Podskoczyłem, ale zapanowałem nad nerwami i zaśmiałem się cicho. Niczego nie nauczyłem się od kota? Nie należy przesadnie reagować. Śmiech szybko zamarł, bo z parteru doszły mnie inne odgłosy. Zrozumiałem, że ktoś wszedł do domu. Był pewny siebie, nie zwracał uwagi, że hałasuje.

Przez minutę nie ruszałem się z sypialni, nasłuchiwałem kroków i zastanawia-

łem się, czy ktoś wchodzi na górę. Jak najciszej otworzyłem drzwi i wróciłem na korytarz. Wzrok przyzwyczał się już do ciemności; teraz dobrze widziałem schody. Poszedłem w ich kierunku, lewą ręką szukając balustrady. I wtedy uświadomiłem sobie coś, co bardziej mnie przeraziło niż kot – z parteru dochodził ciężki zapach nafty.

Strach jest wytworem zmysłów. Doświadczałem go wiele razy, ale wcześniej zawsze był skutkiem czegoś, co byłem w stanie zobaczyć albo czego mogłem dotknąć. To było nowe wrażenie: stałem samotnie w ciemności i wyczuwałem niebezpieczeństwo węchem. Stałem na schodach z ręką na kaburze. Czuję się jak zwierzę w jaskini, tropiące węchem wroga. Wreszcie umysł popchnął ciało do działania, zbiegłem ze schodów znacznie szybciej, niż na nie wchodziłem. Już nie dbałem o zachowanie ciszy; chciałem się stąd wydostać.

Zszedłem cztery stopnie, kiedy pode mną zapłonęła nafta. Rozległ się syk, jakby powietrze uchodziło z plastikowej torby, a potem trzeszczący ryk. Dotarłem do podestu w chwili, gdy płomienie wpełzły na parter. Dopiero wtedy wewnątrz wypełniło się światłem. Ogień częściowo zagradzał drogę do drzwi. Wiedziałem, że mam jedyną szansę, żeby się uratować: przebiec przez płomienie, dopaść do drzwi i znaleźć zamek, który szybko otworzę.

Próbowałem zeskoczyć ze schodów i pobiec do drzwi. Nie udało się. Stare przegniłe drewno, które złowieszco trzeszczało pode mną, kiedy wchodziłem na gór-

rę, teraz załamało się pod moim ciężarem. Lewa stopa stanęła na podłodze, ale prawa zapadła się po kostkę w zmurszałe deski i uwięzła. Rąbnałem na podłogę.

Przewracając się, trzymałem wyciągnięte ręce, żeby chronić twarz. Glock wypadł i potoczył się po podłodze. Kolanem uderzyłem o krawędź ostatniego stopnia schodów, poczułem ból w nodze, a potem drętwienie. Płomienie, które wspinały się na ściany, pełzły już po podłodze. Szarpałem zdrętwiałą nogę, żeby uwolnić stopę.

Drzazgi wbijały mi się w ciało, ale nie zdołałem się uwolnić. Po raz drugi w ciągu kilku sekund poczułem się jak zwierzę: najpierw, kiedy wywęszyłem niebezpieczeństwo, i teraz, kiedy noga

utkwiła mi w sidłach.

Po mojej prawej coś się poruszyło. Przetoczyłem się na prawe ramię, poczułem jeszcze silniejszy ból w kostce, która skręciła się, uwięziona między deskami. Wycią-

gnąłem się, próbując sięgnąć pistoletu. Nic nie widziałem, nie byłem w stanie otworzyć oczu, takie gorąco biło od ognia. Wszędzie wokół mnie unosił się zapach nafty i płonącego drewna. I niesamowity żar.

Jakaś ręka złapała mnie za nogę. Krzyczałem i machałem rękami, próbując wyprowadzić cios, ale tylko młóciłem powietrze. Ręka mocno wykręciła mi nogę i po chwili stopę miałem wolną. Czołgałem się po podłodze. Dłoń otarła się o pistolet, złapałem go palcami i już zacząłem się odwracać w stronę, z której dochodziły odgłosy kroków, kiedy nagle ktoś uniósł mnie bez trudu w górę i postawił na nogach. Płomienie szalały wokół nas, teraz były bliżej. Zaciskałem powieki. Szedłem. Jedną ręką trzymałem pistolet, drugą szarpałem za koszulę człowieka, który uwolnił mnie z pu-

łapki. Nie miałem pojęcia, kto to jest, ale on wiedział, którądy iść przez ten żar i ciągnął mnie za sobą. Więcej nie musiałem wiedzieć.

Kiedy, potykając się, przeszliśmy przez salon, krzyknął:

– Schyl się!

Przyłożył obie ręce do moich pleców, kiedy pochyliłem głowę, i popchnął mnie z taką siłą, że wyleciałem przez drzwi, nie dotykając stopami podłogi. Owionęło mnie chłodne powietrze, koziółkowałem chwilę, zanim upadłem na chodnik.

Żar był już za mną, ale nadal blisko, więc szybko wstałem i kuśtykając, zaczą-

łem biec. Byle dalej od domu. Otworzyłem oczy, ale widziałem tylko cienie i rozbłyśki światła w chwili, kiedy pomyślałem, żeby zwolnić i wtedy wpadłem na coś. Rąbnąłem czaszką o coś znacznie od niej twardszego – drewno, kamień, stal? – i zapadłem się w ciemność.

Rozdział 21

Przytomność wróciła, otworzyłem oczy, ale wzrok mnie zawodził, a pomieszczenie, w którym się znajdowałem, musiało mieć własną oś, wokół której szybko się kręciło. Sufit spowijała czerń. Dwa razy zacisnąłem i otworzyłem oczy, zanim uświadomiłem sobie, że widzę niebo; leżałem na chodniku.

Próbowałem wstać, ale zakręciło mi się w głowie i poczułem mdłości. Opadłem i przetoczyłem się na bok. Zbierało mi się na wymioty. Wtedy spostrzegłem mężczyzn z bronią.

Było ich dwóch – obaj w garniturach, obaj z olstrami naramiennymi na pistolety automatyczne.

– Pewnie nie powinieneś tak szybko siadać – powiedział wyższy, a zabrzmiało to przyjaźnie. Niższy stał i patrzył na mnie spode łba. Jeszcze nie wiedziałem, kim są, ale chyba nie mieli zamiaru mnie zastrzelić, więc znów oparłem głowę o chodnik i zamknąłem oczy, czekając, aż przejdą mi mdłości.

Dopiero po paru minutach byłem w stanie się podnieść. Garnitury odciągnęły mnie od pożaru chyba kilka przecznic i rzuciły w jakiejś uliczce. Staliśmy obok śmietnika. Odór śmieci pobudzał nudności. Po obu stronach ciągnęły się wysokie, kamienne budynki, ciemne i ciche. Nie było już widać pożaru, a wokół panowała niesamowita wręcz cisza.

– Coś ty, kuma, chłopie zrobił – powiedział garnitur po mojej prawej. Ten wyż-

szy, z krótkimi, ciemnymi włosami i blisko osadzonymi oczami. – Tak wbiec prosto na ścianę. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Wybiegłeś, jakbyś się ścigał o złoto, a potem, trach, prosto w ścianę. Cholera.

Zawsze to miło, kiedy doceniają człowieka za osiągnięcia sportowe.

– Możesz już chodzić? – zapytał drugi. Rozejrzał się, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Wysoki był spokojny.

– Tak. – Język miałem spuchnięty.

– Świetnie. Pójdziemy ulicą i wsiądziemy do samochodu. Damy ci wody, środki przeciwbólowe i utniemy sobie miłą pogawędkę.

Nogi się pode mną uginały, ale szedłem dość równo, a wszystko powyżej pasa było w porządku, nie licząc pulsowania w głowie. Opuchlizna na czubku głowy pulsowała gorącem, jak węgiel podsycany przez wiatr. Skrzywiłem się z bólu i powoli zaczą-

łem iść. Bezimienni w garniturach szli blisko po bokach.

– FBI? – zapytałem po drodze.

– Tylko ja – odparł wyższy, głosem równie lekkim jak jego sprężysty, szybki krok. Jakby wyszedł ze stadionu Jacobs Field po zwycięskim dla Indiansów meczu. –

Przepraszam, że nie przedstawiliśmy się formalnie, panie Perry. Nazywam się Robert Dean.

Agent FBI, który zażądał teczki Rabolda. Członek grupy do zadań specjalnych, według Amosa Lorenzona.

– A pan? – zapytałem tego drugiego.

– Brent Mason, wydział wewnętrzny, policja z Cleveland. – Wymawiał słowa powoli i starannie, jakby je liczył. Gdybym miał zgadywać, który jest który, pomyliłbym się. Można by pomyśleć, że facet, który połknął kij, jest federalny. Ale też ci z wydziału wewnętrznego, wszyscy chodzą jakby połknęli kij – nikt ich nie lubi i po jakimś czasie odbija się to trochę na osobowości.

Wyszliśmy z uliczki i stwierdziłem, że znowu jesteśmy na Fulton Road. Ciągnęli mnie kawał drogi.

– Nie chcieliście, żeby uratowali mnie strażacy albo inni gliniarze – powiedział-

łem.

– Och, nie – odezwał się Dean. – Nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Może pan nie uwierzyć, proszę pana, ale tu w okolicy są policjanci, którzy wcale nie byliby zainteresowani ratowaniem pana.

Posadzili mnie na tylnej kanapie nieoznakowanego taurusa, który wyglądał

identycznie z samochodem Joego. Mason prowadził, a Dean siedział obok niego, więc przynajmniej zaufali mi, że nie wyskoczę, żeby uciec. Żadnych kajdanek, żadnej oznaki, że jestem podejrzany o podpalenia. To był plus.

– Jestem zbity na miazgę – przyznałem, kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonym przy Fulton. – A wy, chłopaki, wyglądacie całkiem świeżo. Żadnych zadrapań, oparzeń, nawet garnitury wam się nie pogniotły.

– No, no. – Dean pokiwał głową. – Mam wrażenie, że coś zaczyna dedukować.

Mason nie odezwał się ani słowem.

– Domyślam się, że to nie wy wyciągnęliście mnie z ognia. Ale jest nas tutaj tylko trzech. Więc kto to zrobił?

Mason nie odpowiedział, ale po tym, jak napiął mięśnie pleców, mogłem się domyślić, że pytanie nie było mu w smak. Dean odwrócił się do mnie i uśmiechnął się szeroko.

– Nie możemy ci powiedzieć. Bo nie udało nam się złapać tego sukinsyna.

– Nie udało się go złapać?

– A nie – powtórzył radośnie Dean. Mason jeszcze bardziej się spiął, jakby ktoś nakręcał w nim nerwy kluczem. – Wybiegłeś i obaj ruszyliśmy za tobą. Zatrzymałeś się głową na ścianie sąsiedniego domu, a my stanęliśmy przy tobie. Drugi facet wyskoczył zaraz potem, śmignął przez podwórko i tyle go widzieliśmy. To był, panie Perry, strzał do naszej bramki. I, kurczę, nie wyobrażasz sobie nawet, jak zareaguje szefostwo, kiedy im o tym powiemy.

Dean zachichotał, a Mason popatrzył na niego tak, jakby miał ochotę zdjąć rę-

ce z kierownicy i zacisnąć je na szyi agenta. Ale nic nie powiedział.

– Ale widzieliście, jak wchodził? – zapytałem.

– Owszem.

– I?

– I był to wielki sukinsyn w baseballowej czapce – powiedział Dean. – Staliśmy po drugiej stronie ulicy, a sam widziałeś, jak ciemno było za domem. Zanim zdążyli-

śmy przejść, już się paliło. Chyba udałoby nam się, gdybyś nie wyleciał stamtąd jak z procy.

– Przepraszam. Chłopaki, gdybym wiedział, że śmierć w ogniu byłaby wam na rękę, zostałbym, oczywiście, w środku.

– Mówisz, że to ten facet cię wyciągnął? – zapytał Dean.

– Zgadza się. Zeskoczyłem ze schodów i noga uwięzła mi w dziurze. Przewróciłem się i nie mogłem się uwolnić. Wtedy on przyszedł i mnie wyciągnął. Wypchnął mnie z salonu i wyrzucił przez drzwi. Potem dałem sobie radę sam.

– Więc byłeś obok niego. – Mason odezwał się po raz pierwszy, odkąd wsiedliśmy do samochodu. – Mogłeś mu się dobrze przyjrzeć.

– Nie przyjrzałem się.

Przeniósł wzrok na lusterko wsteczne i popatrzył na mnie, mrużąc oczy, jakby myślał, że kłamię. Odwzajemniłem mu spojrzenie w lusterku i powoli pokręciłem głową.

– Nie kłamię, detektywie. Tam się paliło, a facet był za mną. A oczy i tak miałem zamknięte prawie cały czas, bo był ogień i żar.

Mason chrząknął z niesmakiem i odwrócił wzrok od lusterka.

Pojechali do Clark, potem na zachód, do skrzyżowania Clark i Sześćdziesiątej Piątej, gdzie Mason zajechał na wąski, stromy parking przy restauracji U Mamy. Mama była tam, odkąd pamiętam i wcześniej chyba też. Kiedy byłem dzieckiem, ojciec zabierał mnie w soboty na śniadania U Mamy. Z domu szliśmy na piechotę – zawsze na piechotę, nigdy samochodem, nawet kiedy lało albo padał śnieg – a potem jedliśmy i rozmawialiśmy. Tata pił wodę i kawę, a ja sok pomarańczowy do naleśników. Krzywił

się za każdym razem, kiedy to zamawiałem – „Sok pomarańczowy i syrop – zwykły mawiać. – Zęby ci od tego spróchnieją”.

Mason wyłączył silnik, wysiedliśmy i weszliśmy do środka. Sala była prawie pusta; za chwilę mieli zamykać. Kiedy wstąpiłem do policji, czasem spotykałem się tutaj z tatą zazwyczaj wczesnym rankiem, po mojej nocnej zmianie. Ostatnim razem, kiedy tu byłem, przyszedł jakiś facet, który dobrze

znał Graddocków, i długo rozmawiał z moim ojcem, jakby mnie nie zauważał. Żaden z nas nie skomentował tego, ale więcej tu nie przyszliśmy.

Zza rogu wyszła kelnerka, zobaczyła nas i uniosła brwi.

– Będzie jeszcze czas na kawę? – zagadnął Dean.

– Zawsze jest czas na kawę – odparła i zaprowadziła nas do stolika pod ścianą.

Dean wziął ze sobą apteczkę, którą wyjął ze schowka w samochodzie. Zaaplikował mi aspirynę i podał antyseptyczne chusteczki w plastikowych opakowaniach.

– Wytrzymaj tym sobie ramiona. Masz tam trochę oparzeń. I ślad na szyi. Nie wyglądają poważnie, ale powinieneś pójść do lekarza. Mówisz całkiem normalnie, więc pewnie nie doznałeś wstrząśnienia mózgu, ale nie chcę, żebyś nas oskarżył za odmowę udzielenia pomocy medycznej. Jeśli chcesz się zbadać przed rozmową możemy podwieźć cię do szpitala.

Pokręciłem głową.

– Jest w porządku.

– Cholernie mocno rąbnął się w głowę. – Mason miał ponurą minę. Pewnie już się widział na dywaniku za to, że w ciągu jednej godziny najpierw wypuścił podejrzanego o podpalenia, a potem odmówił ofierze pomocy lekarskiej.

– Dostał aspirynę – powiedział Dean, a mnie przypomniał się jakiś kiepski film z Harrisonem Fordem, na którym faceci w łodzi podwodnej umierali po napromienieniu, a Ford wrzeszczał na lekarza, żeby podał im aspirynę. Zachciało mi się śmiać, ale pomyślałem, że jeśli się roześmieję, to pewnie zawiozą mnie do szpitala.

– W porządku, chłopaki. Chcę pojechać do domu, wziąć prysznic i pójść spać z wielką torbą lodu na głowie.

– Połowa Clark i Fulton stoi w ogniu, a ten facet chce iść spać – ironizował Dean.

– Jeśli myślisz, że to ja podkładałem ogień, to wsadź mnie do ciupy.

– Wiemy, że to nie ty – odparł Dean. – Ale, panie Perry, ostatnio bardzo lubisz się pokazywać w, że tak powiem, gorących miejscach. Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać.

– To dlatego śledziliście mnie dziś wieczorem?

– Nie zaczęliśmy od ciebie. Na pierwszy ogień poszedł Jack Padgett. Potem ty pokazałeś swoją twarzyczkę i to nas zaintrygowało. Zostawiliśmy dwóch innych facetów, z którymi byliśmy, i poszliśmy za tobą. Ale mieliśmy show.

Lekko się skłoniłem, co sprawiło, że obrzęk na głowie zaczął pulsować od gorąca i ciśnienia jak

balon napełniony gorącą wodą. Zaciśnąłem zęby i rozparłem się w krześle. To nie był dobry moment na błaznowanie.

– Kilka dni temu Jack Padgett i Larry Rabold przejechali zbiega na Clark Avenue

– zaczął Dean. – Byłeś przy tym. Ostatniego wieczoru Rabold został znaleziony martwy. Zamordowany. To ty go znalazłeś. Dziś wieczór płoną domy w całej okolicy, Padgett zajmuje się tłumem, a ty biegasz po ulicach.

– Jak w to wlałeś, Perry? – odezwał się Mason. – I jak cię przekonać, żebyś z tego wylazł?

Spojrzałem na Masona, potem na Deana.

– Wlałem w to, kiedy mój przyjaciel został przejechany przez Padgetta i Rabolda. I nie wylezę, dopóki nie wyjaśnię, dlaczego to się stało.

– Ktoś ci płaci? – Dean bacznie mi się przyglądał.

– Nie.

– Może zainteresowałyby cię ufundowane przez rząd wakacje poza stanem, na jakieś, powiedzmy, trzy tygodnie?

– Nie.

Roześmiał się głośno.

– Nie wiem, kto podkładał ogień – powiedziałem. – Jeśli się spodziewacie, że jest inaczej, będziecie rozczarowani.

– Nie oczekujemy. Wcale, ale to wcale.

– Wiecie, o co chodzi z tymi pożarami? – zapytałem. – Jaki jest cel?

– Nie jesteśmy tu z powodu pożarów – odparł Dean. – To nie nasza sprawa.

Owszem, poważna. Ale nie nasza.

– To po co wywieźliście mnie tutaj na rozmowę?

Cały humor i urok zniknął z twarzy Deana, kiedy pochylił się do mnie.

– Żeby ci wyjaśnić, panie Perry, że ktoś cię zabije.

Wyjaśnili mi to i przy okazji parę innych spraw. Chociaż Mason dodał swoje trzy grosze, był to prawie w całości występ Deana. Dowiedziałem się, że w grupie do zadań specjalnych było ich czterech – dwóch detektywów z wydziału wewnętrznego i dwóch agentów FBI z brygady do spraw

wymuszeń i korupcji. Przed oddziałem do zadań specjalnych postawiono cel: zbadać głębiny korupcji i powiązania clevelandzkiej policji z kryminalnym imperium Jimmy'ego Cancerna.

– Ogólnie, miejska policja jest czysta – wyjaśnił Mason. – Ale w każdym tej wielkości wydziale znajdują się zgniłe jabłka. To nieuchronne. Właśnie dlatego potrzebni są faceci tacy jak ja. Żeby dbać o czystość. A tutaj zauważyliśmy niepokojącą tendencję: większość poważnych oskarżeń dotyczy jednego okręgu.

Clevelandzka policja ma osiem okręgów. Clark-Fulton to okręg drugi, a Padgett i Rabold byli funkcjonariuszami okręgu drugiego. I to, zdaje się, od dawna.

– Od lat dochodziły nas słuchy – mówił Mason. – Skargi napływają bez przerwy. Ale z okręgu drugiego było ich za dużo. Zauważyliśmy coś jeszcze: garstka funkcjonariuszy rutynowo odmawiała przyjęcia awansu, bo musieliby przenieść się do innego okręgu. Zażarcie walczyli, żeby zostawić ich na miejscu. Dlaczego? Nie wiedzieli-

śmy. A potem ci faceci – ruchem głowy wskazał na Deana – włączyli się do sprawy.

Wydział przestępczości zorganizowanej FBI i oddział specjalny policji przeszły w Cleveland przemianę. Kiedyś w mieście dominowała mafia włoska. Silniejsza była tylko w Nowym Jorku i Chicago. Ale to było przed laty. Potem weszli Rosjanie i faceci od przestępczości zorganizowanej znowu mieli – nadal mają – pełne ręce roboty. Ro-syjskie gangi są inne niż mafia włoska. Nie dążą do opanowania miejskich dzielnic.

Zajmują się wielkimi przedsięwzięciami, a nie handelkiem na rogu ulicy.

– Mieliśmy informacje o siatce w zachodniej dzielnicy – powiedział Dean. –

Narkotyki, prostytutka, paserstwo, przekręty w nieruchomościach, wszystko, aż do poziomu ulicznych kanciarzy i bukmacherów. Muszę przyznać, że z początku zlekcewa-

zyliśmy to. Ale dostawaliśmy cynk za cynkiem, wszystkie anonimowe, o przekupnych glinach i to, cholera, wszystko z tej samej okolicy. Ludzie mówili nam o gliniarzach, którzy biorą łapówki, o detektywach, którzy piją z podejrzanymi, o funkcjonariuszach z patroli, którzy odwracają się plecami, kiedy pewni faceci po pijanemu parkują na chodniku pod ich nosami. Więc zadaliśmy sobie pytanie, kto, do diabła, kieruje tym cyrkiem? Jak już mówiłem, wielkie gangi, to co z nich zostało, zajmują się większymi i bardziej dochodowymi interesami. Nie mogliśmy podłączyć tych gównianych interesów z Clark-Fulton do większej siatki. Ale wreszcie zaczęliśmy kumać, co jest grane. Bo może ten cyrk nie jest częścią większej całości? Bo może to jest znacznie prostsza sprawa: kryminalny powrót do przeszłości, można by powiedzieć. Bo co, jeśli jest to jeden sprytny sukinsyn, który chce zostać panem dzielnicy?

– Cancerno – powiedziałem. Dean skinął głową.

– Sporo czasu minęło, zanim do niego doszliśmy. Trzyma się na uboczu, powiedziałbym. Prowadzi interesy na zasadzie zdalnego sterowania. Rzadko spotyka się tak dobrze zorganizowanego faceta.

Ale to on. Nie ma wątpliwości. Każdy, kto robi w tej okolicy jakieś przekręty, musiał w końcu podporządkować się Cancernie.

– W tym – wtrącił Mason – niepokojąca liczba glin.

– Zgadza się – mówił dalej Dean. – I dlatego tutaj jesteśmy. Musimy wiedzieć, jak daleko to zaszło. Jakie są tego rozmiary. Na pewno ma na liście płac policjantów z patroli. Pewnie paru detektywów. I wszystko wskazuje na to, że ktoś wyżej też jest w to uwikłany. Ale Cancerno jest dobry: nie wie lewica, co robi prawica. Jeden przekupny glina może nie wiedzieć o drugim. Łańcuch informacji został celowo zerwany. Ale i tak ktoś, kto siedzi w tym interesie, może się dowiedzieć znacznie więcej niż człowiek z zewnątrz. Potrzebna nam była pomoc.

– Larry Rabold – domyśliłem się.

– Tak. Wybraliśmy pana Rabolda z dwóch prostych powodów: mamy twarde dowody na jego przestępstwa i ma rodzinę.

– Nacisk. – Pomyślałem o córce Rabolda, jej oczach i zakrwawionych butach.

Zrobiło mi się niedobrze. – Ślicznie, Dean. Naprawdę ślicznie.

– To co z tego wyszło, to skandal. Prawdziwy, pełnokrwisty skandal. Ale daliśmy panu Raboldowi możliwość uniknięcia więzienia. Myśleliśmy, że to potoczy się inaczej.

– Czasem coś się nie uda – zauważyłem. – Trzeba było najpierw skontaktować się ze mną. Mogłem wam to powiedzieć.

– Będę o tym pamiętać – rzekł Dean.

– Dał wam coś przed śmiercią?

– Za mało.

– Pasuje do tego Ed Graddock? Dean, mnie interesuje tylko to.

– Słuchaj – powiedział – nie jesteśmy tu po to, żeby odpowiadać na twoje pytania, i szczerze mówiąc, nie chcemy, żebyś jeszcze bardziej się w to angażował. Nie masz klienta. Nie jesteś już policjantem. Jesteś tylko zatroskanym przyjacielem, panie Perry, chociaż przyznaję, zdolnym zatroskanym przyjacielem. Ale choćbyśmy sercem byli po stronie zatroskanych przyjaciół, to służbowo nie jesteśmy.

– Rabold był w samochodzie, który przejechał Eda – stwierdziłem. – Musiał wiedzieć, co się stało. Co wam mówił?

– Nie słyszałeś, co przed chwilą powiedziałem? – Dean zmierzył mnie wzrokiem.

Milczeliśmy przez chwilę. Kelnerka przyszła, żeby dolać kawy, ale zobaczyła pełne filiżanki. Zmarszczyła brwi i odeszła. Po drugiej stronie sali jakiś chłopak machał

mopem. Zaraz zamykają.

– To dla ciebie sprawa osobista – odezwał się Dean. – Rozumiemy to. Ale kiedy pozwalasz, żeby problemy osobiste wciągały się wir spraw, których nie rozumiesz, prosisz się o nieszczęście.

Nie odpowiedziałem. Wpatrywał się we mnie twardym, przenikliwym spojrzeniem. Niby robił za komika w tym duecie, ale teraz Mason wyglądał weselej.

– Larry Rabold skontaktował się z nami po raz ostatni rano, tego dnia, kiedy go zabito – poinformował Dean. – Paru ludzi patrzyło wtedy na ciebie jako na problem.

Być może taki, który trzeba rozwiązać. Sądzę, że twoje działania w ostatnich dniach nie oddaliły tej perspektywy.

– Więc Padgett ruszył do akcji? Czyściciel na usługach Cancerna, który ma posprzątać bałagan, tak jak zrobił to z Edem?

– Cancerno ma więcej takich czyścicieli. – Dean miał z sobą skórzaną teczkę.

Wyjął z niej fotografię i przesunął ją po blacie do mnie. Było to kolorowe zdjęcie La-tynośa o wrednej twarzy. Nosił pomarańczowy kombinezon. Więzienne zdjęcie.

– Rozpoznajesz go?

– Ma na imię Ramone – powiedziałem. – Pracuje w brygadzie budowlanej Cancerna.

Dean zabrał zdjęcie i się uśmiechnął.

– Panie Perry, to nie jest mistrz ciesielski. Większość ludzi Cancerna nie zna się na budownictwie.

– Wszyscy? – zapytałem, myśląc o Jeffie Franklinie i dobrej aurze, jaką wokół siebie roztaczał.

– Musi mieć paru fachowców – odparł Dean. – Ma tyle kontraktów, że i tacy są mu potrzebni. Ale wielu z jego listy płac, czy to robotnicy budowlani, czy to kasjerzy w lombardach, czy to ładowacze w magazynach, zarabiają na utrzymanie w inny sposób.

Dżentelmen na tym zdjęciu to Ramone Tavaréz. Siedział za dwukrotną napaść, ale ja-koś udało mu się dość szybko wrócić do wolnego świata. To goryl. Lubi przemoc, sukinsyn. Skontaktował się z Jackiem Padgettem w twojej sprawie, na krótko przed śmiercią Larry’ego Rabolda. Według Larry’ego był zaniepokojony. Podobnie jak Padgett.

– Ciekawe, że ci faceci kłopotczą się tylko o mnie. Niedobrze, że nie niepokoi ich, powiedzmy,

zainteresowanie ze strony policji albo FBI.

– Najlepiej byłoby – przerwał Dean – gdybyśmy tylko my się nimi interesowali.

Zrozum mnie dobrze, Perry. Cancerno to zło. Co się dzieje z ludźmi, którzy go wkurzą? Źle się dzieje. Interesy im się palą. Samochody wylatują w powietrze. Łamane są ręce. Niektórych znajduje się martwych.

– Skoro wiecie, że zabija, to dlaczego go nie aresztujecie?

Dean się uśmiechnął.

– Właśnie. Prawidłowe rozumowanie. Dlaczego go nie aresztujemy? Podoba mi się ta myśl.

Czekałem.

– Myślę, że nam pomożesz.

Uniosłem brwi.

– Mianowicie?

– Jak ci się podoba słowo „przynęta”, Perry?

– Nigdy nie byłem fanem takich pomysłów.

– Niedobrze – stwierdził Dean. – Ale mimo że nie jesteś fanem takich pomysłów, nic innego nie robisz teraz, bez względu na to, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie. I chociaż my możemy na tym skorzystać, to obawiam się, że dla ciebie nie musi się to tak dobrze skończyć.

CZEŚĆ III

POD MOSTEM

Rozdział 22

Odwieźli mnie do ciężarówki. Mijaliśmy mnóstwo radiowozów nadal krążących po okolicy. Nie widzieliśmy żadnych oznak pożarów, jeśli nawet było ich więcej. Niewiele rozmawialiśmy w drodze powrotnej; powiedziałem tylko, jak dojechać do mojego samochodu. Kiedy byliśmy na miejscu, Mason oddał mi pistolet, który zapewne zabrał, gdy podnosili mnie z chodnika. Wysiadłem z wozu, a Dean opuścił szybę.

– Numery komórek są na odwrocie – powiedział, wręczając mi wizytówkę. – Jak wleziesz w kłopoty, zadzwoń. Ufam, że tak się nie stanie. Mam nadzieję, że wzięłeś na poważne, co ci powiedziałem, wrócisz do domu i przeczekasz sprawę.

Wziąłem wizytówkę i włożyłem ją do kieszeni.

– Dean, gdybym wierzył, że naprawdę chcecie oczyścić pamięć Gradduka, tak właśnie bym zrobił.

Poszedłem do ciężarówki, otworzyłem drzwi i wsiadłem. Nagle poczułem się tak zmęczony, że miałem ochotę rozłożyć się na fotelu i zasnąć, nie zwracając sobie głowy powrotem do domu. Komórkę zostawiłem w wozie. Kiedy ją wziąłem zobaczy-

łem, że było kilkanaście nieodebranych telefonów. Joe, Amy, Joe, Amy, Joe, Amy, Amy, Joe. Przestałem przeglądać połączenia, kiedy komórka zawibrowała mi w ręku.

Tym razem była to Amy. Odebrałem, wkładając kluczyk do stacyjki. Włączyłem silnik.

– Gdzie ty, do diabła, byłeś? – wysyczała przez zaciśnięte zęby.

– Zatrzymali mnie.

– Już miałam wysłać po ciebie gliny, ale Joe powiedział, żebym zaczekała. Żeby ci dała jeszcze godzinę.

– Wiem, że ma do mnie zaufanie.

– Właściwie, to mówił, że mogli cię zamknąć. Miał rację?

– Nie. Ale był blisko. Jadę teraz do domu.

– Oboje będziemy tam na ciebie czekać. – Rozłączyła się.

– Delikatniej, Asie. – Zgrzytnąłem zębami. Amy przykładała mi do głowy gąbkę nasączoną lodowatą wodą. Woda przesiąkała przez włosy i spływała mi strumyczkami po policzkach

– Przepraszam, próbuję robić to ostrożnie, ale trudno idzie z taką opuchlizną.

Byłem w domu, leżałem na kanapie, Joe siedział naprzeciwko mnie, a Amy się uparła, że zajmie się moją potłuczoną czaszką. Głuchy ból, który utrzymywał się podczas rozmowy z Deanem i Masonem, zmienił się w nieprzerwane pulsowanie. Wzię-

łem garść ibuprofenu, ale nie poczułem, żeby zadziałał.

Amy odsunęła łąbkę, skrzywiła się i pokazała mi ją. Była na niej rdzawa plama.

Zdażyłem już obmyć skaleczenia i otarcia na ramionach i dłoniach, ale nie widziałem rany na głowie, więc się nianie zająłem.

– Skaleczenie? – zapytałem.

– Wygląda na zadrapanie. Nie jest głębokie.

– Świetnie.

Odłożyła łąbkę, podała mi plastikową torebkę z lodem i poprowadziła moją rękę na czubek głowy. Palce miała zimne.

– No, to opowiedz jeszcze raz – mówił Joe – kto cię uderzył w głowę?

– Dom.

Uśmiechnął się.

– Naprawdę wpadłeś...

– Prosto na niego – powiedziałem. – Tak. Głową naprzód.

Uśmiechnął się szerzej. Joe nie jest skłonny do współczucia. Przynajmniej wobec ludzi, którzy walą głową w dom.

Opowiedziałem im, czego doświadczyłem w płonącym domu i o rozmowie z Deanem i Masonem. Prawie cały czas miałem zaciśnięte powieki. Światło zdawało się rozjątrzać ból głowy.

– Naprawdę nie masz pojęcia, kto wyciągnął cię z ognia? – zapytał Joe.

– Ten sam człowiek, który podpalił dom. Więc kiedy go rozpoznam, będę rozdarty wewnątrz: podziękować mu czy go zastrzelić.

– Żadnych domysłów? – dociekała Amy.

Znowu otworzyłem oczy. Myślałem o tym, jadąc do domu, ale nie przyszło mi do głowy nic istotnego. Tylko domysły, być może bardzo, ale to bardzo odległe od prawdy.

– Mitch Corbett? – zastanawiałem się głośno. – Facet zaginał, a jest powiązany z Sentalar i z tymi

domami. Ale jest też i Padgett, który zjawia się, w samą porę, na miejscu pożaru, tak jak siedemnaście lat temu Larry Rabold. Problem w tym, że trudno mi sobie wyobrazić, żeby któryś z nich chciał mi pomóc.

– Właśnie. – Siedziała blisko mnie i chociaż miałem zamknięte oczy, byłem bardzo świadom jej obecności. Perfumy Amy rozpraszały mnie. Nie miałem wiele szczęścia do stałych związków z kobietami i już dawno postanowiłem, że jeśli chcę przyjaźnić się z Amy, to muszę poprzestać na przyjaźni. Doszedłem do wniosku, że ona tak samo do tego podchodzi, bo chociaż w naszych stosunkach nie brakowało flirtu, to nigdy nie prowokowała mnie do czegoś więcej. Ale czasem ten układ prze-stawał mi się wydawać taki idealny i właśnie teraz nadszedł ten moment. Dobra nowina była taka, że skoro o tym myślałem, oparzenia i uraz głowy nie mogły uszkodzić nic istotnego.

Rozmawialiśmy przez dłuższy czas. Większość pytań zadawała Amy. Joe milczał, a ja wiedziałem dlaczego. Martwił się tym, co powiedzieli mi Dean i Mason o długich mackach Cancerna i o tym, że ludzi, którzy mu podpadli, należałoby chronić.

W piwnicy u Rabolda razem z Joem widzieliśmy przykład takiej ochrony. Pewnie Joe dużo o tym myślał. Gdybym nie był zmęczony, też pewnie poświęciłbym energię na to, żeby się martwić.

Wreszcie ich wyrzuciłem. Chciało mmi się spać jak nigdy wcześniej. Kiedy poszli, rozebrałem się i położyłem do łóżka. Światła były zgaszone. Ale mimo zmęczenia odór dymu, którym byłem przesiąknięty, bardzo mnie drażnił. Wstałem, poszedłem do łazienki i odkręciłem gorącą wodę. Prysznic dobrze mi zrobi.

Z moim domem jest mnóstwo kłopotów, podobne mają inne stare budynki.

Ale niskie ciśnienie wody nie jest jednym z nich. Strumień bił we mnie i było mi dobrze, chociaż uderzał również w oparzenia i opuchniętą tkankę na głowie. Zamknąłem oczy i czekałem, aż woda spłucze też brud z moich myśli. Nie chciałem myśleć. Nie teraz. Nie chciałem widzieć, ciała Eda Gradduka ani Larry'ego Rabolda, ani płonących domów. Nie chciałem myśleć, co to wszystko znaczy, jak do siebie pasuje. Nie chcia-

łem myśleć o tej świni, Mitchu Corbetcie, który wiele by mi wyjaśnił, gdybym go znalazł.

I właśnie wtedy, kiedy o niczym nie chciałem myśleć, zacząłem coś rozumieć.

Stałem pod prysznicem i próbowałem sobie wmówić, że się mylę, że ten pomysł wynika ze zmęczenia i rozbitej głowy. Ale nie mogłem. Za dużo było w tym sensu.

Stałem tak, dopóki grzejnik nie podskoczył na wysokie obroty i temperatura, do tej pory znośna, nie zbliżyła się do punktu wrzenia. Zakręciłem wodę, owinąłem się ręcznikiem, poszedłem do sypialni i znów się ubrałem. Sen może zaczekać. Potrzebowałem komputera.

Uliczka była cicha, a wiatr łagodny i ciepły, kiedy szedłem do biura. Włosy mia-

łem jeszcze mokre po prysznicu. Naprawdę powinienem zainwestować w domowy komputer.

Wszedłem na górę, otworzyłem drzwi i włączyłem komputer. Nie zapalałem światła. Stałem przy oknie, kiedy ładowały się programy. Parzyłem na przejeżdżające samochody. O tej porze w budynku było pusto. Cholera, na mieście też. Ludzie byli w domach, w łóżku, z rodziną albo pracowali na nocną zmianę. Pewnego dnia i ja będę musiał zacząć normalne życie.

Żeby przerwać ciszę, włączyłem mały telewizor na szafce na akta. Był nastawiony na jeden z lokalnych programów informacyjnych. Powtarzali wiadomości z jedena-stej. Mówili o pożarach. Młody reporter stał przed spalonym domem przy Erin Avenue. Zostały tylko zgliszcza. Powiedział, że to była katastrofa. Na szczęście dom był pusty, podobnie jak inne domy, które ogarnęła „burza ogniowa podpaleń”. Nie wydawa-

ło mi się, żeby termin „burza ogniowa” stosował się do podpaleń, ale w końcu nie jestem zawodowym dziennikarzem.

Komputer był wreszcie gotów do pracy. Reporter mówił, że nikogo nie aresztowano i policja nie złożyła jeszcze oświadczenia, czy są podejrzani, zalogowałem się do Internetu. Wszedłem na stronę hrabstwa Cuyahoga i odnalazłem biografię Mike’a Gajovicha. Dowiedziałem się z niej, że Gajovich rozpoczął karierę jako zastępca prokuratora, potem został awansowany na stanowisko głównego zastępcy. Były tam też daty pełnienia przez niego funkcji. Głównym zastępcą był przed siedemnastu laty.

Przeczytałem to i przeszedłem do biografii obecnego głównego zastępcy. Pod biografią znajdował się zakres obowiązków. Po trzech zdaniach znalazłem to, czego szukałem: „Do obowiązków głównego zastępcy prokuratora należy nadzorowanie działań wydziału wewnętrznego policji miasta Cleveland, łącznie z ewentualnymi postępowaniami karnymi i w sprawach o użycie broni ze skutkiem śmiertelnym”.

Joe odpowiedział po trzecim dzwonku. Głos miał zaspany.

– To ja. – Nie traciłem czasu na przeprosiny, że tak późno dzwonię. – Dean powiedział mi, że jakaś szychy zamieszana jest w sprawę. Większość podejrzanych to płotki, uliczni gliniarze, funkcjonariusze z patroli. Ale według wszelkich znaków sprawa sięga wyżej.

– Mam złe przeczucie, że wpadłeś na jakiś pomysł – powiedział Joe po chwili milczenia.

– Mike Gajovich.

Tym razem milczenie trwało dłużej.

– Gajovich nie jest gliną. Mówiłeś, że Dean wskazywał na szefostwo policji.

– Chcesz mi powiedzieć, że Gajovich nie ma nic do powiedzenia w departamencie? Daj spokój, Joe. Wiesz, że jest inaczej. To jedna z najwyższych osobistości organów ścigania w tym mieście i wszyscy go lubią w policji po tym, jak narobił w ubiegłym roku smrodu, że burmistrz robi cięcia budżetowe.

– A ty myślisz, że jest w to zamieszany, bo odesłał twojego przyjaciela z niczym? Bo przyjął cię

trochę chłodno, kiedy do niego poszliśmy?

– Joe, Gajovich od dawna pracuje w prokuraturze. Zaczynał jako zastępca prokuratora i zrobił karierę. Siedemnaście lat temu, kiedy mój ojciec złożył skargę na Padgetta, Gajovich był głównym zastępcą. Według tego, co znalazłem na stronie hrabstwa w Internecie, główny zastępca zajmuje się sprawami wewnętrznymi, oskar-

żeniami i sprawami z użyciem broni ze skutkiem śmiertelnym. Pamiętasz, co mówił

Amos? Sprawa była na tyle poważna, że dali ją prawnikom. Chyba miał na myśli właśnie Gajovicha.

Usłyszałem jęknięcie i szelest. Pewnie siadał na łóżku.

– Więc myślisz, że Gajovich poszedł na rozmowę do Alberty Gradduk i zniechęcił ją do składania skargi? – zapytał.

– Możliwe. Teraz wiem tylko, że zdaje się poszedł na spotkanie z Alberta, że skarga nie przekształciła się w sprawę, a Gajovich po tylu latach kręci w kwestii okoliczności śmierci Eda.

Westchnął.

– Na początek będziemy musieli to potwierdzić, L.P.

– Tak. Na to właśnie poświęcimy ranek. Najpierw pójdziemy spotkać się z Alberta

– Nie byłoby to najlepsze dla kandydata na burmistrza – powiedział Joe – gdyby zdemaskowano, że tuszował skargę o molestowanie seksualne.

– Jedną z tych rzeczy, przez które człowiek nie może spać po nocach – zgodziłem się.

– Brat Gajovicha od lat służy w policji.

– Wiem.

– Ale czy wiesz, czym się zajmuje?

– Sprawami administracyjnymi, zgadza się?

– Jest komendantem.

– Okej.

– Jest komendantem drugiego okręgu. Okręg drugi. Clark-Fulton.

Na chwilę zapadło milczenie. Światła nadal były wyłączone, ale monitor komputera rzucał na pokój niebieskawą poświatę. Na ulicy jakiś samochód zatrafił na skrzyżowaniu, może to pijak przebiegał na czerwonym albo ktoś był tak zmęczony, że nie ruszył na zielonym.

– Jeśli któryś z Gajovichów naprawdę jest powiązany z Cancernem... – Joe nie dokończył zdania.

– Tak – przytaknąłem. Nie trzeba było więcej mówić. Rozumieliśmy się. Tak czy siak, o tej porze nie ujmuje się takich spraw w słowa. Jeśli ma się ochotę zasnąć.

Rozdział 23

Na podjeździe domu Alberty Gradduk nie stał samochód, ale podczas naszej poprzedniej wizyty też nie było tam wozu. Pojazd Eda zarekwirowała policja, a Alberta mogła nie mieć samochodu. Zastanawiałem się, czy w ogóle miała prawo jazdy albo czy może jakieś sprawy zdrowotne uniemożliwiały jej prowadzenie. Po tym, jak zobaczyłem ją ze szklaneczką bourbona w ręku, była to bardziej nadzieja niż przelotna myśl.

Spodziewałem się, że zastaniemy ją o tak wczesnej porze. Kiedy Joe zastukał do drzwi, odsunęła zasłony i spojrzała przez okno. Była zła.

– Dwa razy wam mówiono – rzekła. – Idźcie sobie. Błagam, po prostu idźcie sobie.

– Proszę pani – nie ustępowałem – niechże pani zrozumie, że chcę jej pomóc.

– Odejdźcie – powtórzyła, potem opuściła zasłony i odeszła od okna.

Podniosłem głos.

– Wiem coś o gliniarzu, który przyszedł aresztować Eda, proszę pani. Wiem, że mój ojciec złożył skargę na policji wiele lat temu.

Otworzyła drzwi i stanęła przede mną z nieskrywaną nienawiścią w oczach.

– Nic nie wiesz. Nic a nic. – Oczy miała zapadnięte, ziemistą cerę, ale przynajmniej zmieniła ubranie.

– Wiemy, że miała pani problem z sierżantem Padgettem – odezwał się Joe. –

Musimy z panią o tym porozmawiać. Uważamy, że to ważne.

– Problem, mówicie? – Niemal wypluwała słowa, patrząc na Joego. – Tak wam powiedziano?

– Czy się mylę?

Trzymała się klamki, jakby potrzebowała oparcia, żeby się nie przewrócić.

– Problem – powtórzyła. – Tak, tak. Miałam z nim problem, jeśli chcecie używać tego słowa.

– Proszę to nam wyjaśnić, pani Graddock. – Zrobiłem krok w stronę drzwi. – Nie przyszliśmy tutaj, żeby panią denerwować. Chcemy tylko zrozumieć.

– Nie, nie chcecie.

– Możemy wejść?

– Nie chcecie zrozumieć – burknęła, ale odsunęła się i wpuściła nas. Poszliśmy do salonu. Na stoliku zobaczyłem szklanki. Wszystkie były puste. Obok kanapy stała opróżniona do połowy butelka bourbona.

Usiadła na kanapie i odsunęła butelkę na bok. Zająłem krzesło naprzeciwko niej i nachyliłem się do przodu, opierając łokcie o kolana. Joe usiadł obok mnie.

– Proszę nam powiedzieć o Padgetcie – zacząłem. – Co się stało?

Na suficie obracał się wentylator, z jego łopat sypał się kurz. Czekałem.

– To ja cierpiałam – powiedziała. – Ja byłam ofiarą.

– Wiem.

– Norm żałował tylko siebie.

– Co pani ma na myśli? – zapytał Joe.

– Nie chcę o tym mówić.

– Proszę pani... – Starłem się nadać głosowi kojące i pełne współczucia brzmienie, nie rezygnując z rozkazującego tonu, tak jak to robi policjant, który ma do czynienia z rozhisteryzowanymi ofiarami wypadku albo świadkami przemocy.

Popatrzyła na puste szklanki.

– Nie chcę znowu o tym mówić.

– To ważne, proszę pani. Myślę, że to bardzo ważne.

Podniosła rękę do włosów, zaczęła ciągnąć za siwe kosmyki, aż skóra uniosła się na czaszce. Syczała przy tym cichutko.

– Może pani nam powiedzieć – przekonywałem. – Jest nas tylko troje w tym pokoju, proszę pani. Nie musi się pani bać.

– To samo powiedział prawnik – stwierdziła, puszczając włosy. – I też kłamał.

Pokiwałem głową.

– Tak, porozmawiajmy o tym prawniku. Wiemy o nim.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem złożoną kartkę z wydrukowanym zdjęciem Gajovicha. Zrobiłem tę kopię parę godzin temu, zanim wyszedłem z biura.

– Czy to ten prawnik przyszedł do pani?

Popatrzyła na zdjęcie ostrożnie i z niesmakiem, jakby chciała na nie splunąć, ale bała się, że fotografia ożyje.

– Czy to był on? – zapytałem ponownie.

Roześmiała się. Była to seria chrypliwych, urywanych dźwięków, od których włoski stanęły mi na karku. Taki śmiech można usłyszeć późnym wieczorem na korytarzach domu wariatów.

– Och, przecież wiesz, że to on. Przysłał go twój ojciec. Nie udawaj, że nie. To oni są winni. Norm i twój ojciec, obaj. Norm zaczął to, a potem twój ojciec zrobił, że było jeszcze gorzej. Ale ja nie powinnam pozwolić. Nie powinnam pozwolić, żeby nam się to przytrafiło.

– Więc mój ojciec przysłał tego człowieka, żeby z panią porozmawiał? – zapytałem, pokazując na zdjęcie Gajovicha. – Ale dlaczego było jeszcze gorzej?

– Chroniłam nas – powiedziała. – Ten prawnik chciał zrobić... chciał zrobić z nas widowisko. Przyszedł i tak jak wy, prosił, żeby z nim porozmawiać. A ja mówiłam i mówiłam, i mówiłam. A kiedy skończyłam, powiedział, jak to będzie. Zapytałam, czy nie można by tego załatwić po cichu, a on się tylko śmiał. Powiedział, że z tego bę-

dzie duża sprawa. Powiedział, że wystąpię w telewizji i w sali sądowej, że będzie o mnie w gazetach i w radiu. O mnie i o moim synu. Jakbym już swojego nie wycierpia-

ła. Oto, co zrobił mi twój ojciec. – Uśmiechnęła się, tak szeroko otwierając usta, że wi-dać było puste miejsca po trzonowych. – Ale ja na to nie pozwoliłam. Chroniłam nas.

Norm tego nie potrafił, ale ja tak. Zrobiłam to dla syna.

Joe pochylił się do przodu, a ja przyciągnąłem krzesło bliżej stolika.

– Co było z Padgettem, proszę pani? Musi pani wyjaśnić, o czym pani mówi.

Pokręciła głową i odsunęła się na kanapie.

– Niech pani powie.

– To było dawno temu.

– Ale nadal ma znaczenie – mówiłem. – Większe niż pani sobie wyobraża.

– Nie.

– Proszę to wyjaśnić.

– Nie zrobię tego! – krzyknęła, znów chwytając się za włosy. Wpiła się palcami w siwe kosmyki. – Nie!

– Niech pani po prostu powie, co się stało. Niech pani powie, to będę mógł pani pomóc.

– Nie!

– Tak! – Ja też krzyknąłem, podnosząc się z krzesła. – Cholera, musi mi pani powiedzieć, bo pani syn nie żyje, a ja muszę wiedzieć, dlaczego zginął!

Popatrzyła na mnie i skuliła się na kanapie. Potem zaczęła szlochać. Płakała jak dziecko, zaciskając palce na włosach. Ukryła twarz w poduszce. Joe położył mi rękę na ramieniu, jakby chciał mnie powstrzymać, ale reakcja Alberty Gradduk bardziej na mnie wpłynęła niż siła fizyczna. Spojrzałem na nią i zobaczyłem ją taką, jaka była kiedyś, piękną młodą kobietę, która miała męża, syna i życie przed sobą. Podeszedłem do kanapy, padłem na kolana i objąłem ją. Z początku opierała się, odpychała mnie, ale potem ustąpiła. Przytuliłem jej twarz do piersi i zapłakałem. Zamknąłem oczy. Czulem jej brudne siwe włosy na szyi i brodzie. Wiedziałem, że więcej już jej nie zapytam.

Chciałem wiedzieć, ale nie chciałem, żeby ta kobieta musiała mi cokolwiek opowiadać.

Im dłużej słuchałem jej płaczu, im dłużej trzymałem jej chude jak szkielet ciało w ramionach, tym bardziej nie byłem pewien, czy naprawdę chcę wiedzieć.

Wróciliśmy do biura. Ołowiane niebo niosło obietnicę deszczu. Dopiero minęła ósma, ale już wyczuwało się wilgoć. Szyby miałem opuszczone i gęste powietrze, któ-

re wpadało, oblepiało mnie jak miękka tkanina. Byłem mokry od potu. Termometr cy-frowy w rogu lusterka wstecznego wskazywał trzydzieści stopni, ale duchota sprawia-

ła, że wydawało się jeszcze goręcej. A był dopiero ranek. Wyłączyłem jednak klimatyzację, bo wolałem poczuć wiatr na twarzy. Kiedy przyspieszałem, musiałem mrużyć oczy.

– Szybko się wycofałeś – odezwał się Joe po paru minutach jazdy. – Przynajmniej jak na ciebie.

– Joe, ona była matką mojego przyjaciela – tłumaczyłem i pożałowałem tego.

Właśnie potwierdziłem jego obawy. Powiedziałem, że zmieniłem swoje zwykłe podejście do sprawy ze względów osobistych.

Nie skomentował tego jednak, tylko bębnił palcami o uchwyt przy drzwiach i wyglądał przez okno.

– To był Gajovich – powiedziałem. – Wiemy przynajmniej tyle i to się liczy.

Przyszedł z historyjkami o telewizji i zeznaniach w sądzie, nastraszył ją i zmusił do milczenia. Żeby chronić Jacka Padgetta. A brat Gajovicha kieruje interesem w tym okrę-

gu.

– Musimy z kimś porozmawiać – stwierdził Joe. – Jeszcze dziś rano. Może zadzwonić do Richardsa.

– Albo do Deana i Masona. Im ni cholery nie zależy na Edzie, ale służą w grupie do spraw korupcji. Jeśli nawet tylko jeden Gajovich jest w to wplątany, a nie dwóch, to powinni o tym wiedzieć.

– Chcę zacząć od Richardsa – oświadczył Joe. – Tylko jemu, w tym całym bałaganie, mogę naprawdę zaufać.

– Więc do niego zadzwoń. – Ja też chciałem wciągnąć w to Richardsa. Wypływały nazwiska bardzo wysoko postawionych ludzi. Znaleźliśmy się na skraju śledztwa, które miało zatrzęść społecznością miejskich stróżów prawa i przerazić opinię publiczną. Nie zależało mi na tym. Chciałem tylko oczyścić pamięć Eda.

Jechaliśmy teraz międzystanową wyciągając ponad sto na godzinę i wiatr był

za głośny, żeby rozmawiać. Joe podciągnął szybę ze swojej strony. Poszedłem w jego ślady i włączyłem klimatyzację. Kiedy w kabinie zrobiło się cicho, Joe wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do dyżurki policyjnej. Powiedziano mu, że Richardsa nie ma, więc poprosił dyżurnego, żeby możliwie jak najszybciej przekazał Calowi, że dzwonili-

śmy. Zaznaczył, że to pilne.

Niebo robiło się coraz ciemniejsze – blade chmury mknęły po horyzoncie, a cięższe, fioletowe brnęły ponuro za nimi. Miałem za sobą cztery godziny snu – przedtem przeżyłem pożar, mało nie rozłupałem sobie czaszki o mur – ogarniało mnie zmęczenie, czułem napięcie we wszystkich mięśniach. Pokręciłem szyją i się skrzywi-

łem.

Termometr na lusterku wskazywał trzydzieści i pół. Temperatura szła do góry.

Niewiele rozmawialiśmy, dopóki nie zjechałem z międzystanowej na Lorain. Ruch był

niewielki i po drodze do biura trafiła mi się zielona fala. Jeszcze podczas jazdy na przednią szybę spadło kilka kropel. Rozległ się grzmot, ale słaby. Na razie burza była daleko.

Skręciłem w Rocky River, a potem na wąski parking przed naszym biurem. Kilka ciężkich kropel deszczu uderzyło z metalicznym dźwiękiem w maskę wozu jak baseballowe piłki, kiedy zatrzymałem

się obok zielonej furgonetki. Wyłączyłem silnik i drzwi furgonetki się odsunęły. Wyszedł z nich niski, muskularny mężczyzna o latyno-skim typie urody. Przy biodrze, lufą do dołu, trzymał pistolet. Ramone, facet z brygady remontowej Jimmy'ego Cancerna. Nie wyglądał teraz bardziej przyjaźnie niż na zdję-

ciu, które Dean i Mason pokazali mi poprzedniego wieczoru. Zastukał spluwą w szybę po mojej stronie i skinął głową w stronę tylnej kanapy furgonetki. Kierowca włączył

silnik.

– Richards może poczekać – powiedziałem Joemu. – Zdaje się, że jedziemy na spotkanie z Jimmym Cancernem.

Rozdział 24

Ramone nie należał do gadatliwych. Zabrał mi pistolet i machnięciem, bez słowa kazał wsiąść do furgonetki. Sprawdził, czy Joe nie ma broni. Poruszał rękami gładko, profesjonalnie, nie jak budowlaniec, który nie ma w tych sprawach doświadczenia.

Nie ucieszyło mnie to zanedo.

– Wieziesz nas na spotkanie czy chcesz nas zabić? – zapytał Joe, kiedy Ramone sprawdzał, czy nie ma przy kostce kabury z pistoletem. Pytanie wydawało się zasadne i sam miałem nadzieję na odpowiedź.

– Wsiadaj – brzmiała odpowiedź.

Ja już byłem w furgonetce, Ramone usiadł plecami do mnie. Byłaby to doskonała okazja, żeby się na niego rzucić, gdyby nie obecność drugiego faceta na fotelu pasażera. Celował we mnie z automatu SIG-sauer. Gość wyglądał, jakby ważył ze sto pięćdziesiąt kilo. Do połowy.

Joe wsiadł, a ja się przesunąłem, żeby zrobić mu miejsce. Ramone wgramolił

się za nim, zatrzasnął drzwi i usiadł na podłodze plecami do burty. Pistolet wycelował

w Joego.

– Klasa wozik – pochwalił Joe, rozglądając się równie nieśmiało, jak stary bywa-lec szukający w barze swoich kumpli. – Ma dodatkową przestrzeń na bagaż? To ostatni krzyk mody. Nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale brzmi nieźle.

– Zamknij się – rzucił Ramone.

Joe zmarszczył brwi, spojrzął na mnie z ukosa i powiedział:

– Nie jest przyjacielsko nastawiony.

– Nie jest.

Kmiota, który siedział na fotelu pasażera, nie znałem, kierowcy też. Widziałem go tylko w lusterku, ale to wystarczyło, żeby stwierdzić, że jest starszy, ma siwe włosy i zmarszczki na czole. Z parkingu pojechaliśmy z powrotem na Rocky River, a stamtąd na międzystanową i dalej na wschód. Furgonetka jechała gładko. Tak gładko, że pistolet nawet nie zadrżał w ręku Ramone’a.

Dłuższy czas jechaliśmy międzystanową zanim kierowca zwolnił i skręcił, żeby zjechać z autostrady. Znaleźliśmy się na Czterdziestej Czwartej Zachodniej, potem skręciliśmy w Train Avenue, na moje stare ulice – do królestwa Jimmy’ego Cancerna.

Kierowca zjechał pod budynek z szyldem „Lombard Pinnacle Plus”. Sądząc po napisie w oknie, ten „Plus” odnosił się do pożyczek gotówkowych, wyrobów tytonio-wych i biletów na loterię. Dla każdego coś miłego.

Za sklepem znajdował się stary magazyn. Stały przed nim pikap i zielony mercedes. Nad nami przetoczył się grzmot, teraz już bliżej.

Ciężka kropla deszczu spadła mi na kark, ześliznęła się po plecach, wywołując dreszcz, który nie zniknął, kiedy woda już wyschła.

– Do środka – rozkazał Ramone.

Ruszyłem pierwszy. Otworzyłem drzwi i wszedłem do małego biura. Za nim by-

ła pusta i ciemna hala magazynu. W biurze siedział Jimmy Cancerno. Stopy oparł o stalowe biurko i patrzył na płaski telewizor wiszący na ścianie. Odwrócił się, kiedy weszliśmy. Zmarszczył brwi, widząc pistolet w dłoni Ramone’a.

– Co ty, do diabła, robisz – rzucił ostro.

– Mówiłeś, żeby ich przyprowadzić – odparł Ramone. – Powiedziałeś, żeby nie dać im wyboru.

– To nie znaczy, że masz postępować jak jakiś cholerny idiota. – Mówił podniesionym głosem. Nosił okulary, a siwe włosy miał lekko rozczochrane, a nie zaczesane starannie do góry jak wówczas, kiedy go widziałem.

Ramone wzruszył ramionami i poszedł razem z tamtymi dwoma do magazynu.

Cancerno pozwolił im odejść bez słowa. Pokazał ręką na krzesła stojące przed biurkiem.

– Siadajcie.

Usiedliśmy. Zdjął stopy z biurka, wyłączył telewizor i odwrócił się przodem do nas.

– Nie kazałem temu idiocie sprowadzać was tutaj pod pistoletem. Poleciałem tylko, żeby was przyprowadził

– No to przyprowadził – stwierdził Joe. – Sprawny, można powiedzieć.

Cancerno zdjął okulary i położył je na biurku. Wydawał się spokojny i opanowany. Ani śladu irytacji.

– Są problemy różnej wagi – zaczął. – Bywają drobne przykrości: – przebita opona, przeciekający dach, czasem drzazga w dupie. Nieprzyjemne, prawda? Denerwujące. Ale to nic wielkiego. Jeszcze nie kryzys. Wymagają trochę uwagi, pewnie, ale to nic poważnego. Załatwia się sprawę i idzie dalej. I zapomina.

Nie odpowiedzieliśmy.

– A więc mamy drobne przykrości – ciągnął. – Ale są i sprawy kryzysowe. Opona strzela, samochód dachuje. Przeciek w dachu powiększa się, drewno gnije i całe to cholerstwo zawala się na człowieka. Drzazga w dupie powoduje infekcję, nie można nawet usiąść i kończy się w szpitalu. – Rozłożył ręce. – Zastanawiacie się – kontynuował – do której kategorii należycie. Zgadza się? Myślcie sobie: jakim to problemem się stałem? Jestem drzazgą w dupie czy już infekcją?

Przez minutę w pokoju panowała cisza. Joe i ja nie patrzyliśmy na siebie, tylko mierzyliśmy się wzrokiem z facetem, który spoglądał to na jednego, to na drugiego z nas. Nadal zachowywał spokój, ale wcale nie poczułem się dzięki temu lepiej. Był

człowiekiem, który lubił swoje humory. Lubił wiedzieć, ile szkody wyrządzi, kiedy je uwolni. Teraz trzymał palec na spuście, jak człowiek rozkoszujący się wielką spluwą utrzymaną w dłoni, smakujący chwilę przed oddaniem strzału. Nie odpowiadała mi rola celu pod ścianą strzelnicy.

– Chcesz, żebyśmy zgadywali? – zapytałem. – Nie ma w tym żadnego kruczka?

Uśmiechnął się.

– Nie, nie musicie zgadywać. Powiem wam wprost. – Znowu milczenie. – Jesteście jak drzazga, płaskie koło, przeciek. Na razie.

Przyjrzał mi się.

– Wyglądasz na porządnego faceta. Zaharowujesz się po uszy, żeby pomóc nieboszczykowi. Kurczę, czy może być lepszy przyjaciel niż taki, który troszczy się o człowieka po jego śmierci? Chyba nie mam nikogo takiego.

Pochylił się do przodu.

– A czy o ciebie ktoś się zatroszczy, kiedy będziesz martwy?

Nie odpowiedziałem. Joe siedział obok mnie nieruchomo. W magazynie panowała cisza, ale wiedziałem, że tam są ludzie i mają broń. Także moją.

– Rozumiem – rzekł Cancerno – że robisz, co do ciebie należy. Szukasz odpowiedzi. To dobrze. Wolałbym nie być w to zamieszany, ale widzę, że nic z tego. Bo szukasz odpowiedzi w miejscach, które są dla mnie, hm... trochę wrażliwe.

– Musimy w nie wdepnąć – odparłem. – Wrażliwe czy nie. Oczy mu roz błysły zimnym blaskiem, kiedy to usłyszał, ale kiwnął głową.

– Jasne. To mi się w tobie podoba. Nie lubisz się wycofywać, co? Pewnie. Niewielu facetom mógłbym to powiedzieć. Szanuję to. I dlatego kazałem swoim chłopakom sprowadzić was tutaj. Dam wam wszystkie odpowiedzi, których szukacie. I na takich wam też zależy.

– Tak?

– Tak. Dam wam te odpowiedzi, a wy zabierzcie się stąd do diabła i już nie wróćcie. Bo, po prostu, nie mogę sobie pozwolić, żebyście nadal się tym zajmowali.

Te pożary to pestka. Terry Solich wam o tym opowiedział, osobiście. Nie ma sensu wplątywać w to policji czy kogo tam jeszcze.

Więc Solich zadzwonił do niego. Nie byłem zaskoczony. Kiedy od niego wychodziliśmy, miałem wrażenie, że jest zaniepokojony i kombinuje, jak uniknąć kłopotów. Najwyraźniej uznał, że najlepiej będzie, jeśli o wszystkim opowie Cancernowi. Ale dobrze było się dowiedzieć, że Solich dzwonił. To znaczyło, że Cancerno może nie mieć pojęcia o mojej rozmowie z Deanem i Masonem. Im mniej wiedział, co wiem ja, tym lepiej.

– Rozpowiadasz w koło, że interesuje cię Gradduk – mówił Cancerno. – To dobrze. Nie musi cię interesować nic ponadto. Jakbyś zaczął za bardzo interesować się mną, nic dobrego z tego nie wyniknie. Ale w końcu to nie o mnie chodzi.

– A o kogo? – odezwał się Joe.

– O Mitcha Corbetta.

– Wyjaśnij.

Cancerno oparł rękę na biurku.

– Powiedziałeś, że chcesz wiedzieć, jak to było z Graddukiem. A ja wam mówię, że tu chodzi o Corbetta. Ten sukinsyn wciągał mnie w to, ale ja z tym nie mam nic wspólnego.

– Corbett zabił Sentalar?

Cancerno pokiwał głową.

– Tak mi się zdaje.

– Dlaczego?

– Bo Gradduk z nią rozmawiał. Gradduk próbował załatwić Corbetta.

– Skąd wiesz.

– Bo mi to powiedział. Dzień przed śmiercią.

– Słyszałem, że Ed i Corbett byli przyjaciółmi – powiedziałem.

– Bo byli.

– No, to co się stało?

Cancerno spojrział w okienko w drzwiach, po którym spływały teraz krople deszczu.

– Opowiedziałem Graddukowi o czymś, co się zdarzyło przed laty. Nie wiem po co. Szkoda, że mu o tym mówiłem.

„Pewien człowiek opowiedział mi historię. Jaką historię? Taką, której nie chciał opowiadać”.

– Co mu powiedziałaś? – zapytałem.

– Nie znałem zbyt dobrze Gradduka, ale znałem Scotta Drapera – rzekł Cancerno. – Draper polecił mi Gradduka, powiedział, że chłopak bardzo potrzebuje pracy.

Dałem mu pracę. Zazwyczaj tak robię. Ludzie przychodzą do mnie prosić o przysługę, a ja im pomagam, o ile tylko mogę.

– Przyjaciel ludu – powiedziałem.

Cancerno zrobił wściekłą minę i poczucie beztroski, które mnie ogarnęło, kiedy zaczął mówić, uleciało bez śladu.

– Nie śmieję się ze mnie, kutasie – wycedził. – Nic nie mów, jeśli chcesz na własnych nogach wyjść przez te drzwi. Furgonetka, która stoi na dworze, nie musi cię zawieźć do domu.

Przez chwilę panowała cisza naładowana elektrycznością. Wtedy wtrącił się Joe.

– Na pewno jest mu przykro. Nie chciałeś nic złego powiedzieć, prawda, Lincoln?

Powoli pokręciłem głową.

– Nie miałem nic złego na myśli.

Cancerno nie spuszczał ze mnie wściekłego wzroku, ale po chwili znów zaczął mówić.

– Wynająłem Gradduka. Minęło kilka tygodni i niespodziewanie wpadłem na niego w Kryjówce. Piliśmy razem, gadaliśmy. Lubiłem tego dzieciaka. Potem odkry-

łem, że koleguje się z Corbettem. Zmartwiłem się. To nie było w porządku po tym, co zrobił Corbett. Za kolejnym razem, kiedy piłem z Graddukiem... – Wzruszył ramionami.

– Powiedziałem mu parę rzeczy, których prawdopodobnie nie powinienem mu mówić.

– Jakich rzeczy? – Pochyliłem się do przodu. Prawie że zapomniałem o wybuchu Cancerna. Tego właśnie chciałem się dowiedzieć parę dni temu, ale Ed nie zdążył

mi nic powiedzieć.

– Znałem faceta, który odwiedzał matkę Gradduka. Trwało to dłuższy czas. Potem ona próbowała z tym skończyć. Facet był strasznie nerwowym sukinsynem. Gwał-

towny, złośliwy. Chował urazę. Poprzysiągł Graddukowej, że zniszczy jej życie. Śmiała się z niego, powiedziała mu, żeby sływał. Ale facet nie był z tych, którzy rzucają słowa na wiatr. On wyrównywał swoje rachunki.

– Co to ma wspólnego z Corbettem? – zapytał Joe.

– Do tego zmierzam. Wtedy ja się pojawiłem. Kazałem Corbettowi coś dla mnie zrobić. Kilka... projektów, którymi musiałem się zająć.

– Wynająłeś go, żeby wykurzył Terry’ego Solicha z interesów i z okolicy – powiedziałem.

Cancerno popatrzył na mnie pustym wzrokiem.

– Corbett zajął się tymi projektami i wrobił ojca Gradduka. Inny facet chciał, żeby tak zrobić. To nie był mój pomysł.

Przetoczył się grzmot, aż drzwi się zatrzęsły. W magazynie ktoś się śmiał. Zapach papierosowego dymu napłynął do biura.

– To był Jack Padgett – mówiłem. – Ten facet, o którym mówisz. Mógł go wrobić, bo był glina.

Cancerno milczał.

– Chcę, żebyś to udowodnił. – Spojrzałem mu twardo w oczy. – Bo inaczej sami to zrobimy. Ale ty wiesz, że to on. My też wiemy.

– Nie będziesz mi mówić, co mam robić. – Cancerno podniósł głos. – Powiem ci, chłopcze, to co, chcę. A ty siedź cicho. Nie rozumiesz, że wyświadczam wam przysługę? To uprzejmość z mojej strony. Wierz mi, znalazłbym inne sposoby, żeby się z wami uporać. Nie musiałem sprowadzać was

tutaj na rozmowę.

Wytrzymałem jego chłodny wzrok. Przez dłuższy czas tylko siedział i gapił się na mnie gniewnie. Śmiechy w magazynie skończyły się, jak tylko Cancerno znowu podniósł głos. Pomyślałem, że jego głos ma zdolność kończenia wielu rzeczy.

– Więc Norm Gradduk popełnił samobójstwo, a Padgett nadal molestował Albertę – powiedziałem cicho, nie spuszczając z niego oka. – Prawdopodobnie Ed dowiedział się o tym. Potem dotarło to do mojego ojca. Złożył skargę i znaleźli się ludzie, którzy zrobili wszystko, żeby kryć Padgetta. Mike Gajovich przyszedł z wizytą i przekonał Albertę, żeby wycofała skargę.

Cancerno zmrużył oczy.

– Mówisz teraz za mnie. Nie wiem, do diabła, co się stało po tym, jak Gradduk zagazował się w garażu.

– Właśnie to się stało – oznajmiłem.

Znów zagrzmiało. Wiatr wzmógł się, wył wokół starego magazynu, Cancerno znów rozsiadł się wygodnie i oparł stopy o biurko.

– Oto, co powiedziałem Graddukowi – rzekł. – A nie powinienem. Ale nie podobało mi się, że zakolegował się z Corbettem. Uważałem, że to nie jest w porządku.

– I ta kobieta dlatego zginęła? – zapytał Joe. – Nie widzę powiązania.

Cancerno wzruszył ramionami.

– To nie moja sprawa, żeby ci na nie otwierać oczy. Ale mogę wam powiedzieć, że Gradduk bardzo się zawziął, kiedy mu powiedziałem, co zrobił Corbett. Potem zginęła ta kobieta, zginął Gradduk, Corbett przepadł. Ostatniego wieczoru zaczął podpalać moje domy. Rozumiecie, co mówię? Ten facet stoi w centrum tego wszystkiego.

– Corbett podpalał domy? – zapytałem.

– Nie mylisz się, cholera. To on. Jestem pewny. Ma do nich wszystkich dostęp.

Nie byłoby mu trudno.

– Po co to robi?

Cancerno się uśmiechnął. Mniej pociągającej miny w życiu nie widziałem.

– Nie. – Pokręcił głową – Żadnych odpowiedzi więcej. Dałem wam to, czego potrzebowaliście. Inne zostaną w mojej głowie.

– Tej, której potrzebuję najbardziej, nie udzieliłeś. Dlaczego zabito Anitę Sentalar? Powiedziałaś, że

Ed chciał rozerwać Corbetta na strzępy, ale nie powiedziałeś, jak chciał to zrobić. Powiedziałeś, że Corbett ją zabił, ale nie powiedziałeś dlaczego. To nie wystarczy. Muszę mieć dowód. Wina nadal spada na Eda i nie mogę tego zostawić. Ktoś inny musi odpowiedzieć na te pytania. Ed zasługuje na sprawiedliwość, żywy czy martwy.

Cancerno zdjął nogi z biurka i stanął przed nami. Popatrzył mi twardo w oczy.

– Chcesz sprawiedliwości dla przyjaciela?

– Zgadza się.

– Chcesz znaleźć Corbetta?

– Tak.

Nie odrywał ode mnie wzroku, wreszcie skinął głową.

– Ty znajdziesz Corbetta, a ja już zadbam o to, żeby twój przyjaciel znalazł

sprawiedliwość. A kiedy to już się stanie, możesz podać glinom i reporterom jakąś historyjkę. Ja się zajmę resztą. – W spojrzeniu jego ciemnych oczu widać było wściekłość. – Ale najpierw znajdź go. Zadzwon do mnie. Powiedz, gdzie jest. I wtedy zatroszczę się, żeby twój przyjaciel znalazł sprawiedliwość.

Rozdział 25

Zostawił nas w biurze i poszedł do ciemnego magazynu. Nie rozmawialiśmy z Joem wiele pod jego nieobecność. Otoczenie nie sprzyjało konwersacji. Cancerno wrócił po jakichś pięciu minutach z Ramonem i człowiekiem-górą. Starego, który prowadził furgonetkę, nie było z nimi, ale słyszałem, jak na dworze włącza się silnik furgonetki.

– Zawiozą was teraz z powrotem – powiedział Cancerno. – Mam nadzieję, że ta wizyta wyjaśniła wam parę rzeczy. Że się czegoś dowiedzieliście.

Wstaliśmy, a on otworzył drzwi i przytrzymał je dla nas. Na dworze niebo nadal było ciemne, ale deszcz przestał padać. Gorący wiatr hulał po parkingu. Zmrużyłem oczy, wychodząc za próg. Joe szedł za mną a Ramone i ten wielki deptali mu po pię-

tach. Zielona furgonetka była już gotowa do jazdy.

Kiedy byliśmy na zewnątrz, Joe zwrócił się do Cancerna.

– Wiesz co, tym razem nie skorzystamy z transportu. Ale i tak wielkie dzięki.

– Co? – Cancerno był zdumiony.

– Damy sobie radę – mówił Joe. – Tak czy inaczej musimy odwiedzić parę miejsc w okolicy. Potem

znajdziemy jakąś okazję, żeby wrócić. Nie musisz obciążać swoich pracowników dodatkową robotą.

Ramone, który stał obok Joego, odwrócił się i czekał na instrukcje. Cancerno oparł się o drzwi, przechylił głowę i przypatrywał się Joemu.

– Nie ufasz mi? Przywiozłem was tutaj, wiecie już, co chcieliście wiedzieć, a ty mi nie ufasz?

Joe pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. Ale skoro widzę, że jesteś godnym zaufania facetem, to spodziewam się, że nie będziesz nam robić problemu z drogą powrotną. Nie bierz tego za brak szacunku.

Cancerno przez chwilę rozważał te słowa, potem wzruszył ramionami i cofnął się do biura.

– W porządku. Wracajcie do domu w deszczu, jeśli to wam odpowiada.

Drzwi zamknęły się za nim. Ramone rzucił nam ostatnie, długie spojrzenie, po czym odwrócił się i sięgnął do klamki, żeby pójść za swoim szefem.

– Oddaj mi broń, Ramone.

Spojrzał na mnie, ale się nie odezwał, wrócił do furgonetki, nachylił się przez otwarte okno i powiedział coś do faceta za kierownicą. Potem cofnął się z moim gloc-kiem w dłoni. Podszedłem do niego z wyciągniętą ręką. Kiedy byłem prawie przy nim, rzucił pistolet. Broń przeleciała mi nad ramieniem i upadła z brzękiem na chodnik.

– Dziękuję, dupku.

Uśmiechnął się, wszedł do magazynu i zatrzasnął za sobą drzwi. Podniosłem pistolet, otarłem go o spodnie i włożyłem do kabury. Joe stał obok mnie zgarbiony pod silnymi powiewami wiatru. Ruszył w stronę ulicy.

– Ciekawa rozmowa, co?

– Cholernie ciekawa.

– Kupujesz to?

– Nagadał różnych rzeczy Edowi. Taki był początek. Ed, próbując mi wyjaśnić, zaczął od tego, że pewien człowiek opowiedział mu historię. Zapytałem jaką a on na to, że taką której ów człowiek nie chciał opowiadać. Cancerno żałował tego dzisiaj.

Przyznał, że wahał się, czy mówić o tym Edowi.

Joe pokiwał głową. Szybko skręciliśmy za róg budynku i wyszliśmy na ulicę.

– Między Cancernem a Corbettem jest jakaś zła krew, to pewne – rzekł. – A do tej pory nie mieliśmy logicznego wyjaśnienia wczorajszych pożarów. Może tu pasować konflikt między nimi. Dlaczego Corbettowi zależy, żeby połowa policji wyszła na ulice i zajęła się tymi pożarami? Bo skupia uwagę na Cancernie. Trudno mu będzie przekonać śledczych, że nie ma z tym nic wspólnego, rozumiesz? Taki facet jest idealną przykrywką dla Corbetta.

– A co zyskuje na tym Corbett?

– To sposób, żeby dobrać się do Cancerna. Bo zdaje się, że on potwornie się go boi. Ukrywa się, ze strachu nie korzysta z kart kredytowych, nie wraca do domu. Cancerno nie taił, jak bardzo mu zależy, żeby go znaleźć; właściwie to zaproponował, że go zabije, kiedy tylko go znajdziesz. Więc może Corbett mu się rewanżuje. Albo, lepiej, dokonuje uderzenia wyprzedzającego.

Joe szedł szybko, jakby dokądś zmierzał. Zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, dokąd idziemy. Na pewno nie szliśmy w stronę biura.

– Nie byłeś pewien, że podwożą nas tam, gdzie byśmy chcieli? – zapytałem.

– Nie lubię być pasażerem. Poza tym jest kilka miejsc, które musimy odwiedzić.

– Tak?

– Załapałeś, co mówił Cancerno? Dlaczego jest taki pewien, że to Corbett podpala domy?

– Bo ma dostęp do wszystkich.

– Aha.

Doszliśmy do skrzyżowania i mimo że było czerwone światło, przeszliśmy na drugą stronę.

– Właśnie – powiedział Joe – wyobraź sobie, że się przed kimś ukrywasz. Wyobraź sobie, że bardzo się boisz. Tak, że nie korzystasz z kart kredytowych, konta w banku, nie szukasz pomocy przyjaciół. Dokąd byś poszedł?

Odwrociłem głowę, żeby na niego spojrzeć, zwolniłem.

– Myślisz o tych domach?

Pokręcił głową.

– Nie. W nich trwają prace. Ludzie Cancerna wchodzą i wychodzą sąsiedzi patrzą. I, do diabła, większość tych domów spłonęła wczoraj wieczorem, prawdopodobnie na polecenie Cancerna. Myśl dalej.

– Szkoła.

Pokiwał głową.

– Duży, stary, pusty budynek. Zamknięty, ale Corbett ma klucze. Jeszcze przez wiele miesięcy nie zaczną się tam roboty.

– To tam idziemy?

Pokręcił głową.

– Nie. Najpierw znajdziemy sklep z różnościami. Myślę, że będzie nam potrzebna latarka.

Okna parteru były zabite deskami, drzwi zabezpieczone ciężkimi, stalowymi łańcuchami i nowymi kłódkami. Bez klucza trudno byłoby się dostać do środka. Corbett klucz miał, my nie.

Szkoła średnia imienia Josepha A. Marsha Juniora była kiedyś wspaniałym budynkiem – trzy poziomy ceglanych ścian, wykładzina z piaskowca wokół okien i drzwi z zewnątrz, wewnątrz wykończenia z dębiny, podłogi starannie wyłożone terakoto-wymi płytami. Odkąd szkoła tutaj stała, wszystkie domy wokół niej były co najmniej dwa razy gruntownie przebudowane. Pomyślałem sobie, że pewnie ten cykl jeszcze się powtórzy. Kiedy krążyliśmy wokół szkoły, szukając, którędy można by wejść, wspominałem, jak przychodziłem tutaj bez względu na pogodę, zazwyczaj w towarzystwie Eda i Drapera. Chodziliśmy do ostatniej klasy najpierw do Marsha, potem do West Tech. Pomyślałem sobie, że było w tym coś cholernie na rzeczy – Ed, Draper i ja byliśmy na wiele sposobów przeżytkami starej dzielnicy.

– Okno piwnicy – powiedział Joe. Zatrzymał się i pokazał ręką. Tuż nad ziemią znajdowało się wąskie okno przykryte sklejką, której róg był uniesiony. Ktoś musiał go podważyć.

Uklęknałem, włożyłem palce pod krawędź i na próbę pociągnąłem. Deska uniosła się z ostrym trzaskiem. Włożyłem obie dłonie i mocniej szarpnąłem. Tym razem udało mi się ją oderwać.

– Wiesz, co tam jest? – zapytał Joe.

– Warsztat obróbki metalu.

– W gimnazjum?

– Z tej szkoły szło się do West Tech, więc prowadzono więcej zajęć zawodo-wych. Technikum miało nawet odlewnię metalu. Były czasy, że po tym gimnazjum dzieciaki mogły dostać pracę.

– To chyba kilkadziesiąt lat temu.

– Myślisz, że zamknęli szkołę przez przypadek?

Podał mi latarkę. Położyłem się na brzuchu i wyciągnąłem rękę, oświetlając ciemne pomieszczenie. Poczulem stęchliznę, zapach metalu, kamienia i, nie wiem skąd, gorąca, chociaż całe lata minęły, odkąd skończyła się tu nauka. Przejechałem snopem światła po pomieszczeniu. Widać było tylko stare pudła i ściany.

– W porządku – powiedziałem. – Do posadzki jest kawałek drogi, ale poradzi-my sobie. Niecałe

dwa metry od okna. Dasz radę?

– Dam.

– Okej.

Poszedłem pierwszy. Najpierw przełożyłem przez okienko nogi, wsunąłem się i zeskoczyłem. Posadzka poleciała mi na spotkanie szybciej, niż się spodziewałem. Mia-

łem twarde lądowanie. Odwróciłem latarkę i oświetliłem posadzkę. Joe przyglądał się wnętrzu z drugiej strony. Prześlizgnął się przez okienko i wylądował zgrabniej niż ja.

Miał trzydzieści lat więcej, a poruszał się z wdziękiem lekkoatlety.

– Pamiętasz rozkład wnętrza? – zapytał.

Skinąłem głową, oddałem mu latarkę i wyjąłem pistolet z kabury.

– Nawet nieźle.

– Zatem prowadź.

Przeszukiwaliśmy budynek godzinę. W ciszy przemierzaliśmy mroczne, zatęchłe korytarze, po których kiedyś chodziłem codziennie. Mijaliśmy klasy, w których więcej czasu poświęcałem na oglądanie się za dziewczynami niż na naukę, i pokój wycho-wawcy, który z Edem znaliśmy jak własną kieszeń. Ale było przynajmniej fajnie i przecież nie byliśmy takimi uczniami, którzy wpędzają nauczycieli w alkoholizm. No, może zmuszaliśmy ich do zażywania tabletek od bólu głowy, ale na tym koniec.

Wiedziałem, że budynek był od lat zamknięty, ale widok takiej ruiny zaskoczył

mnie. Na korytarzach leżały śmieci, spod nóg uciekały nam myszy, podłogi w pustych klasach były miejscami wilgotne od wody kapiącej z sufitu. Ledwie szkołę zamknięto, wdarli się do niej szabrownicy i wynieśli wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Brakowało większości oprawek do żarówek, znad zlewów wydarto kurki, panele sufitowe zdjęto, żeby ułatwić sobie dostęp do miedzianych przewodów.

W pomieszczeniu na piętrze, gdzie kiedyś była pracownia języka angielskiego, znaleźliśmy kilka ogarków świec, brudny koc, stłuczoną butelkę po Southern Comfort i parę puszek po zupach Campbella. Obok stał pogieły metalowy kosz na śmieci wypełniony zimnym popiołem. Joe przejechał w koło latarką i pokręcił głową.

– Bardzo stare. Idę o zakład, że jakiś bezdomny wkradł się tutaj, żeby schronić się przed śniegiem.

Na razie znaleźliśmy tylko to. Na drugim piętrze, w całkowitej ciszy przechodzi-liśmy z pomieszczenia do pomieszczenia. Joe przyglądał się posadzkom, ja szedłem za nim z pistoletem w rękę.

Nie mieliśmy ochoty gramolić się stąd przez piwniczne okno, którym weszli-

śmy. Za wąskie i znajdowało się za wysoko. Wszystkie dwuskrzydłowe drzwi zabezpieczone były od zewnątrz łańcuchami i kłódkami, ale pojedyncze drzwi zamknięto tylko od wewnątrz. Znaleźliśmy takie, które prowadziły na dwór z sali wykładowej, otworzyliśmy je i wyszliśmy. Niebo było przysłonięte chmurami.

– Cholera – rzucił Joe, kiedy zamykałem drzwi za sobą. – Myślałem, że się nam poszczęści.

– Pomysł był dobry – przyznałem. – Przynajmniej nie gorszy od innych, które miały nas doprowadzić do tego faceta.

Wyszliśmy ze szkolnego podwórka na ulicę. Niebo wyglądało jak wzburzone morze. Kropił deszcz. Grzmoty były głośniejsze i częstsze.

– Wstrzymuje się od rana – powiedziałem, spoglądając w górę.

– Ale wilgotność wzrasta. Niedługo lunie.

– Musimy wziąć taksówkę.

– Co, nie masz ochoty się przejść? To tylko jakieś sto trzydzieści przecznic stąd.

– Będzie lało. – Znow popatrzyłem na niebo. – Poszedłbym z tobą, gdyby nie burza. To dobre ćwiczenie.

– Idziemy do tramwaju.

Przystanek był jakieś piętnaście przecznic dalej. Poszliśmy na zachód Storer Avenue, potem na południe, do przystanku niebieskiej linii przy Lorain. Dojechaliśmy do Fairview Hospital, niedaleko naszego biura.

Weszliśmy na piętro i Joe już trzymał w ręku klucz, kiedy rozdzwonił się telefon.

Joe otworzył drzwi i szybko podszedł do aparatu. Przez kilka sekund rozmawiał ściszym głosem, po czym odłożył słuchawkę.

– Richards – powiedział.

– Wreszcie dotarła do niego wiadomość?

– Nic o tym nie mówił. Chce się z nami natychmiast spotkać. Mówił, że są u niego chłopaki, z którymi widziałeś się wczoraj wieczorem.

– Mason i Dean?

– Tak, są w Berea.

- Po co?
- Nie powiedział. Kazał nam tylko przyjechać do ratusza w Berea.
- Do ratusza? – Berea było to małe przedmieście. Znajdował się tam Baldwin Wallace College. Zastanawiałem się, co sprawiło, że clevelandzki detektyw z wydziału zabójstw i członkowie grupy do spraw korupcji spotkali się właśnie tam.
- Hm. Nic nie powiedział, tylko kazał nam przywlec tam tyłki. I nie był z nas specjalnie zadowolony.
- Pewnie wkurzył się, że nie zadzwoniłem do niego po tych pożarach.
- Możliwe.

Odwracałem się już do drzwi, kiedy zobaczyłem, że Joe wyjmuje z szuflady biurka swojego ulubionego smith & wessona z krótką lufą i wkłada go do kabury na ramieniu. Włożył lekką kurtkę. Rozpadało się, deszcz dzwonił o szyby.

- Masz zamiar zastrzelić dzisiaj glinę? – zapytałem. Joe unika noszenia broni, więc wydawało mi się cholernie dziwne, że zabiera ją teraz, kiedy idzie na spotkanie z policjantami.
- Już raz jakiś dupek ze spluwą w garści posadził mnie na tylnym siedzeniu furgonetki. Na dziś mi wystarczy. Zalażło mi to za skórę.

Wychodząc, zgasił światło. Klatka schodowa jarzyła się niesamowitą zielonkawą poświatą. Kiedy wyszliśmy na parking, burza wisiała w powietrzu. Zielonkawe chmury szybowwały nad burzami. Spadły na nas pierwsze krople. Joe chciał pójść do taurusa, ale ja wyjąłem z kieszeni kluczyki do mojej ciężarówki.

- Poprowadzę.
- Nie, dziękuję – odparł. Dla nas obu była to kwestia kontroli. Za każdym razem, kiedy nie wiedzieliśmy, co nas spotka, każdy z nas pragnął sprawować jak największą kontrolę. Prowadzenie nie dawało jej wiele, ale lepsze było to niż nic. Joe usiadł za kierownicą taurusa, nie dając mi szans na dalszą dyskusję.

Wyjechał z parkingu na drugą stronę Rocky River, skręcił w prawo w Lorain, ale zamiast pojechać nią prosto przez most, wybrał jej dwupasmowe odgałęzienie Old Lorain Road, która wijąc się przez park, prowadziła obok szpitala Fairview. Tędy przejeżdżaliśmy co tydzień prawie każdego wieczoru. Ulica prowadziła do Valley Parkway, w basenie rzeczonym i tamtędy mogliśmy dojechać do Berea. Obowiązywało tu ograniczenie szybkości, ale nie było świateł i korków, które spotykało się na głównych drogach. Padał coraz mocniejszy deszcz i Joe włączył wycieraczki. Łagodny szelest kropel zmienił się nagle w ostry grzechot.

- Grad. Doskonale. Pewnie wgniecie całą karoserię.

Ulicą płynęły strumienie. Grzmot zaczął się od powolnego dudnienia i przeszedł w ostre,

grzechotliwe crescendo, jakby blachę przepuszczano przez tryby jakiejś potężnej maszyny. Błyskawica mignęła stroboskopowym blaskiem i na chwilę roz-

świeciła rząd drzew. Zauważyłem, że gdzieniegdzie liście odwrócone są spodem do góry. W ten sposób reagowały na energię potężnej burzy. Grom ucichł, błyskawica zgasła, świat znów ogarnęła ciemność, która teraz wydawała się jeszcze gęstsza.

Chmury przesunęły się, zielonkawa poświata ustąpiła przed mrokiem.

– Burza jak cholera – powiedział Joe. – Samochód za nami nawet nie włączył świateł.

Reflektory wozu Joego włączyły się automatycznie, bo czujnik powiedział im, że noc zapadła w połowie dnia. Pokonywaliśmy serię esowatych zakrętów, ale wkrótce droga zrobiła się prosta. Poprowadziła nas prosto do rzeki. Za drzewami, od strony Joego rozciągało się pole golfowe. W świetle błyskawic widać było zielone przestrzenie.

– Co, u diabła? – mruknął Joe i obejrzał się gwałtownie na ostrym zakręcie.

Samochód, który jechał za nami bez świateł, nagle skręcił na przeciwległy pas i znalazł

się tuż obok naszego tylnego zderzaka. Jego kierowca nacisnął w tym momencie gaz do dechy i wóz, czarny sedan, podjechał jeszcze bliżej.

– Cholera. – Joe też nacisnął pedał gazu.

Sięgnąłem do kabury i wyjąłem pistolet.

Sedan był szybki, a taurus to nie samochód wyścigowy. Zanim zdążyliśmy pokonać ostatni zakręt, czarny sedan zrównał się z nami. Rozległ się grzechot broni maszynowej. Huk był ogłuszający, przebijał się nawet przez łomot gradu. Wokół nas poleciały odłamki szkła i kawałki metalu, kule podziurawiły karoserię. Podniosłem głocka, ale nie strzeliłem, bo Joe nadepnął na hamulec i gdyby udało mi się kogokolwiek trafić, to najpewniej jego.

Nawierzchnia była mokra, a my przyspieszyliśmy tuż przed hamowaniem. Taurus był stabilnym wozem, szerokim i nisko zawieszonym, ale nawet on nie był w stanie znieść takich manewrów. Zarzucił tyłem, wychodząc z zakrętu na prostą prowadzącą do mostu. Czarny sedan nas wyprzedził. Jego kierowca próbował skręcić i zajechać nam drogę, ale szybko się przekonał, podobnie jak my, że pogoda nie sprzyja gwał-

townym wirażom. Zanim zdołał obrócić się bokiem, wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni, podskoczył na krawężniku i wbił się w jeden z filarów mostu. Maskę zgięła się, szyba przednia roztrzaskała się w drobny mak, ale tylko tyle zobaczyłem, bo krę-

cąc się wokół własnej osi, sami spadliśmy z drogi.

Gwałtowne hamowanie sprawiło, że Joe stracił panowanie nad kierownicą, ale stało się to na tyle wcześnie, że nie wpadliśmy na most tak, jak sedan. Zjechaliśmy na tomiast ze stromeego nabrzeża po drugiej stronie jezdni. Joe nadal naciskał hamulec, ale teraz nie miało to znaczenia – zakończenie poślizgu zależało od praw fizyki, a nie od samochodu.

Zjechaliśmy pod niebezpiecznym kątem. Wiedziałem, że samochód się wywróci i zacznie koziółkować. Za oknem widziałem tylko trawę. Pod nami było płytkie rozlewisko rzeczne. Zanim w nie wpadliśmy, rąbnęliśmy w cienki pień młodego drzewa rosnącego na stoku. Zgięło się, ale nie złamało, zatrzymując nas w połowie drogi.

– U ciebie w porządku? – Odwróciłem się do Joego.

Dopiero wtedy zobaczyłem, że dostał. Leżał bezwładnie na fotelu, głowę miał

przechyloną, twarz była jedną maską bólu. Krew płynąca po kurtce nasączała krawat.

– Joe! – Odpiąłem pas bezpieczeństwa przy jego fotelu i nachyliłem się nad nim, żeby zobaczyć ranę. Krew spływała chyba z lewego ramienia i klatki. Krwotok z klatki był obfity. Joe miał pobielającą twarz, nieruchome, puste spojrzenie.

– Joe, musimy wydostać się z samochodu. Przyjdą tutaj i zabiją nas, jeśli tego nie zrobimy.

W odpowiedzi usłyszałem chrapliwy, płytki oddech. Głowa opadła mu na bok.

– Cholera! – Odpiąłem swój pas bezpieczeństwa i odwróciłem się z pistoletem w dłoni. Nachyliłem się nad Joem i wyrząłem na drogę przez roztrzaskaną szybę. Zobaczyłem tylko błyszczącą kurtynę deszczu. Ale musieli tu iść. Nie sądziłem nawet przez chwilę, że nie przeżyli zderzenia. Skoro mogli chodzić, musieli tu przyjść, żeby sprawdzić, czy wykonali zadanie.

Rzuciłem się przez konsolę na tylną kanapę. W drzwiach były dziury po kulach, szyby rozbite. Cała burta wozu rozorana ogniem broni maszynowej. Nie dostałem tylko dlatego, że kiedy wychodziliśmy z biura, Joe koniecznie chciał prowadzić. Nie traci-

łem czasu na otwieranie drzwi. Przetoczyłem się na plecy i kopnięciem wybiłem resztki szyby. Potem oparłem się dłońmi – w jednej przez cały czas trzymałem glocka – o kanapę i wyrzuciłem nogi za okno. Kawalek szkła rozorał mi tyłek, ale zdołałem postawić stopy na ziemi i obrócić się od samochodu.

Znieruchomiałem. Oparty o bok wozu obserwowałem drogę. Sedan był rozbity, zobaczyłem zmiażdżony wóz po drugiej stronie rzeki. Usłyszałem trzaśnięcie. Ktoś zamknął albo otworzył kopnięciem drzwi. Odwróciłem się i chwyciłem za kłamkę drzwi od strony Joego. Podziurawione kulami, ale sprawne. Pociągnąłem, ale się za-cięły. Sięgnąłem przez rozbite okno i już go chciałem przez nie wyciągać, kiedy zauważyłem, że wciśnięta jest blokada. Wyciągnąłem kołek i znowu spróbowałem otworzyć drzwi. Tym razem ustąpiły.

Huśtały się ze względu na kąt, pod jakim stał samochód, ale przytrzymałem je biodrem. Włożyłem glocka do kabury i obręcz chwyciłem Joego. Jęknął, kiedy go podnosiłem, ale nie miałem czasu,

żeby uważać.

Odchyliłem się do tyłu i wyciągnąłem go do połowy z wozu, ale kolano zaczęło o kierownicę. Poruszył się, słabo odepchnął nogami od siedzenia i uwolnił nogę.

Wypadł z wozu na wzgórek. Posadziłem go możliwie jak najostrożniej i zamknąłem drzwi. Z wraku na moście dobiegały kolejne hałasy. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem człowieka idącego w deszczu.

Wziąłem pistolet w prawą rękę, a lewą objąłem Joego. Nie był ciężki, ważył

pewnie nie więcej niż siedemdziesiąt pięć kilo i bez trudu mogłem pociągnąć go jedną ręką. Jego krew spływała mi na biceps, sapał z bólu. Potykając się i ślizgając po błotnistym stoku, dotarłem do drzew. Kiedy tylko usłyszałem, że otwierają się drzwi tamtego wozu, wiedziałem, że nie ma sensu kryć się za samochodem albo za drzewami. Faceci na drodze mieli automaty. Jeśli byli w na tyle dobrym stanie, żeby wysiąść z samochodu, wystarczy im siły, żeby usiąść na szczycie wzgórza i nas ostrzeliwać. Musieliśmy dostać się do rzeki.

Rozdział 26

Deszcz padał bez przerwy, sprawiał, że krew Joego, która spływała po moim ramieniu na jego kurtkę, zmieniała kolor na różowy. Jego obcasy ryły bruzdy w błocie, kiedy ciągnąłem go w stronę rzeki. Za nami rozległy się serie. Ogień z automatów rozpruwał taurusa. Hałas był koszmarny, aż miałem ochotę rzucić Joego i zakryć rękami

uszy. To nie był skryty napad. Ludzie na wzgórzu dbali tylko o skuteczność mordczego zamachu.

Przy błotnistym, śliskim brzegu woda miała może niecały metr głębokości.

Głębiej było dopiero pośrodku nurtu, gdzie prąd jest mocniejszy, ale próba schowania się w wodzie byłaby samobójstwem. Stanęliby na moście i strzelali do nas z góry. Naszą najlepszą – i jedyną – szansą było wykorzystanie mostu przeciwko nim. Musieli-

śmy dyskretnie się pod niego dostać i zmusić ich do zejścia na brzeg, bo wtedy tylko stamtąd mogliby do nas strzelać.

Położyłem Joego na brzegu, uklęknałem i odwróciłem się w stronę mostu. Wystrzeliłem, tak szybko, jak tylko mogłem, sześć razy do samochodu. Nie widziałem bandytów, więc nie liczyłem na to, że ich trafię, ale chciałem, żeby jak najdłużej się ociągali z przejściem na drugą stronę mostu, skąd mogliby do nas strzelać. Każda sekunda była cenna, żeby przeżyć.

Po oddaniu strzałów padłem na ziemię obok Joego i wcisnąłem się policzkiem w błoto. To była mądra decyzja. Ledwie się położyłem, zza drzew posłali długą serię z automatu. W powietrze fruwały pozdzierane z drzew kora i liście. Kiedy ostrzał ustał, odliczyłem pięć sekund, zanim znów usiadłem. Włożyłem glocka do kabury, ale jej nie zapiąłem. Odwróciłem się i podniosłem oburącz

Joego. Twarz miał koloru popiołu, ale skrzywił się i syknął, kiedy go podniosłem. To był dobry znak, liczyłem na to. Jeśli cię boli, znaczy, że żyjesz.

– Przepraszam – powiedziałem – ale nie umiem tego zrobić inaczej.

Potem zapałem się obcasami i odepchnąłem od brzegu, żeby wpełznąć do rzeki, ciągnąc Joego. Ruszałem się niezgrabnie, ale musieliśmy być pochyleni. Poruszałem się do tyłu, jak rak, trzymając Joego jedną ręką. Obcasami i drugą ręką odpychałem się od dna, nie opuszczając płycizny przy brzegu. Przebrnąłem tak parę metrów i wpadłem do głębszej wody. Płycizna skończyła się nagle i Joe wypadł mi z rąk.

Spróbowałem odepchnąć się w stronę powierzchni, ale zanim tam dotarłem, zdążył

odpłynąć na jeszcze głębszą wodę. Tonął. Płynąłem za nim, z prądem. Przesiąknięte ubranie i buty ciągnęły mnie w dół. Ręką namacałem jego kurtkę. Podciągnąłem go i położyłem sobie na plecach. Odpychałem się od miękkiego dna nogami, zagarniałem wodę jedną ręką. Przetoczyłem Joego na plecy. Usta i nos miał na wierzchu. Skupiłem się na utrzymaniu go nad wodą i brnąłem dalej, w stronę mostu.

Ulewa sprawiła, że prąd rzeki był szybszy niż normalnie, ale w tym miejscu nadal rozlany i leniwy, a to znaczyło, że musiałem się cholernie namęczyć, żeby dostać się pod most. Weszliśmy w jego cień w chwili, kiedy serie z automatu przeczesywały drzewa, między którymi jeszcze niedawno siedzieliśmy. Joe nawet nie próbował

machać nogami i rękami. Unosił się na wodzie tylko dzięki moim wysiłkom. To mnie martwiło, i nie tylko dlatego, że swoim bezwładem utrudniał mi poruszanie się. W obliczu katastrofy instynkt zmusza człowieka do reagowania. O życie się walczy do granic fizycznej wytrzymałości. Całkowita bezwładność Joego oznaczała, że bliski jest śmierci.

Znowu serie. Tym razem słyszałem same wystrzały, bez odgłosów uderzeń kul.

To znaczyło, że strzelali do wody. Przeciągnąłem Joego na tę stronę, z której wyszli-

śmy, i pożałowałem tego. Kiedy zdali sobie sprawę, że skryliśmy się pod mostem, zaczęli schodzić na brzeg, a z tej strony podejście mieli łatwiejsze. Przeciwległy brzeg był znacznie bardziej stromy, porośnięty drzewami i gęstymi krzakami. Zejście byłoby trudne. Zdecydowałem, że spróbuję przedostać się z Joem na drugą stronę, póki jeszcze nie zeszli z mostu.

Odepchnąłem się mocno od dna i popłynąłem z prądem, zagarniając wodę szerokimi ruchami wolnej ręki. W połowie drogi już nie miałem pod nogami gruntu.

Zaskoczyła mnie siła nurtu. W tej pozornie ospałej rzece była prawdziwa potęga, a Joe ograniczał moją mobilność. Miałem problem z przebiciem się przez nurt. Gdyby zniosło nas spod mostu na otwartą przestrzeń po drugiej stronie, decyzja przepłynięcia się na drugi brzeg byłaby fatalna w skutkach.

Nabrałem głęboko wilgotnego powietrza i zacząłem mocniej zagarniać wodę prawym ramieniem.

Mięśnie mi pękały. Z całych sił walcząc z prądem, płynąłem w stronę drugiego brzegu. Uratowało nas tych parę tygodni bez deszczu. Gdyby woda była głębsza, nie zdołałbym się przeprowić, zanim prąd wyniosłby nas na otwartą przestrzeń, ale ponieważ było płytko, dałem radę sforsować głębiny i szybko znów znalazłem oparcie dla nóg. Kiedy tylko dotknąłem stopami dna, byliśmy uratowani.

Ciągnąłem Joego przez pływaczę, aż dotarliśmy do drugiej strony mostu. Oparłem się o zimne kamienie i łapczywie chwytalem powietrze.

Nad nami było cicho. Owinąłem lewą dłoń koszulą Joego i pociągnąłem go przez wodę, trochę wystawiając głowę spod mostu, żeby widzieć, co jest na górze.

Zobaczyłem ich w połyskliwych strugach deszczu – dwóch mężczyzn w czarnych kurtkach, w maskach narciarskich na twarzach i z bronią w ręku. Zeszli z mostu i stanęli za zniszczonym taurusem. Patrzyli między drzewa. Tylko burza trzymała nas teraz przy życiu. Na dnie doliny zawsze było ciemniej, a ciężkie, czarne chmury sprawia-

ły, że panował tu mrok. Stojąc na brzegu, nie mogli dobrze widzieć porośniętych drzewami brzegów, więc musieli zejść, żeby celnie strzelać. Zeszli do taurusa, tak jak się spodziewałem. Ale kiedy przeszukają tamten brzeg, pójda w naszą stronę.

Na wodzie wokół nas tańczyły kolorowe światła. Przetoczyłem się z lekka na lewy bok i twarz Joego na chwilę zniknęła pod wodą. Ale to wystarczyło, żebym zobaczył źródło tych świateł. Ford crown victoria, z kogutem na dachu, wjechał z Valley Parkway na most. Na burcie przejeżdżającego wozu widniał znak „Metroparks Rangers”. Rangersów pilnujących parków trudno nazwać przyrodnikami czy dozorcami parkowymi – to gliny. Przechodzili przez akademię stanową tak samo jak policja miejska, pracowali nad sprawami, dotyczącymi napaści, narkotyków, a czasem morderstw, jak wszyscy policjanci, ale ich obszar działania ograniczał się do tysiący hektarów parków miejskich. Mieli broń i radiostacje.

Wyjście spod mostu było ryzykowne, ale nadszedł czas na podjęcie tego ryzyka. Oparłem rękę na szorstkiej krawędzi kamiennego muru biegnącego wzdłuż brzegu i się podciągnąłem. Drugą rękę włożyłem Joemu pod pachę, wyciągnąłem go z wody i ułożyłem na błotnistym brzegu.

Teraz miałem dobry widok drugiego brzegu, ale bandytów tam nie było. Trzaski i szelest wśród drzew powiedziały mi, że ktoś biegnie. Zmrużyłem oczy, patrząc przez deszcz. Jeden, utykając, biegł między drzewami. Drugiego nie widziałem. Może uciekli obaj.

Rangers wysiadł już z wozu i szedł po moście w naszą stronę. Głowę miał

opuszczoną z szerokiego ronda kapelusza skapywały krople deszczu. Woda rozpryskiwała się pod jego stopami. Odwróciłem wzrok i znowu przyjrzałem się drugiemu brzegowi, szukając drugiego strzelca. Nie zobaczyłem go. Deszcz zaczął padać jeszcze mocniej, kłuł mnie w twarz. Kiedy oddychałem, strumyczki wody wlewały mi się do ust. Mocno dyszałem. Walka z prądem i ciężar Joego zrobiły swoje.

Rangers był już w połowie mostu. Przyglądał się wodzie i mówił coś do radio-stacji. Zobaczył już

zniszczone samochody i stwierdził, że są puste. Ale czy słyszał

strzały, zanim nadjechał? Były tak głośne, że nie mógł ich nie słyszeć, ale jeśli je słyszał, a potem postanowił ot, tak wysiąść z samochodu, to był albo odważnym sukinsynem, albo cholernym idiotą.

Zbliżał się. Widziałem teraz, że w opuszczonej ręce, przy nodze trzyma broń.

Zgadza się, słyszał strzały. I nie był idiotą, był odważny. Nie czekał na wsparcie, bo wiedział, że ktoś mógł być w rzece. Może umierał.

Poczekalem, aż dojdzie do naszego końca mostu. Wtedy wstałem i krzyknąłem:

– Hej! Potrzebujemy pomocy!

Machałem rękami, ale mimo to trwało kilka sekund, zanim nas zlokalizował.

Mięśnie pleców miałem napięte, czekałem na strzał z przeciwległego brzegu. Kiedy rangers nas zobaczył, błyskawicznie obiegił wylot mostu i zszedł na kamienny mur ciągnący się wzdłuż brzegu. Zostawiłem Joego i wspiałem się po murze, a potem po błotnistym stoku, żeby móc rozmawiać z rangersem. Właśnie wtedy zobaczyłem bandytę, który nie uciekł za drzewa.

Zdjął maskę narciarską i znów wszedł na most. Biegł teraz, był coraz bliżej. Jego kroki głośno mlaskały na mokrym betonie. Rangers odwrócił się na ten dźwięk i uniósł broń.

– Stać! Ręce do góry i na ziemię!

Mężczyzna biegł nadal, ale uniósł ramię. Coś błysnęło mu w dłoni i wtedy zobaczyłem, że to odznaka.

– Policja miasta Cleveland! – krzyknął w odpowiedzi. – Spokojnie, jestem gliną.

Odsuń się teraz.

To był Jack Padgett, a w dłoni, w której nie miał odznaki, trzymał broń. Rangers lekko opuścił pistolet i się odprężył.

– Nie słuchaj go! – krzyknąłem.

Rangers nieznacznie odwrócił głowę w lewo i spojrzał na mnie.

– On postrzelił mojego partnera – wydyszałem. – Chce nas zabić.

Rangers przeniósł wzrok na Padgetta, który nadal biegł w jego stronę.

– Gleba! – ryknął rangers. – Jazda!

– Policja miasta Cleveland! – powtórzył Padgett, nie zwalniając.

– Gównu mnie to obchodzi. Na ziemię!

Padgett biegł nadal. Rangers znowu spojrzął na nas, zobaczył ziemistą twarz Joego i moją rozpaczliwą minę. Rzuciłem się w dół, uklękłem obok Joego i sięgną-

łem po broń. Palcami namacałem kaburę. Była pusta. Zgubiłem pistolet, chyba w rzece.

Padgett był kilka metrów od nas. W ręku nadal trzymał broń.

– Strzel do niego! – wrzasnąłem do rangersa.

– Policja miasta Cleveland! – ryknął Padgett po raz trzeci. Ręka z pistoletem zaczęła się unosić, lufa kierowała się w stronę rangersa.

Sięgnąłem pod kurtkę Joego z nadzieją, że jego broń nadal tkwi w kaburze na-ramiennej, ale nawet gdybym ją znalazł, było już za późno. Byliśmy martwi. Rangers nie zastrzeli gliniarza, a Padgett zabije nas wszystkich.

Rangers strzelił do Padgetta. Wypalił raz i trafił go w biodro. Prawa noga ugięła się pod Padgettem, okręcił się i upadł na ziemię, uderzając przy tym o żelazny wspor-nik. Przez chwilę leżał. Potem odwrócił się na bok, uniósł pistolet i wycelował w rangersa. Ten strzelił drugi raz. Padgett opadł na ziemię i już tak został.

Rangers włączył radio i zaczął do niego krzyczeć.

– Oddano strzały na moście Rocky River, powtarzam, oddano strzały! Natychmiast potrzebne wsparcie i sanitariusze. – Odwrócił się do nas. Deszcz spływał kaskadą z ronda jego kapelusza. – Przeniesiemy go tutaj – powiedział.

To nie było łatwe. Przede mną wznosił się kilkumetrowej wysokości nagi mur, nie byłem w stanie unieść ciała Joego, żeby rangers je chwycił. Musieliśmy pójść w górę rzeki, gdzie na brzegu rosły krzaki i małe drzewka. Rangers dotarł do nas przez poszycie, chwycił Joego pod pachy, podniósł go, wciągnął na górę i położył na trawie.

Wspiąłem się za nim, czepiając się drzewek. Kolce podrapały mi skórę. Drżałem.

Gdzieś w dolinie wyły syreny, grały hymn smutku, tym razem dla mojego partnera.

Rangers zostawił nas, wrócił na most i podszedł do Padgetta. Uklękął przy nim i trwał tak dłuższą chwilę. Stał przede mną. Moką twarz miał ponurą i zaciętą.

– Proszę pana – powiedział. – Mam nadzieję, że jest pan uczciwym człowiekiem. Bo chyba właśnie zabiłem policjanta.

Rozdział 27

W pomieszczeniu szpitalnym było chłodno i ciemno. Siedziałem na kafelkach oparty plecami o

ścianę. Siedziałem już tak długo. Co najmniej dziesięć minut minęło, odkąd powiedziałem policjantom, że muszę pójść do toalety. W istocie to już miałem dosyć ich, światła, świata. Chciałem zamknąć oczy. Mała rzecz, zamknąć oczy. Ale bardzo tego potrzebowałem.

Kilka razy przeszedłem śmierzącym środkami dezynfekcyjnymi korytarzem, zanim znalazłem puste pomieszczenie. Joe był gdzieś w tym budynku. Nie mogłem się z nim jednak zobaczyć. Nadal leżał w sali operacyjnej. Już ósmą godzinę.

Myślałem, jak długo będą go jeszcze operować. Kiedy zrezygnują? Osiem godzin to dużo. Myślałem o chirurgu, czy ręce mu nie drżą, czy ma doświadczenie z ra-nami postrzałowymi. Myślałem, czy Joe jeszcze żyje.

Jakbym to ja pozwolił, żeby go zabili.

Przyciągnąłem kolana do siebie, objąłem je rękami i położyłem na nich głowę.

Oczy miałem zamknięte. Nie chciał się w to mieszać. Od samego początku. Poszedłem do jego mieszkania w środku nocy, usiadłem w salonie i wymusiłem pomoc.

Wahał się, nie dlatego, że martwił się o własne bezpieczeństwo albo o stratę finansową na płatnych prawach, albo o zainteresowanie, z jakim media podeszły do śmierci Eda. Wahał się, bo wiedział, że podjąłem się wariackiej misji. Bo niby co bym udowodnił? Mógłbym zmienić, oczyścić pamięć po zmarłym przyjacielu. Ale czy to by wystarczyło? Odpowiedź nie była taka prosta, jak wydawało mi się przez cały tydzień.

Joe leżał na stole ósmą godzinę. Jeśli ktoś powinien oberwać za to, że próbował pomóc nieboszczykowi, to tym kimś byłem ja.

Głosy w korytarzu. Ktoś pyta o mnie. Pielęgniarka mówi, że mnie nie widziała.

Nie otwierałem drzwi, dopóki nie usłyszałem, jak ten ktoś dziękuje pielęgniarce. Skojarzyłem głos. To był Cal Richards. Od paru godzin widziałem samych gliniarzy, ale Richardsa wśród nich nie było. Zastanawiałem się, kiedy się zjawił.

Odsunąłem się trochę, sięgnąłem do klamki i otworzyłem drzwi.

– Richards.

Był w połowie korytarza, kiedy się odezwał. Na dźwięk swojego nazwiska odwrócił się i rozejrzał. Nikogo nie zobaczył. Wystawiłem rękę na korytarz i pomacha-

łem do niego. Zauważył. Wszedł do środka i zapalił światło. Skrzywiłem się, więc je wyłączył. Cicho zamknął drzwi. Przy pustym łóżku stało krzesło. Przysunął je i usiadł.

– Jak się czujesz?

Popatrzyłem na niego, ale w ciemnym pokoju zobaczyłem tylko zarys głowy.

– On ciągle jest w sali operacyjnej – powiedziałem.

– Tak. – Nie widziałem, jak poruszają mu się usta, głos zdawał się wypływać z ciemności, łagodny i silny. – Pytałem o niego. Kiedy tu przyjechałem, najpierw porozmawiałem z lekarzami.

– I co?

– Poważny przypadek. Dwie rany postrzałowe.

– Wiem, Richards. Byłem przy tym. Ale co jeszcze? Nikt nie chce podać szczegółów.

– Nie jestem lekarzem, Perry. Nie mogę ci powiedzieć, co tam się dzieje.

Oparłem głowę o ścianę i znowu zamknąłem oczy.

– A co możesz mi powiedzieć, Richards?

– Mogę ci powiedzieć, że Jack Padgett jeszcze żyje, ale jest w takim stanie, że nie może mówić. Mogę ci powiedzieć, że jechał ukradzionym samochodem i mogę ci powiedzieć, że nie wiemy, kto był drugim strzelcem.

– Znalazłeś Corbetta?

– Nie.

Pokręciłem głową.

– On ma duże znaczenie, ten sukinsyn. Richards, Corbett puścił to wszystko w ruch.

– Zdaje się, że teraz bardziej jesteś do tego przekonany niż dwa dni temu.

– On ma duże znaczenie dla wszystkich – powtórzyłem. – Żywych i umarłych.

Ma znaczenie dla Sentalar, Eda, Rabolda. Dla Padgetta i Cancerna. Musisz go znaleźć, Richards.

– Znajdziemy. – Poruszył się, pochylił do przodu. – Ale najpierw musisz mi powiedzieć, Perry, co takiego zrobiłeś, że sprawy ruszyły z kopyta? Co takiego zrobiłeś, że gliniarz zaryzykował wszystko, żeby cię sprzątnąć. Musisz coś wiedzieć.

– I wiem.

– Chciałbym to usłyszeć.

– Okej. Zacznę od Mike’a Gajovicha.

Richards zrobił powolny długi wydech.

– Tak.

– Już o tym pomyślałeś, co?

– Dziś rano – rzekł.

– W Berea?

– Aha. Kiedy zajmowałem się sprawą Sentalar, dowiedziałem się, że nie była pierwszym dyrektorem Wspólnoty Mieszkańców. Był nim pewien radny z Berea. Podjął obowiązki, ale potem się wycofał. Zdaje się, że Mike Gajovich był mocno zaangażowany

w cały projekt. Zdaje się, że temu facetowi z Berea proponowano posadę miejską, kiedy Gajovich zostanie burmistrzem. Pod warunkiem, że popatrzy przez palce na jakieś sprawy finansowe, które firma Cancerna miała ze Wspólnotą Mieszkań-

ców. Facet od dawna był związany z Gajovichem i jestem pewien, że to cwana gapa, ale miał na tyle rozumu w głowie, żeby ten układ mu się nie spodobał, więc się wycofał. Z tego, co znaleźliśmy, wynika, że Cancerno wyprowadzał mnóstwo forsy dla Gajovicha, najprawdopodobniej opłacał jego kampanię wyborczą.

Próbowałem się skupić, próbowałem zapytać o szczegóły i rozwiązać łami-główkę, nad którą spędziłem już tydzień, znaleźć ładne, zgrabne rozwiązanie. Ale nie mogłem. Ni cholery mnie to nie obchodziło teraz, kiedy Joe leżał rozciągnięty na zimnym, stalowym stole, a w ciele grzebali mu skalpelami i kleszczami.

– Powiesz mi, jak dotarliście do Gajovicha? – zapytał Richards.

– Jego brat też jest pewnie wmieszany – odparłem, nie odpowiadając na pytanie. – Dean i Mason chyba już do tego doszli. Jego brat jest komendantem okręgu drugiego. Szefem Rabolda i Padgetta.

– To już wyszło – rzekł Richards.

– Znalazłeś już Cancerna?

– Szukamy go. Jak na razie, zaginiony w boju.

– On i Corbett – powiedziałem. – Cudownie.

– Będę musiał wypytać cię o szczegóły. Ale nie teraz.

Już zacząłem kręcić głową.

– Masz rację, nie teraz. Richards, dziś wieczór mam już dość rozmów z policjantami. Mam dość, dopóki nie zobaczę Joego.

Milczał chwilę.

– Chciałem tu przyjść wcześniej. Kiedy tylko usłyszałem. Ale zrobił się straszny bigos, prokurator

wdał się w sprawę i całe popołudnie spotykałem się z szychami.

– Nie ma sprawy.

Podniósł wzrok.

– Próbuję ci powiedzieć... że ja też się tym przejmuję.

Pokiwałem głową.

– W porządku, Cal. Rozumiem.

Dwadzieścia minut później Richardsa już nie było. Znowu poszedł konsultować się ze zwierzchnikami. Nie zazdrościłem mu roboty. Cały wydział już pewnie haruje i w pocie czoła liczy straty po tym, jak rangers postrzelił Padgetta. Tego samego dnia dowiedzieli się, że jeden z ich komendantów i prokurator hrabstwa umoczeni byli w wielką sprawę korupcyjną. Pewnie dostaną zawału serca.

Niech harują pomyślałem. Niech łapią Cancerna, niech szukają Corbetta, niech wywalą z roboty Gajovicha albo go oskarżą albo zrobią co tam się jeszcze robi z takim cholernym prokuratorem. To już nie miało znaczenia. Ed Gradduk nie żył, a mój partner miał do niego dołączyć.

Kiedy Cal Richards poszedł, usiadłem na winylowym krześle w poczekalni. Chyba to był oddział urologii szpitala miejskiego. Lekarze i pielęgniarki dawno już poszli i niewiele zostało personelu. Wolałem nie pokazywać się publicznie. Media szalały, wszyscy chcieli ze mną rozmawiać. Gliniarze żądali, żebym przyszedł na komisariat, administracja szpitalna, żebym sobie poszedł w diabły. Odmówiłem.

– Lincoln!

Odwrociłem głowę i zobaczyłem Amy, kiedy wychodziła zza rogu korytarza.

Szła szybko, twarz miała bladą. Podeszła i ukucnęła przede mną. Położyła mi ręce na kolanach. Spojrzała poważnie w oczy.

– Jak on się czuje?

– Nie wiem.

– Co się stało? Dowiedziałam się dopiero jakieś dwie godziny temu, kiedy wydawca mnie wezwał i kazał wydobyć od ciebie jakiś cytat. Nawet nie wiedziałam, o czym mówi. Całą wieczność cię szukałam.

Usiadła na krześle obok mnie, a ja powiedziałem jej, co wiedziałem. O tym, co ją najbardziej interesowało – o stanie Joego – nie wiedziałem nic.

– Żył, kiedy wnosili go do karetki, żył kiedy przywieźli go do szpitala. Potem się dowiedziałem, że

jest w sali operacyjnej. Nic więcej nie wiem. Minęło już cholernie dużo czasu i nikt nie wyszedł, żeby powiedzieć, czy przeżyje. Możesz mi podziękować, to ja go w to wciągnąłem.

Pokręciła głową.

– Nie rób sobie z tego wyrzutów – powiedziała łagodnym głosem. – Nie rób sobie wyrzutów.

– To prawda, Amy. Wplątałem go w coś, z czym nie miał nic wspólnego, a teraz on leży na stole operacyjnym, a ja jestem tutaj. Nie mogę się czuć w porządku.

Nachyliła się i spojrzała mi w oczy.

– A właściwie, to dlaczego zacząłeś to śledztwo?

Machnąłem ręką i odwróciłem się od niej. Nie chciałem rozmawiać z kimś, kto twierdził, że to nie moja wina.

– No? – nalegała. Westchnąłem.

– Amy, bo Ed był kiedyś moim przyjacielem. Bo był dobrym przyjacielem.

– To samo Joe mógłby powiedzieć o tobie. Ty chciałeś pomóc swojemu przyjacielowi, on swojemu. Więc, jeśli dla ciebie taki motyw jest dobry, dla niego już nie?

Oparłem łokcie na kolanach i przeciągnąłem rękami po włosach, nabrałem powietrza, ale nic nie powiedziałem.

– Nie wiń się za to, co stało się z Joem. To niczemu nie służy. I jest głupie.

Bezceremonialna. Taka właśnie jest Amy.

– Słyszałam, że to Padgett – powiedziała po chwili milczenia.

Pokiwałem głową.

– Był z nim jeszcze jeden facet. Niezidentyfikowany, jak na razie.

Opowiedziałem jej potem o Cancernie, o Gajovichu i Albercie Gradduk. Dobrze mi się mówiło, lepiej niż myślałem, po tylu zeznaniach przed policją. Może dlatego, że mówiąc, odpoczywałem od myślenia. I duża wskazówka zegara na ścianie przesuwawała się trochę szybciej i łatwiej.

– Więc uwierzyłeś w to, co powiedział ci Cancerno?

Wzruszyłem ramionami.

– To miało sens. Myślę, że było w tym coś z prawdy. Dobrze pasowało.

– Joe też tak sądził?

– Myślał, że prawda leżała pośrodku. Zazwyczaj tak sądził.

– Cancerno zabije Corbetta, kiedy go znajdzie?

Znowu pokiwałem głową.

– Też tak myślę. Ale miał nadzieję, że to ja go znajdę. Zaoszczędzę mu kłopotu.

– Panie Perry?

Głos dobiegał z tyłu. Wyprostowałem się i odwróciłem. Za mną stał lekarz. Wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją. Dłonie były wąskie, długie i silne. Miał może sześćdziesiąt lat, siwe włosy i wyprostowaną sylwetkę.

– James Crandall. Zajmowałem się pańskim partnerem przez ostatnie osiem godzin. – Skinął głową w stronę Amy.

Wstałem, szukałem na jego twarzy oznaki, z jaką przychodzi wieścią. Nie malowały się na niej żadne emocje.

– Nie jest – zaczął – w dobrym stanie. Ale biorąc pod uwagę co przeszedł, jego stan jest nad podziw dobry. Dostał dwa poważne postrzały. Wystarczyłyby, żeby go zabić, nawet gdyby udzielono mu natychmiastowej pomocy chirurgicznej. On tymczasem wpadł do zanieczyszczonej rzeki.

Czułem się, jakby nic nie trzymało mnie na ziemi. Stopami stałem na posadzce, ale reszta unosiła się jak balon zerwany z uwięzi. Zmuszałem się, żeby patrzeć Crandallowi w oczy.

– Rana klatki piersiowej spowodowała poważny krwotok – mówił. – Uszkodzona arteria, rozległe obrażenia. Ustabilizowaliśmy to, ale nie ma gwarancji, jak jego cia-

ło zareaguje. Czasem po prostu nie można wyzdrowieć po takich ranach.

Próbowałem skinać głową.

– Ma też ranę w ramieniu – kontynuował. – To również poważne obrażenie. Kula utkwiała między górną a dolną gałęzią nerwu: nazywa się splot barkowy, który przekazuje bodźce ruchowe i czuciowe do klatki, barków i ramion. Rozerwana jest też arteria w barku. Udało mi się usunąć zniszczone odcinki arterii i założyć sztuczny wszczep. Tylko to potrwało pięć godzin. Jeśli zadziała, może uratujemy mu ramię.

– Może – powtórzyłem.

Skinał głową.

– Ramię może być stracone. W chwili obecnej nie mogę tego wykluczyć. Mam nadzieję, że tak się nie stanie.

– Ale będzie żył.

Crandall nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Może. Jak mówiłem, urazy klatki są poważne. Duża utrata krwi. Ma mocne serce, jak na mężczyznę w tym wieku, ale ten organ ma już prawie sześćdziesiąt lat.

Czasem, po prostu, nie wytrzymuje urazu.

Tym razem nie udało mi się nawet zamarkować kiwnięcia głową.

– Teraz wracam do niego – poinformował Crandall. – Powiedziano mi, że nie ma rodziny, ale że pan tutaj czeka. Chciałem z panem porozmawiać osobiście.

– Dziękuję – powiedziałem nieswoim głosem.

Krótko skinął głową odwrócił się na pięcie i oddalił pośpiesznie. Szedł pewnym siebie krokiem. Był człowiekiem mającym dar ratowania ludzkiego życia. Ale musiało mu się zdarzać, że kogoś stracił. Każdemu chirurgowi to się zdarza.

Mijały kolejne godziny. Siedziałem na krześle, Amy obok mnie. Niewiele już rozmawialiśmy. Policja nie wróciła po mnie, nie miałem informacji od Richardsa. Amy próbowała nie zasnąć. Powiedziałem, żeby poszła do domu.

– Nie ma mowy.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko czegoś się dowiem. Asie, jest prawie druga nad ranem. Idź, odpocznij trochę.

– A ty?

– W końcu zasnę.

Nie chciała pójść, ale też nie chciała się ze mną kłócić. Po minucie wstała.

– Zadzwoń, jeśli tylko dowiesz się czegoś nowego – poprosiła.

– Dobrze.

Pochyliła się, uściśnęła mnie, pocałowała w czoło i poszła. Znowu zostałem sam w pustej poczekalni. Spoglądałem na zegar.

Wróciłem myślami do Mitcha Corbetta. Czy to on nas wrobił? Jeśli wierzyć Cancernowi, Corbett i Padgett pracowali wcześniej w tandemie. Ale czy można wierzyć facetowi, który zarabiał na życie wszelkimi szemranymi sposobami?

Złapałem się na tym, że chciałbym, żeby Cancerno znalazł Corbetta. Miałem nadzieję, że Cancernowi

powiodło się tam, gdzie ja zawiodłem i że już zrobił, co zamierzał. W to, że naprawdę chce to zrobić, wierzyłem bardziej niż w resztę jego opowieści. Kiedy znajdzie Corbetta, zabije go.

Ale nie będzie łatwo go znaleźć. Joe i ja byliśmy dobrzy, a się nam nie udało.

Fakt, że Corbett miał powiązania z Cancernem, zmieniał wiele. Może miał znacznie więcej pieniędzy, niż ktokolwiek sądził. Może zwinął Cancernowi milionik, dał drapaką i dlatego gangster chce go zabić. To stawiałoby sprawy w zupełnie innym świetle.

Wyjaśnialoby, dlaczego nawet nasz utalentowany szpieg z Idaho nie był w stanie nam pomóc. Pieniądze zmieniają wszystko. Najtrudniej odszukać dwie kategorie ludzi: takich, którzy mają mnóstwo pieniędzy, i takich, którzy w ogóle ich nie mają.

Pomysł Joego, żeby przeszukać szkołę Marsha, był dobry. Przy założeniu, że Corbett nie miał pieniędzy, nawet doskonały. Dokąd mógłby pójść bez gotówki i bez rodziny, która by go przygarnęła? Miałby niewielki wybór, a znalezienie miejsca – ja-kiegokolwiek – żeby przeczekać burzę, aż się coś wymyśli, byłoby trudne. Nieruchomości Wspólnoty Mieszkańców mogły dać mu schronienie, a najlepsza wydawała się szkoła. Ale ona już została wykreślona z listy. Teraz diabli wiedzą gdzie szukać Corbetta.

Myśl o liście sprawiła, że zamarłem. W noc pożarów próbowałem wyprzedzić Corbetta, idąc według listy nieruchomości Wspólnoty Mieszkańców. Skąd miałem tę listę? Od Amy. A ona wzięła ją z archiwum miejskiego. Te domy nie miały nic wspólnego z brygadą remontową dopóki Cancerno nie kazał swoim ludziom rozpocząć w nich prac. Jeden z domów, ten wielki przy Czterdziestej Zachodniej, kupiono na tydzień przed śmiercią Sentalar. Było prawie pewne, że brygada Cancerna nie jest przy-gotowana do prowadzenia w nim robót, pewnie nawet nie wiedziała o jego istnieniu.

Ale Corbett spotkał się z Sentalar w ubiegłym tygodniu i oprowadzał ją po sąsiedztwie. On mógł wiedzieć.

– Cholera – powiedziałem. – Widziałem. Widziałem to cholerstwo.

Mitch Corbett miał kota. W jego domu, w pralni stała kuweta. Drzwi do pomieszczenia zostały zamknięte. Gdyby zostawił kota w domu, otworzyłyby drzwi. Nie chciałby, żeby kot zasikał cały dywan.

W domu Corbetta nie było kota, ale widziałem jakiegoś w pustym domu przy Czterdziestej Zachodniej. Trudno, żebym zapomniał to zwierzątko, którego mało nie zastrzeliłem. Nie był dziki, ale zdrowy i dobrze odżywiony, miał obrózkę, od której odbijało się światło, kiedy do niego celowałem.

Było pięć po drugiej, kiedy wyszedłem ze szpitala, żeby znaleźć Mitcha Corbetta.

Rozdział 28

Nie zostawiłem ciężarówki pod szpitalem, więc musiałem iść pieszo. Dom był

oddalony od szpitala miejskiego o jakieś trzy kilometry. Szedłem pustymi chodnikami, ręce

trzymałem w kieszeniach, skuliłem ramiona, bo po burzy bardzo się ochłodziło.

Obok powoli przejechał samochód. Dwoje dzieciaków wystawiło głowy i zaczęło na mnie wrzeszczeć. Nie podniosłem wzroku. Jedno z nich rzuciło butelką, która rozbiła się o chodnik, trzy metry ode mnie. Roześmieli się i pojechali dalej.

Chociaż byłem pewien, że Corbett był wtedy w tamtym domu, nie wiedziałem, czy jest tam jeszcze. Dzień po pożarach policja mogła dokładniej przyjrzeć się Wspólnocie Mieszkańców, przeszukać inne domy, prawdopodobnie w towarzystwie śledczych ze straży pożarnej. Jeśli wypłoszyli Corbetta, to czy wrócił? Mogłem tylko mieć nadzieję, że tak.

Dom przy Czterdziestej Zachodniej wyglądał tak, jak wtedy, kiedy go odwiedzi-

łem tamtego wieczoru – ciemny, samotny i zapomniany. Okolice żyła własnym życiem, ale ten dom już do niej nie należał. Podeszedłem do tylnych drzwi.

Nie miałem broni. Glocka zgubiłem w Rocky River, a przed tą wyprawą nie wróciłem do domu ani do biura. Nie martwiłem się jednak o to.

Drzwi nie były zamknięte. Bez trudu przekręciłem gałkę. Popchnąłem drzwi i otworzyłem je na parę centymetrów, odsunąłem się na bok i czekałem. Nie słychać było żadnego ruchu. Stałem jeszcze parę sekund, otworzyłem szeroko drzwi i wszedłem. Pamiętałem rozkład wnętrza; szybko dotarłem do salonu. Wchodząc, usłyszałem miękkie pacnięcie. Znowu stanąłem, czekając. Po pokoju przeszedł kot, światło na chwilę wpadło do środka. Wystarczyło, żebym zobaczył znajomego, szaro-białego kota siedzącego na podłodze. Patrzył na mnie wielkimi, lśniąco-ciemnymi oczami. Na podłodze, pod kocem, leżał rozciągnięty wielki mężczyzna. Obok niego zauważyłem pistolet.

Podeszedłem do niego, a kot głośno zamiauczał. Mężczyzna się nie poruszył.

Lewą ręką zacząłem macać po brudnych deskach podłogi. Szukałem broni. Dotkną-

łem czegoś innego, wyczułem, że to latarka z metalową rączką. Wziąłem ją do prawej ręki, a lewą nadal przeszukiwałem podłogę, aż znalazłem rewolwer. Kiedy podnosiłem broń, kot znów zamiauczał, tym razem głośniej. Mężczyzna chrząknął cicho i usiadł.

Nacisnąłem guzik i zaświeciłem mu latarką w oczy.

– Pobudka, panie Corbett.

Zasłonił oczy jednym ramieniem, a drugim przesunął po podłodze, szukając broni.

– Już go mam – uprzedziłem.

Przestał się poruszać. Mrużył przysłonięte oczy, ale nie widział mnie, bo stałem poza kręgiem światła.

– Jestem Lincoln Perry – przedstawiłem się. – I musimy trochę pogadać. Sporo nawet, i uczciwie, a

wtedy być może nie umrzesz jeszcze tej nocy, Corbett.

Siedział na podłodze, plecami oparty o ścianę, a ja stałem przed nim. Był du-

żym mężczyzną miał ponad metr osiemdziesiąt i ważył prawdopodobnie sto kilo. No-sił brudne dżinsy i T-shirt, a na twarzy miał świeży zarost. Kot zwinął się w kłębek obok niego, a on mówił i machinalnie głaskał go po futerku.

– Wszystko, co powiedział ci Cancerno, to kłamstwo. Jedyne, co wie na temat prawdy, to jak się jej wystrzeżać. Ed był moim przyjacielem. Jeśli sądzisz, że mam coś wspólnego z tym, co się z nim stało, to ci odbiło.

– Ale wiesz, co się stało?

– Prawie wszystko.

– To co, do diabła, robisz tutaj zamiast na komisariacie, żeby pomóc uchronić kolejnych ludzi przed śmiercią?

– Właśnie mi powiedziałeś – rzekł Corbett – że to glina postrzelił twojego partnera.

– Tak.

Roześmiał się cicho.

– No to sam widzisz, człowieku. Sam widzisz. Najpierw zginęła Anita, potem Ed, a ja wiem, że potem miała być moja kolej. Nie sądziłem, że to długo potrwa. Nie mam pieniędzy, nie mam dokąd pójść. A Jimmy Cancerno nie da mi długo pożyczyć. Kiedy ten człowiek mnie znajdzie... – Pokręcił głową. – Nie będę miał lekkiej śmierci. Jestem cholernie pewien. Nie będzie się spieszył.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo to ja puściłem wszystko w ruch, człowieku. Opowiedziałem stare historie. A on o tym wie. Jimmy uważa, że jestem odpowiedzialny za wszystko, co się od tamtej pory stało. Gwarantuję ci to.

– Wyjaśnij to. Skoro wszystko puściłeś w ruch, to chcę wiedzieć jak. Ze szczegółami, Corbett.

Przejechał dłonią po szorstkiej bródce i westchnął. Mój wzrok zaadaptował się do tego stopnia, że widziałem go nawet bez latarki. Pusty salon śmierdzał mocno ku-rzem i pleśnią.

– To sprawa sprzed lat – powiedział. – Żebyś zrozumiał, w co wpakował się Eddie, musisz trochę posłuchać.

– Sporo przeszedłem, żeby wysłuchać tej opowieści. Na pewno starczy mi teraz cierpliwości.

Wyszukał mnie wzrokiem w ciemności. Skinął głową.

– Okej. Więc będę mówił.

Zaczął się, powiedział mi Mitch Corbett, kiedy Norm Gradduk stracił pracę. To nie stało się w kwietniu, jak Norm powiedział rodzinie. To było w październiku poprzedniego roku. Przez pół roku wychodził codziennie z domu i udawał, że wybiera się do pracy. W rzeczywistości szedł do Kryjówki na kolejny ochłaj. Przez dwa lata Norm zmienił kilka razy pracę i za ostatnim razem Alberta się wściekła. Nie chciał

znowu takiej sceny, więc postanowił, że nic nie będzie mówił, dopóki nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia.

– Problem w tym – stwierdził Corbett – że nie znalazł sobie żadnego zajęcia.

Więc potrzebował pieniędzy, i to bez przerwy. Nie chciał jednak iść na zasiłek.

Chodziło o dumę i oczywiście Alberta mogła poznać prawdę, gdyby zaczął brać wsparcie od hrabstwa. Może nawet by go rzuciła. Jeden z przyjaciół Norma, może to był ojciec Scotta Drapera, może kto inny, przedstawił go facetowi z sąsiedztwa, który nazywał się Jimmy Cancerno. Powiedział, że ten człowiek może mu dać trochę go-tówki, krótkoterminową pożyczkę, długoterminową pożyczkę, co tylko by chciał. Kiedy się spotkali, Cancerno był nad wyraz uczynny, po prostu szczerza przyjaźń. Poklepał

Norma po ramieniu i powiedział, że pieniądze są jego. Mrugnął i dodał, że warunki spłaty omówią później. Na początek Norm pożyczył bardzo mało, tylko tyle, żeby by-

ło na rachunki za elektryczność i jedzenie. Ale pieniądze dostawał tak łatwo, bez han-dryczenia się, więc łatwiej przychodziło mu o nie prosić. Pożyczki rosły z tygodnia na tydzień. Dług też. A Norm pił i uprawiał hazard.

– Wiesz, kto to jest Cancerno? – zapytał mnie Corbett. Mówił cichym, spokojnym głosem.

– Wielkimacher w okolicy, o ile wiem.

Roześmiał się ponuro.

– Człowieku, on ma tę okolicę na własność. A lichwa była dla niego tylko formą długoterminowego planu inwestycyjnego. Nie liczył na zwrot gotówki. On żądał przysług. Potrzebni byli mu faceci tak u niego zadłużeni, że zrobią dla niego wszystko. Takie rzeczy, które na dłuższą metę dadzą mu znacznie więcej niż pieniądze, które ci faceci byli mu winni. Lubi ten Jimmy zastawiać pułapki z przynętą, oj lubi.

– Wierzę.

Przyszła zima, minęła zima i Norm zaczął się brać w garść, mówił Corbett. Złaził

ze stołka w barze i rozejrzał się za pracą. Powiedział Albercie prawdę, jak jest z jego robotą, ale się nie przyznał, odjak dawna jest bezrobotny. Nie wspomniał o układzie z Cancernem. Norm znalazł

pracę. Dziadowska zapłata, ale wtedy nic lepszego nie było.

Przyszło lato, a wraz z nim Jimmy Cancerno.

Do tego czasu Norm był winien Cancernowi około dwudziestu pięciu kawał-

ków. To nie jest suma astronomiczna, ale mnóstwo dla faceta, który w nowej pracy zarabiał czterysta tygodniowo. A Cancerno chciał zwrotu pożyczki natychmiast, razem z odsetkami. Kiedy Norm przyznał, że minie kilka lat, zanim będzie w stanie to spłacić, Cancerno przedstawił mu propozycję – może odpracować dług. W jedną noc spłaci tysiące dolarów, podkładając w paru miejscach ogień. Niejaki Terry Solich zaczął przeszkadzać Cancernowi w interesach i Cancerno uznał, że czas, by Solich się wycofał.

Ten nie chciał współpracować, więc trzeba było wyjąć mu interesy z rąk. A dla Norma Gradduka była to szansa, żeby wyjść z dołka. Robótka na jedną noc, z kanistrem benzyny, paczką zapalek i dług spłacony. Proste. Gliny to żaden problem, powiedział

Cancerno. Zadbaj o to. Norm miał tylko zapalić zapalną.

– Ale Norm się nie zgodził – mówił Corbett. – Trzymał się, i to twardo. Powiedział, że nawet nie zbliży się do lombardu Terry’ego Solicha, a jeśli Jimmy poprosi go o to jeszcze raz, to zawiadomi gliny. Jimmy zapytał go, kiedy ma zamiar spłacić dług, a Norm mu na to, że jak będzie miał z czego. Potem znowu groził glinami.

Corbett przerwał na chwilę. Kot wstał, przeciągnął się i poszedł. Corbett zmienił

pozycję, objął kolana ramionami.

– Wtedy ludzie dopiero zaczynali się orientować, jakim facetem jest Jimmy. Ale Norm Gradduk, hm, nie miał o tym pojęcia. W ogóle. Ale pogróżki wobec Jimmy’ego nie uszłyby nikomu na sucho. Szczególnie, kiedy mowa była o policji. Jimmy wiedział, że należy kupić sobie paru okolicznych gliniarzy i miał już paru takich na swojej liście płac. Jednym z nich był Jack Padgett.

– Widziałem, jak dzisiaj dostał kulkę – powiedziałem. – I to była jedna z przyjemniejszych rzeczy, jakie widziałem od dłuższego czasu.

Corbett tylko pokiwał głową.

– Jimmy uznał, że nadszedł czas na stanowcze działanie. Normowi należała się nauczka, zgadza się? Więc wezwał Padgetta i razem złożyli Normowi wizytę w domu.

Corbett mówił cichszym, łagodniejszym głosem. Nie podobało mu się to, o czym chciał powiedzieć. Wiedziałem, że wolałby nie powtarzać tej historii.

– Jimmy powiedział Normowi, że daje mu wybór: albo spali Solicha, albo natychmiast odda pieniądze. Norm kazał mu iść do diabła. W domu była żona Norma, nie miała pojęcia, o co chodzi.

– A Ed? – zapytałem.

– Nie było go. Nie wiem, gdzie był, ale na pewno nie w domu.

Jeśli nie było go w domu, to na pewno był u mnie. Zastanawiałem się, co mogliśmy robić tego wieczoru, kiedy Cancerno i Padgett złożyli wizytę Graddockom. Pewnie się bawiliśmy. Śmieliśmy się przez cały ten letni wieczór. Tak wtedy było.

– Norm okazał się twardzielem – ciągnął Corbett. – Obtańcował ich, powiedział, żeby wynosili się z jego domu. Nie wiedział, z czym ma do czynienia. Padgett trochę go sponiewierał, skopał mu tyłek na oczach żony. Zaśmiał się i pokazał odznakę, kiedy zaczęła krzyczeć, że wezwie gliny.

Cisza. Czekalem, ale on nie kontynuował.

– No? – odezwałem się wreszcie.

Corbett miał spuszczone głowę, wzrok utkwiał w podłogę.

– Jimmy wrzeszczał na Normę, mówił, że ma gliny na własność, że ma na własność całe sąsiedztwo, że ma na własność Normę. Nikt nie będzie groził Jimmy'emu tak jak Norm i on mu zaraz pokaże. Na żonie Normę.

Popatrzyłem na przejeżdżający obok domu samochód. Do pokoju wpadła smuga światła.

– Przystawili Normowi broń do głowy. Potem Padgett i Cancerno... hm, kazali jej to zrobić. Przed nimi.

Pocierałem kciukiem chwyt pistoletu małymi, kolistymi ruchami, palec zeszywniał mi na spuście.

– Wychodząc, obiecali Normowi, że jeszcze wrócą. Powiedzieli, że będą wracać, dopóki nie zrobi tego, co chce Jimmy. Wszystko to stało się wtedy przez Padgetta. I wiele innych spraw też. Wziąć się za łby z Cancernem to jedno, ale kiedy się wie, że w jego drużynie działa glina, a szczególnie taki wredny sukinsyn jak Padgett... Człowiek czuje się wtedy bezradny, wiesz? Myślę, że Norm mógł się wtedy tak czuć.

– To dlatego się zabił. – Mój głos brzmiał głucho. – Myślał, że ochroni rodzinę.

Rozetnie więź między Cancernem, Padgettem a nimi.

– Pewnie tak. Ale to nie poskutkowało. Jack Padgett to jeden z najpodlejszych typów, jakich znałem, a znam paru takich, że rzygać się chce.

– Cancerno powiedział, że byliście w bliskich stosunkach.

– Co ci mówiłem o nim i prawdzie?

Pokiwałem głową.

– Jimmy to bezlitosny drań, ale tylko wtedy, kiedy może coś na tym zyskać –

kontynuował Corbett. – Po śmierci Norma z Cancernem sprawa była załatwiona. Nic by na tym nie zarobił. Ale z Padgettem było inaczej. Nabrał upodobania do żony Norma i wrócił po dokładkę.

– I Ed się o tym dowiedział.

– Tak. Nie wiem dokładnie kiedy, ale zwąchał coś. I poszedł poszukać pomocy.

– Corbett podniósł głowę. – Wybrał twojego ojca.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza i pokiwałem głową.

– Do tego momentu rozumiem. Mój ojciec złożył skargę o molestowanie seksualne, a Mike Gajovich zamiótł to pod dywan. Przyszedł i zniechęcił Albertę, nastraszył ją mówiąc, że razem z Edem weźmie udział w upokarzającym publicznym przed-stawieniu.

– Tak było. Jimmy chciał chronić Padgetta, bo ten był dla niego cenny. Znał też brata Gajovicha, fajfusa pierwszej klasy. Byłeś gliną? – Kiedy przytaknąłem, spytał: –

Znałeś go?

– Nie bardzo.

– No, to masz szczęście. Tak czy inaczej, Cancerno trafił przez brata do Mike’a, tego, który teraz jest prokuratorem. Ten wziął od Jimmy’ego trochę kasy i zrobił, co trzeba. Nie wiem, może myślał, że to będzie tylko jednorazowa sprawa. Jeśli tak są-

dził, to nie zdawał sobie sprawy, że popełnił gruby błąd, taki sam, jak Norm Graddock.

Robić interesy z Jimmym to jak podpisać z diabłem cyrograf na pustej drodze. Dosta-niesz, co chcesz, aleś bracie, przepadł.

Nagle zmęczyło mnie stanie. Osunąłem się po ścianie i siadłem na podłodze tak, jak Corbett, bokiem do niego. Pistolet położyłem przy nodze.

– Powiedziałaś, że to ty puściłeś to w ruch. Zakładam, że opowiedziałaś Edowi tę historię, a on poszedł z nią do Cancerna.

– Aha. Ed wyobraził sobie, że ma rachunki do uregulowania z Jimmym. Wiedział, o co chodzi z tymi domami Wspólnoty Mieszkańców, więc...

– O co chodzi z tymi domami?

– Człowieku, nie znam szczegółów. Ja tylko kierowałem brygadą. Robiłem gówniane poprawki i żyłowałem fundusze federalne. Brałem cztery razy tyle, ile my wyłożyliśmy. Dokąd szła nadwyżka? Może prosto do kieszeni Cancerna, może gdzie indziej?

Według Cala Richardsa nadwyżka szła na fundusz wyborczy Gajovicha. Jimmy inwestował z góry w posiadanie na własność dużego kawałka miasta.

– Kiedy Ed poszedł na spotkanie z Gajovichem, co chciał osiągnąć?

– Dobić z nim targu. Albo go zaszantażować, co wolisz. Chciał, żeby Gajovich przyjrzał się szwindlom we Wspólnocie Mieszkańców i wsadził Cancerna do więzienia.

Ed pomyślał, że Gajovich jest mu winien przynajmniej tyle.

– Więc udał się do Gajovicha i wyszedł z niczym – powiedziałem. – Co się potem stało? Jak wplątała się w to Anita Sentalar?

– Zawsze była wplątana. Już dawno знаła Gajovicha. Wybrał ją osobiście, żeby prowadziła Wspólnotę Mieszkańców, bo jej ufał. Wiedział, że będzie patrzeć przez palce. A ona wiedziała, że jeśli wybiorą go na burmistrza, to dostanie wysokie stanowisko w jego sztabie.

– Kto ją zabił?

– Chyba Cancerno kazał to zrobić. Ale nie jestem pewien, kto pociągnął za spust. To była nasza wina. Eda i moja. Potrzebny mu był niepodważalny świadek, jeśli miał sprawę oddać do sądu, i pomyślał, że to może być ona. Naciskał na nią żeby po-szła do prokuratora generalnego i zeznawała przeciwko Cancernowi. Nie chciała.

Wtedy nasze drogi z Edem się rozeszły.

– To znaczy?

– Postanowił podpalać domy. Wymyślił sobie, że to zmusi gliny, żeby dokładniej przyjrzel się Wspólnocie Mieszkańców. I chyba widział w tym jakąś słodką zemstę. Jimmy chciał, żeby ojciec Eda coś podpalał, zgadza się? No, to zrobił to za niego Ed, z odsetkami za piętnaście lat.

– A ty, którą drogę wybrałeś?

– Nadal zmiękczałem Anitę. Oprowadzałem ją po okolicy, przedstawiłem dzie-ciakowi, który miał zamieszkać w jednym z domów Wspólnoty. To właśnie tacy ludzie tracili na tym. Pewnie, hipoteki były ubezpieczone, ale im się wydawało, że wprowadzą się do wymarzonych domów, a naprawdę to były rudery pociągnięte świeżą farbą i obłożone nowym tynkiem. Anita też się tym przejęła. Myślę, że byłaby gotowa współdziałać z nami. Cancerno pewnie też na to wpadł. Bo kazał ją zabić.

– Więc wrobili Eda, a potem wysłali Padgetta i Rabolda, żeby go zabili. A przynajmniej samego Padgetta. Rabold już wtedy pracował dla wydziału wewnętrznego. I dlatego skończył sztywny.

– Kręciło się to tak, jak chciał Jimmy – powiedział Corbett. – Tylko że Ed miał

parę minut, żeby z tobą porozmawiać. Inaczej wszystko poszłoby gładko.

– Myślisz, że to Cancerno rozkazał Padgettowi, żeby nas dzisiaj sprzątnąć? Czy to był pomysł samego Padgetta?

– Nic by nie zrobił, dopóki Jimmy nie spuściłby go ze smyczy.

Myślałem o tym, zastanawiałem się, co było tutaj zapalnikiem. Dlaczego nie wysłał Ramone’a, żeby nas od razu zabił? Dlaczego kazał nas przywieźć do siebie i potem pozwolił odejść? Żeby się dowiedzieć, co my wiemy. Ale wydawało mu się, że kupujemy jego historyjkę. To dlaczego wysłał Padgetta, żeby nas stuknął?

– Wspomniałem z nazwiska o Gajovichu. Powiedziałem Cancernowi, że wiem, kto wyciszył skargę mojego ojca na Padgetta.

– Może dlatego – odparł Corbett. – A może nie. Nie wiem.

– Jakakolwiek byłaby przyczyna, z całą pewnością chciał nas zabić.

– Mnie Cancerno też zabije – stwierdził Corbett rzeczowym tonem. – Oskarża mnie o to wszystko, a z tego, co ci powiedział, jasno wynika, że mnie też chce wykorzystać jako kozła ofiarnego. Umyje ręce od Wspólnoty Mieszkańców i zwali wszystko na mnie. Jak już będę martwy, zrobię się bardzo ważny. Jak już będzie po wszystkim, okaże się, że to ja prowadziłem rachunkowość Wspólnoty Mieszkańców, że to jak bra-

łem gotówkę, że to ja zabiłem Sentalar. Gwarantuję ci.

– Pomogłeś mu, podpalając resztę domów.

Corbett zakaszłał i pokręcił głową.

– Perry, to nie ja spaliłem te domy.

Zmarszczyłem brwi.

– Mów prawdę, Corbett. Kończyłeś to, co Ed zaczął.

– Nie. Ja nie podpalałem. Ale mogę ci powiedzieć, kto to robił. Tamtego wieczoru sprawdzałem niektóre z tych domów. Chciałem się przenieść w inne miejsce. I zobaczyłem, jak jeden z nich się pali.

– Kto to zrobił?

– Facet, który jest właścicielem Kryjówki – powiedział. – Draper.

Rozdział 29

To nazwisko wstrząsnęło mną a nie powinno. W końcu, aż do dziś, nie widzia-

łem Cancerna bez Drapera u boku. To wyjaśniało, dlaczego Scott zadzwonił do mnie tego ranka, kiedy zginął Ed, jego całkowitą zmianę nastroju. Jimmy prawdopodobnie kazał mu, żeby mnie sprowadził, bo chciał się dowiedzieć, co mi powiedział Ed, zanim Padgett zmiażdżył go pod kołami swojego samochodu.

– Jesteś pewien? – zapytałem Corbetta, mimo że i tak byłem o tym przekonany.

Skinął głową.

– Wierz mi, dobrze mu się przyjrzałem. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Jimmy go nasłał, bo chce się pozbyć wszelkich związków ze Wspólnotą Mieszkańców.

Spali domy, zwali to na mnie i ma spokój. No, najpierw musi mnie znaleźć i zabić. Ale potem już ma spokój.

Wstałem. Ruch sprawił, że poczułem skurcz w karku i zatrzymałem się w połowie drogi, zanim całkiem się wyprostowałem. Skrzywiłem się, przemogłem i wziętem głęboki oddech. Ból się pogłębił. Przeżyłem wypadek samochodowy, ciągnąłem rannego przez rzekę, nie spałem. Nic dziwnego, że moje ciało się buntuje.

– Musisz pójść na policję, Corbett. Już doprowadziłem do tego, że przyglądają się Gajovichowi i Padgettowi. Nie możesz tylko tutaj siedzieć i czekać, aż inni to za ciebie załatwią.

Milczał.

– Zabito ludzi – mówiłem. – Nikogo nie będzie obchodzić, co robiłeś we Wspólnocie Mieszkańców. Będą chcieli przymknąć Cancerna i Gajovicha. Nie ciebie.

I tak był wystraszony. Corbett, który lata całe robił sztuczki i przekręty, stykał

się ze skorumpowanymi gliniarzami i prokuratorami, nie miał ochoty rozwiązywać swoich problemów oficjalnie. Ale wyszło na to, że teraz będzie musiał.

– Zadzwonię do detektywa Cala Richardsa – powiedziałem. – A ty masz z nim porozmawiać. Możesz mu zaufać.

Pokiwał powoli głową.

– W porządku.

– Jeszcze jedno pytanie: skąd, do diabła, wiesz tak dużo o tym, co zaszło między Cancernem, Padgettem a Alberta Gradduk?

Przez chwilę nie odpowiadał. Wreszcie podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że przystawili pistolet do głowy Norma, kiedy Padgett i Cancerno zabawiali się z jego żoną?

– Tak.

– To ja trzymałem broń. – Nie opuścił głowy. Nie odwrócił wzroku. – Wtedy by-

łem winien Jimmy’emu cholernie dużo, więcej niż Norm Gradduk. I pracowałem dla niego już od dłuższego czasu. Zanim Norm popełnił samobójstwo, wykurzyłem Solicha z interesów. Zamiast Norma.

– I powiedziałaś glinom, że to zrobił on?

– Tak.

Głośno wypuściłem powietrze i pokręciłem głową.

– Czy Ed o tym wiedział?

– Tak. Od tego wszystko się zaczęło, że mu o tym powiedziałem.

Stałem i patrzyłem na niego z napięciem.

– Bardzo się zmieniłem przez te wszystkie lata. – Corbett mówił bardzo cicho. –

Nigdy nie zapomnę tamtego wieczoru, Perry. A potem, kiedy Ed zaczął z nami pracować... kurczę, zbliżyliśmy się do siebie. To był porządny chłopak. Jeden z najlepszych gości, jakich znałem. I lojalny. Dla przyjaciela gotów był nadstawić karku. Nie zadawał

pytań.

– Tak – powiedziałem. – Potrafił nadstawić karku.

– Nadszedł czas, kiedy musiałem mu o tym powiedzieć. Musiałem. Był moim przyjacielem, a nic nie wiedział. I pracował dla Cancerna, a nic nie wiedział. To było nie w porządku.

Tak, opowiadanie o tym musiało być trudne dla Corbetta. Ed nie przesadzał, kiedy mi o tym mówił.

– Wysłuchał i nie wystąpił przeciwko mnie, ani wtedy, ani później – ciągnął

Corbett. – Wyobrażasz sobie? Wiesz, co się stało z jego rodziną? A ja w tym uczestniczyłem. A on tylko mi podziękował, że mu o tym powiedziałem.

Przyglądałem się cieniom na ścianie.

– Możliwe, że wiedział, co to znaczy chować do kogoś urazę.

– Pomyślałem, że dobrze zrobiłem – rzekł Corbett. – Ale teraz? Cholera. Nic nie zrobiłem, żeby to

odkręcić. Patrz, do czego doszło. Patrz, co się stało.

Pokręciłem głową.

– Nie. Dobrze, że mu powiedziałeś, Corbett. Należało to załatwić. Ed zaczął to załatwiać, a my dokończymy. Ty i ja. Ty porozmawiasz z Calem Richardsem. Powiesz mu wszystko, co mi powiedziałeś. Zrobisz to, bo jesteś facet z jajami. Nie możesz się już wykręcać.

– Okej. – Był przygnębiony. Strzelił palcami i nagle pojawił się kot. Mruczał.

Usiadł obok Corbetta, a ten pogłaskał go po głowie.

– Wiesz, powinieneś zostawić kota w domu. Zdradził twoją kryjówkę.

– On ma piętnaście lat – powiedział Corbett, jakby to wszystko wyjaśniało. –

Nie mogłem go zostawić.

– Każę komuś przyjść po ciebie.

Pokręcił głową.

– Nie. Zrobię to inaczej. Powiedziałeś, że mogę zaufać temu Richardsowi, to mu zaufam. Ale nie każ im tu przychodzić i zakładać mi kajdanek. Umów z nim spotkanie, a ja tam już będę.

Przemyślałem to i pokiwałem głową.

– Jutro rano przyjdę tutaj z Richardsem. Tylko my dwaj. Będziesz?

– Nigdzie się nie wybieram.

Uwierzyłem mu. Brakowało mu energii, żeby się ukryć albo uciec.

– Idę już – oznajmiłem. – I zabieram twój pistolet.

– Dokąd idziesz?

– Na spotkanie ze starym przyjacielem.

Okolica była cicha. Wyszedłem z domu przy Czterdziestej Zachodniej z pistoletem Corbetta wetkniętym za pasek. Przy ulicy stała budka telefoniczna. Mogłem zadzwonić z niej do Cala Richardsa. Mogłem posłać go do Kryjówki, pozwolić, żeby capnął Drapera.

Przeszedłem obok budki. Szedłem na północ, w stronę Clark Avenue. Była taka pora, kiedy noc nie jest pewna, czy dzień się kończy, czy zaczyna. Policja i tak wkrótce dorwie Drapera. Teraz chciałem załatwić własne sprawy. Chciałem posłuchać, jak się tłumaczy. Zrozumieć, dlaczego na to pozwolił.

Było po trzeciej, kiedy dotarłem do Kryjówki i nawet Clark, zazwyczaj ruchliwa ulica, świeciła

pustkami. Bar powinien być zamknięty już prawie od godziny, ale mia-

łem nadzieję, że znajdę w nim Drapera. Restauratorzy kładą się spać zazwyczaj wtedy, kiedy większość z nas wstaje z łóżka.

Podszedłem do drzwi od frontu, po potrzaskanych kamiennych schodkach, na których kiedyś siadywałem z Edem i Draperem i patrzyłem, jak stali klienci wchodzą i wychodzą. Zapukałem kilka razy z rozmachem. Wielki kawał drewna wchłaniał dźwięk, nawet kiedy waliłem pięścią.

Nikt nie podchodził do drzwi. Trudno było wydobyć porządny, głośny stuk, więc nic dziwnego, że Draper nie słyszał, jeśli był na zapleczu. Poszedłem na tyły budynku i stanąłem w uliczce, która przebiegała za nim. Znałem to wejście. Kiedy z Edem i Scottem chcieliśmy podwędzić parę butelek wody z zapasów starego Drapera, tędy właśnie wychodziliśmy.

Tylne drzwi były otwarte. Wszedłem do ciasnego, dusznego korytarzyka z pod-

łogą wykładaną gumowymi matami. Po mojej prawej, pod ścianą stały dwie puste beczki. Zacząłem się wydzierać, wołając Drapera, ale przestałem. Coś tu było nie tak.

Poszedłem powoli korytarzem, omijając beczki. Starąłem się iść jak najciszej.

Od baru nie dochodził mnie żaden dźwięk i to mnie zmartwiło. Jeśli Draper nadal tam był, to powinien sprzątać po dniu i przygotowywać się do otwarcia na następny dzień, przesuwając krzesła, ustawiając beczki, wkładając butelki z piwem do lodówek. Tymczasem w barze panowała kompletna cisza.

Po mojej lewej znajdowały się drzwi prowadzące do sali jadalnej. Przeszedłem obok nich aż do ostrego załomu korytarza, który skręcał pod kątem prostym i kończył

się wyjściem na zaplecze baru. Trzymałem teraz rewolwer Corbetta w ręku, tuż przy udzie. Wyszedłem zza zakrętu i uniosłem broń, kiedy tylko zobaczyłem Scotta Drapera.

Zwisał przed wysokim regałem za barem. Ręce miał nad głową, przykute do ciężkich drewnianych półek zastawionych butelkami z alkoholem. Był skuty tak, że kiedy opadał, kolana zatrzymywały mu się kilka centymetrów nad ziemią. Musiało to mocno ciągnąć w dół i zwiększać ból w nadgarstkach. Wisiał teraz bezwładnie, z opuszczoną głową. Widziałem, jak na podłogę skapuje krew. T-shirt miał nasączony krwią i potem. Nawet z tej odległości widziałem nabrzmiałe opuchlizny na jego twarzy. Wciąż patrzyłem, kiedy podszedł do niego Jimmy Cancerno. W ręku miał pistolet, zamachnął się i chwytem uderzył Drapera w twarz. Nie rozległ się ostry trzask, które-go się spodziewałem, kiedy metal uderzył w kość. Było to raczej jakby stąpnienie na mokrą gąbkę. Natychmiast zdałem sobie sprawę, jak bardzo opuchniętą twarz miał

Draper.

Okrutna scena, która przede mną się rozgrywała, była zupełnie inna niż ta, któ-

rej się spodziewałem, kiedy wyszedłem zza rogu, ale nie traciłem czasu na rozmyślanie. Instynkt

wziął górę. Draper był kiedyś przyjacielem i przyjście mu z pomocą było jak odruch bezwarunkowy.

– Cancerno, nie dziwię się, że najpierw mu założyłeś kajdanki, a dopiero potem uderzyłeś – powiedziałem, robiąc krok do przodu. Wymierzyłem mu pistolet w głowę.

Nie byłoby w stylu Cancerna przychodzić samotnie do kogoś takiego jak Draper, ale nikogo poza nim jeszcze nie zauważyłem, więc zrobiłem to, co mogłem: wymierzyłem w niego broń. Zrobiłem jeszcze kilka kroków, odsuwając się od ściany, że-by zobaczyć resztę pomieszczenia. Właśnie wtedy zza węgła wyszedł Ramone ze strzelbą.

Szybko przeniosłem lufę z Cancerna na Ramone'a, celując mu w pierś, zanim zdąży unieść strzelbę wyżej, żeby strzelić. Zamarł na sekundę, oddalony o kilka metrów, z bronią na wysokości pasa. Wiedziałem, że mam przerąbane, chociaż udało mi się go zatrzymać. Bo i on, i Cancerno stali z różnych stron, blisko mnie. Utrzymać obu na uwięzi byłoby trudno.

– Wynoś się stąd, Lincoln – powiedział Draper, jakby w ustach miał zmiętą gazetę. Słowa przechodziły mu z trudem przez opuchnięte zakrwawione wargi.

– Wolałbym, żeby został – odparł Cancerno. Wykonał szybki ruch. Odwrócił się do mnie. Przełożył pistolet w rękę i nie trzymał go już za lufę.

– Opuść broń, Cancerno. – Cofnąłem się o krok, bliżej ściany. Szybko przesuną-

łem pistolet z Taveza na Cancerna, a potem znów na Ramone'a, który już unosił

strzelbę. Muszę szybko rozbroić chociaż jednego albo będzie za późno. Wybrałem Taveza – pewnie lepiej strzelał, lepiej się bił i bliżej stał.

Nie spuszczając oka z Cancerna, który okrążał bar, idąc w moją stronę, zrobi-

łem kilka posuwistych kroków do Ramone'a. W barze światła były wyłączone, nie licząc świetlówek nad lustrem. W jadalni za plecami Ramone'a było ciemno. Miałem nadzieję, że nie czekały tam posiłki.

– Opuść to, Ramone – powiedziałem. Stał bez ruchu, nie wyglądał na wystraszonego. W jego oczach już przegrałem, bo nie zastrzeliłem go od razu. Był zabójcą i rozumował na zasadzie: zabij albo ciebie zabiją. Nie zabiłem go i teraz był pewien, że wkrótce będę martwy.

Już miałem powtórzyć polecenie, kiedy zobaczyłem, jak Cancerno szybko podnosi pistolet do poziomu barków. Gwałtownie przeniosłem lufę na niego i oddałem szybki strzał. Cancerno wystrzelił prawie równocześnie. Obaj chybiliśmy. Ale już po-ciągając za spust, robiłem unik w lewo, w stronę Taveza. Wiedziałem, iż nie mogę pozwolić, żeby podniósł lufę i oddał strzał z bliskiej odległości.

Uderzyłem go ramieniem w klatkę, lecz był przygotowany na mój atak i zamiast podnosić broń, rzucił ją złapał mnie jednym ramieniem za głowę i pociągnął, wykorzystując mój impet. Upadliśmy razem. Ramone, ściskając mnie za głowę i kark, wyrznął boleśnie o podłogę baru. Spróbowałem natychmiast przetoczyć się na plecy i przystawić mu pistolet do ciała, ale Cancerno już podbiegał do nas, żeby

móc do mnie wycelować, więc odchyliłem się do tyłu i wystrzeliłem dwa razy w lustro za barem. Cancerno upadł. Ale Ramone zyskał dzięki temu czas. Już klęczał i walił mnie pięścią w głowę.

Cios wylądował z boku, bo zdołałem odwrócić twarz. Uderzenie było mocne, następne jeszcze mocniejsze. Zatoczyłem koło ręką z bronią żeby wycelować mu w usta, ale zablokował mnie przedramieniem i pistolet wypadł mi z dłoni. Oburącz chwyciłem go za klatkę, a on dwa razy uderzył mnie w czoło.

To był już koniec. Cancerno stał nade mną z berettą w dłoni i celował mi w twarz. Ramone uderzył mnie jeszcze raz, rozcinając mi skórę nad prawym okiem, zszedł ze mnie i chwycił strzelbę.

– Dzięki, że wpadłeś. – Cancerno kopnął mnie w żebra. Przetoczyłem się na brzuch i próbowałem dźwignąć się na czworaki, ale znowu mnie kopnął i przystawił

mi berettę do głowy.

– Leż – warknął, a potem zwrócił się do Ramone’a. – Weź go do Drapera.

– Nie ma już kajdanek – odparł Ramone.

– Nie szkodzi.

Ramone podniósł mnie z podłogi za włosy, wbijając lufę rewolweru w kręgo-słup. Domyśliłem się, że to broń Mitcha Corbetta. Popchnął mnie za bar i kopnął pod kolana, aż upadłem, opierając się na rękach, ale wepchnął mi but w plecy i zmusił, żebym położył się na brzuchu.

Podniosłem wzrok na Scotta Drapera. Trzeba było dużo wytrzymałości, żeby znieść ten widok. Twarz stała się krwawą miazgą. Przednie zęby zwisały mu luźno z rozdartych warg, nos miał zmiażdżony. Z różnych miejsc skapywała mu krew i zbierała się na gumowej macie. Ale oczy miał całkiem przytomne. Przytomne i złe. Nieraz, kiedy dorastaliśmy – a nawet kilka razy w ostatnim tygodniu – nawiedzała mnie myśl, że Draperowi trzeba naprawdę dobrze dołożyć, zanim zmięknie. Teraz dowód na to zwisał przede mną.

Draper zakaszał, z jego ust wydobyła się krwawa mgielka i osiadła mi na wierzchu dłoni karmazynowymi kropelkami. Ramone odsunął się, a Cancerno podszedł do mnie i znowu kopnął mnie w bok. Trafił dokładnie w żebra, ale nie był silnym człowiekiem i kopnięcia nie odczułem tak, jak się spodziewałem.

– Miło widzieć, że ci się udało, Perry – zaczął. – Ty jesteś drugą osobą, z którą chciałem się spotkać dziś wieczór.

– Jesteś skończony, Cancerno. – Nie trzymałem się nawet, żeby odwrócić w jego stronę głowę. – Padgett dostał kulkę, a miejska policja, ta połowa, której nie masz w kieszeni, idzie właśnie na spotkanie z Gajovichem.

– Nie chrzanisz? – powiedział. – No cóż, zatem to spotkanie jest ważniejsze, niż myślałem. Bo nie chciałbym pójść do paki bez wyrównania rachunków.

Cancerno poszedł na koniec baru, gdzie stał Ramone i odwrócił się do mnie i Drapera.

– Chłopaki, lubicie ogień, co?

Sięgnął ręką, w której nie trzymał broni, po butelkę z wódką stojącą na półce nad Draperem. Już gramoliłem się na czworakach, kiedy to robił, ale Ramone zrobił

krok do przodu i wycelował we mnie strzelbę.

– Wiem, że Draper lubi ogień – mówił Cancerno, rozbijając szyjkę butelki o bar.

Odwrócił ją do góry dnem i wylał na nas alkohol. Ochlapał podłogę, moje nogi i po-krwawioną twarz Drapera. Scott uniósł się wyżej na czubkach palców. Nadal był przypięty kajdankami do ciężkich dębowych półek. Była to wielka, jednoczęściowa ścianka z półkami na alkohole, z którymi znajdowały się lustra. Miała co najmniej dwa i pół

metra wysokości. Kajdanki Drapera przełożone były za masywną poprzeczkę rozdzielającą półki. Drewno nie dałoby się złamać, choćby ciągnął z całych sił.

– Draper lubi pożary bardziej niż własne życie – ciągnął Jimmy, rozbijając następną butelkę. Zawartość rozlał wokół nas. – To chyba niezła zabawa, co Perry? –

Kiedy się nie odezwałem, zwrócił się do Ramone'a: – A co ty sądzisz?

– Nie wydaje mi się, że niezła.

– Ja też nie sądzę. Ale zdaje się, że ten kutas – Cancerno rzucił butelkę, która śmignęła obok głowy Drapera i rozbiła się o półki – myślał, że niezła.

Cancerno przestał zdejmować butelki i popatrzył na mnie.

– Mam na własność tę okolicę. Ale mnie to już znudziło. Myślę o czymś większym. Więc wy, dranie, wybraliście sobie naprawdę najgorszy czas. Mógł umrzeć tylko Graddock. Nie musiałbym wysyłać za nim jego przyjaciół.

– To już skończone, Cancerno – powtórzyłem.

– Właśnie. – Pokiwał głową. – Skończone. Ale właśnie ja to zakończę. Zrozumiałeś, Perry? A Draper wykopał dla was obu groby. Bo po tych wszystkich pożarach w okolicy jeszcze jeden nie będzie się wyróżniał. – Rozlał butelkę Crown Royal wokół

moich stóp.

Ramone stał za barem i celował do nas z rewolweru. Cancerno nadal zdejmował butelkę za butelką rozbijał je i wylewał alkohol na podłogę.

Poruszyłem się, próbowałem się obrócić, żeby wstać, kiedy nadejdzie czas i nagle Ramone

wystrzelił w stronę półek, tuż nad moją głową. Polał się alkohol, a szkło z rozbitych butelek posypało się na podłogę wokół mnie.

Przestałem się ruszać. Ramone uśmiechnął się, pokazując zęby.

Ten strzał nastąpił po strzałach oddanych wcześniej przeze mnie i Cancerna, ale nie miałem zbytnej nadziei, że wzbudzą zainteresowanie sąsiadów. Stare, grube mury Kryjówki tłumiły dźwięki lepiej niż większość drogich paneli dźwiękochłonnych.

Ojciec Drapera zwykł był się chełpić, że może nastawić szafę grającą na cały regulator, a i tak na ulicy nic nie będzie słychać.

Draper znowu zaczął zmieniać pozycję. Przesunął stopy tak, że oparł się piętami o podstawę półek. Łańcuszek kajdanek lekko zadzwonił, kiedy mocno go napiął.

Odwróciłem od niego wzrok. Było mi go żal. Kiedy Cancerno podpali Kryjówkę, Draper nie zdoła uciec. Ja pewnie też – Ramone stał obok z rewolwerem wycelowanym we mnie. Z tej odległości mógł mnie zabić, zanim zdążyłbym wstać.

Cancerno stanął przy końcu baru, plecami do korytarza prowadzącego do tylnego wyjścia. Zaprzestał już rozlewać alkohol i stał ze ścierką w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Ramone, patrząc na niego, położył rewolwer na barze i znowu uniósł

strzelbę. Trzymał ją równoległe do blatu. Ohydna lufa wymierzona była prosto we mnie. Nie musiał teraz martwić się o celność, strzał przeciąłby mnie na pół, gdybym spróbował się ruszyć.

– Masz rację, Perry. – Cancerno pokiwał głową. – Wszystko skończone.

Przełożył ścierkę do ręki, w której trzymał rewolwer. Drugą ręką sięgnął do kieszeni, a kiedy ją wyjął, trzymał w niej stalową zapalniczkę. Potarł kółko kciukiem. Pojawił się krótki płomień. Przyłożył go do ścierki, która zaczęła się powoli palić.

Przeniosłem ciężar ciała do przodu, na palce stóp, gotując się do skoku, który skończy się strzałem ze strzelby. Słyszałem, jak za mną Draper nateża się, a kajdanki, którymi był skuty, szorują po drewnie.

– Nie robiłbym tego – odezwał się Ramone, przesuając lufę w ślad za moim ruchem. Dotknąłem palcami szkła, zacisnąłem je na szyjce jednej z butelek, które rozbił Cancerno. Dał mi szansę, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. Ogień nie zabije mnie tak szybko, jak strzał Ramone'a, a pierwsze płomienie bardziej zaabsorbują jego niż mnie. Kiedy Jimmy rzuci szmatę na podłogę, ja rzucę się do gardła Ramone'a z wyszczerbionym szkłem w ręce.

– Mam nadzieję, że będzie bolało, jak diabli. – Cancerno uniósł płonąca ścierkę wysoko do góry. Trzymał ją dwoma palcami. Napiąłem wszystkie mięśnie, gotów rzucić się przed siebie, gdy tylko ścierka opadnie na podłogę. Wtedy usłyszałem, jak Draper wydał stęknięcie, które zabrzmiało jak wybuch, i nagle skoczył do przodu.

Jestem silnym mężczyzną, właścicielem siłowni, do której przychodzi regularnie wielu silniejszych

mężczyzn podnosić wprost niewyobrażalne ciężary. Podczas służby w wydziale do spraw narkotyków widziałem ludzi na metamfetaminie, którzy przechodzili przez zamknięte drzwi i ściany, jakby ich w ogóle nie zauważali. Ale nigdy nie widziałem pokazu siły porównywalnej z tym, co przedstawił Scott Draper wtedy, w Kryjówce. Szybkim ruchem, w którym skumulował całą swoją siłę, rzucił się do przodu i szarpnął za kajdanki, przykuwające go do półek. Draper był wysoki, więc przymocowano je dość wysoko, dobrze ponad środkiem regału. Gdy Draper skoczył, masywne dębowe póły z butelkami alkoholu pochyliły się, zachwiały i runęły.

Ramone'owi starczyło czasu, żeby strzelić. Czasu starczyło, ale regał miał co najmniej dwa i pół metra i spadł mu prosto na czaszkę. Osilek skupił uwagę na mnie, bo to ja mogłem się swobodnie ruszać, i kiedy Draper skoczył, Ramone musiał się okręcić w lewo, żeby wycelować w stronę nowego zagrożenia. Tymczasem potężna drewniana szafa już na niego leciała, więc pociągając za spust, zrobił krok w tył, pró-

bując uniknąć wzięcia całego jej ciężaru na głowę. Obrót połączony z krokiem wstecz wystarczył, żeby pocisk nie trafił w cel. Przebił drewno spadającego z trzaskiem regału jakieś trzydzieści centymetrów na prawo od głowy Drapera.

Uratował nas bar. Ciężar wielkiego mebla z pewnością zabiłby nas obu, zmiąz-

dziłby. Ale był tak długi, że oparł się o bar i sypiąc na nas deszczem szkła i wody, zaklinował się już na stałe, pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni.

Ramone zniknął mi teraz z pola widzenia, ale Cancerno coś wrzasnął; kiedy szafa się przewracała, odskoczył i rzucił ścierkę. Opadła na przewrócone półki i zsunęła się na podłogę. Było na niej trochę alkoholu, ale nie tyle, co w wielkiej kałuży, którą zrobił wcześniej Cancerno, więc i płomień był znacznie mniejszy.

Zostałem na czworakach, żeby nie uderzyć głową w półki nade mną i doczoł-

gałem się do końca baru, gdzie stał Cancerno. Odłamki szkła wbijały mi się w ciało.

Wydostałem się spod półek, Cancerno uniósł berettę, a ja skoczyłem na niego. Rąbałem go w okolice pasa w chwili, gdy do mnie strzelił. Zwarliśmy się i upadliśmy.

Przewrócił się na plecy, uderzając głową o podłogę z trzaskiem, jak rozbijany betonowy blok. Kiedy się podnosiłem, był już nieprzytomny.

Za mną rozszerzał się pożar. Odwróciłem się w stronę płomieni, szukając Drapera, gdy w korytarzu coś się poruszyło i nad głową przeleciała mi kula.

Kiedy się schyliłem i chwyciłem berettę Cancerna, padł kolejny strzał, tym razem odłupując kawał ściany nade mną. Ramone musiał znaleźć rewolwer, bo strzały pochodziły najwyraźniej z broni krótkiej, a nie ze strzelby. Przetoczyłem się na lewe ramię i uniosłem berettę, wypatrując go. Jakiś cień przemykał wzdłuż ciemnej ściany oddzielającej bar od sali jadalnej. Wystrzeliłem kilka razy w tym kierunku. Cień zniknął, a ja go już nie szukałem. Scott nadal leżał uwięziony pod barem, a ogień

był coraz bliżej.

Nie dałem rady wczłgać się z powrotem tą samą drogą płomienie ogarnęły koniec baru od mojej strony, a żar bił taki, że mogłem patrzeć tylko z ukosa, odwracając głowę i zasłaniając twarz uniesionym ramieniem. Obiegnę bar od przodu, przeło-

żyłem broń z prawej ręki do lewej, oparłem się dłonią o blat i przeskoczyłem nad nim.

Draper wściekle szarpał za kajdanki, odsuwając się od ognia, który już prawie do niego dochodził. Schyliłem się pod leżącym pod kątem regałem i podczołgałem się do niego. Prawie nic nie widziałem, żar nie pozwalał mi otworzyć oczu.

Zdałem się więc na dotyk, a nie na wzrok i wymacałem kajdanki. Poczułem go-rąco metalu. Odsunąłem wolną rękę, przycisnąłem lufę beretty zabranej Cancernowi do najcieńszego ogniwa i nacisnąłem spust. Poleciały odłamki metalu i drewniane drzazgi, pociągnąłem Drapera za rękę. Kajdanki trzymały nadal.

Znów przytknąłem lufę do łańcuszka. Wystrzeliłem kilka razy z rzędu. Krzycza-

łem, aż zacząłem się dusić gryzącym dymem. Nie mogłem już znieść gorąca i się wycofałem. Dłoń nadal trzymałem na nadgarstku Drapera. Minęła sekunda, zanim zrozumiałem, że jego ręka jest wolna.

Potem uciekaliśmy z baru gonieni przez płomienie. Kolana ugięły się pod Draperem, mało nie upadł, ale go podtrzymałem. Złapał równowagę. Podpierając się wzajemnie, wytoczyliśmy się z baru do sali jadalnej, która już wypełniała się dymem.

Przed nami majaczyły ciężkie drzwi frontowe. Uderzyłem w nie ramieniem, ale nie pu-

ściły. Draper znalazł zasuwę zakrwawioną ręką odciągnął ją i wypadliśmy z baru na chłodny beton schodków.

Dym wydobywał się z budynku, a okna pękały z cichym brzękiem, niewinnie brzmiącym w porównaniu z trzaskaniem płomieni. Na czworakach zleźliśmy na chodnik, łapiąc zachłannie powietrze. Spróbowałem coś do niego powiedzieć, ale padłem na brzuch i rąbnąłem szczęką o beton. Przewróciłem się na bok, na zimnym, chropa-wym chodniku i patrzyłem, jak płonie Kryjówka. Czekałem na wycie syren.

Rozdział 30

Razem z Joem oglądaliśmy konferencję prasową w szpitalnej sali. Mike Gajovich został zawieszony w obowiązkach ze względu na toczące się przeciwko niemu śledztwo w sprawie kryminalnej, jego brat wyleciał razem z nim ze stanowiska komendanta obwodu drugiego. Szef policji mówił o tym bardzo stanowczo, ale nie patrzył w obiektywy.

Burmistrz stał niezgrabnie obok niego. Próbował wyglądać jednocześnie ponuro i pokrzepiająco.

Joe leżał, oddychał płytko, ale równomiernie. Jego twarz pasowała kolorem do białych

prześcieradeł. Tylko oczy były czerwone, z purpurowymi obwódkami. Z jego ciała wystawało kilka rurek, za łóżkiem mruczały pilnujące go monitory. Mógł mówić, lecz kosztowało go to sporo wysiłku, więc niewiele rozmawialiśmy. Nie podnosił głowy z poduszki, ale wpatrywał się w ekran telewizora. Kiedy konferencja prasowa się skończyła, wstałem i wyłączyłem telewizor. Joe odezwał się, kiedy stałem tyłem do niego.

– Nie było Richardsa. – Słowa wypowiadał drżącym szeptem. Musiało go to cholernie męczyć. Odwróciłem się i skinąłem głową.

– Nie pozwoliliby mu rozmawiać z prasą. Za duże ryzyko, że powiedziała by, jak naprawdę było.

Widziałem Joego po raz pierwszy, odkąd jego stan ustabilizował się, i nadal dręczyło mnie poczucie winy. Pierwsze, co powiedział, kiedy mnie zobaczył, było:

– Dzięki za lekcję pływania.

Niewiele z tego pamiętał. Opowiedziałem mu, ale salę okupywali gliniarze, wysypywali się na korytarz, wszyscy robili notatki i poszeptywali do siebie. Porozmawiamy o tym w przyszłości, kiedy będziemy sami. Ale nie dziś.

Jimmy Cancerno zginął w Kryjówce. Ramone Tavaréz został złapany cztery godziny po pożarze, a kolejne cztery godziny później przyznał się do zabicia Anity Sentalar. Jack Padgett opracował szczegóły intrygi i pozyskał Jerome'a Hugginsa, ale to Ramone oddał śmiertelny strzał. Cancerno zapłacił mu za robotę pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ramone powiedział, że za tę gotówkę chciał kupić sobie samochód sportowy. Taki ze skórzanymi siedzeniami.

Tavaréz zostanie oskarżony o zabójstwo pierwszego stopnia, ale jego zeznania miały dużą wagę. Zrobił z Padgetta kozła ofiarnego w sprawie zabójstwa Larry'ego Rabolda i powiedział parę słów o tym, że współpraca Rabolda z oddziałem specjalnym do spraw policji przeciekła do brata Mike'a Gajovicha, komendanta okręgu drugiego. Przed zakończeniem śledztwa nie było jeszcze wiadomo, o co dokładnie zostaną oskarżeni bracia Gajovichowie, ale z pewnością nie będą już szefami ani w mie-

ście, ani w policji.

– Nie pamiętam meczu bokserskiego, na którym ktoś więcej by dostał niż ci dwaj.

Amy weszła do salki Joego i spojrzała na nas, unosząc brwi. Odpowiedziałbym jej tym samym, ale nie miałem czym. Ogień zatroszczył się o moje brwi i zostawił ślady na twarzy, szyi i ramionach. Spędziłem godzinę pod prysznicem, żeby pozbyć się zapachu spalenizny. Nie udało się.

Amy uściśnęła rękę Joego, uśmiechnęła się do niego i popatrzyła na rurki sterczące z jego ciała.

– Świetnie, że znowu z nami jesteś – szepnęła.

– Dzięki.

Można było się domyślić, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale znów usnął. Le-karstwa i uraz sprawiły, że nie był w stanie przemóc senności. Amy pocałowała go w wierzch dłoni i odłożyła ją ostrożnie na łóżko, potem przeszła przez pokój i stanęła na wprost mnie. Lekko pogłaskała palcami moje rany.

– Wyglądam z nimi dziko, co? Ponętnie.

– Wmawiaj to sobie dalej, kowboju.

Opuściła rękę, spojrzała na Joego, który miał już zamknięte oczy, i odezwała się szorstkim szeptem.

– Więc chciałbyś pewnie wyjaśnić, dlaczego do diabła, zadzwoniłeś do mnie o piątej rano i kazałeś mi jechać na spotkanie z jakimś wariatem mieszkającym w opuszczonym domu?

– Powiedziałaś mu to, o co cię prosiłem?

Pokiwała głową.

– Ze powinien zeznać Calowi Richardsowi wszystko, o czym mówił tobie, ale nie mieszać w to Scotta Drapera.

– I zgodził się?

– Absolutnie. Zawiozłam go na spotkanie z Richardsem. Powiedział, że nie chce widzieć innego gliny, dopóki z nim nie porozmawia.

– Dobrze. Tak mu kazałem. – Usiadłem na krześle przy łóżku Joego, a Amy usiadła obok. Pochyliła się do przodu i oparła mi dłoń na kolanie.

– Co się stało wczoraj wieczorem, Lincoln? Trzy godziny po tym, jak wyszłam ze szpitala, znalazłeś Corbetta, zabiłeś Cancerna i spaliłeś dom. Muszę o tym posłuchać.

– Posłuchać czy napisać?

– Posłuchać.

Więc opowiedziałem. Miałem już praktykę – sam Cal Richards kazał mi to opowiadać z tuzin razy, a był trzecim detektywem, który się do mnie dorwał.

– A o co chodziło z tą informacją dla Corbetta?

Ukradłem glinie telefon komórkowy i zadzwoniłem do niej o świcie z toalety.

– Cancerno poszedł do baru, żeby zabić Drapera – relacjonowałem. – Ja poszedłem do baru, bo myślałem, że Draper pracuje dla Cancerna. Jeśli nawet tak było, to nie wyglądało to już na przyjazną współpracę. Nie mam zamiaru pierwszy rzucić w Drapera kamieniem, dopóki się nie dowiem, dlaczego podpałał.

– Wiesz, co powiedział Calowi Richardsowi?

– Draper? – Pokręciłem głową. – Nie, nie wiem. Ale Cal wypytywał mnie o te poranne pożary.

– I co powiedziałaś?

– Niewiele. Podkreśliłem tylko, że Cancerno był gotów spalić ubiegłego wieczoru Kryjówkę. Niech zaczyna od tego.

– Reportaż znajdzie się jutro na pierwszej stronie. Już trochę napisałam, ale zaproponowałam podtytuł: „Gradduk niewinny”.

– Cholernie dobrze to brzmi.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu i patrzyliśmy na Joego. Klatka piersiowa unosiła mu się i opadała pod kocami, serce biło miarowo.

– Wyjdzie z tego – powiedziała Amy.

– Tak, ośmiogodzinna operacja przeprowadzona przez doktora Crandalla zrobiła swoje.

Trzymała dłoń na mojej nodze.

– Więc po wszystkim.

– Tak – odparłem. Prawie po wszystkim.

Tego popołudnia, kiedy rozmawiałem z policją, a lekarze zajmowali się moim partnerem i Scottem Draperem, Ed Gradduk został pochowany. Na prośbę jego matki pogrzeb był skromny.

Dopiero następnego dnia po południu zobaczyłem się z Draperem. Zadzwoił

do mnie, jak tylko lekarze go wypuścili, i poprosił, żeby z nim się spotkać przed szpitalem. Zostawiłem Joego i poszedłem. Dzień był gorący, jasny, a niebo tak niebieskie, że wyglądało jak sztuczne.

Na rogu stał Draper. Jego twarz wyglądała jak koszmarny kolaż z sińców i szwów. Jedno oko miał zabandażowane, a nos pokrywał mu gipsowy opatrunek. Poza tym wyglądał świetnie. Silny i wytrzymały.

Wyciągnął rękę.

– Dzięki, że przyszedłeś. Teraz i wtedy.

Podąłem mu dłoń.

– Dziękuję, że wyciągnąłeś mnie z pożaru w tamtym domu, kilka dni temu.

Szkoda, że nie zatrzymałeś się wtedy na chwilę. Może parę spraw poszłoby łatwiej dla wielu ludzi.

– Przejdźmy się – powiedział.

Poszliśmy na północ, Dwudziestą Piątą Zachodnią samochody przejeżdżały obok nas z szumem. Było późne popołudnie, przez cały dzień panował upał i po przejściu jednej przecznicy poczułem, jak otwierają mi się pory. Burza, która sprowadziła ochłodzenie, dawno poszła w niepamięć, niebo było czyste, powietrze nieruchome. Upał będzie się wzmagał do następnej burzy. Sierpień w Cleveland.

– Gliny mnie puściły – odezwał się Draper. – Na początek mnóstwo pytań, jasne, ale pod koniec uznali mnie za ofiarę. Chyba myślą, że Cancerno chciał mnie uka-rać, bo ci pomagałem, a ja nie przeczyłem. Problem w tym, że i ja, i ty wiemy, jak było naprawdę. W szpitalu odwiedził mnie Corbett. Opowiedział mi to samo, co tobie.

Szedłem bez słowa, ze zwieszoną głową.

– Więc wiesz, że Cancerno dobrał się do mnie, bo odkrył, że to ja podpalałem domy?

– Odniosłem takie wrażenie. Ale skąd się dowiedział?

– Tamtego wieczoru w barze był jeden z jego ludzi. Skorzystałem z tylnego wejścia, poszedłem do łazienki i polałem sobie wodą ramiona. Miałem trochę oparze-lin. Czuć mnie było dymem. Powinienem pójść do domu, ale na ulicach kręciło się tyle glin, że chciałem, po prostu zejść im na jakiś czas z widoku. Ten facet wszedł do łazienki i to zobaczył. Myślę, że następnego popołudnia powiedział o tym Cancernowi, kiedy się dowiedział, czyje domy zostały podpalone.

– Skąd wiedziałeś, które podpalać?

– Żadna sztuka. Wszystkie, które remontowali, miały na podwórkach tabliczki.

Objechałem okolicę i znalazłem bez trudu z pół tuzina.

– Rozumiem.

– Aha. Teraz ja mam pytanie. Wiesz, że to ja podpalałem, ale nie doniosłeś glinom i kazałeś swojej przyjaciółce pójść do Corbetta i powiedzieć mu, żeby nic nie mówił. – Draper się odwrócił, żeby na mnie popatrzeć. – Lincoln, bardzo ci za to dzię-

kuję. Już siedziałbym w pace, ale zastanawiam się... Skoro wiedziałeś, że to ja podpa-lam, i myślałeś, że pracuję dla Cancerno, to po co, do diabła, przyszedłeś do baru?

Dlaczego po prostu nie wezwałeś gliniarzy, żeby się mną zajęli?

– Chciałem dać ci okazję, żebyś się wytłumaczył. Chciałem zrozumieć, po co to robiłeś.

– Tak. Mam cholerne szczęście, że przyszedłeś. Uratowałeś mnie.

– Czy kiedykolwiek pracowałeś dla Cancerna?

Pokręcił głową.

– Nie tak, jak ci się wydaje. Podpalałem z prostej przyczyny: Ed chciał to zrobić, zanim zginął. A ja byłem jego dłużnikiem. Więc postanowiłem dokończyć za niego robotę.

– Wiedziałeś, co zaszło między Cancernem a rodziną Eda?

Pokiwał głową.

– Powiedział mi tego wieczoru, kiedy uciekł przed glinami i ukrył się u mnie, w barze.

– Więc wszystko wiedziałeś? Dlaczego, do diabła, mi nie powiedziałeś?

– Nie wiedziałem wszystkiego. Tylko stare sprawy. Nie wiedziałem nic o domach ani o Anicie Sentalar, ani o Mike’u Gajovichu. Wczoraj gliniarze wszystko mi wyjaśnili. Wiedziałem tylko, że Ed chciał wyrównać porachunki z Cancernem.

– I mi nie powiedziałeś.

– Skontaktowałem cię z nim – odparł. – Przyprowadziłem go, żebyście się spotkali. Powiedziałem ci o Mitchu Corbetcie, a później przypomniałem ci te stare pożary.

Żebyś miał od czego zacząć. Pomyślałem, że resztę zrobisz sam. I zrobiłeś. Po prostu nie wiedziałem... Nie miałem pojęcia, że to wszystko tak źle pójdzie.

Naprzeciwno nas szły dwie kobiety. Kiedy podeszliśmy bliżej, popatrzyły na twarz Drapera z nieukrywany przerażeniem i zeszły z chodnika.

– Więc naprowadzałeś mnie – powiedziałem. – A mogłeś mi zaufać od początku. Strzelali do ludzi, niektórych zabili, a tobie zrobili befszytk z gęby. Spłonęła połowa sąsiedztwa. – Pokręciłem głową i przeniosłem spojrzenie na drugą stronę ulicy.

– Jak mówiłem, nie wiedziałem, co się stanie, jak głęboko to sięga. Wiedziałem tylko to, co Ed powiedział mi o Padgetcie i Cancernie. – Draper przejechał dłonią po łysej głowie i westchnął. – Jest jeszcze coś, Lincoln. Trudno mi o tym z tobą mówić.

– Co?

Zatrzymał się, odwrócił się do mnie. Nie chciałem przystawać, ale musiałem.

Patrzyłem na niego i czekałem.

– Kiedy Ed poszedł siedzieć, nie osłaniał Antonia Childersa. Osłaniał mnie.

– Co. . – Nawet nie dokończyłem pytania. Stałem i patrzyłem na niego. Obok nas przemknął z rykiem

miejski autobus, wypuszczając chmurę dymu z rury wydechowej. Słońce świeciło mi ostro w oczy.

– Miałem poważne kłopoty finansowe – mówił Draper. – Mało brakowało, a straciłbym bar. Niecałe dwa lata po śmierci mojego staruszka, który zostawił go mnie, zdążyłem wykończyć interes. Nie mogłem na to pozwolić. Porozmawiałem z Cancernem. To był facet, z którym się tutaj gadało, jeśli człowiek miał kłopoty. Przynajmniej tak wtedy myślałem. Powiedział, że oczywiście może pomóc. Powiedział, że facet taki jak ja może mu się przydać jak cholera. Miał powiązania z Childersem. Zaproponował

dużą kasę, jeśli przeprowadzę przez bar trochę towaru. Ja mu na to, że potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać, żeby załatwić sprawę.

Opuścił wzrok. Jego oczy były ledwo widoczne w nabrzmiałej i posiniaczonej twarzy.

– Wybrałem Eda.

Stałem z opuszczonymi rękami i nic nie mówiłem. Po dłuższej chwili odwróciłem się i popatrzyłem na ulicę. Przyglądałem się przejeżdżającym samochodom.

Wreszcie zacząłem iść.

Poszedł za mną.

– To dlatego nic ci nie chciał powiedzieć. Dlatego wziął wszystko na siebie.

Oślaniał mnie. Ed nic nie wiedział o Antoniu Childersie. Tylko ja wiedziałem.

Odezwałem się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Głos miałem ochrypły.

– Więc kiedy w dzielnicy przeklinano moje imię i wyzywano mnie od zdrajców, ty siedziałeś cicho.

– Nie. Krzyczałem nawet głośniejsze niż inni.

Rzuciłem mu ciężkie spojrzenie, ale on przyjął je ze spokojem. Przez chwilę nie odwracałem wzroku.

Z Clark skręciliśmy w lewo, szliśmy na zachód, w stronę starego domu Eda Gradduka i tego, co zostało z baru Drapera.

– Wiem, że było ci z tym źle – powiedział.

Roześmiałem się krótko i pokręciłem głową.

– Wiesz, że było mi z tym źle? Fajnie to powiedziałaś, koleś.

Szliśmy razem, ale teraz było już jakoś inaczej. Szliśmy równo obok siebie, ale jakby niechętnie, jakby każdy z nas myślał, że powinien zmienić krok, żeby ten drugi został z tyłu albo wysunął się do

przodu. Ale trzymaliśmy się razem, chociaż przez kilka przecznic nie odezwaliliśmy się słowem.

– Słyszę ciągle, jak ludzie mówią, że wracają do domu – powiedziałem wreszcie.

– Na każde Boże Narodzenie ludzie z naszego stanu, z całego kraju mówią mi, że wracają do domu. Mieszkałem dziesięć minut stąd, przy tej cholernej uliczce, przez całe lata, Draper, i nie mogłem wrócić do domu. Ledwie się przeszedłem po sąsiedach, a wszyscy mi mówili, żebym sobie poszedł. Mój ojciec, a jak się okazało był to jedyny facet, który próbował to wszystko naprawić, wyprowadził się stąd rok po tym, jak Ed poszedł do więzienia. Ale nie dlatego, że mu się przestała podobać ta dzielnica.

Draper nic nie mówił.

– Tak, zgadza się. Było mi z tym źle. Jak najbardziej. Dzięki za zrozumienie, ko-leś.

– Byłem tchórzem – powiedział. – Wiem. Zebrałeś cięgi, bo chciałeś pomóc, a ja jak tchórz trzymałem gębę na kłódkę i pozwoliłem, żeby Ed odsiedział swoje i że-byś ty zapłacił resztę ceny. Dostałbym więcej niż Ed, gdyby się mną zajęli, i powtarza-

łem to sobie, żeby się uspokoić. Ed wziął to pod uwagę i podjął najlepszą dla nas obu decyzję, nie? Tak sobie powtarzałem.

– Odwiedzałeś go w więzieniu?

– Co tydzień.

– Patrzyłeś mu w oczy, kiedy tam byłeś?

Nie odpowiedział. Przeszliśmy jeszcze jedną przecznicę i zatrzymaliśmy się na czerwonym.

– Ed wiedział, co chciałeś zrobić – rzekł Draper. – Nie mówię, że doceniał pomysł twój i Allison, ale rozumiał. Sam mi to powiedział. Próbowalesz pomóc. Byłeś lepszym gościem niż ja. Nie ma wątpliwości.

Pokręciłem głową.

– To Ed był taki. Ty byłeś tchórzem, a ja durniem, który chciał zostać bohaterem. To Ed był prawdziwym bohaterem.

Szliśmy dalej, ale przez dłuższy czas się nie odzywaliśmy. Przeszliśmy wiele przecznic. Kiedy mijaliśmy dom Eda, podniosłem wzrok, żeby popatrzeć, i pomyślałem o Albercie. Czy powinienem się z nią spotkać? Co bym powiedział? Teraz już nic nie miało znaczenia. Nie dla niej.

– Dałbym wszystko, żeby móc z nim porozmawiać – mówił Draper. – Tylko jedna rozmowa. Żeby powiedzieć mu, że sprawa załatwiona. Że dokończyłeś to za niego.

– Dokończyłem. Pięć dni temu.

Doszliśmy do Kryjówki i się zatrzymaliśmy. Staliśmy na chodniku, przyjrzałem się domowi. Straż pożarna cholernie się napracowała, ale też zebrali już dużo do-

świadczenia w dniach poprzedzających ten pożar. Udało im się uratować sam budynek, chociaż wewnątrz było zdewastowane. Niemniej stary, mocny kamień wytrzymał, a ściany i wielkie drzwi stały mocno i pewnie.

– Masz zamiar odbudować to i dalej działać?

– Tak, do diabła – odparł Draper cicho. – Na pewno tak, Lincoln. Ja tu wrócę.

Jestem jednym z nielicznych w tym kwartale, którzy mają ubezpieczenie od ognia.

– Dobrze. Pasujesz do tego baru.

– Trochę czasu minie, zanim będę mógł stanąć za barem i nie straszyć ludzi.

Chyba czeka mnie kupa operacji plastycznych. Jak sądzisz, co powiedzą stali bywalcy, kiedy się o tym dowiedzą?

– Pewnie ci poradzą żebyś zrobił sobie sztuczne cycki, skoro cię to jara.

Roześmiał się.

– Wiesz, byłbym zdziwiony, gdyby któryś nie powiedział czegoś podobnego.

Pokiwałem głową i się odwróciłem.

– Idę, stary. Wracam do szpitala, zobaczyć, jak się czuje mój partner.

– Poczekaj.

Znowu się odwróciłem i popatrzyłem na niego z wyczekiwaniem.

– Lincoln, jestem ci winien...

Machnąłem ręką.

– Nic nie mów. Nie chcę tego słuchać. Nic o tym, że się coś komuś jest winnym, nic o długach, rachunkach i wracaniu na drogę cnoty. Daj spokój, Scott.

Zmarszczył się, przestąpił z nogi na nogę, wsadził kciuki za pasek, a potem je wyjął. Nigdy nie widziałem Scotta Drapera w takim stanie.

– Słuchaj – powiedział. – Pomyślałem, że moglibyście wpaść w tym tygodniu z Allison. Moglibyśmy strzelić sobie drinka, zjeść obiad czy coś takiego. Jak za dawnych czasów.

Popatrzyłem na ulicę.

– Kogoś zabraknie, nie sądzisz?

– Tak. Ale na to już się nic nie poradzi. Inni żyją. Samochody przemykały ulicą, nikt nie zwalniał w miejscu, gdzie zginął Ed Graddock. Patrzyłem na to przez jakiś czas, aż wreszcie kiwnąłem głową.

– Dobrze, Scott. Da się zrobić.

Wyciągnął rękę.

– Mam nadzieję. Kiedy znowu otworzę bar, chcę was tutaj widzieć. I nie tylko dlatego, że jestem ci coś winien.

Podał mu dłoń.

– Wpadnę – obiecałem.

Zostawiłem go przed barem i poszedłem Clark Avenue. Słońce prażyło mnie w plecy. Kiedy wychodziłem, Joe spał, ale wkrótce się obudzi. Chciałem wtedy przy nim być.

Podziękowania

Szczególna wdzięczność należy się mojemu redaktorowi Peterowi Wohertonowi, bo zaufał, że w chaosie myśli, planów i wyobrażeń gdzieś jednak kryje się książka, dał

mi czas i udzielił rad, których tak potrzebowałem. Praca z Pete'em i moim agentem, wspierającym mnie i wnikliwym Davidem Halem Smithem, jest prawdziwą przyjemno-

ścią. Thomas Dunne, John Cunningham i reszta zespołu ze St. Martin's Press to ludzie wyjątkowi pod każdym względem.

Moi pierwsi czytelnicy – Bob Hammel, Laura Lane i Janice Rickert – byli wspaniali, za co im bardzo dziękuję.

Mój wuj, Kevin Marsh z Cleveland Metroparks Rangers, opowiedział mi o swoim wydziale i o organach ścigania. Nie wolno go jednak winić za pomyłki i interpretacje pi-sarza.

Dziękuję także Donowi Johnsonowi z Tracę hvestigations oraz Stewartowi Moo-nowi, Donicie Hadley i innym członkom zespołu „Herald–Timesa”.

Wciągu roku przed publikacją mojej pierwszej książki pewna liczba pisarzy, którzy podziwiam, oderwała się od swoich spraw, żeby udzielić mi rady, zachęty i wsparcia. Takie okazje były dla mnie najważniejszymi wydarzeniami podczas pisania pierwszej powieści i pozostają wobec nich wszystkich dłużnikiem.

Jak zwykle najważniejsza była rodzina. Chcę szczególnie podziękować ojcu Jimowi Korycie, mieszkańcowi Clark Avenue. W zachodniej dzielnicy Cleveland zostało osadzonych wiele historii,

które opowiadał mi, kiedy byłem dzieckiem. Okazało się, że przechowałem je w pamięci.

„KB”